

JAN WIKTOR

ORKA NA UGORZE

POWIEŚĆ

WYDANIE CZWARTE



KSIAŻNICA-ATLAS * LWÓW-WARSZAWA



WIK.
ORKA

462

80

W
NIONE

2578

Copyright 1936 by S. A. Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa
Zakłady Graficzne Ski Akc. Książnica-Atlas we Lwowie

D VII

CZĘŚĆ PIERWSZA

I.

Rozpoczęły się drobne, nie nie znaczące wypadki codziennego życia i jesienny dzień, tak często dzisiaj przeplatany pogodą i deszczem.

O świcie chmury, związane ze sobą jakby skrzydłami, windowały słońce zdołu i zrazu gorejące czerwienią wschodu, potem jaśniejące złotem osadziły ponad grzbietami gór.

Już przeminęło dużo czasu, już dużo światła spłynęło na ziemię, a tutaj w ciasnej izbie Malinowskich robiło się dopiero teraz jaśniej poto tylko, aby ujawnić całe ubóstwo. Na nagich, kto wie kiedy bielonych ścianach wisiąco parę szerniałych obrazów. Między świętościami pozbawionemi kolorów i kształtów tkwiła pasyjka, osmętniona przez ludzkie płacze i skargi. Nie było więcej sprzętów poza skrzynią na łachy, drążkiem pod powałą, ciężką ławą, wędrującą w razie potrzeby po chałupie, i łóżkiem w kącie, na którym leżała młoda kobieta, przykryta pierzyną. Wgnieciona w poduszkę, spoczywała wychudzona twarz, połączona zbyt ognistemi rumieńcami. Przy każdym uśmiechu wybliskiwały zęby, radujące się zdrową bielą. Tak często się uśmiechały, a za każdym razem niezwykle żywe oczy strzelały spojrzzeniami rozja-

śniającemi oblicze. Chora z trudem odchyliła głowę, utkwiała wzrok w oknie i w błękicie zjawiającym się wśród potarganych chmur. W głębi nieba, wypogodzonego na chwilę, zaświeciło słońce swoją świetnością i porzuciło na wyboiste klepisko kwadrat światła, przekrajany czterema krechami.

— Mamo, weznę was kiedy na ręce i zaniesę na dwór, żebyście widzieli świat — krzyknął chłopak, odwracając się od okna ku matce.

— Dobrze, Alojzku, dobrze.

— Jo też, o tak weźniemy was — pokazywał Staszek, stojący obok bez koszuli, w porciętach podtrzymywanych sznurkiem, wrzynającym się w nagie ramiona.

Malinowska już dawno nie opuszczała łóżka. Nieznana choroba — mówiono, że sąsiad Biel rzucił na nią babry — skręcała poszczególne członki, tak że wkońcu wyschłe nogi spoczywały bez władzy, ręce skrzyżowane martwo na piersiach nie miały żadnej siły, tylko dwa zniekształcone palce niekiedy się poruszały poto, aby zgnieść powieki bezwolnie opadające. Ożywiona twarz i dźwięczny głos zaprzeczały temu, że ciało jest bezsilne. Malinowska tak często się śmiała, że ludzie nie mogli wyjść ze zdumienia, skąd w niej tyle wesołości.

W lecie wynoszono ją przed dom i choć przez kilka godzin z zachłannością wpatrywała się w nieograniczoną przestrzeń, stworzoną dla niej jednej. Natomiast przez zimowe miesiące miała nad sobą niską powałę, niby wieko trumny, a tylko okno okazywało drzewa przekreślające czarnemi gałęziami skrawek błękitu, najmiłszą pociechę zniesioną z wysokości. Wtedy ludziom zazdrościła, że mogą chodzić,

pracować i krzątać się koło tylu spraw. Teraz pragnęła wstać i stanąć obok syna, spojrzeć w urzekającą dal.

— Ledwo słonko zaczynało oczy otwierać ze snu i już zawarło — Alojz oznajmił to matce zawiedzionym głosem, patrząc na chmury, zwarcie posuwające się od zachodu i zagarniające coraz większe obszary.

— Będzie deszcz.

— Może śnieg — radośnie strzelił chłopak.

— Jak Bóg da, to będzie śnieg.

Ze skłębionych zwałów, przybierających fantastyczne kształty, wynurzały się zarysy gór i zaraz znikwały, aby za chwilę ukazać już bielejące zbocza.

Pierwsze krople zadźwiękły na szybach, jakby ktoś gwałtownie uderzył setką palców.

— W górach śnieg pierze, a haw dyszcz rosi. Żeby śnieg przyszedł do wsi, tobym, huha — Alojz sprężył się, wziął rozmach, odbił piętami od ławki, skoczył w środek izby i trzasnął śmiechem — tak samo będą ze skoczni.

— Co ty wydziwiasz? Jeszcze nogi połamiesz — skarciła go matka.

— Zrywa mnie do nart.

— Zbytkuj, zbytkuj i będzie południe. Kto rozpoli? a Władka ino-ino nie widać od roboty. Pódziesz głodny do szkoły? Przynieś ognia od dziadka.

— Nie przyniesę. Znowu mnie wyżeną pasem, nie chcę im podłazić pod pazdury. Mam krzesidło — wypadł do sieni ze śpiewką. Krzątał się żwawo, wkrótce wrócił z naręczem narąbanych drew. Ułożył szczyпки w małą stertę. Klęcząc przed otwartymi drzwiczkami, krzesał iskry w hubkę, uderzając krzymkiem. Wytrysnęły ruchliwe płomyki i zbiegły

z palców pod blachę. Zahuczały w czeluści, szumiąc ognistymi falami.

— Postaw garnek.

— Co, mam?

— Czego nie słuchasz? Mówię ci, niedojdo, wody nalej, bo garnek pęknie — kierowała Malinowska chłopcem. Wiele ją gniewało, to też gdyby mogła, to by mu wydarła naczynie z garści i sama zrobiła, co potrzeba. Wciąż się musiała hamować. — Przecie to dziecko, nie mam nijakiego wyrozumienia. Inne dzieci zbytkują, a on od maleńkości od roboty do roboty.

Alojza coś wciąż odrywało od pracy i kazało wybiec w pole, chwycić kogoś za bary, obalić na ziemię, albo wywinąć kilka kozłów, zatańcować, wywrzeszcząć rozpierającą go radość. Zawsze z tego powstawały awantury, o zakończeniu srodze żalosnem dla niego. Z nadmiaru uciechy porwał Staszka i wyrzucił go na klepisko.

— Biermy się za pasy.

— Dej mu spokój. Już cię złe ponosi — karciła go matka.

Porzucił brata i stanął w zuchwałej postawie.

— Czego Władka niema tyle czasu? Ja mam wszystko robić? Zawdy ja?

— Cicho. Przyjdzie Władek, to cię kijem przyuczy posłuszeństwa.

Coś chciał odpowiedzieć i zająknął się. Chwilę trwało milczenie.

Po drugiej stronie chałupy, przedzielonej wspólną sienią, należącej do ojca jej nieboszczyka męża, rozlegały się głosy, zwyczajnie jak to przy gospodarce.

Malinowska wiedziała, że stamtąd nie usłyszy nic dobrego. Starych mierziło, że na ich gospodarstwie

mieszka wdowa po synu, i wszystko czynili, aby ją stąd wygnać razem z dziećmi. Dość było kłótni i obrazy Boskiej.

Alojz po wybuchu krnąbrności odrazu się zmienił i popędzany pośpiechem, spełniał rozkazy matki. Musiał ugotować, posprzątać izbę, a potem zacząć naukę. Między jedną czynnością a drugą, w przelocie od kuchni na podwórze, rozłożył książkę na ławie i klecząc na glinianej podłodze, zaczął pisać zadanie. Ledwo nagryzmolił początek, rozległy się stapania. Mały Staszek przesadził izbę, rozwalił drzwi na oścież i wrzasnął, że Władek idzie. Krępy, rozrośnięty chłopak przestąpił próg zmęczonym krokiem. Miał twarz szeroką, piegami osypaną. Strzepnął z siebie plewy, pokruszone kłosa, paździerze i wydyszał.

— Młóćmy od rana. Pomogę wam i zaraz leczę. Swok mówili, że dadzą konia do Kiczny za odrobek.

— Najlepiej pojedziemy na nowiu. Już wytrzymać nie mogę, chciałabym jechać jak najprędzej. Tak mnie kości bolą od leżenia.

— Zaraz wam poprawię — wspiął się na łóżko, stojąc na rozkraczonych nogach, ujął matkę pod pachę i usiłował pociągnąć. — Nie mam nijakiej w sobie mocy.

— Z czegoż to? Czy to zjesz, czy się wyśpisz? Nie zaznasz spoczynku, ino zawdy to zrób, tamto zrób. Z postnego jedzenia nie urosną siły.

— Za dwa lata to was przeniesię jak piórko — zaśmiał się i uniósł nędzny szkielet. — Alojz, pomóż mi. Ściel. — Władek podtrzymał matkę, a młodszy śpiesznie poprawiał poślanie.

Tak byli zajęci, że nie zauważyli wejścia Bielowej, która od progu cisnęła „pochwalony“, hucznie i gło-

śno, z rozmachem zamiotła spodnicą pół izby, postawiła przyniesiony garnuszek na piecu i zawołała:

— Nie mordujcie się — mocnym ruchem ujęła Malinowską. — Trzeba było mnie zawołać, przecie bym pomogła. Nie na wasze siły taka robota.

— Dalibyśmy sami radę — rzucił Władek dumnie głową, zeskoczył z łóżka, chwycił czapkę, krótko rzekł — idę do roboty — i zniknął za drzwiami.

Najmłodszy Staszek uczesał matkę, zawiązał jej chusteczkę, pobiegł do skrzyni, wygrzebał ułamek lusterka i kazał się przeglądać, wykrzykując z podziwem.

— Ale wam ładnie w tej chusteczce.

— Dla dziecka matka zawsze ładna. Dziecko w matce nie widzi kalictwa — Malinowska, uszczęśliwiona słowami syna, uśmiechała się do sąsiady.

Alojz słuchał rozmowy, stojąc naboku. Bielowa machnęła ręką, jakby go chciała zmieść z tego miejsca.

— A ty co tu masz do roboty?

— Ja też ciekawy.

— Kijaś ciekawy? he? Chcesz, to zerknę ci dudy, że no! — chwyciła go za kark, jakby żywcem zdierała z niego skórę, siadła na krawędzi łóżka, zapaską otarła twarz i sapnęła żałośnie. — Lepiej wam na świecie niż mnie, macie choć dobre dzieci. A co moje życie warte przy takim mężu?

— Bogu dziękować, dobre są dzieci, ale co ja mam z Alojzem, to niech ręka Boska broni. A to zrobił, a to zepsuł, a tego zbił, aż uszy puchną od słuchania. Co z niego będzie?

— Wyrośnie, wyrośnie. Patrzcie. Jantek za dziecka był gałgan, a teraz zrobił się porządnym chłop. Woj-

tek był trąba, a jaki z niego teraz mądryjolek. Zawdy tak. A mój? Jaki był dobry za kawalirstwa, a potem co się z niego zrobiło? Z początku dobre, a potem cholerstwo. I na odwyrtkę.

— Jak wam wczoraj poszło na sądach z waszym?

— Ano przegrał już ostatni raz i nie ma prawa do domu, do pola, do nijakiej rzeczy. Na mnie przypadła gospodarka — przy tych słowach rozparła się szeroko, zatoczyła władczy ruchem po izbie. — Moje wszycko. Ale com upłakała, to ino jeden Pon Jezus wie. Wczoraj, kiej słuchałam, co sąsiady w sądzie mówiły, tom myślała, że serce mi popęka od żalu. Jak to mnie zaprzęgał do orania, jak mnie włóczył po ziemi, aż mi głowę odarł z włosów, ile to mnie ubił, ile z dziećmi głodem umorzył. Boże! Boże, wszycko powiedzieli jak na spowiedzi, a on z pięściami skakał do każdego i przed Panem Jezusem Ukrzyżowanym krzyczał: brat mój rodzony rozdarł życie małżeńskie. Ona winna, i on. Na kogo pódzie grzech i pomsta? Na nią, na matkę i na brata. Mnie, ojca z domu wyścigować, mnie, gospodarzowi, ostatni kawałek chleba wydzirać. Nie uwierzyli mu — za brakło jej głosu, siedziała, wspierając głowę na dłoni, i ostatkiem sił oddzierała z piersi swoją prawdę, na której wspomnienie się wzdrygała. — Zniszczył nas przez te procesy, trzeba kawałki sprzedąć na dług. Jak się tu dzwignąć?

— Biel idzie, o hańtędy — zawołał Staszek, stojący przy oknie.

— A żeby nogi połamał — stęknęła Bielowa.

— Skręcił z młaki, idzie zagonami, o stanął hań, klęczy i rękami o tak, o tak robi.

— Tak, tak, ja wiem, rozum mu się chyba psuje,

bo łązi po polu i beczy: ja cię nie opuszczę, bo ty mi jesteś droższa i lepsza, niżli ślubna, bo ty mi na zdradzie nie stoisz. Zrazu tom go żałowała, nieboraczek, mówię, dość się napracował na tych zagonach, dość. Teraz to go zemszczę, za moją krzywdę, za moje przepłakane lata. Jeszcze mu dzieci zapłacą za mnie, za wszystko rzetelnie zapłacą.

— Żeby nie było z tego nieszczęścia.

— Co ja zrobię? W nocy nie mogę spać, bo myślę: z siekierą wpadnie i wyzabija nas, ogień podrzuci i wypali.

— Jezu!

Przed przerażeniem oczami kobiet jawił się Biel ściskający w garści ogień i siekierę. Obydwie wyszeptały zgodnie.

— Taki on. Boże nas chroń.

— Co moje życie warce, jednego dnia spokojnego nie mam. Po wyroku w sądzie wykrzykiwał: zrobię ci tak samo jak Malinowskiej, pokręci cię i zgnijesz za żywa, ja mam djabelską moc. Przez całą drogę śmiał się do siebie, aż ludzie cierpli. Niczego się nie boi. Nic mu żona, dziecko, nic Pan Jezus, diabłu duszę zapisze, żeby dostać dużo gruntu. Na świecie ino grunt dla niego. Dość złego narobił i was skrzywdził też.

— Nie mam do niego żalu. Czasem to chcę, żeby przyszedł, na mnie popatrzeć, co narobił, do czego doszłam przez niego. Chybaby zapłakał nade mną. I on ma dość swego.

— Przysięga się, że nie na was rzucił czary, ino na brata.

— Na brata? — powtórzyła Malinowska ze zgrozą — Jezu.

BIBLIOTEKA

Państw. Liceum Pedagogicznego Żeńskiego

w SIEDLCACH

Nr inw. 3793

— Na brata. A wyście ino pirsza przestąpili.

— Tyle lat cirpię, a zawdy pamiętam tę chwilę. Kiej przeszłam wtedy przez próg, coś mnie zygło i przez nogę boleściwy promyczek przeleciał aż po biedra, odrazu kułam, bom nie zdołała ustać. Od tego się zaczęło. Com się najeżdżiła po doktorach i żaden nic nie pomógł. Czy tak będzie do śmierci?

— A nie pojedziecie do tego?... — Bielowa wpół urwała zdanie i zabobonnie podniosła palce do czoła, aby odżegnać zło.

— Chyba pojedą. Trza Boga wziąć do pomocy. Wicie, znowu mi się śnił, zawdy jednakuško. Calušką drogę widziałam we śnie, trafiłabym do niego bez niczyjej porady.

— Najlepiej dać na mszę i odegnać pokusę.

— Kiej mnie ciągnie, żeby jechać. Wczoraj z wieczora tak mnie bolało, że oka nie zmrużyłam. Potem wszystko się ściemrzyło i usnęłam. Ale jakże to usnęłam, kiedy wszystko widziałam. Dokądyś szłam. Patrzę. Jestem haw pierwszy raz, a wciąż zwiduje mi się, że już byłam dawniej. Nie, nie byłam. Idę, a nie mogę iść. Nogi mam połamane. O Jezu, to tak marnie umrę. Wołam: Władek, wołam: Alojz, wołam: Staszek. Pomóźcie. Niema przy mnie nikogo i Bogu się skarzę, że przed śmiercią chcę choć pożyć na dzieci. Widzę, a nie widzę. Ludzie przy mnie, ale nie żywe, ino takie mary. Aż przychodzi jakisi człowiek, wziął mnie lekuško na ręce, niesie do woza i kładzie na słomie. Gdzie mnie zawieziecie? On mi mówi: twój mąż mnie zna i przysłał mnie po ciebie, nikogo o nic nie pytaj, nikt cię tam nie zawiezie, ino ja, bo wiem, gdzie. Jedzie, jedzie, końca nie widać. Pamiętam każdy krzaczek, każdy kamyczek. Pociemkubym trafiła zaraz.

Pytam: daleko jeszcze? — Jak uwidzisz topolę przed dźwirzami, to hań staniemy.

— Popatrzcie, czy będzie topola przed dźwirzami — rzuciła Bielowa rozgorączkowanym głosem.

— Popatrzę. Zajechaliśmy na oborę. Nie było go w domu. Służebna poleciała go szukać. Zanieśli mnie do izby, położyli na ławce. Przyszedł, stanął i patrzy, a ja wołam: poratujcie mnie, odegnajcie ode mnie chorobę, na Pana Jezusa was proszę. Mówię, krzyczę, a nie słysząc głosu, ale on wszystko wiedział, bo widział moje kalietwo. Co pożry na mnie, to mi się robi lżej i po ciele rozlewa się zdrowie. Bierze mnie za rękę i prostuje, bierze za nogę i prostuje, a potem mówi ze śmiechem: skakaj, dziewucho, i sam śpiewa a przytupuje i wywija:

„Tańcowałbym, żebym móg,
Żebym nie miał krzywych nóg.
Ale krzywe nóżki mom,
Co poskoczę, to się gnom“.

Przy jego śpiewaniu roześmiałam się i skoczyłam na równe nogi, tyłem się naśpiewała, tyłem się natańcowała, że aż pot ciurkiem się lał ze mnie.

— Może to palec Boży. Jabym się bała jechać, bo to nieczyste siły.

— Jak mnie boli, tobym chciała umrzeć, ale kiedy na dzieci popatrzę, to zaraz mi weselej. Żebyście wiedzieli, jak cieszy życie. Co jabym dała za zdrowie. Pojadę, żeby choć zobaczyć, czy prawda. Bo jak nieprawda, to już nijakiej pomocy nie będzie dla mnie.

— A poznalibyście go?

— Cobym nie poznała, kiedy wciąż go widzę. Chłop z niego przystarni, rozrośnięty, krzepa w nim,

jakby świsnął człowieka, to Jezus Maryja. Ino w oczy pożyć trudno, tak palą czarnym ogniem. Może mnie wykuruje.

— Zjeżdżają do niego ludzie z dalekiego świata, mówią, że ma djabelską moc.

— Ej, żeby mi poradził na moją chorobę — westchnęła. — Ino nie mówcie nikomu, bo jakby się Biel dowiedział, to wszystko obróci na swoją stronę.

— Gdziebym powiedziała. Jezu — Bielowa zakłęła się świętem słowem.

Ałojz dzisiaj nijak nie mógł się uporać z pisaniem. Urywki rozmowy wzniewały w nim popłoch i lęk. Opowieść pierwszy raz słyszana każdym ukształtowanym wyrazem patrzyła w synowską duszę. Widział Biela skradającego się z siekierą i wtedy zamierał ze zgrozy, to znów jawiło się widmo tajemniczego chłopca, spotkanego na drodze matki. Kiedy spojrzał w okno bite deszczem, przepieczonym płatami śniegu, wtedy widziane obrazy wicher porywał i rzucał w szarugę. Pochylony nad zeszytem, wodził piórem, ale kartki papieru wydawały mu się zaśniewionem zboczem, po którym mkną narty, litery zaś kępami krzaków wywianych z zasp.

— Ałojz, trza krowę napoić.

Na to czekał. Zaraz skoczył do sieni i stanął w progu, wystawiając ręce pod bryzgi wody jędrnej, tak miło chłuszczącej. Pragnął rozebrać się do naga, chlusnąć w ulewę, niech go biczuje tysiącem strug. Skokiem przebiegł podwórze, chwilę zabawił w stajni wśród chrzęstu słomy, szczęku łańcuchów i z powrotem wpadł do izby, ociekając wodą.

— Ale leje, — huha! — parsknął, tupnął z uciechy.

— Nie idź dzisiaj do szkoły. W taki czas.

— Bo to mi pierwszyczna? Jakto? Do szkoły nie iść? To się po mnie nie pokaże — włożył śpiesznie książkę do torby, nadział czapę, grzmotnął w przechodzie Staszka i zanim ten pojął, co się stało, już zniknął za drzwiami. Zawahał się, kiedy wiatr chlusił strumieniem w twarz. Jednym spojrzeniem zmierzył odległość, błotniste zbocze i wieś ledwo majaczącą w szarudze.

— Kawał drogi. Możeby nie iść? — Pokusa trwała krótko. Żal mu się zrobiło. Godziny w szkole to dla niego źródło wciąż nowych niespodzianek, uciechy, to jasna smuga opasująca szary dzień. Bez wahania rzucił się naprzód jakby w topiel. — Żebym się ino nie spóźnił.

Mokre płaty śniegu zaraz tajały po dotknięciu ziemi, gdzie nigdzie tylko strzępy bieleły na zrudziałej trawie. Niebo, napęczniałe chmurami, rozpryskiwało się w wielkie krople deszczu, pluskające po kałużach, trzaskające po kamieniach. Drzewa stojące na miedzach, wiatrem szamotane, ociekały połyskliwymi strugami, jakby zalewane własnym płaczem. Wieża zagubiona w mgłach wybiła południe, zaraz we wszystkich stronach odezwały się dźwięczne echa, jakby otaczające góry dzwoniły całemu światu.

Alojz przeniknięty zimnem, skurczył się, wsuwając głowę w ubranie, później już nie zważał na deszcz zalewający twarz, ale pędem zbiegał przez chlupoczące błoto. Żal mu było książek, że zmokną, to też zgrzebną torbę ukrył pod cuhą.

Drogę zagroził potok, wyrzucany z rozdartej skały; wezbrany ulewą, spadał buntowniczo po stromej ścianie, burząc się, kłębiąc, tworzył brudne ka-

skady i uwięziony w swym łożysku, związał się w skręty, wiry pomiędzy napotykanymi głazami. Chłopak zwinnie przeskakiwał z kamienia na kamień, a za każdym razem fale oblewały stopy. Po przejściu rzeczki dosięgnął pierwszych domów rozrzuconych po uboczu. Bryły błota lepiły się do kierpców, że ledwo dźwigał ich ciężar. Wielkimi, zwycięskimi krokami maszerował do dalekiej szkoły, przez kałuże, przez wiatr, przez szarugę, nie czując zimna, ani zmęczenia, nie skarżąc się na dziurawe portki i chodaki. Mocny, krzepki, uparty, codziennie dążył do swego celu. Kiedy stanął na ganku, przeraziła go cisza wiejąca z mrocznej sieni.

— Już po dzwonku.

Poza ścianami szemrały stłumione głosy zaczętej nauki. Opodał w ostatniej klasie głos jakby kij trzaskający. „Cicho, bałwanie“, „do kąta“, „ja was nauczę, że popamiętacie ruski miesiąc“.

— Znowu się pani będzie gniewała, zem się spóźnił. Co ja winien? Zawdy tak.

Coś go zatrzymało. Zaraz rozlała się kałuża w miejscu, gdzie stał. Jeszcze raz spojrzął poza wieś w przestrzeń zadeszczonego dnia. Chmury straciły swą barwę i ociążałość, stały się puszyste, popękały w wielu miejscach i rozniesione podmuchami, utworzyły wyrwy, pomiędzy którymi ukazały się kawały błękitu, zapowiadające pogodę, zabielały szczyty, a wśród lasów polany, oświecone niewidzialnem jeszcze słońcem.

Alojz wypełniony radością czegoś najmilszego, tak długo wyczekiwanego, uśmiechał się do ośnieżonych przestworów. Z trudem odwrócił się od tego wi-

doku, mając oczy pełne bieli i światła. Kroki śpieszące do klasy rozległy się w ciszy jak sygnały.

Na ścianie, pod którą stał, został odbity kształt przemoczonych łachów, wizerunek chłopca, jego plecy, ręce, nogi. To już nie żyjący Alojz Malinowski, ale znikomy cień jego obecności, wciąż jeszcze wpatrzony w dalekie polany, w szczyty, bielejące wśród opustoszałych buków i wiecznie zielonych smreków.

II.

Głowy pochylone nad książkami podniosły się na skrzyp otwieranych drzwi i z kilku miejsc wytrysło oskarżenie.

— Proszę pani, Alojz się spóźnił.

Nauczycielka, smukła, ruchliwa, ubrana w jasne barwy, jakby chciała być okrzykiem wesela w klasie, stojąc przy środkowej ławce z zeszytem, odwróciła się ku Alojzowi. W tym ruchu potrząsnęła jasną czupryną tak gwałtownie, że wzburzone włosy podobne były do płomienia buntowniczo wybuchającego. Po niebieskich, wyrazistych oczach przebiegło spojrzenie sypiące iskrami, prześwietlając szarą, szczupłą twarz jakby blaskiem, którym płonęła. Słowa były też przepalone. Widocznie była przejęta tem, o czem mówiła. Kiedy stanęła zwrócona ku wchodzącemu, piersi, spięte bluzką, rozsadzały jędrnym kształtem ciasne więzienie. Lubiła tego urwisa, mówiąc poprostu, miała do niego słabość, mimo że wciąż musiała z nim walczyć i karcić go. Pragnęła być surową, jednakże każdy mógł zauważyć przytający, z trudem ukrywany, uśmiech, wesoło drżący w kącikach warg i kłócący się z jej głosem.

— No, któżby inny? zawsze ty.

Alojz, nie zwracając uwagi na skarżących, złożył czapę na podłodze, klęknął na stopniu i przeżegnał się szerokim ruchem.

W klasie szemrał gwar lotnemi skrzydłami. Przed dziećmi leżały książki upstrzone literami, jakby czarnym potem ściekającym z utrudzonych godzin. Ławki, przepołowione wolną przestrzenią, biegły szeregi, jakby równo poskładanemi skibami, z których wyrastają głowy. Po jednej stronie chłopcy w kozuchach, zwleczonych z pleców ojca, wełnianych cuhach, to w połatanych, rozchełstanych kapocinach, ukazujących nagie ciało. Po drugiej stronie połatane kaftaniki, wytarte serdaki, chusteczki rozmaitego koloru, to ciemne, to jasne włosy potrząsające warkoczem splecionym wstążeczką. Twarze, niemal wszystkie jednako blade, miały bardzo różnoraki wyraz, ujawniający odrębną duszę. Mimo otwartych narozcień okien wisało powietrze przesycone wyziewami, przyniesionemi z izb góralskich, nieprzewietrzanych przez miesiące.

Alojz prędko przebiegał wargami, aby przetrześcić pacierz i iść na swoje miejsce, równocześnie śmigał groźnie oczami po podniesionych palcach i oskarżających go okrzykach.

— Antolik z brzyzka, Jasiek ze starej drogi, Marysia z za wody, ehe i Wojtek Pyrsiocek — w myślach spieścił to imię, gotując najsroższą zemstę — poczkajta, dam ja wam — ominął szeregi i w ciżbie znalazł oczy niebieskie, w niego wpatrzone.

— Hanka Tomalanka — westchnął, o mało nie buchnął radosnym krzykiem, zaraz jednak spuścił powieki, bo zdał sobie sprawę, że zgrzeszył myślą.

Mimo wszystko jeszcze raz ukradkiem, aby swoją pobożną czujność oszukać, spojrzął ku dziewczynie siedzącej w trzeciej ławce, która teraz nieznacznie się wychyliła i ręką uspokajała go, aby nic, ale to nic się nie bał, bo pani dzisiaj dobra. Alojz zrozumiał znaki, nabrał odwagi i uśmiechnął się wszystkimi słowami pacierza.

— Hanyś.

Zrobił pośpiesznie krzyż i chrobocząc kierpcami, ruszył z czapą pod pachą. W przejściu nauczycielka zapytała głosem nakazującym prawdę:

— Dlaczego znowu się spóźniłeś?

— Bo jemu ino zbytki w głowie, nie nauka — Marysia Bobcula mściła się za wyrządzone jej przykrości.

— Nieprawda, Alojz rad do szkoły chodzi — To-malanka zaprzeczyła zbyt porywczo i gorąco, a kiedy to sobie uprzytomniła, spłoneęła, pochyliła się, jakby zapadała coraz głębiej w gorejącą przepaść, i ukryta poza koleżankami, nie śmiała już wyrzec słowa.

— Wierzę ci, bo mieszkasz niedaleko jego domu — z uśmiechem ledwo widocznym przypatrzyła się dziewczynie i nie chcąc jej onieśmielać, już nie spuszczała wzroku z Alojza. — Dlaczego się spóźniasz tak często?

— Mam daleko, o z hańtego wierchu — wskazał ręką widniejący szczyt.

Miał wyjawić prawdę, że musi gotować, sprzątać, że nieraz kości nie czuje od dźwigania drzewa, wody, ale coś zmiotło z warg potrzebne wyrazy.

— Trzeba wcześniej wychodzić z domu.

— Żebyśmy najraniej wyszedł, to zawsze tak.

— Daruję ci ostatni raz. Jeżeli się kiedy spóźnisz,

to za karę postawię cię w kącie. Pomyśl, co za wstyd! Nie chcę myśleć nawet o tem.

— Już się nie spóźnię — rzekł dobitnie, aby jego przyrzeczenie nie ulegało żadnej wątpliwości.

Ławka Alojza niczem nie różniła się od innych. Wierzchnie deski pokrajane kozikami tworzyły tajemniczy epos pokoleń, które tędy przeszły i utwaliły swój pobyt choć w zacięciach, szramach, literach i znakach.

Pod oknem w małym akwarjum rybki złotemi ciosami przeszywały przezroczystą toń i ginęły w zieleni wodorostów. W całej klasie pełno było niespodzianek rozweselających oczy. Ściany opowiadały obrazkami o tem, czego uczono. Ustępy z podręczników przeistaczały się w barwną ilustrację.

Poza oknami na gałęziach, niemal wchodzących do wnętrza, wisiały skrzynki trzepocące skrzydłami i dzwoniące świergotaniem. Sikorki owijały przelotami korony drzew w ogrodzie, gubiąc świsty w powietrzu. Szczygły przenosiły płomyki, jakby chciały je podrzucić pod domy. Kowaliki stukały, coś niezmordowanie przybijając do kory. Wróble wszczywały zgiełk, nie znoszący sprzeciwów, i dziesiątkami dzióbów, nigdy nie sytych, beczelnie dopominały się o jedzenie. W klasie panował taki sam gwar, złożony z tylu głosów, ilu uczniów. Krzyżowały się pytania i odpowiedzi. Godzina szemrała każdą minutą, huczała niespokojnym a tak twórczym hałasem.

Nauczycielka umiała panować w sposób mistrzowski nad życiem rozhukanej zgrai, zbuntowanej, nie uznającej rozkazów. Miała wciąż napiętą uwagę, aby widzieć najdrobniejsze zdarzenie, słyszeć głosy, wynowę ławek i ścian. Po wejściu Alojza śledziła zacho-

wanie się Józi Kubalanki, zawsze obłudnie grzecznej, spuszczałającej skromnie oczy, przypochlebiającej się i nadskakującej, aby ją wyróżnić i pochwalić. Nauczycielka dostrzegła ruch i błysk zwycięskiego spojrzenia. Zanim zdała sobie sprawę z tego, dziewczyna zerwała się z miejsca.

— Zośka ukradła mi pióro.

— Ja nie wzienam, nikomu nic nie bierę, bo tata, bo tata — zająknęła się, zalana łzami.

— Ona zawdy zabiera mi, a potem beczy.

Zaraz powstały dwa obozy krzyczące tak i inaczej. Wszystkie głosy były prawdą i szczerością. Ten hałas obrony i oskarżeń, mogący być źródłem nowych kłótni, zakończonych na pauzie bitką, nauczycielka przecięła stanowczym osądem.

— Widziałam, że podrzuciłaś jej swoje pióro. Przyniesiesz od ojca kartkę, aby wiedział, jak brzydko postępujesz z koleżanką.

W drobnych zdarzeniach uzewnętrzniały się różnorakie usposobienia i nastroje, można rzec — ucieleśniało się życie. Nauczycielka znała uczniów nietylko z imienia, nietylko z tego, jak się uczą, ale od wnętrza. Patrzyła w głębie ich dusz, tak niezbadanych, tak bogatych, jak przez przezroczysty strumień wody na dno, i widziała zalety i wady. Wielką wrozumiałość miała dla ich błędów, boć wiedziała, że korzeniami wrosli w ciemnotę, że trzeba tamtą glebę usunąć, aby stworzyć nowe życie. Usiłowała ukształtować ich duszę z gliny, która miała nieraz twardość kamienia ubitego potężną siłą przesądów i wierzeń. Szczególniejszą opieką otaczała dzieci wyróżniające się, pielęgnowała ich odrębności, radowała się wyższością. Nie używała grózb ani kar cielesnych. Nie rozkazem,

ale treścią, mocą zapału zmuszała do uwagi i stapiała jednostki nieraz niesforne w czułe narzędzie. Nie dziwiła się, że najzdolniejsze nieraz dzieci przechodzą okresy zastoju, zniechęcenia, załamania, nie leczyła ich kijem, wiedziała bowiem, że po pewnym czasie wrócą do dawnego stanu. Słuchając odpowiedzi chłopskich dzieci, podziwiała ścisłość oka, chwytającego z dokładnością wszelkie zjawiska przyrody, bogactwo spostrzeżeń, barwność i obrazowość wyrażen, znających mowę ziemi, nieba, samodzielność zdobywaną w tak ciężkich warunkach w polu, na pastwisku. W czasie nauki tak często widziała izby, nędzę graniczącą z głodem, bosc nogi zbite na kamieniach, przez długie dni lata, aż do późnej jesieni uganiające za krowami. Każda ich godzina zosobna, każdy strzęp ubrania, każde spojrzenie były targającą opowieścią. Wszyscy niemal w zimie mogli pozostać w domu, ale oni codziennie wędrowali z wierchów przez deszcz, kurniawy, mrozy lo szkoły, darzącej ich czemś, czego nie można pługiem wyorać ani pieniądzem zapłacić.

I teraz nauczycielka raz za razem myślał wybiegała we wieś. Zrywał się jej głos. W połowie zdania zamilkła. Na korytarzu ktoś wszczął awanturę. Słowa posypały się do klasy.

— Za co bić? Jak pani będzie miała swoje dzieci, to może bić i wymyślać. Na moje dziecko: cham, gnojorz, byk? Ja ci dam bić. Ja tak swego dziecka nie przezywam, choć mu daję jeść, choćem prosta baba, a tyś pani uczona. Moje dziecko bić, takie dziecko. Ja swoje dzieci na samych bułkach chowam, wiesz pani?

Słychać było szamotanie. Ktoś usiłował wyrzucić kobietę.

— Wynosić się, na policję dam znać. Cicho.

— Co mam być cicho. Nikt nie ma mi do rozkazywania. Mnie wyrzucać? Mnie? Niedoczekanie twoje. Widzieliśta, ona mnie „ty“. Tak dawniej bywało, teraz są inne czasy. Taka, psiakrew, miastowa na mnie „ty“. Wara ci. Co mnie ciągniecie i wypychacie. Ja sama pójdę.

W klasie taka się rozpostarła cisza, że słyhać było, jak Glasberg przewrócił kartkę i sam tem przeżony zastygł. Nauczycielka usiłowała zagłuszyć kłótnię, opowiadając o czemś głośno. Nic nie pomogło. Dzieci nadstawiały uszu ku tamtym słowom i nagle zaśmiało się kilkoro.

— Matka Hani telo piekłuje o Jaśka, bo wczoraj pani z hańtej klasy go wybiła.

Wskazana dziewczyna nagle zasłoniła twarz i zaszczołała.

Na korytarzu szamotanie, gwałtowne kroki i trzask drzewi.

— Już ją wycieпали na dwór.

Baba wrzeszczała na ulicy, do wszystkich okien.

— Będę wiedziała, gdzie z tem póść, w gazyty puszcę. Nie daruję, żebym miała pół gospodarki stracić, nie daruję. Na swoim postawię. Stać mnie na to. Poczekoj, popamiętasz mnie. Moje dziecko przeżywać. To nie dawne czasy, żebyś mogła chamować. Nasz chlib jesz i jeszcze na naszą łyżkę plujesz.

Niedługo potem dzwonek oznajmił koniec godziny. Klasy odrazu wybuchnęły hałasem, zatupały setkami butów na korytarzu, potem na podwórzu.

W swobodnej wrzawie ujawniała się radość dzieciństwa. Po paru minutach głos zwiastujący koniec paury powitano takim wrzaskiem, aż spłoszone chmu-

ry popędziły na zbity łeb, aby być jak najdalej od tego miejsca.

Godzina jeszcze się nie zaczęła. Nauczyciele, stojąc na ganku, żywo omawiali ostatnie zajęcia. Uczniowie, pozostawieni bez opieki, zmienili klasę w oszalały żywioł. Nie brał udziału w awanturach Alojz, który z głową podpartą wpatrywał się, z zachwytem wcale nie chłopięcym, w dziewczynę siedzącą w trzeciej ławce. Jego oczy wykazywały tajemnicę.

— Hanuś, żebyś wiedziała, jakaś ty ładna... Ja bym na ciebie patrzył i patrzył i nigdyby mi się nie uprzykrzyło.

Z warg dziewczyny przeleciał jakiś wyraz. Oczy wymieniały spojrzenia, usta uśmiechy.

Czasem Hanusia przynosiła jabłko, kromkę chleba i dzieliła: tobie pół, mnie pół, patrz, równo. Zawsze chciał się przed nią czemś popisać, aby go pochwaliła. Na wiosnę razem paśli. Alojz nie pozwalał jej krokiem się ruszyć, sam uganiał po pastwisku, nawracał krowę. Czasem przynosił naręcza kwiatów z polany.

Teraz tak byli zaprzątnięci sobą, że nie słyszeli wejścia nauczycielki powitanej okrzykiem.

— Alojz zalico się do Hanki.

Malinowski zerwał się, zrobił krok i zawstydzony stanął w przejściu. Czerwień aż piekąca powlokła twarz i spalała głos. Niełatwo mu było przemówić. Przestępował z nogi na nogę, splatał i rozplatał palce. W oczach jeszcze pozostały spojrzenia, nieczemnie zgaszone wyrazy uwielbienia i miłości.

— Idź na miejsce — nauczycielka krótko rzekła, nie zważając na dalsze okrzyki, przechodziła pomiędzy ławkami i przeglądała zeszyty.

Następnie miano czytać ustęp o kuźni. Pytała, czy może ktoś opowiedzieć. Zaraz zrywały się wołania: ja! ja!

— Ten nam opowie, kto siedzi spokojnie.

— Jasiek kowalów.

Szurnięcie było odpowiedzią. Wszyscy zastygli z rękami złożonymi na piersiach.

— No, Jasiu.

Wezwany trzasnął piętami i zaczął wygłaszać odpowiedź, barwnie opisując narzędzia, kowalskimi ruchami pokazując czynności. W drobną dłoń ujmował wspomnienie młotka i ciął z rozmachem. Słowa miały tężność, siłę, łoskot żelaza i buchały żarem. Zrazu wszyscy słuchali z przejęciem, wkrótce zaczęli się nudzić. Ktoś ziewnął.

— Róbmy co innego.

— Zaśpiewamy.

W jednej chwili pieśń załomotała melodją. Wesołe słowa fikały koziołki w powietrzu, wzlatywały w niebo, aby huczeć między obłokami i lecieć przez białe góry, przez błękitne doliny. Potem nagle z tupotem siedli, haha! — wciąż zanosząc się śmiechem, wciąż trzaskając obcasami.

— Jeżeli będziecie siedzieli tak cicho, abym się zlekła, że niema nikogo w klasie, to opowiem wam bajkę.

— Ale taką długą, o taką — rozpościerali ramiona — nie, dłuższą, taką jak do domu, albo jak stąd do nieba. Będziemy słuchać, słuchać, aż nam brody o — takie! urosną.

Podskoczyli i opadli na ławki. Jeszcze któryś chłopak zdzielił drugiego w bok, jeszcze któraś dziewczyna pochyliła się ku sąsiadce, aby coś rzec,

ale głosy zmieniły się w szept, a szept przechodził w ciszę. Zastygli z oczami wbitemi w nauczycielkę.

— Opowiem wam, ale pod warunkiem, że później dokładnie to samo powtórzycie.

— Zrobimy przedstawienie.

— Świetnie.

Nauczycielka, nawiązując do ustępu o kuźni, zaczęła bajkę o królownie zimie, która mieszkała daleko na północy w pałacu z lodu tak czyściutkiego, że kiedy słońce zaświeciło, to wszystko można było zobaczyć przez jego przezroczyste tafle. Żebyście wiedzieli, jakie były z lodu lampy. Cudowne.

— Lampy z lodu? Toby się roztopiły — ktoś powątpiewał.

— Królowna musiała się postarać o takie światło, któreby nie stopiło kryształów.

— To nieprawda.

— Głupis! — zawołał Antek z brzegu — to przecież bajka, musi być nieprawda, a ino ma być ładnie.

— Ptaki obsiadły pałac z lodu, drzewa z lodu i zaczęły ćwierkać, aby królowna pojechała z niemi. Królowna siadła do karety z lodu i wiecie, kogo każała zaprząć?

— Wiatr.

— Tak. Wiatr miał białe skrzydła i tak mocno bił, aż huczało, aż ziemia dudniała.

Nauczycielka, opisując zimę, powiodła dzieci do miasta, na wieś, okazując obrazy w izbach i na bruku. Bajkę zaczerpniętą z książki przeistoczyła, dostosowała do życia i dała opowieść tętniącą prawdą.

— Chcielibyście, aby już śnieg spadł? — zapytała po skończeniu opowiadania.

— Nie! nie! — większość zagłuszyła głosy „tak“.

— A dlaczego nie chcecie?

— Bo zimno! bo nie mamy się w co obuć.

Nauczycielka wzrokiem przebiegła po twarzach, po ubraniach i dusząc w sobie wzruszenie, poleciła Alojzowi ująć przodownictwo w inscenizacji. Ten z miejsca wyznaczył role, ci będą kwiatami, ci ptakami, ten wichrem, tamten wicherkiem, ona śnieżynką. Z gazet, z barwnych papierów wyjętych z szafy przez nauczycielkę porobili korony, czapki.

— Przy przedstawieniu wszystko musi być inaczej.

Dziewczyny rozplatały warkoczyki, wzrokiem prosiły, aby je wybrał na królową zimę. Alojz długo się namyślał, już dawno postanowił, ale nie śmiał wymówić tego imienia. Nauczycielka zrozumiała rozterkę chłopca, ujęła za rękę zawstydzoną, w kąt wciśniętą i wyprowadziła naprzód.

— Hania będzie królową, gdyż ma długie, jasne włosy.

Grzędy kwiatów stały naboku, drzewa wystrzelały ramionami w górę, ptaki trzepotały, wydając ćwierkania i świergoty. Najpierw mrozik obiegił ławki i dmuchał na kwiaty i trawy.

— Nic im się nie stało — zawołał Alojz — źle grać. Musicie głowy pospuszczać, o tak.

Za chwilę ptaki z tupaniem uciekły przed zimą do ciepłych krajów. Wicherek przecwałował, poruszając skrzydłami. Za nim wypadł wicher, zajęczał przeciągle i hucząc, pognął dookoła. Wjazd królowy powitano takim wrzaskiem, takim tupotem, że za-trzęsły się ściany.

— Co wy wyprawiacie? — nauczycielka zaty-

kała uszy, usiłując przekrzywić burzę. — Na dole się ucza, przeszkadzacie im.

— My jesteśmy wielkim wiatrem, to tak musi być, żeby się ludzie dziwili.

— Zawalicie dom.

— Ha! ha!

Już słyszeli trzask łamanej podłogi, już widzieli siebie koziółkujących wśród desek, ławek, gruzów. Ten widok tak ich ubawił, że jeszcze głośniejszy tupot nóg, jeszcze bardziej wściekły napad hałasu był odpowiedzią na upomnienie. Po wyczerpaniu krzyku rozwijało się widowisko spokojnie. Wtedy w korytarzu rozległ się stukot, jakby ktoś uderzał jednostajnie cepem. Nauczycielka sama otworzyła drzwi i ze zdumieniem patrzyła na obcego człowieka, wspartego na kiju, trzymającego koszyk. Ów przybysz zaczął mówić wzruszonym głosem.

— Już dawno się wybierałem, ale ciężko mi chodzić — wysunął drewnianą nogę, okręconą nogawicą, związaną sznurkiem. — Daleko z gór. Dzisiaj jadę z miasta, tom po drodze wstąpił, żeby pani podziękować.

— A za cóż to u Boga Ojca? — zaśmiała się.

— Za Hanię.

— To wyście ojcem Tomalanki?

— Ja. Znam panią od Hani, bo mi wszystko opowiada, co w szkole. Dawniej inaczej nas uczyli, całkiem inaczej. Bili, Jezu! tak bili. Za co bądź tak mnie nauczyciel skatował, aż skórę poprzecinał. Jeszcze dzisiaj czuję po plecach, po głowie, po rękach. Żeby on wiedział, jak to boli, nieraz do grobowej deski. Zaganiali nas krzykiem, biciem do szkoły i tak nie można było przymusić. Książki pod miedzę, albo pod

okap i hajda w las. Nie dziwota, strach zbierał. Dawniejsze dzieci zemściły naukę, a teraz od książki nie można ich oderwać, ani utrzymać w domu. Wesołość ich ciągnie do szkoły, bo tu zatańcują, zabawią się, a powiem wam, że dzisiejsze dzieci więcej umia, niż za moich czasów, lepiej czytają, ładniej piszą, nie są takie dzikie, a we wszystkim są grzeczniejsze. Inne są. Patrzę na moje i widzę, że to nie zabawa, nie, ino taka nauka z wesołością. Nauczyciele z dobrocią szufłują do głowy i do serca wszystko, co najlepsze. Szczęśliwe dzieci, żeby ino nie były głodne i bose.

— Wiem, źle... a mimo wszystko taka ochota do nauki.

— Jest ochota, ale nieraz to się chce płakać nad niemi. Mówimy, że ludzie na wsi maszczą sobie zębami jedzenie. Trudno byłoby żyć, ino się spodziewamy, że może się w innem też odmieni na lepsze, jak się odmieniło w szkole. Nie wiem, jak pani podziękować — ujął jej drobną dłoń i ukrył z tkliwością w zgrubiałych od pracy garściach.

— To ja wam dziękuję za dobre słowa. Dla mnie to najpiękniejsza zapłata i radość — wtedy wzrok nauczycielki spoczął na koszyku, w którym leżał tajemniczy sprzęt ze skóry, pasków i niklowego okucia.

— Patrzą się pani na to? Nie wiecie, do czego to służy? — Tomala zaśmiał się serdecznie. — To moja nowa noga. Komiśna.

— Jako wasza?

— Ano tak. Prawdziwą to mi we wojnie urwało, o potąd — ciął krawędzią dłoni niżej pachy — ino raz kwiknąłem, już było po niej. Tę roboczą wyfascowałem dzisiaj z wojska. Dostanę jeszcze jedną, świętą z wyglancowanym butem. Ale w takiej na wsi

dużo się nie nachodzi. Za ciężka. Co innego w mieście, spacerkiem się przejdzie po ulicy, poskrzypi sprężynami i tyle. Mnie trzeba w polu robić, za pługiem pokuśtykać, za bydłem iść, zwyczajnie jak na gospodarce. Jak tu dźwigać taki ciężar? — mówił żartobliwie, pogodnie, jakby z siebie pokpiwał.

— Za tamtą nogę zapłacili wam tą — nauczycielka hamowała wzruszenie.

— Dużo trzebaby o tem opowiadać. Zajrzę kiedy do pani, to opowiem i o książki poproszę, bo te, co są we wsi, to już z dziesięć razy przeczytałem, swoje też mam, co mogę, dokupuję.

— Bardzo proszę, przyjdźcie.

— Mówi pani — Tomala jakby sobie coś teraz dopiero przypomniał i onieśmielony nie mógł wymówić — że mi zapłacili drewnianą nogą. Tem i jeszcze czem innem. A choćby tem, że nasze dzieci mogą być takie...

— Zawsze powtarzam — głos nauczycielki zerwał się w gardle — nowa Polska rodzi się na rękach tych dzieci.

— O widzi pani. Tak, tak — z chłopięcą radością powtórzył prawdę tak nagle objawioną. — O tośmy się poniewierali na cudzych i swoich frontach, tyleśmy krwi rozlali, o to nam nogi urywało. Na to, widzi pani, na to. Czy jeszcze za mało? Z pazurów tego nie dać sobie wydrzeć — ręka zacisnęła się w pięść, jakby wszystkimi palcami coś wiązała na moc.

Harda radość i tęga moc waliła od chłopca, postukającego drewnianą nogą. Słowa spadały na podłogę jędrne, krzepkie, zapalne, jak bukowe drzazgi od pniaka z pod siekiery, aby rozgorzeć ogniem i płonąć w tej ubogiej polskiej szkole.

III.

Śnieg sypał z nieba, obieleł zrudziałe jesienią pola, pienieł się w brózdach, zagłębieniach. Kiedy wiatr powiał, strącał płaty z gałęzi i rozpraszał pył. Krótkotrwała zapowiedź wczesnej zimy była źródłem tysięcy zabaw i wzbudziła śnieżną radość.

Gromady wypadły z zatęchłych izb, tarzały się po miękkiej pościeli, lepiły kule latające po powietrzu, pełnem wrzawy.

W brudnych oknach widać było wychudzone twarze, oczy tęsknie patrzące na ubielony świat. Niektóre dzieci w koszulinach oparły czoła o szyby i coś łykały, a od czasu do czasu po zsiniałych wargach wionął uśmiech, znak, że w duszy zagościło żywsze wzruszenie.

Alojz wybiegł przez sień, zapelnioną dzisiejszą zawieją, w przepaść cudownego dnia, krzychał ku uwięzionym, aby szły bawić się razem z nim. Wiedział, że nie pójda, bo ojciec zerznąłby skórę. Istotnie, tylko ojcowski pas mógł być przeszkodą. Brak butów? ubrania? Furda! Co tam podarte porcięta, co tam dziurawe chodaki, kiedy każdy miał tyle uciechy na widok zimy zlatującej z nieba na ziemię. Alojz gnał przez pola i wołał najszczęśliwsze słowo: śnieg! śnieg! Gromadził się w nim śnieżny żywioł, rodzący nadzieję, że jutro przywiąże narty. Razem z innymi potoczył kulę po zboczy, bryły znosił, aby utworzyć postać ludzką. Śmiał się, rzeźbiąc twarz. Nasadził garnek.

— Ale ma kapelusz.

Kazał przynieść węgli, wetknął pod czołem.

— Ma oczy, teraz niech fajkę pali.

Ktoś grzmotnął w bałwana. Alojz zasłonił go sobą.

— Nie ciskajcie, bo go boli.

— Takiego ze śniega boli? Głupis!

— Pan Bóg ulepił z gliny, technął ducha i urodził się człowiek.

— Pan Bóg, a nie ty, głuptoku.

Alojz zniechęcony porzucił zaczęte dzieło i zaraz zapominając o niem, opodał hałasował, bo nowa myśl się zrodziła, powitana ogólnym krzykiem.

— Skocznia.

Wybrali odpowiednie miejsce. Zmierzyli wzrokiem oddalenie. W sam raz. Rozbieg, odskok, wolna przestrzeń do zjazdu. Trzeba było nieco wyrównać teren, zasypać doły, usunąć przeszkody, zarośla, to znów gdzie indziej spiętrzyć kamieniami. Z pośpiechem znosili, przenosili skalne bryły, kawałki drzewa. Zjednoczył ich wspólny cel. Nie trzeba było nikogo popędzać, wystarczała świadomość, że to dla ich użytku. Alojz kierował robotą, przewodził gromadzie i sam pracował za dziesięciu. Czasem stawał na wzniesieniu.

— Jak się rozmachnę, to do hańtego krzaczka skoczę — w wyprężonem ciele czuł moc, pęd, wspomnienie zeszłorocznych skoków i biegów. — Ale to będzie huha! — wyrzucał z piersi krzepki głos, wyraz uszczęśliwienia. — Żeby się doczekać śniega — widział siebie pędzącego przez obszary, przez słoneczną zawieję, a chlastał go powiew mrozu, od którego twarz płonie tak błogo. — Teraz pójdę na prawdziwą skocznię.

— Dadzą ci to?

— Coby nie mieli dać?

Wszyscy wpatrzyli się w zarysy tamtej skoczni, słabo widniejącej woddali i uśmiechali się do niej, jak do najserdeczniejszego przyjaciela. Wspominali dotychczasowe zawody, wymieniali nazwiska zawodników, długość skoków, opisywali sprzęt, barwy klubów. W ich słowach był podziw, rozgniony zazdrością.

— Żebym ja tak samo.

Alojz wołał do opowiadających.

— Na naszej się nauczę, a potem pójdę na tamtą.

— Z takiej wysoczyzny skakać? Można się zabić.

— Niczego się nie boję. Muszę zostać mistrzem, żeby pisali o mnie w gazety.

— Będziesz skakał, ale łyżką po misce. Jużes próbował, wywijało tobą jak wróblem i gębą zaorałeś całą połąć.

Alojz nie dosłyszał docinków; zaprzątnięty własnymi myślami, kipiąc uciechą, opowiadał, jak to zeszłej zimy przywiązał do kierpców dwie deski, pognął w góry, wyrznął o ziemię, że nie mógł kości pozbierać. Ale to nic. Nawet się matce nie przyznał, bo by mu kazała siedzieć w izbie. Żeby go uwiązali na łańcuchu, to ucieknie. Przygody na śniegu były źródłem najpyszniejszej zabawy. Teraz już ma narty „odpowiednie“ z jaworowej deski. Zmajstrował w lecie z pomocą Franka Hurkały. Takich nikt nie ma, nikt w całej wsi. Codziennie je oglądał, nie mogąc się nacieszyć ich kształtem, ich ładnością. Nieraz w nocy wstawał, aby spojrzeć, czy śnieg pada. Wciąż widział szarą ziemię. Aż dzisiaj Pan Jezus się zlitował i wysłuchał. Niech co chce będzie, nie pójdzie do szkoły.

— Pokaż narty — rzucił chytrze Szczepiek Pacukulin.

Alojz popędził do kryjówki, z pod okapu wyciągnął swój skarb, otarł sianem i niósł ku chłopcom, którzy wybiegli naprzeciw i z podziwem oglądali wystrugane deski. Któryś pogardliwie mruknął na widok wiązania z drutów i sznurków.

— Ladace.

— Co tam wiązanie, żeby ino jeździć.

Szczepek nabrał tchu i chrząknął dumnie.

— Będę miał skokówki.

— Ty? skokówki?

Już nikt nie zważał na narty Alojza. Ktoby patrzył na takie dechy. Na ławce jeździć to samo. Malinowskiego zabolęły drwiny. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Stał pognębiony i upokorzony, przekładając z ręki do ręki wzgardzone cudo. Nadrabiał miłą, ale czuł, że naraził się na śmieszność wobec tyłu towarzyszy. Wydarł im.

— To nie patrz, nie kazuję ci. Sceptuś będzie miał skokówki, jak Briarka furnie do góry, o hań. Wiesz.

— Będę miał.

— Nie wiem skąd?

— Skąd wezmę, to wezmę, ale będę miał — długo szukał odpowiedniego słowa, aż wykrzyknął, ucieszony kłamstwem, mającem pognębić wroga — tata mi zrobią.

— A umią?

— Jak będą chcieli, to będą umieć, albo sobie kupię.

— Skąd nabierzesz tyle pieniędzy? Wiesz, ile kosztują?

— Ja nie taki dziad, jak ty.

— Kto dziad?

— Ty! kropiata żabo! — wrzasnął Szczepek, zawrócił i zmiatał co sił w nogach.

Gdzieby Alojz darował zniewagę i upokorzenie; pognał za uciekającym, zabiegł mu drogę. Stanęli naprzeciw sprężeni do walki, dwa koguty zadzierzyste, nieustępliwe.

— Ja ci dam.

Jednako się nienawidzili szczególnie za Hanię Tomalankę. Musieli wyrzucić zemstę. Przypadli do siebie. Starli się.

Kilku chłopaków pierzchnęło, zoddali śledząc bójkę, paru stało naboku, gotowi pośpieszyć z pomocą zwycięzcy. Judzili obydwóch do walki. Każdy z nich chciał być sędzią i obrońcą. Alojz sam sobie dawał radę. Po krótkiem szamotaniu cisnął przeciwnika na ziemię, aż huknęło, i już siedział na jego gnatach. Chwytał garścią pod grdykę, aby grzać. Podniósł rękę i wydyszał groźnie.

— Kto dziad?

Szczepek, widząc pałającą twarz, oczy mściwe, skrzywił pocieszenie paszczękę i beknął.

— Już nigdy, Alojzku, samo z gęby wyleciało, jo ino tak ze śpasów, puść mnie — skamlał, buczał skłamanym płaczem, łasił się, podlizywał. Mokre ślepia wypływały mu na wierzch.

Alojz poczuł pod kolanem tchórzliwy dygot i pomyślał z pogardą.

— Zdechlina, ani się bić nie umie, ino beczy i zaraz mu ciurko z oczów, taki z niego szczocho, a nie bitnik.

Gdyby Szczepek usiłował walczyć zębami, pazurami, chłopską zaciekłością, toby była uciecha. Ale

z takim mamlakiem? Nie honor. I opadła ręka podniesiona do ciosu.

— Wynoś się. Tyś dopiero dziad i maślak. Jeszcze cię nie tknął, a już się mażesz. Teraz ci daruję, ale jak jeszcze raz będziesz mnie przezywał, to...

Szczepek zerwał się z ziemi i zmiatał stąd. Kiedy był już na progu swego domu, podrzucił kapotę, wypiął portezęta.

— Tyle ci się boję. Tu mi pogadaj. Czekał, powiem Hance, ty dziadu.

Obydwaj jednakowo na siebie spojrzeli i ich oczy jeszcze raz spłonęły nienawiścią wcale nie dziecięcą, ale ludzką, mogącą uśmiercić.

Alojz rzucił się w pogoń. Zaraz przy płocie stanął, bo Szczepek zniknął w sieni, zatrzaskując za sobą drzwi.

— E, z takim paskudą zaczynać.

— Jak mama przyjdzie, to ci da.

Groźba poskutkowała. Alojz zawrócił i roznoszony gniewem, podążył śpiesznie do przerwanej pracy.

Z pod podartych chmur słońce raz za razem wybłyskiwało, ślizgało się po kałużach i zmywało śnieg, ukazując czarną ziemię. Na ten widok ginęły uśmiechy dzieci, jak topniejące wysepki białego wesela.

— Żeby padało, dziś, jutro, pojutrze.

Nogi ich zatęskniły do nart, ciało do pędu, dusza do upragnionej zimy.

Alojz dźwigał kamienie na skocznię, z zapalem o czemś opowiadając, jednak wspomnienie bójki ze Szczepanem psuło mu zabawę. Nadrabiał miną. Był w nastroju pożałowania godnym. Dodawał sobie odwagi, mimo to dreszcz hasał po walecznem ciele i nijak nie chciał zaprzestać harców. Z goryczą myślał

o matce Szczepka. Wiedział, co go czeka. Rozsierdzona baba wpadnie z kijem, wygrzmoci go po miejscu, które jest najniewinniejsze i żadnego zgoła udziału nigdy nie brało w gorszących zajściach.

— Nikogo się nie boję. Za co taki srajduś na mnie: dziadu? Czego ze mną zaczyna? Zawdy na mnie tak, on gazda, a ja dziad.

Groził, zaciskał pięści, ale nie nie pomagało. Zniechęcony i przejęty obawą, odrzucił kamienie i nawet nie spojrzawszy na skocznię, zawrócił ku domowi.

— Alojz, nie chodź.

— Muszę do szkoły iść.

Ukradkiem przemykał obok zabudowań Packuły. Wtem z poza drzwi wyskoczył Szczeppek i z rozmachem cisnął bryłę błota.

— Jak mama przyjdzie, to ci dołoży. Masz, widzisz, zachlapało ci pysk.

— Takiś ty — Alojz otarł rękawem twarz — słodko patrzy, a kiej się obrócisz, to ci nogi poderwie. Taki przewrotnik — teraz dopiero pożałował, że go nie sprzął, gdyby go potem Packulina zbiła, toby choć wiedział za co — spojrzął, czy jej gdzie nie widać. Chwytał grudę śniegu i pokazując ją, wbiegł do izby z nowiną, która powinna była wszystkich wprawić w zdumienie.

— Mamo, będzie zima, już wam nie będę zawadzał w chałpie.

— Czegoś taki zmaraszony?

— Nic — popatrzał po zbłoconych spodniach, trzepnął mocno — nic, ino noga kielżnęła i wpadłem do młaki — cichy, potulny zgarniał zeszyt, książkę

do torby, sprzątał coś po izbie, a wciąż nadśluchiwał. Odgłos kroków szerzył w nim popłoch.

— Coś dzisiaj zmajstrował? — rzekła podejrzliwie Malinowska, śledząc jego zachowanie się.

— Ja? nie. Sprawiedliwie.

— Nie przysięgaj się. Latają ci oczy i nadśluchujesz, czy kto z kijem nie idzie.

— Mama to zawdy na mnie, a ja nikomu nie.

— Nie omanisz mnie, znam cię. Ułam se placka, w popiele leży, po drodze ci wystygnie, — zawołała, kiedy już był w progu.

— Dają nam w szkole śniadanie, herbatę... — od drzwi się odwrócił.

— Herbatę wam dają? Mój Boże, tobie lepiej jak nam.

— Taka dobra, taka studziuska, kiej weznę do gęby, to szkoda połykać.

— Wiem, wiem. Mój Boże, żebym zjadła tłusto, żebym słodko popiła, tobym miała zdrowie, a tak z czego?

— Przyniesę wam.

— Skąd weźniesz?

— Już się nie bójcie, odleję z garnusia.

— Nie rób tego, powiedzą, żem ci kazała ukraść.

Pędzony pośpiechem, wyleciał z izby. Z poza węgła spojrzął ku tantym zabudowaniom i znieruchomiał. Packulina toczyła się przez pole, trzymając za rękę Szczepka, głośno beczącego. Za każdym beknięciem synusia wściekłość matki nabierała stokrotnej siły. Wrzeszczała na całą wieś. Chyba na świecie nie było takiej potęgi, któraby zdołała zamknąć czełusć ziejącą pomstą żywiołów. Ludzie ucichli, a tylko Kruczki, Targaje, Rekсы zrywały się z barłogu

i dzwoniąc łańcuchami, szczekaniem przeróżnego rodzaju bardzo wydatnie wsparły babską nawałnicę.

Alojz wlot ocenił położenie, zakręcił się w miejscu, buchnął poza dom i przepadł w kępach zarośli. Gnał głębokim wózkiem. Jednak i tu docierały przekleństwa z bogobojnem błogosławieństwem, aby ręce i nogi połamał. Czując się bezpiecznym, wychylił głowę z poza krawędzi jaru i kwiknął.

— No, dzisiaj to mi się udało.

Trzasnął z uciechy kierpcami, pognał ku wsi, że tylko pięty mu migają. Wpadł do klasy, kiedy Icek Glasberg poderwał się, aż wzdęty chałat załopotał, dwa skręcone pejsy raptownie zadyndały i znieruchomiały, ujmując bladą twarz w czarne krechy.

— Proszę pani, ja nic, ganc nic nie słyszę.

— Jakto nic nie słyszysz? — dziwiła się nauczycielka.

— Ja głuchy na to ucho, niech pani patrzy, zaraz widać, że całkiem nic nie słyszę.

— Dotychczas słyszałeś.

— Co z tego? Słyszałem, czego nie miałem słyszeć, ale tatuńcio chce, żebym siedział w pierwszej ławce, bo lepiej widać, tatuńcio mówi, że trzeba do głowy nałożyć, bo to na całe życie.

— Niewzyscy mogą siedzieć w pierwszej ławce gdyby każdy chciał, pomyśl, co by było.

— A czy każdy chce mieć dużo w głowie?

— Jeżeli ktoś zechce się z tobą przemienić, to cię przesadzę.

— Już się o to postaram, to już moje kepele w tem — siadł, nawijając z zadowolenia pejsy na palec.

Wszyscy pisali zadanie. Nauczycielka, przechodząc wzdłuż ławek, docierała do okna, aby choć przez chwilę spojrzeć na góry. Za każdym razem widziała chłopaka stojącego pod płotem. Trząsał się z zimna, wciskał zsiniałą twarz w otwór między kołkami, przebierał nogami, rozgniatając błoto zmieszane ze śniegiem. Widziała go od kilku dni zawsze w tem samem miejscu, zawsze jednako ubranego. Miała wrażenie, że coś chciał powiedzieć. Teraz zawołała na niego, aby przyszedł się ogrzać. Za chwilę wkroczył obdarty, który, na nikogo nie patrząc, stanął w środku klasy z zadartą, rozwichrzoną głową i śmiał się do nauczycielki bielą zdrowych zębów. Połatanane chodaki zostawiły na podłodze swoje odbicie, aby choć w ten sposób utrwalić uroczyste wejście. Portki krótkie, ze zgrzebnego płótna, poplamione błotem, przepasane sznurkiem, jednoczyły się z czarną, rozchełstaną koszulą. Nie potrzeba było żadnych opisów i wyjaśnień, bo zewnętrzny wygląd dostatecznie mówił o jego życiu, o kijach spadających na łachy, o pracy, o włóczędztwie po pastwiskach, o głodzie. Łatom, dziurom i nędzy urągały oczy śmiało patrzące, jakby cholernie czemś uradowane. Mocne, harde ślepia.

— Jak się nazywasz, obywatelu? Widziałam cię tyle razy pod szkołą.

— Wojtek — rzekł krótko, dobitnie i ciął słowo za słowem, jakby szczapy odrąbywał. — Ucigem z domu. Mama mi umarła, ciotka mnie biją i jeść nie dają. Mierzi ich, kiej czytam durkowane, a mnie wse ciągnie do książki. Wse zachodzę pod szkołę, zeby choć peźryć. Wcoraj mnie odścigali pon dyrektor, kazali iść do chałpy zjeść obiad. Jak jeść, kiej nie mom — zaśmiał się, jakby zwiastował najzabaw-

niejszą nowinę im i sobie. — Dzisiaj też nie posedef, jesebyf się spóźnił. Jo musę chodźć do skoły.

— Jakże to musisz, kiedy nie jesteś zapisany.

— Poco zapis? O hań? jest próżne miejsce, jest na cem siedzieć, a nie będzie, to postoję pod ścianą, ho-ho, nie wypierecie mnie z hańtela.

Nauczycielce, ubawionej zachowaniem się chłopaka, podobał się rozmach, śmiałość i zaborczość, nie uznająca sprzeciwów.

— Aleś brudny.

— To nic, zaraz się umyję — te, chodź ze mną — pociągnął za sobą do studni Bolka siedzącego w pierwszej ławce, naczepał wiadro wody. — Lij na mnie. — Zimną strugę chlustał na twarz, na ręce, parsknął parę razy, otarł się rękawem. — Terozem cysty. Idemy razem. Jo koło ciebie będę siedział, pamiętoj, boś nie ciapajda i mazok. Nie lubię takich. Jo cię zerznę, ty mnie zerznies, a nie będziemy buceć, bo to nie honor — mocnym krokiem zmierzał ku wolnemu miejscu, ale zatrzymany, stanął w połowie drogi.

— A umiesz ty co?

— Cobyf nie umioł. Jagef paśł krowy, to Anielcia pokazywała litery i ucyła skłodać. Nie wierzycie — ujął kredę i pisał na tablicy z takim rozmachem, jakby z czarnego drzewa wyrąbywał białe słowa. — Jo feę się ucyć! — przerwał, spojrzał na nauczycielkę — no teraz wierzycie? — poszedł ku swojej ławce — posuń się — zajął miejsce, niejako wdarł się zaborczo w oddawna dla niego przeznaczone, pochylił się ku sąsiadowi i nieodwołalnym ruchem przysunął ku sobie jego książkę. — Oba bedziemy cytali z jednej, bo jo nie mom nijakiej książki.

Wejście Wojtka wzbudziło poruszenie i współczucie. Zwyczajnie witano krzykiem niezwykle zdarzenia, dzisiaj zaś nad klasą unosił się tajemniczy, wiele mówiący szum, wskazujący, że coś się tu rodzi, coś wyrasta na miarę ludzkiego serca. Szept przelatywał od ławki do ławki. Dziewczęta bez zachęty, ale z własnej woli sięgały do torb, długo szukały w ich wnętrzu, widocznie jeszcze walczyły z postanowieniem, zaciskały coś, po chwili wysuwały się nieznacznie i kładły przed Wojtkiem kawałki owsianego placka.

— Nie wstyduj się, pojidz se.

Wojtek bez namysłu, nie patrząc na nikogo, zagarniał po swojemu i żarł łakomie.

— Alef głodny.

— Dlaczego uciekłeś od ciotki?

— Bo mnie prali — błysnął białymi zębami, rozświecającemi pucółowatą, zzieleniałą twarz, przełknął jeszcze jeden kęs i dzierzając w garści jedzenie, rąbał. — Chciałem chodzić do szkoły, bo mnie ku niej gnało, to oni zawdy z kijem na mnie: nie będę chowała próżniaków. Wse ino: a drwa rąb, a wody przynieś, a młóć, a z sierpem idź, a do lasa po gałęzie. Widzicie, takie mam ręce od roboty — rozpostarł dłonie obite, porośłe gruzłami. — Dość miałem tego i ucigem.

— Któż ci kazał uciec?

— Nikto. Jo som z siebie. Nieroz haw byłem, inom się wstydoł iść, postoleł pod płotem, posłucholeł, zrobiło mi się lżej, a potem, wracoj, Boze, Boze, z ledwością się oderwałem z hawtela — przestał mówić, znowu wyraz uszczęśliwienia rozświecił zęby i oczy, potem wyrzekł ściszonym od zachwyty głosem — wicie, co mi się podoba w szkole?

— No co?

— Halekstryka i... i... strasznie panią lubie. Kozdy na mnie z kijem, kozdy z przekleństwem: tyś taki, tyś taki, a wy grzecnie: Wojtuś, Wojtuś — powtarzał, jakby się nie mógł nacieszyć imieniem pierwszy raz słyszanem. — Jo tak samo do ptośków — dłonie złożył nakształt gniazda i uśmiechał się, jakby do piskląt — maluśkie, nie bójtą się, jo wom dobrze. — Podniósł oczy ku nauczycielce. — Będziecie widzieli... — głos zadrgał wzruszeniem i utknął w gardle. Radosny wicher przeleciał przez pierś. Wojtek machnął ręką i siadł.

— Mama kazuje mi nie iść do szkoły, ale ja też uciekam — zawołał wesoło Bolek.

— Dlaczego uciekasz?

— Bo lubię chodzić do szkoły.

Pojedyncze odpowiedzi wystrzeliły z rozmaitych stron.

— ...bo jest wesoło, tak się bawimy, tak, aż uciecha.

— ...bo pani nie bije, jak tata.

— ...bo jest ładnie i ciepło.

— ...bo pani jest dobra.

— ...jak nie idę do szkoły, to mi się przykrzy i nie mnie nie cieszy.

— A wszystkie dzieci lubią chodzić do szkoły?

— Wszy—stkie!! — zgodny okrzyk wydarł się z ławek.

— Wojtuś, ty pewnie na wiosnę znowu uciekniesz do lasu, aby paść krowy.

— Ni — krótko rzekł, jakby obuchem siekiery wbił klin. — Choćby mnie zakatowali — oczy rozmi-

gotane, jak metal, wyjawiały tajemnicę nieustępliwego postanowienia.

W czasie dalszej lekcji nauczycielka poleciła powtórzyć odpowiedź którejs z dziewcząt, nie mogącej zrozumieć wyjaśnienia. W tej chwili ogarnęło ją znużenie, niechęć do całej klasy i podniesionym głosem skarciła nietylko tę uczennicę, ale wszystkie, które kiedykolwiek uczyła.

Wtedy wstała Hanka Tomalanka i nie słowami, ale własnem sercem ją wsparła.

— Niech się pani nie gniewają telo, ona w szkole zawdy zestrachana, bo ją w domu za co bądź biją, pójdę do niej, to jej pokażę. Czego się macie gniewać? Telo się z nami natrapicie, aże mi was żal. Proszę was bardzo, nie gniewajcie się, już się nie męczcie, a opowiedzcie nam co. Pokażę jej i będzie umiała — powtórzyła z przekonaniem i dobitnie zakończyła: — Ja w tem.

Nauczycielka pragnęła jeszcze raz usłyszeć te słowa, które się oddalały, rozplywały jak echo najmilszej wieści, czy melodji tak rzadko ją nawiedzającej. Ogarniającego ją uczucia nie mogłaby niczem wyrazić, chyba tylko uśmiechem. Wzrokiem i uśmiechem prosiła, aby powtórzyła. Na wargi nawinął się jeden dźwięk dla nikogo niezrozumiały.

— Warto.

Przyływ siły kazał się zapytać, czego chcą. Jedni prosili o to, inni o tamto. Cała klasa to organizm, mający tyle rąk, tyle nóg, tyle głosów, to też ruchliwość tych rąk i nóg nie pozwala ani na chwilę spokoju. Ławki, podłoga, pióra, ołówki, kałamarze, książki miały swoją wymowę i dopominały się głosu. Nijak nie można było stłumić ciągłych wołań.

— Jeżeli dzieci nie będą grzeczne, to nie będę opowiadała. Musicie się zamienić w mur — o tak — złożyła ręce na piersiach i pozostała bez ruchu — w przeciwnym razie pomyślę, że jestem w pierwszej klasie.

Podarty gwar opadł na podłogę, znów się wzbił i rozprószony zmieniał się w ledwo słyszalny szmer, aby wkońcu ucichnąć. Jeszcze jedno gwałtowne szurnięcie i milczenie.

— Wiecie, o czym opowiem?

— Wiemy!

I wtedy, jakby ze ścian, z barwnych obrazków zleciały ożywione ptaki i zatrzepotały gwarnie.

Nauczycielka rozpoczęła pogawędkę o ptakach, opisywała ich życie w górach, w lesie, budowę gniazd, śpiewy, karmienie piskląt, wplatała przygody mające ożywić opowiadanie, rzucała je na tło lata, pól, żniwa, później jesieni.

Niemal wszyscy paśli owce, krowy, gęsi. Wczas rano pędzili daleko w góry. Wracali wieczorem głodni, umęczeni, ledwo wlokąc obolałe nogi, padali bez sił na barłóg, aby znów o wschodzie matka ich obudziła, wetknęła kawał chleba na skwarny, nie mający kresu dzień. Przez tyle miesięcy zbierali spostrzeżenia, że teraz nie pozwolili dokończyć nauczycielce. W zgiełku słyhać było kłótnie i oskarżenia, że Adaś ptaki wybrał, zniszczył gniazdo, że Jaś z brzyzka rznął skolmi sojkę, jaże ją zaćmił, a ja chleba pokruszyłem i rozsypałem przy gniazdku, żeby jadły, a ja ptaszkom śpiewałem, żeby im było wesoło, i z lasu zlatywały hurmą, bo im piknie śpiewałem. Ławy huczały opowiadaniem. Do tej klasy przywędrowało lato, przypłynął las i zaszumiał smrekami. Ściany za-

drzewiły się i rozgałęziały. Chłopcy i dziewczęta znowu biegli miedzami, przez polany w las, aby z pod kamieni, kęp podejmować słowa do opowiadań, w których łąki barwiły się kwiatami, ptaki trzepotały kolorami i szare pisklęta rozwierały dzioby, śmigały błyskawice wiewiórek, rozpościerały skrzydła jastrzębie, szerzące grozę, stukały sarny biegnące do źródła. Tyle walk, tyle tragicznych i pięknych zdarzeń, to też było na co patrzeć, było się czem weselić. Znowu nogi zrywały się ku przygodom. Nauczycielka musiała powstrzymywać i uciszać, aby tylko jeden opowiadał.

— No, Alojz, mów.

O ile w ogólnym zgiełku w jego zwartych zdaniach była żywość, barwność, obrazowość, płynność, swoboda, o tyle teraz walczył z przymusem szkolnym, z narzuconemi wyrażeniami, które urabiał, składał każde z osobna, czasem się zacinał, namyślał, mylił i wtedy urozmaicał dosadnym słowem gwarowem. Po pewnym czasie zapomniiał o obcej nauce i już ciął po swojemu, po chłopsku, pysznie, wciąż coś kreśląc, jakby podawał na dłoniach kształty dźwięków, naśladował głosy przyrody, czerpiąc z jej źródła nieprzeliczone bogactwa. Opowiadanie Alojza Józek przerwał śmiechem.

— Wyśmieją się z ciebie, masz za dużo farby i farbujesz każde słówko.

— Z tobą nie można się bawić, wiesz? Co ty masz do mówienia? Ja wse krowy pasę, to wiem.

Zaczynający się spór przerwała nauczycielka, polecając narysować to, co opowiadali. Wśród podniecenia zaczęli smarować obrazki. Kreskami pisali swoje wrażenia i wspomnienia.

Nauczycielka stanęła nad Glasbergiem, zgiętym pracownice nad białą kartką, na której czerniły się niezdarne krechy, mające wyobrażać drzewo.

— Gdzie twój ptak?

— Mój ptak? Co on ma siedzieć na jednym miejscu? Zrobił fur w powietrze i niema go. Co ma robić na papierze, kiedy on woli latać. Niech lata, jak chce. Ja tak z żartów mówię — dodał.

— Narysuj go, o, może tu.

— Narysuję sklep albo kurę. Nie? to gęś, aj, aj jaką gęś babcia kupiła, aj gęś, sam smalec. Tanio.

Za oknem wiszący karmnik trzepotał i dzwonił bez przerwy. Kłótlive wróble gospodarzyły, wydziubując do ostatniego okrucia, co im dzieci nasypały rano. Naraz podniósł się wrzask. Wściekła czereda z dziobami skoczyła.

— Co to?

Szczygieł wyrwał się z pod ich ciosów i wpadł do klasy, okrążał ją dookoła, tłukł o ściany, aż wkońcu zawisł na tablicy, rozpościerając skrzydła, zdawało się, że na czerni zakwitł trzepotliwy, kolorowy kwiat. Długo drżał, dygotał żywy puls. Po chwili ptak znów rozpoczął beznadziejny lot w zamknięciu, napotkał przezroczystą szybę, wydał radosny świergot i całą siłą uderzył. Opadł na podłogę.

Najbliżej stojący Wojtek podjął zmartwiałe ciało i schował za pazuchę.

— Okrzeszę go. Nie bójcie się, pani. W lecie spod ptoszek z gniazda, wzielimy go z Anielcią, odmuchali i polecioł, a potem nom zawdy śpiwał, kiedyśmy śli na polanę.

— Ja nigdy nie dokuczę ptaszkom — przechwalał się Bolek, — ino im dam jeść, bo tata tak kazuja,

mówią, że to grzech i ręka może uschnąć, ale Jasiiek od cyganów to ptaszkom wykłuł oczy cierniami, z niego taki męczyciel.

— Chyba się mylisz? Czyż może tak okrutny człowiek żyć na świecie? Chyba w naszej szkole niema takich?

— Józek, co uwidzi ptaka, to zaraz bije skolmi, w lecie wybrał jajka z gniazda i rozbił.

— Nie, nie, nigdy nie uwierzę. Józiu, czy to możliwe?

— On raz...

Józek dźwignął się i ponuro, z pod czoła spojrział na Bolka, że ten urwał zdanie w połowie. Palce zadrgały kurczowo, zaciskając brzeg deski, a po oczach przemknął wyraz jak po oczach jastrzębia, gotującego się do ciosu.

— Możesz dawniej dokuczać, ale teraz to już chyba nigdy nie skrzywdzisz ptaka? Prawda, Józiu?

Wojtek krzyknął, że szczygieł już się ocknął. Wszyscy przybiegli. Pochyleni, gładzili kłębek przerażenia uwięziony w ręce.

— Ale ma ładne piórka.

— Ale mu serduszko bije. Puść go.

Stanęli przy oknie w milczeniu, jakby czekali na spełnienie obrzędu. Wojtek rozchylił dłoń i wypowiedział zaklęcie:

— Leć do pola.

Ptak po raz ostatni róbzkwił w powietrzu i rozwiął się woddali.

— Wczoraj złapałem sikorkę, miała taką copeckę na głowie pod syją uwiązaną, alem ją zaraz puścił — Bolek nie omieszkał skorzystać ze sposobności, by pochwalić się przed nauczycielką.

Wśród ogólnego zamieszania nikt nie zwrócił uwagi, że ktoś ostrożnie nacisnął klamkę i powoli uchylił drzwi. Stara żydówka wsunęła głowę i weszła. Z pod chustki, związanej pod brodą po wiejsku, widać było rąbek staroświeckiej peruki, okalającej twarz pokreśloną zmarszczkami, tworzącymi tysiące węzłów i nacięć. Przybyła, stojąc niedaleko tablicy, wyblakłemi oczami szukała kogoś zagubionego pomiędzy góralskimi kozuchami. Znalazła w ostatniej ławce kędzierzawą głowę, przykrytą aksamitną jarmutką, i uśmiech wygładził zmarszczki, zniweczył najgłębsze bródy.

— Icuś.

Pierwszy spostrzegł Alojz i krzyknął.

— Icek, babka przyszli.

Glasberg, mozolnie kreślący owego ptaka, co mu uciekł z papieru, podniósł głowę, wyciągnął długą szyję i patrzył przez ramiona siedzących na przodzie. Czarne oczy rozbłyły tym samym blaskiem, co babce. Pejsy wesoło zadyndały po bladej twarzy. Nic nie powiedział, ale oczy, wargi, ręce i pejsy miały jeden wyraz, radość powitania.

— Babunia!

Kiedy nauczycielka odwróciła się, zobaczyła żydówkę pochyloną w chłopskim pokłonie.

— Przepraszam łaski pani, szłam tędy, tom po drodze wstąpiła. Chcę się dowiedzieć, jak się uczy mój wnuczek Icuś, on pewnie gałgan, on pewnie nie dobrego, niech pani się na niego nie gniewają.

— Ależ dobrze, bardzo dobrze się uczy.

— Jak się cieszę, jak ja się cieszę, nie wiem, co powiedzieć, aj, aj, ja mam skrzydła, ja mam sto

skrzydła przy kaźden pałec, przy kaźde słowo, aj, aj, tak się cieszę.

— Tyle razy pani przychodzi i zawsze jednako mówię, że Icuś to jeden z najlepszych uczniów, mogący służyć za przykład innym.

— A posłuszny?

— Bardzo.

— A pilny?

— Bardzo — nie czekając na dalsze pytanie, śpiesznie dodała. — I pracowity, zdolny, chętny do nauki — dziwił ją uszczęśliwiony wyraz twarzy staruszki. — Dlaczego pani pyta o to, o czem wie. Przecież pani co kilka dni przychodzi i zawsze to samo mówię.

Żydówka przymknęła oczy i zakołysała głową, jakby nad świętą księgą.

— Czego się pytam? Czego ja się nie mam pytać? Wiem, wiem, że się grzecznie uczy, ale o tem chcę słyszeć od pani, od samej pani. Jak to miło słuchać dobrze o dziecku. Jabym przychodziła codzień, co godzina i zawdybym słuchała, co pani mówi. Taką mam uciechę, aj, aj, taką uciechę. Jak pani podziękować? Icuś przychodzi do domu, to on mówi, co było w szkole, to my się dziwujemy, że tak teraz jest. Aj, aj, jak on mówi, to wszystko skacze ze serce. Niech pani Pan Bóg da zdrowie, dużo zdrowia, i takie dzieci, jak mój wnuczek. Dużo dzieci, i żeby ludzie o nich tak mówili, jak pani o naszym Icusiu.

IV.

Alojz wyskoczył z barłogu, przypadł do okna polewczanego zmrożonemi kwiatami, chuchnął parę razy na kraj szyby i przez mały, wilgotny otwór patrzył

na świat. Z uciechy trzasnął bosemi piętami i huknął na całą izbę.

— Śnig.

— Co się drzesz? — skarcił go Władek, śpiesznie krzątający się, bo miał iść do Zachwiejów po obiecane konie, aby wyjechać do Kieczny.

— Śnig! Wiesz?

— No to co, że śnig?

— Ty nic nie wiesz — Alojz parsknął z lekceważeniem.

— Słonko jest? — dźwięcznym głosem zapytała Malinowska z mrocznego kąta.

— Jest, ino przemarznione.

— Dużo napadało przez noc?

— Wystarczy dla mnie — krótko odpowiadał, ledwo słysząc słowa matki, zaprzątnięty własną radością.

— Żeby nie chciało wiać, bobym nie pojechała.

— Niech wieje, lubię, jak śnig z wiatrem pieremnie po gębie, potem taje i kapie o tak, hu! hu! uciecha. Alem się doczekał — podskakiwał, tupał nogami i wykrzykiwał — śnig.

— Nie pomyślisz, że mam jechać, tobie ino zbytki w głowie. Co dziecku matka?

Istotnie chłopak o tem nie pomyślał. Nie miał czasu w tak ważnej chwili. Dzisiaj prawie nie spał, a gdy usnął, to widział ośnieżone góry. Nie mógł doczekać się rana. Od paru dni zrywał się w nocy, aby wyrzeć na dwór. Zawsze widział rozsypane gwiazdy, srebrem migocące w czarnym popiele. Aż dopiero wczoraj i dzisiaj. Drżąc z niecierpliwości, wciągał nogawice, owijał nogi szmatami i chyłkiem wyslizgnął się, aby go nie dostrzegł Władek. Z ciasnej, cuchną-

cej izby, z pustki i ciemnicy wyrwał się w szeroki świat. Po drodze do swej kryjówki nabrał świeżego tchu. Spojrzał w górę. Na niebie obłoki, krępkim światem rozpalone, tkwiły w jednym miejscu, jakby przy-marznęte do bladoseledynowej, niebieskiej, a później coraz bardziej rozognionej powały.

Alojz wydobył narty z pod okapu, pociągnął rękawem po ślizgu, z radością i ze współczuciem spoj-rzał na wiązania.

— Kiepskie. Niech tam. Inni mają zgrabne, co cud, ino moje są chudobne. Kiej się wspomogę, to kupię nowe, że hoho! Będę śmigał po górach. Szczep-pek Packulin nie będzie drwinkował.

Potargane kierpce wrosły w deski, tworząc żywą całość. Ciało poderwało się do biegu. Zaszeleścił pu-szysty śnieg. Ranny powiew rozdmuchiwał kapocinę i smagał twarz nasiąkającą rumieńcami. Alojz, roz-grzany ochotą, nie czuł zimna. Niósł w sobie pragnie-nie pędu i skoków. Wspinał się po zboczy żwawym krokiem, mając przed sobą zaczarowany świat zimy i samo słońce, które wychylało rozognioną krawędź z poza poszarpanych gór, z poza zwiechrzonych drzew i zoddali rzucało refleksy swego nawiedzenia po sfa-lowanych wzgórzach. Wierzchołki Tatr, wyciosane z brył lodu, paliły się porankiem. Alojz mijał kuliste kępy, strzeliste smreki, podobne do płomieni wybu-chających ze spiętrzonych zasp. Splecione gałęzie za-gradzały drogę. Szczygły zjawiły się w mnogiej ilo-ści, rozniecając w powietrzu barwne upierzenie. Ru-chliwe sikorki zbierały zmarznęte promienie i migo-tające gwiazdki. Kowaliki dzwoniły naokoło pni, roz-rzucając nie dźwięki, ale drobne gwoździaki. Napu-szone, osowiałe wróble tkwiły w gęstwinie, zapomina-

jąc o ćwierkaniu. W miarę narastającego dnia nabierały ochoty, upijały się światłem i zaczęły po swojemu podskakiwać, dzwonić o tem, co widziały, o czem śniły. Spłoszone widokiem chłopaka, pognały w stronę stodoły, gdzie na otwartem boisku cepy zatętniły, rozpryskując ziarno.

Alojz wyrznął o zmarzniętą ziemię, ale tak djabło, że aż coś chrupło w kościach. Zaraz się zerwał, obejrzał wokoło, czy kto nie patrzy. Nieskładnie się prostował. Nie miał czasu stękać. Chlusnął z rozmachem z miękkiej pościeli. Biel wzdętą zaspami przekreślał kresami cienia, bo w każdej wykoleinie czaił się ciemny pasek, sam mróz. Dosięgnął szczytu przewiany wiatrem, prześwietlony słońcem, pełny śnieżnego szczęścia. I to szczęście musiał wyśpiewać. Rozpostarł ramiona, jak ptak zrywający się do dalekiego lotu, i rzucił krzyk chłopskiej pieśni w bezmiar świata. W nutach pomieścił radość i upojenie. Coś go ponosiło. Miał uczucie, że nie dotyka ziemi, leci przez białą przepaść, przez ogrom nieba, przez sklepienie błękitne, w wyżyny objęte pożarem dzisiejszego świtu.

— Alojz! Alojz!

Obudziło go i zatrzymało wołanie Władka dobiegające zdołu. Obejrzał się. Dwie brózdki jego biegu spadały wdół po zboczu, a potrącone gałęzie kołysały się, wciąż prosząc migocącym pyłem okiści. We wznieconej tęczy szczygiel przeskakował i wygwizdywał swoje melodje. Alojzowi żal było iść do domu. Wiatr porwał go. Pomknął dalej, mruczając ze złością.

— Drzyj się, drzyj, co ty masz mi do rozkazowania.

Ciało, stęsknione do ruchu, podrywało się do biegu.

Krew pulsowała w napiętych żyłach. Narty stały się częścią jego nóg; zrosnięte wszystkimi mięśniami, były posłuszne ruchom, zwrotom, przechyleniom. Pęd uskrzydlał pragnienia i ponosił przez wieńce napotkanych pagórków. Wołanie wstrzymało go po raz drugi.

— Alojz!

— Ale Władus pilnuje. Nie ma na kogo wołać, ino na mnie.

— Chodź, bo mama jadą.

Nie mógł wstrzymać nóg, rwał dalej po zboczy. Nie chciał słyszeć. W sobie miał tyle radości, że ani pomieścić. Poczul wyrzuty sumienia i zawrócił. Pomknął wdół, skibę śniegu odrzucił pędem, rozwalił zaspę i zakręcił obok szopy. Przestrzeń ku domowi przebył tak szybko, że wiatr nie mógłby go prześcignąć. Schował narty. Zrumieniony wypadł z poza stodoły i chwytając krótki oddech, stanął przed bratem.

— Co się drzesz?

— Kajżeś bywał? kaj cię frasi noszą?

— Nikany.

— Ja ci dam nikany. Czegoś wychodził? Mówiłem ci: siedź w izbie, bo idę po konie, ale ciebie ścigo.

— No to co, żeś mówił?

— Targaj przyodziwę, nie wiem, kto ci sprawi nową.

— Uwa, to ci przyodziwa — powiał urągliwie łachami. Istotnie co tu oszczędzać, czego żałować? Buty, portki jednakie. Golizna.

— Czegoś poszedł?

— Bo mi się tak chciało — krnąbrnie odpowiedział.

Władek niespodziewanie chwycił go za kołnierz; kiedy chciał mocniej zacisnąć, chłopak wywinął się zgrabnie i stanął w bojowej postawie.

— Odyńdź, nie zaczynaj ze mną, bo... — zawrócił i wyrывał naprzód. Im bliżej domu, tem bardziej Alojza opuszczała niedawna radość. Coś wiązało swobodne ręce i nogi, coś przygniatało plecy.

— Znowu siedz kamieniem w chałpie.

— Porąbię albo spalę narty — groził Władek.

— Spróbuj — to jedno słowo aż skrami błysnęło.

— Będiesz widział.

— Ze mną nie zaczynaj.

Już stały sanki wyścielone słomą. Stara Kramarczykowa okrywała kozuchem Malinowską, leżącą wygodnie w półkoszkach.

— Nie będzie wam zimno. Słoneczko wstało prze-marznione, ale kole południa się ociepli i zelga będzie.

— Po zdrowie jadę, to mnie Pan Jezus ogrzeje.

— Kumosiu, nie jedźcie hań — radziła sąsiadka, przejęta zabobonnym lękiem. — Grzech, nieczysta siła, na potępienie dajecie duszę.

— Z radością jadę. Wola Boża. Pan Jezus sprawi, że wszystko wyjdzie na dobre. Tylem się nacierpiała, tylem się namodliła o ratunek i teraz miałabym się cofnąć, kiedy mi Pan Jezus naostatek zesłał nadzieję?

— Pockojcie — wskoczyła do pobliskiej zagrody, wkrótce wróciła, zaciskając małą flaszkę — święcona woda, z rosą z pod nowiu, wicie — pochylona nad chorą, pouczała tajemniczo, potem zwrócona do Władka nakazała mu robić to, a to — żeby moc hańtego nie wsiąkła w ciało. Dobrze niech zostanie, złe trza odczynić.

Malinowska, słuchając napomnień, uśmiechała się do dzisiejszego dnia, poczętego z jej najpiękniejszych pragnień. Każdem spojrzeniem uwielbiała świat, niebo, nawet tego szczygła, który chyba dla niej rozkwitł w splotach gałęzi i zaśpiewał, utoczył tyle melodyj, tyle perlistych kropel, jakby miał serce z topniejącej grudy słońca.

— Jakże Bogu dziękować, że mogę patrzeć. O Jezus, łaski pełny.

— Alojz, nikandy nie wychodź — rozkazywał po gospodarsku Władek, wydając ostatnie polecenia głosem ciężkim, jakby przerosłym skałą. — Do szkoły nie chodź, kole południa idź do lasu po drwa i napal, żeby było ciepło, jak przyjedziemy wieczorkiem. Pilnuj izby, nie daj, jakby dziadek chciał co wziąć.

— Co mi przywieziesz za to?

— Będiesz widział. Pilnuj, pamiętaj — krzyknął, siadając obok matki.

Powozący czeladnik Zachwiejów potrząsnął lejcam. Koń wypoczęty ruszył z miejsca żwawo, za bramą nagle skręcił wbok, jakby czemś przestraszony, i dzwoniąc orczykiem, zapierał się. Śmignięty batem, trzepnął kopytami i już jechał równo. Zaprząg minął kępę zarośli, zniknął w wąwozie i znów ukazał się na potoku, rozsiewającym blask pomiędzy taflami lodu, spłókanego wartkim prądem.

Alojz ze Staszkiem wybiegli na pagórek i dygocząc z zimna, śledzili sanki, ginące w obłoku wzniesionego śniegu poza przydrożną gęstwina, to znów sunące po wolnej przestrzeni, zasypanej migotem wszystkich światel.

— Patrz — wrzasnął Staszek, przejęty strachem, i przypadł do brata.

— Biel — szepnął Alojz i ogarnął małego ramieniem.

— Uciekajmy stąd. Do nas idzie.

Wychylili głowy z poza szopy i żegnając się, patrzyli na Biela, nie jak na żyjącego człowieka, ale jak na upiora, zwiastującego nieszczęście. Nad czemś naradzali się szeptem, coś postanowili i zmiatali z tego miejsca w górę, po śladach, po których Alojz zjechał niedawno. Staszek zapadał, gramolił się, podążając za bratem. Zmęczeni, stanęli pod drzewem.

— Widzisz go, o hań. Kaj pódzie?

Stąd widać było dokładnie obejście Malinowskich i Bielowej.

Z poza chaszczyzny wyszedł barczysty chłop w bluzie żołnierskiej, szczelnie zapiętej. Wygolona twarz złożona z kanciastych brył, powiązanych byle jak, tworzyła niekształtną całość. Barania czapa przyniatała rozkudłony łeb. Biel musiał śledzić z ukrycia odjazd Malinowskiej, bo skoro tylko zniknęły sanki w wąwozie, wygrzebał się z zarośli, stanął na szeroko rozkraczonych łapach, jakby sękaty pniak wbity w ziemię dwoma klinami. Siwe oczy, głęboko osadzone pod krzaczastymi brwiami, zabłyśły bezlitośnie i poleciały po brózdach, jakie wygniotły płozy. Szczęki napięte muskułami zadrgały i znieruchomiały. Prawa dłoń skurczyła się i nagle rozprężyła. Drwiący, niemy śmiech zsunął się z zaciśniętych warg.

— Jadą babry odczyniać. Niech jadą. Dużo wam pomoże! Jeszcze mojego braciszka tak pokręci, jeszcze moją żonkę tak samo. Pon Jezus sprawiedliwy, nie daruje, za mnie was skarże, za moją krzywdę.

Minął obejście Malinowskiej i zmierzał ku swoim

zabudowaniom nie ścieżką, ale bokiem przez nieużytki i pola. Przedzierał się przez gęstwinę, łomotem buciarów deptał, łamał gałęzie, naporem ciała torował sobie przejście. Wciąż rozluźniał palce i coś otrząsał. Nie zwracał uwagi, którądy idzie, czy przez kamienie, czy przez tarniny. W połowie drogi, jakby obudzony zatrzymał się, wzrokiem objął łączęc pola od tamtej do tej miedzy i mało nie runął. Jęknął.

— Sprzedali, na procesy z ojcem. Każde ziarno moje, każdy kłosek ze mnie, a oni tak. Obce ludzie nie mają czucia — garściami zagarniał pustkę, jakby pulsującą potem ziemię, pochylał się nad śladami skib ledwo widocznych z pod śniegu i coś mówił, coś tłumaczył, komuś pięściami groził i kulakami przysięgał. — Nie dom cię. — Odchodził stąd tak, jakby z korzeniami siebie wydzierał ze swojej, wypracowanej, a teraz cudzej gleby.

Stąd niedaleko do domu. Ostrożnie otworzył furtkę, która mimo to zaskrzypiała zgryźliwie. Na podwórzu nieporządek i zaniedbanie. Gdzie popatrzył, wszędzie poniewierały się porozrzucane gospodarskie narzędzia.

— Gospodarza niema. Nikt nie naprawi, nikt nie sprzątnie. Nie dziwota. Nie ich robota, nie ich starunek. Skapieje wszyćko. — Usłyszał trzask zamykanych drzwi, spojrzał w tamtą stronę i mruknął: — Przed ojcem zawierają, wy jeszcze... ..ehe — zachichotał — pieska sobie sprowadzili, żeby ojca nie dopuścił do izby.

Pod progiem kundel, przywiązany na łańcuchu, wysunął łeb, wciągnął nozdrzami obcy zapach i zacharkotał głucho. Zjeżony, wryty łapami w ziemię, zagroził przejście. Podrzucony wściekłością, rwał

się ku przybyłemu, targał uwiązanie, aż ogniwa chrobotowały, grożąc, że lada chwila pękną, a rozżarte zwierzę runie na Biela, chwyci pod gardziel, przytłoczy swym ciężarem i poszarpie. W paszczęce kotłowały warkoty, za każdym ich odgłosem wargi kurczyły się, błyskał rząd kłów, białych pocisków.

— Cicho, piesku. Na swego gospodarza tak? Tu wszystko moje. Pockoj, no — wygrzebał z za pazuchy kawałek chleba i mocno dzierżąc w garści, ślinił wargi skłamaną dobrocią, choć oczy rozbłyскиwały tak samo, jak oczy tego psa. — No weź, od gospodarza, nie żałuję ci — schował kromkę i zastrzygł uszami. Usłyszał najwyraźniej z poza drzwi słowa „huzia Burek, huzia Burek“, powtarzane kilkakrotnie. — Synuś na ojca szczuje — Biel chciał wdrzeć się do środka gwałtem. Ledwie zrobił krok, kundel podrzutem muskułów porwał się, już niemal dosięgnął gardzieli chłopca, ale gwałtownie przytrzymany krótkim łańcuchem, opadł, charcząc, miotając z pod progu groźby. Biel w ostatniej chwili uskoczył w bok. Postanowił odejść. Zakipiał nową złością, kiedy ujrzał w oknie żonę szyderczo uśmiechniętą.

— Aha, widzisz. Nie puści cię.

Zawrócił w głąb podwórza, butem trącił drąg wmarznęty w ziemię, wydrapał go pazurami i chociaż wewnątrz nie, szedł chyłkiem, mając zdradę i zemstę we wszystkich kościach i muskułach.

— Ty, ścierwo, na gospodarza? — wziął rozmach.

Pies ujadał. Kiedy mignął cień pałki, cisnął się ku ścianie, wrósł w nią tak, jakby to nie żywe stworzenie, ale drzewo przerażonemi oczami patrzyło i szczyrzyło kły. Grzmotnięty, szalonym szarpnięciem z miejsca wyrzucony w górę, zwałił się z przeciągiem

skomleniem, zmienionem w pisk. Dygot muskułów przechodził po ciele, ujawniał się w gwałtownych skurczach, co sprawiało wrażenie, że zwierzę jeszcze się zrywa do żyjącego wroga. Wargi wciąż drgały, przejęte zimnem. Chude nogi wyprężyły się, potem, raptownie zerwane, raz za razem grzebały niewidzialne przeszkody i w przedśmiertnej męce po raz ostatni pędziły ku swemu celowi. Zastygł z wyszczerzonymi zębami, jakby jeszcze groził po śmierci.

— No, gryź, piesku, broń dostępu gospodarzowi. Czego nie gryziesz? — Biel kopnął bezwładne ciało i dalej warczał, wyszczerzając zęby w śmiechu do psa. — To ty, synku, na ojca puściłeś pieska. Synusiu, synusiu, z tobą tak samo — drągiem, którym załłukł kundla, grzmotnął w zamknięte drzwi, aż od uderzenia rozprysł się w kawałki. Biel prał pięściami, tłukł butami. — Puśta! w dobry sposób puśta! gwałtu nijakiego nie chcę — przywarł plecami, aż wyważone drzwi opadły z gruchotem. Bez przeszkód wkroczył do izby i ślepiami zatoczył po wnętrzu.

Ludzie, sprzęty, wszystkie sprawy zostały ogłuszone, tylko zegar ciąglem tykaniem ciął przemijający czas, jakby w ciszy pulsowało drewniane serce. Żona zdejmowała garnek i w tym ruchu zmartwiała. Syn, zajęty cieślarką, coś chciał zrobić, ale narzędzia wysuwały mu się z garści.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. — Biel, nabożnie pochylony, w progu wyrzekł powitanie. — Nie odpowiecie: na wieki? Ojcu? Nie, to nie — stanął, pokiwał głową. — Zimno cię trzęsie od strachu? Pies odrazu ulig i już więcej nie szczekał na gospodarza. Ty, kochany synku, nie będziesz psem szczuł na rodzonego ojca.

Najstarszy syn w odpowiedzi zacisnął toporzysko, hamował się, aby nie wyrwać siekiery z pniaka i w łeb obuchem. Z rozmachem rąbał. Smolne szczapy, odwalane jednym cięciem, odpadały na podłogę.

— Wiem, co chcesz. Nie przyszedłem za zabójstwem, ino ze serca, jak ojciec do dzieci, gospodarz na swoje. Chcesz zabić, zabij, ja się nie bronię.

— Dwa razy mi nie mówcie, psiakrew — podniósł zwichrzony łeb.

— No bij, czego nie bijesz? — stary rozdarł łachy, obnażył pierś — o tu, o tu bij, ty Kainowe nasienie. Nie masz śmiałości? Ojca?

Ramię synowskie drgnęło, szarpnięte do ciosu, powoli traciło siłę, opadało i zwisło. Biel zaśmiał się bez wydania głosu, wewnętrznym wstrząsem.

— Józek, chodź na śniadanie — krzyknęła matka, sypiąc ziemniaki do jednej miski, lejąc kapuśniarkę do drugiej.

Chłopak zpowrotem wbił siekierę w pniak, jakby go chciał roztrzaskać. Zdjął kapelusz i przeżegnał się powolnym ruchem. Jedli w skupieniu.

Biel, siedząc pod oknem na ławie, mało nie warknął, aby się udławili jego krzywdą. Zuł, przegryzał złość, jednak przemówił słodko.

— Jicie? Z Panem Bogiem pożywajcie.

W odpowiedzi łyżki głośniejsz zachrobotwały o blaszany brzeg, zadygotały w powietrzu i kilka kropel spadło na stół z łoskotem.

— Rozlewacie jedzenie — stwierdził krótko i dodał zgorzonym głosem — marnujecie dary Boże, marnujecie, nie starczy tego na długo. Wszystko, wszystko, o tak fu — dmuchnął po dłoni w powietrze — rozleci się jak dym z wiatrem beze mnie. Może się poruszy

wasze zakwardziałe serce i wy, kochane dzieci, i ty, miła żonko, coś gaździną jest przy mojej krzywdzie, dacie ojcu łyżkę gorącej strawy, bo jest w nieszczęściu, bo nikt o niego nie zadba.

— Idź tam, gdzieś porozpożyczał pieniądze. Z nas chciałbyś zedrzeć ostatnią koszulę.

— Cicho, kochana żonko, nie na cudze, ino na swoje przychodzę. To mój stół, to moja miska, co z niej jisz, to moja łyżka, mój chlib. Wy jicie, a ojcu nic? — dźwignął się z ławy i krzyknął: — Możebyście ojcu dali? psiekrwie!!

— Podej mu, Jasiu — Bielowa odłożyła trzy ziemniaki — niech zeżre i wynosi się z budy — za rękę chwyciła starszego, który się porwał od stołu — jidz, synku, niech brecho, on całe życie ino patrzy, żeby kogo użarł.

Biel ujął w palce ziemniaki, dmuchnął parę razy, już miał podnieść do ust, ale trzasnął niemi o podłogę.

— Tak się ojcu daje?

— Pan Jezus cię pokarze — Bielowa jakby skamieniała na widok potwornego zbeszczeszczenia, pozgarniała paluchami rozbitą miazgę, kawałki otarła zapaską i ze czcią położyła naboku. — Widzita, widzita, ziemniaczkami, Bożym darem ciska. Jeszcze nieraz po takie ziemniaczki rękę wyciągniesz, żeby ino był kto, coby ci dał.

— Mnie jak psu?

— Wyście gorszy jak pies. Zawrzyjcie gębę roz. — Józek kułakiem grzmotnął w stół.

— Ty na ojca? Wiesz, jakie jest czwarte przykazanie? wiesz, co się stało dzieciom, co ojca nie szanują?

— Nie mam was za ojca. Taki ojciec, co matkę, co dzieci chciał wyzabijać, nie warce mi za to — plu-
nął na podłogę i roztarł butem ślinę — wicie. Pies
lepszy, bo nas bronił, a wyście zabójca i krzywdziiciel.

— Pohamuj się, kochane dziecko — uroczyście
podniósł palec — patrz końca. Na mojej krwawocie
się pasieta.

— Wynoś się tustela. Nic nie masz. — Bielowa
skoczyła na środek izby, chwyciła miotłę, rozwaliła
drzwi i wrzasła — ścierwo śmierzące.

— Ja się mam wynosić stąd? ja? Nie będę się ty-
rał po kumorach bez kawałka chleba. Przyjdę tu.

— Będziesz nas napastował, to po ziandarów
poślę.

— Żonko kochana, ziandarów lepiej znam, jak ty,
wis.

— Dziadu. Mnie, gospodynię, wyganiać z dzieć-
mi?

— Dziadu, mówisz — pokiwał głową nad naj-
dotkliwszą obelgą — ale z dziadowskiej torby bierze-
cie chlib?

— Nie macie nijakiego prawa — krzyknął Józek,
jakby klin wbił między matkę a ojca. — Sąd kazał
was wygnąć.

— Ja nie mam? Na mojem się rozpieracie. Ten
garnek, ten stolik, ta ławka, każdy kołek, każda za-
wiaska, klamka, każde wiórko, każdy gwóźdź z mo-
ich pazdurów wyznajony — tkał palcami po izbie po
wszystkiem, co ujrzał — mój materiał, moja praca,
mój starunek.

— Sąd przyznał inaczej. Ludzie przysięgli. Nasza
prawda i sprawiedliwość.

— Sąd przekupiony i fałeczny. Wszyćko moje stąd — zakrzywionemi palcami wydzierał z piersi, z trzewi, z całego życia i pokazywał garście jakby pełne znoju.

— Wszy wasze. Macie dość. Swoje wszy zabijajcie, nie naszego psa.

— Będę chciał, to i ciebie, wiesz, tak pod grdykę ścisnę, piśniesz i tyle — dłoń rozkurczał i skurczał, jakby już dusił synowskie gardło. — Widziałeś pie-ska? uspokoiłem go i ciebie tak samo.

— Idźcie stąd po dobroci, nie zaczynajcie, bo... bo...

— Bo co? kochane dziecko, no powiedz — siadł na ławie, rozparł się szeroko. — Nie póde, żebyś wiedział — powoli mówił, a tak, że można było struchleć od grozy. — Każdziuski patycek znosiłem na plecach z hańtych wierchów, patrz zdaleka, i teraz chcesz ojca wyścigać, żebyśta wszyćko zmarnowali. Jużście posprzedawali kawałki, moją krwawotę. Wolałbym, żebyście mnie nożami poprzebijali. Lżej byłoby mi żyć. Ty na mnie? Nie masz takiej władzy. Mam większą, o większą. Widziałeś Malinowską — uderzał się kufakiem w pierś — to ja jej tak zrobiłem. Babry przyniesę i wam tak zrobię, wszyscy w domu skapiejecie. Szcaruję was.

— Gównu se zaczarujecie.

— Te! cicho! — krzyknął z oburzeniem. — Z Bogiem chcesz igrać? Bez Boga nie dojdiesz i do proga. Tegom się doczekał. Pamiętaj Malinowską. — Wiesz, coś powiedział?

— Wiem, com powiedział. Jeszcze wam dodam: pocałujcie mnie w rzyć.

— Żeby ci ozór skołczał w tej godzinie, kiedy

ksiądz przyjdzie do ciebie z Panem Jezusem za to, coś ojcu powiedział.

— Idź do pola i szczekaj jak pies, obydwaj się zdacie do siebie. Tu mom twoje godanie — podrzuciła spodnicę Bielowa. — Wynos się, bo cię, cholero — wrzeszczała, zamierzając się w niego polanem.

— Nie póde — pchnął żonę, że padła na ziemię. Już miał ją kopnąć. Zatoczył pięściami — wyzabił ją.

Przyskoczył syn, odtrącił starego. Stanęli naprzeciw, groźni, mściwi, dyszący. Spotkały się ich oczy i w chwili krótkiej, jak cios serca, ojciec zajrzał w głębię duszy synowskiej, syn zajrzał w duszę ojca i zobaczyli to samo: zemstę, jakby porzuconą siekierę, po którą obydwaj mają sięgnąć. Równocześnie przypadli do siebie, zwarli się siłą mięśni, wielokrotnie spotęgowaną przez nienawiść. Związani w kłęb, prali łbami o krawędzie napotkanych sprzętów. Raz ojciec syna, drugi raz syn ojca przyduszał kolanem. Naprzemian charczały przekleństwem i bólem tłuczone gęby, tylko zgodnie chlustała krew, we wspólnej kałuży zbratana.

— Jezu, zabije mi dziecko — Bielowa prała męża pięściami, jęcząc i wołając pomocy. — O Matko Przenajświętsza, o słodka Maryja, dopomóż mi — przyskoczyła do najmłodszego syna stojącego naboku, wtykała w jego dłonie kawał drewna. — Bij, Jasiu! nie ojca bijesz, ino złą krew. Ślipia mu wydrzyć, ręce, nogi połamać. Dzieci, dzieci kochane.

Walczący odpadli od siebie. Wsparci plecami o ścianę, obszarpani, skrwawieni, ślepiami się bodli jak dwa rozjuszony byki, które mają znów uderzyć na siebie rogami. Jeszcze kipieli nienawiścią. Runęli łba-

mi. Zakręciło się w izbie od przetaczanych ciał, charkotań i przekleństw. Jeden drugiego musiał zmóc, pokonać i usunąć. Przekleństwa ich miały jednaką zemstę, ich pazury jednaką twardość i nieustępliwość. Biel pierwszy wyszamotał się, kopnął syna jak szmatę zmoczoną krwią ojcowską, chwycił oburącz krawędź ławy i powoli wstawał, wygrzebywał się z upadku, z ziemi, z podłogi. Stanął na środku izby. Już nie podniósł kułaków. Przetoczył się przez próg, zgarbiony człapał, aż ziemia stękała od łoskotu kroków dokąds idących.

Bielowa ciskała za odchodzącym tobołki, szmaty, resztki jego majątku.

— Zabierz, niech mi nie śmierdzą. Żeby cię święta ziemia nie nosiła.

Biel wyrwał kół z płotu i siedł z nim już nie przeciw rodzinie, ale przeciw swemu domowi i ludziom. Widmo zbroczone krzyczało.

— Żeby was, żeby święte sakramenta poraziły.

Odrzucił drąg, chciał podjąć bryłę, aby cisnąć, i w tym wysiłku już nie mógł jej dźwignąć. Opadł ciężarem na stertę jak zwalona skała. Rozkudlony łeb zwisał jak u zmordowanego byka niezdolnego do walki. Biel ścierał, zgarniał i odrzucał pomrokę gęstniejącą na ślepiach.

— Dzieci! dzieci!

Buciska potężnym naciskiem deptały nietylko ów skrawek ziemi, ale cały krzywdzący go świat. Bryły pięści zsunęły się i wyczerpane odpoczywały z rozczapierzonemi paluchami. Krew ściekająca z ran spływała na opuszczone bezwładnie ręce, po których za każdym razem dreszcz przebiegał, a stąd na ka-

mienie, mające tę samą twardość, co jego kułaki, i paliła się czerwienią ognia. Biel ponuremi spojrzeniami liczył krople kapiące z jednostajnym łoskotem.

— Synuś mnie tak oporządził, synuś kochany, za moją pracę. Wyzabijam, wypalę, żebyśta się tal. poniewierali jak ja.

Oderwał się stąd, wyprostował, dźwignął wysoko ramiona i znieruchomiał, zmieniony w groźny znak, w potężny kolos wyrosły ze skały, z najtwardszego jej osierdzia. Zatrząśł, załopotał w powietrzu pięściami.

— Jeszcze — po-pa-mię-ta-cie. Jeszcze wy!! na ojca rękę podnosić!

Zdawało się, że to pękła góra ugodzona gromem i z jej głębin wichur wyrzucił przekleństwo, grożące mordem.

Biel szedł polem, przez miedze, zagony, zaspę, co chwila zginał się, sięgał po śnieg, ugniatał w garści i ocierał nim pokaleczoną twarz i zaczerwienione kuły odrzucał precz. Wędrował dokąds i znaczył swoją drogę śladami stóp i skrwawionymi bryłami.

Stękanie rozrywało pierś.

— Jaka matka, takie dzieci. Kainowe nasienie.

V.

Odgłosy awantury, dość niezwyklej w tych stornach, rozlegały się donośnie po osiedlu. Ludzie wybiegali z domów, stawali we drzwiach, głośno rozprawiając. Na widok krwawego widma, podejmującego kamienie, zegnali się krzyżem. Dwaj chłopcy, stojący pod drzewem, śledzili wypadki osłupiałym wzro-

kiem, a przy głośniejszem przekleństwie powtarzali mściwe słowa, nieraz słyszane.

— Przez niego mama chorują. Jabym go siekira przez łeb. Popamięta mnie. Taki zbój, taki krzywdziiciel.

Kiedy Biel leżał na stercie kamieni, ich ręce podejmowały największe bryły i ciskały w tamtą stronę.

— Jeszcze ci mało dali. Masz! masz!

Widząc Biela dzwigającego się ze sterty, z przerażeniem pomknęli w górę.

Słońce stanęło już dość wysoko, rzeźbiąc zarysy widniejących gór ciosami swego światła. Las ośnierzony tracił jednolitość, czynił wrażenie podartego błękitu, porozrzucanego po zboczach między wysterczającymi skałami.

Alojz wspinał się żwawo, za nim podążał Staszek, zapadając w zasy, raz za razem gubiąc zbyt wielkie chodaki, które mimo to pracowicie wyciągał. Nie miał sił wołać, więc machał zmarzniętymi rękami. Tamten ani myślał się obejrzeć. Co go obchodziło, że komuś zimno, kiedy jego pędziła taka uciecha. Staszek wtulił zziębnięte dłonie za pazuchę i cicho pochlipywał, wymawiając dygocącymi wargami imię brata, wreszcie wybuchnął płaczem.

— Alojz, Alojz! pockoj, mamie powiem.

Alojza litość wzięła na widok małego, a zarazem lęk, że po powrocie matki będzie awantura.

— Wystyrmaj się haw, to ci przypnę narty i nauczę cię jeździć.

Chłopak, rozgrzany nadzieją, brnął coraz prędzej i ubielony stanął obok brata wpatzonego w stronę wsi, leżącej poza górą. Pasma gościńca zawiane śniegiem snuło się pomiędzy domami. Dymy płynęły

w przejrzyste powietrze, kreśląc je swemi znakami. Zbocza, pochylone ku południowi, migotały drzazgami światła. Chaty, zagrzebane w zaspach, połyskiwały słońcem, rzuconem w kwadraty okien. Wieża kościoła strzelała błyskawicami w błękitną pustkę.

— Stasiu! patrz, mama tam jadą, zarazem poznał po koniu.

Niewielki zaprząg wił się niby zabłąkane czółno, przedzierające się przez wzburzone fale bieli, błasków i cieni.

— Kaj są? — mały dreptał, wołał, prosił.

— O, hań! widzisz! pockoj, to cię podniesę.

— Jadą! iście jadą. Krzyknę, może się obróć. Mamo! Mamo! widzę was, obejrzyjcie się — wrzeszczał, przykładając dłonie do ust. Głos poleciał po śniegu, spłynął po zboczy i roztrzęsiony po gałęziach, rozwiął się w przemarzniętem powietrzu. — Gdzieby słyszeli — zawiedziony zamilkł.

Sanki grzebały się w zaspach, wdrapywały pod górę, zbiegły wdół po wyślizganym gościńcu, malały i zniknęły w gęstym, fioletowym cieniu, zalegającym równię. Jeszcze dzwonek tętnił gdzieś i w przepaściach dzisiejszego dnia wyjawiał swą obecność. Chłopcy spojrzeli na siebie i wyrzekli jednakim głosem.

— Pojechali.

— Teraz buch. — Alojz wziął rozmach i skończył z pagórka, aż kurniawa wzbiła się z pod nóg.

Staszek patrzył z zazdrością, zmieszaną z podziwem, i krzyczał z płaczem.

— Weź mnie! weź, jo tak samo.

VI.

Koń wiozący Malinowską posuwał się z trudem. Sanki, jednostajnie skrzypiały wśród mijanych drzew, słupów telegraficznych, drżących w mroźnej pustce, i rozsypywały głos dzwonka, przyczepionego do dyszla. Spłoszone wrony przerzuciły się z przydrożnej wierzby, stadem przekreśliły przestwór, spłynęły cieniem po twarzy chorej, po zgarbionych plecach woźnicy i zapadły w głąb błękitniejącego opodał lasu. Gdzieś rozprysły się ptaki w powietrzu, zadzwoniły po swojemu, nie było ich widać w oślepiającym blasku, leciały tylko drobne nuty, dźwięczące okruchy.

Rzeka gwałtownym skrzętem rzuciła się przez rozdarty zwał gór i buntowniczym prądem uderzała w skalisty brzeg. Skłębiony nurt wybijał się z pod lodu, chwycił odbicie nieba pod ruchliwe skiby fal, znikał pod pokrywą, aby huczeć w mrokach, daremnie bić w skorupę uwiecznionym pędem i znów dalej zaszumieć, rozbłysnąć na powierzchni.

— Władek, o! — szepnął młody Zachwieja. — Pluszcz.

— Kaj?

— O hań — wskazał biczyskiem, nie chcąc głosem spłoszyć przyczajonego ptaka.

— Stańmy.

Mały, czarny ptak, z białym serduszkem na podgardlu, tkwił bez ruchu na krawędzi lodowej tafli, wpatrzony w przemijającą wodę, w odmet odbitego nieba, poplamionego przelotem obłoków. Od czasu do czasu błyskawicznym ciosem przeszywał odległość, wbijał się w płusk, rozruch fal, w sam błękit, w samo słońce.

— Pewnie utonął, tyle czasu go nie widać — stwierdził Zachwieja z żalem.

— Gdzieby utonął, zaraz wyśmignie, ino patrzeć.

— Może w dziurę wpadł, zadziergał się kajś i już go nie uwidzimy. Że też w taką zimę chce się biedakowi pod lód skakać.

— Widzisz go?

Ptaka zatrzepotał, stanął na dawnym miejscu, z polśniewającego grzbietu otrząsnął światło, pokłamał głowę i zastygł wciąż baczny. Po wielokroć się pograżał w pluszczący, skędzierzawiony odmęt, aż wkońcu coś wyblęzło w dziobie, jakby z ciemnej toni wydobył drobinę srebra, zaklęty kryształ fali zagubionej na samem dnie.

— Czego stoicie? Jedźcie — rozkazała Malinowska.

Chłopcy niechętnie potrząsnęli lejcami. Popędzony koń ruszył żwawo, aż z pod kopyt rozlatywały się drzazgi śniegu. Władek zeskakiwał z sanek, otulał troskliwie matkę.

— Nie potrzebujecie czego? nie zimno wam?

— Dobrze mi. Gdzieby mi było zimno, kiej jadę z nadzieją. Jezu, żeby wyzdrowieć.

— Może poradzi.

— Żeby Pon Jezus dał — i oczy zajaśniały światłem, zesłaniem chyba z samego nieba.

Władek naciągnął czapę na uszy, wtulił głowę w cuhę i usnął. Jechali w zupełnem ośpieniu. Trzasnął nadeptany patyk, zastukało kopyto na kamieniu, rozprysło się lśnienie na zamrażniętej kałuży.

Chłopcy obudzili się dopiero wtedy, kiedy koń skręcił z gościńca na obszerny plac i stanął przed studnią.

Na skrzyżowaniu dróg, jakby w ich zwartym uścisku, mieściły się zabudowania niegdyś zasobnego zajazdu, teraz zaś zubożalego, zgrzybiałego. Po dziurach pod okapem zapadającego dachu, sięgającego niemal ziemi, hałasowały wszędobylskie wróble, wylatywały z kryjówek, skoro zjawiał się nowy zaprząg, i napełniały dziedziniec niesfornym zgiełkiem. Wśród zabrudzonych zasp, zasłanych resztą siana, obroku, płonął kogut otoczony gromadą wielbicielek. Raz za razem pod jego władczemi nogami ścielił się rozpostarty kłęb kury, udającej, że chce sfrunąć, bronić się, bo trzepnęła skrzydłami i nieruchoma pozostała. Raz za razem zeskakiwał, dalej wodził orszak po podwórzu, a wzamian za doznane uciechy wskazywał odrobinię owsa, zawieruszonego w śmieciach. Przed zajazdem panował ciągły ruch. Ktoś przybywał, ktoś zaprzęgał i ruszał stąd. Dzwonki, towarzyszące każdemu krokowi, wyjawiały chwilę odjazdu. Ludzie, waląc w kożuchy pięściami na rozgrzewkę, wbiegali do wnętrza, skąd wybuchały kłęby pary. Pozostawione konie, przykryte derkami, zagłębiały łby w obroczniku, deptały zgnojony śnieg, kwieziały, gryząc się, wszechynając awantury. W chrzęście, w rozgwarze, w dźwiękach i łoskotach gospodarzyły wróble niemal pod kopytami; w żwawych podskokach chwytaly ziarna, spadające z pysków w ich głodne, nigdy nie zadowolone dzioby. Indyki, doprowadzone do wściekłości zjawieniem się podróżnych, z gulgotaniem przyskoczyły do czerwieni wyszytej na góralskich portkach Władka.

— Idziesz, ścierwo — śmignął batem tak, że stado rozpadło się po dziedzińcu i podniosło wrzask z różnych stron.

Gotowy do walki, napuszony indor trzaskał, orał

wyprężonemi skrzydłami zmarzniętą ziemię, płonąc krwią i ogniem.

— Może co postawisz? — zaśmiał się Zachwieja.

— Chodź.

— Zaraz, ino nasypię koniowi obroku.

— Trza kupić dochtorowi gorzołki, bo taki zwyk — mówił Władek, patrząc w czeluść otwartej karczmy. — Mamo, przynieść wam bułkę?

— Nie, nie, synu. Szkoda grosza — wyszeptała — trza Józia ugościć, bo jakżeby inaczej. Niech nie narzeka. Ino sam nie pij.

W obszernej izbie, zapełnionej pod powałę dymem, zaduchem tanich trunków, w półmroku brutalnie rysowały się wyciosane kontury barczystych postaci, twarzy, kożuchów. Rząd czarnych, rozwichrzonych łbów, przepleciony łysiną i statecznie wygładzoną siwizną, otaczał ochlapany stół. Podpici chłopci dudniącym głosem rozprawiali o wszystkim, co trapi, co męczy, co gnębi, co płacze, co przeklina. Więcej ze zgrzytających zębów, z pięści, niż z serca.

Chłopcy kazali podać małą flaszeczkę okowity i dwie bułki. Stojąc, raczyli się przy szynkwasie. Władek tylko umaczał wargi w kieliszku. Niezwyczajny. Starszy od niego Józek wypił do dna. Czego sobie miał żałować? tej rozgrzewającej uciechy? Nie słuchali rozprawiających chłopów, ale urywki rozmów spadały w ich stronę, jak rozżarzone węgle zwiane z dróg polskich wsi.

— Mówię ci, taki ogień pójdzie po świecie, że ha, nikt nie będzie chciał ratować i gasić.

— Czekomy na ten ogień i nijak nie możemy się doczekać. Jak było, tak jest, ino popłakujemy, a trza, wisz, bracie — z oczu powiał ognisty wiatr. — Gnaty

urobisz, a dzieci nie mają buta na nogi, łacha na grzbiet. Jak to może być. Jeden ma o tyle, a drugi ani tyle, co czarnego za pazdurem. Czego tak, bośmy to nie równe ludzie, bośmy to nie jednako posokę rozlewali, gdzie było trza?

— Ten świat się spali i wszystko, co złe, nowy porządek musi nastać, żeby każdy miał co jeść, w czym chodzić, żeby się nie poniewierał w bidzie. Terażeśmy pańszczyźniane chłopcy we wolności. Wolność jest, ki-je są, ino chleba niema. Taka pańszczyzna gorsza niż tamta. Co mi jest Polska, kiej zagonka nie mam.

— Ej, były to dawniejsze czasy, były, inne rzędy, prawo sprawiedliwe, porządki. Chlib był, robota była i piniądz był. Zatańcowałeś, popiłeś, dziwuchę wyściskaçeś, bo cię cieszyło życie. A teraz co? frasunek, zgryzota i nie trza ci mówić, bo wiesz sam. Zemścisz wszyćko i drogę do nieba grzychem grodzisz. — No — ujął w palce kieliszek. — Na strapienie.

— Ile kropel — stukali szkłem, przechylali głowy i wlewali do dna, jakby łyż z ognia, co przed chwilą wypłakali.

— Czegośmy nie wyglądali, tegośmy się doczekali.

— Ej, Boże, Boże — wzdychali zgodnie.

— Nie dziwota. Brak gospodarza. Niema pastorza, to i owce głodne. Kto ma dbać? Jak żył nasz ojciec, to było inaczej. Nasz najjaśniejszy pan to był gospodarz, hohoho, drugiego takiego szukać, pan dobry, mądry, rządny, nie bał się niczego, chłopskiej ręki się nie wstydził, chodził po wsiach, pomógł ludziom w robocie, zjadł z tej samej miski, co ty, zapytał się, jak, człowieku, żyjesz, ile podatków płacisz, dowiedział się, kto łajdak, kto kradnie, i zaraz takiego

za pysk i do kryminału. To się urzędniki bały. Wszyćko widział, wszyćko zbadał, to wiedział, jak trza panować.

— Tak było? — zapytał młodszy z niedowierzaniem.

— Tak było. Mój tatuś mówili mi, bo jo wtedy jeszcze koszulę w zębach nosiłem. Teraz kto na cię poźry? jest taki? zapyta się, jak żyjesz? czy zdolisz wszyćko na plecach unieść? Nie zapytają, ino drą skórkę za skórą. Żebyś miał dziesięć skórek, to ci nie zostawią ani jednej.

— Biją w dupę i płakać nie dają.

— Użalenie było do najjaśniejszego, a dzisiaj do kogo? ino do jednego nad nami — ramię podniósł i paluchami wskazywał niebo. — Bali się, bo najjaśniejszy był miłosierny.

— Kogut grzebie do siebie, a kury jeszcze bardziej. Ale trza, żeby kto posiał. Posiejesz, jeszcze nie wyrośnie, a już ci wydziobią. Ma być dobrze, kiej posiane wyniszczą. Co taki kryślak wie, umie w papierach grzebać, żeby na źle. Dawniej wszyćko się trzymało kupy, a teraz wszyćko ginie. Jak się ma trzymać, kiej każdy ku sobie ciągnie i co może, uskubie. Nie starczy wszyćkiego, potargają, rozniesą, rozstrzeprą i największą gospodarę, a ty, chłopie, rób, swojej woli nie miej. Pomstują teraz ludzie. Nie biją kijem, ale biją pieniędzmi i nie móc sobie dać rady.

Ktoś kłął, ktoś pięści położył. Pomruk zatrząsł karczmą. Z gniewnych chmur, z kipiącego gwaru zerwał się zwalisty chłop, oparł łapy na krawędzi stołu, jakby dębowe konary, i zaczął z łbem naprzód podanyin.

— Jagem służył w burgu, to wiesz, habtag, to było

psiakrew habtag, inoś kopyta ześlusował i zamurowanyś. Mógł ci śpik z nosa taki wyleźć, po pas, a tobie nie wolno jęzorem oblizać, boś miał przez sobą zawdy najjaśniejszego pana.

Wszyscy, jak na komendę, sprężyli się, aż im kości wyłaziły, i ledwo się trzymając na niepewnych nogach, stanęli na baczność przed owym najjaśniejszym panem, z oczami rozjaśnionemi światłem tamtych wspomnień.

— To było komando, to była egzycyrka, to był mondur, jageś przyszed na urlaup, jageś zaświeceł guzikami, jageś wása podkrecił, to każdego urzekło, a dziwki, o tak, nogami przebierały, jak jałówka przed pirszym razem, spodnica sama od uciechy podskakiwała. Choćbyś nie chciał, musiałeś grzyszyć.

— Prawda, prawda, tak było — wszyscy przytakiwali, patrząc w tamte czasy jurnej młodości, szalejącej pod płótem, na szopie, wszędzie.

— Boże! Boże! już się chyba nie doczekamy takich czasów, cysarskich — łysy starowina émił smętne fajczynę i pochlipywał, kiwając się nad lotnym dymem — zmarło się cysarzowi i nam się zemrze. Już niema co robić na tym świecie.

— Niema, sprawiedliwie niema.

— Było dobrze, a teraz jest źle. Wiesz czego? W czternastym roku stanął zygar i nikto na świecie nie umie go naprawić, czasem jeszcze go cholera weźnie, szarpnie się, idzie, ino nie można wyrozumieć, która godzina, a ludzie wciąż na niego patrzą i patrzą.

— Tego tak jest — podpici westchnęli, tręcili się porozumiewawczo łokciami — rozmaicieśmy myśleli, a teraz już wiemy. Zygor się zepsuł.

— Te — chłop, rozparty na stołku z wyciągniętymi nogami, kiwnął palcem w stronę szynkwasu — parchu, jeszcze jedną kwatyrkę.

Karczmarz udał, że nie słyszy, zaprzątnięty ustawianiem flaszek.

— Widzisz go, nie słyszy. Dawniej inom otworzył pulares, to leciał, mało nóg nie połamał, a teraz — machnął boleśnie garścią — co się to nie robi. Te, panie pon, te jasnie pon, po jakiemu trza do cię mówić? Psiakrew, jak się dźwignę, to zaraz usłuchasz. Jeszcze flaszke.

Wlewali w siebie przezroczysty ogień, tylko dziadyga z fajką stęzał pogrążony w gorzkich rozmyśleniach, potem kiwał się nad wódką, jakby nad marnością świata, wkońcu ujął kieliszek w dwa palce i podniósł pod światło.

— Jakby ci ksiądz kazał każdego dnia pić kwatyrkę za pokutę, tobyś nie pił, na klęczkachbyś prosił, że chcesz odmawiać paciorki rano i wieczór.

— Iście, na klęczkach... I ma być dobrze.

— Bieda, przebida.

— Dawniej misjonarze zakazywali pić, do piekła ścigali ludzi. A teraz przyszedł misjonarz — kryzys i nikt nie pije. Ino raz kole Wielkanocy, kiej człowiekowi źle.

— Takie babry musisz łać w siebie. To drewniak, a nie gorzałka. Dawniej ze zboża, z chleba okowita, a teraz rzezą drzewo, kszą trociny, kazują pić i płacić za taką truciznę. Takie czasy nastały. Każdy kij na cię, chłopie. Nie będę pił — trzasnął szkłem o podłogę. — Wszyćko tak — zapłakał rzewnie nad chłopem utrapionym, nad jego sakramencką dolą.

— Kumie, swoku — wołali wokoło — nie płacz-

cie telo — przygarniali biedaka, wtykali kieliszek w oporne palce, do gardła chcieli lać gwałtem.

— Nie będę pił — coraz słabiej się opierał, ocierał spłakaną twarz i wzdychał pogodzony z wolą Bożą — napiję się, jak tu nie pić na takie strapienie.

Władek słuchał, nie przepuszczając ani jednego słowa, czasem się zaśmiał, czasem ślepiami błysnął. Nie chciał stąd odejść. Popędzony przez Józka, wydłubał z węzetka pieniądze, mozolnie przeliczył i wskazał butelkę stojącą naboku. Szynkarz, nie kwapiąc się z podawaniem, przymrużył jedno oko i uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Jedziecie do doctora?

— Zarazbyśmy jeździli po doctorach — burknął niechętnie.

— Nie chcesz powiedzieć, to nie, nikogo nie przymuszam. Tyle ludzi jeździ tędy, to wiem, co trzeba zawieźć, on innej wódki nie pije, ino tę, to fajń, to cy-mes — cmoknął w złożone palce — sam ksiądz lepszej nie pije — bez pytania postawił flaszkę przed chłopcem, patrzącym z przerażeniem na złoty napis i gwiazdki. — Na lekarstwo nie można żałować i targować się.

Władek nie słuchał kłótni miotającej się wśród pijanych, nie zwracał uwagi na słowa szynkarza, zaprzątnięty troską, czy wystarczy pieniędzy na zapłacenie. Dygocącymi palcami liczył ostatnie drobne, a tak nieudźwignione grosze, jakby łyzy i pot zmienione w połysk, ciężar i dźwięk. Pierzchnął stąd z flaszką ukrytą pod pazuchą.

— Jedziemy.

Na rozstajach mijał ich chłop w sankach, pogrążony w dumaniu.

— Daleko do Kieczny?

— Do Kieczny? — zaczepiony ściągnął lejce, otrząsał się, zamrugał powiekami. Koń stanął z własnej woli. — Z chorą jedziecie?

— O takta, takta, jedziemy, do jednego tam.

— Powiedz prawdę, to ci dobrze poradę.

— No, do Gorzkowskiego.

— No, to tak mów.

— Pomoże? czy szkoda jechać?

— Jedź, bracie. Słuchaj, co ci powiem. Z dziopięciem jeździłem po dochtorach. Umią oni pieniążki z dziesiątej kieszonki wydrzeć. Tak i ze mną, obdarli do ostatniej nitki i powiedzieli ino tyle, co sam wiedziałem bez nich: Pan Jezus ją uratuje. Dziopię mi schło i myślę: to już niema nijakiego ratunku. Co nie robię, jadę do Kieczny. Ino raz poźrał i od jego oczów odmieniło się. Dzisiaj z niej taka czerwona dziewucha, ani nie wie, czy kiedy chorowała. Z duszy — serca ci życzę, jedź, kobito. Jak będzie choroba niepobabrana i nieprzejdziona, to powie tak i tak i poradzi rzetelnie.

— A jak pobabrana? — Malinowska ledwo tchnęła i bez sił czekała na odpowiedź, która ją dźwignęła i kazała z radością patrzeć w przyszłość.

— To swoją mocą odczyni.

— Bóg zapłać za pociechę.

— Wio, maluśki, wio, nieboroku — chłop potrząsnął batem. Szkapina pociągnęła, nie śpiesząc się zbyt, wiedząc, że dojedzie, dokąd trza dojechać, mając czasu aż za dużo. Odjeżdżający leniwie się odwrócił i zawołał. — Te! zapomniałem jeszcze rzeknąć, nie mówcie nic na niego pod gołym niebem, bo wszystko ustyszy i nie będzie chciał poradzić.

— Poratuje! poratuje — zeptała Malinowska, wpatrując się w niebo oczami sięgającymi samego Boga.

Jeszcze po wielokroć kazała pytać spotykanych ludzi, a słysząc odpowiedzi, żyła nadzieją, to pogrążała się w zwątpieniu. Jedni mówili, że temu pomógł, tamtego podniósł ze śmiertelnej pościeli, niejednemu przyniósł ulgę, drudzy się śmiali, że gówno wie, inni kazali zawracać, bo to łupiskóra i blagownik, a inni żegnali się zabobonnie i zagradzali drogę, aby niejechać do takiego, co z djabłem żyje w przyjaźni i braterstwie.

— Mamo, nie jedźmy.

— Jedź, synu, niech się dzieje wola Boża.

— To jakisi oszukaniec, drze skórę i ludzi oszukuje, albo blagownik — powtarzał słyszane obelgi.

— Stul gębę i nie godoj tyle — krzyknęła chora, bo doznała wrażenia, że ów czarownik tuż obok stoi i słucha rozmowy.

Z gościńca skręcili na boczną drogę. Mijali obce domy, sprawy gospodarskie, rozmiotaną krętanicę po podwórzach, łomot cepów. Malinowska jakby w jasnowidzeniu powtarzała.

— Wszyćko tak samo, wszyćko już we śnie widziałam. Tędy jedźcie.

— Czyście tu byli kiedy?

— Nie byłam, ino łaska Boska mnie prowadzi.

— Daleko do Gorzkowskiego?

— Kęs drogi, o hań, na pagórku — zagadnięty przechodzień wskazywał stojące na uboczu zabudowania, rozbłyskujące południem. — Łatwo traficie, bo topola rośnie przed samymi dźwirzami.

— Co powiedzieli? — gorączkowo zawołała, nie chcąc wierzyć własnym uszom.

— Łatwo poznać, bo topola rośnie przed dźwierzami.

— Topola! Jezu, wszystko mi się wyśniło, wszyściuśko — już nie widziała ziemi, ale sam błękit rozścielony nad jej nędzą. Wierzyła, że dzisiaj nastąpi przemiana po tyloletniej męce, tutaj ostatni ratunek. Błagała o łaskę pracy, aby mogła wyjść w pole, ująć sierp w zdrowe ręce. Przysięgała, że po wyleczeniu na kolanach powlecze się przez góry, lasy, rzeki do miejsca słynącego cudami. — Póde do Matki Przenajświętszej.

Wystrzeliła smukła topola, niby zwinięta chorągiew, chwiejbą gałęzi, ich szumem przemawiająca do przepływających obłoków i do stada wron, okrążających jej wierzchołek wieńcem czarnych krakań. W gęstwinie dzwonił jakiś szary ptak, witający południe, a tyle miał dźwięków, ile kropel dzisiejszy słoneczny dzień.

Na obszernem podwórzu znać było dostatek, za-sobność i gospodarność. Stodoła, naprzestrzał otwarta, ledwo mogła pomieścić nadmiar plonu, aż z zapola sypały się na boisko pszenne snopy.

Kiedy zajechali na obejście, ktoś spojrzał przez okno i zaraz w progu stanęła baba sucha, wysoka, jak miotła postawiona w kącie, mająca usta ściśnięte, oczy siwe, śmigające po świetle poto, aby się wściekać i gryźć.

— Czego tam?

— Przyjechalim do pana dochtora.

— Idźże, przywitaj się — Malinowska z sanek

upominała syna — powiedzą, żeś z lasów i nie umiesz się zaobchodzić z ludźmi.

„Dochtorowa“ wyciągnęła zmarszczone łapy do pocałowania.

— Nie trza, nie całuj, nie napieraj się telo — mówiła do przybyłych, a wszystko widziała, co w stajni, co w stodole, co na obejściu.

Z szopy wylał pasterz z naręczem siana, prosząc po śniegu.

— Te, dziurawe masz garzcie, że siejesz? zaraz ci dziury kijem załatam — wrzała, aż mało lekliwe wróble poderwały się i zaczął się strachu. Kogut wspiął głowę, spojrział, jakby na nadciągającą burzę z piorunami, i z wściekłością zaczął grzebać świeżo wyrzucony nawóz.

— A ruchoj się, a ruchoj, boisz się kłoska prze-trącić? Coś taki strachliwy — krzyknęła ku młockom, aż zadudniło wokoło. Potężny głos, budzący podziw, skąd tyle siły nabrało się w takiej chuderławej babie, zagłuszał wszelki zgiew, jedynie tylko cepy pogruchotały go i dalej młóciły, prały w boisko.

— A żebyś, ścierwo, ogłuchła.

— Mojego niema, zaraz przyjdzie. Widzę, same kalietwo przywieźliście — rąbnęła ostro, dosadnie. — Wam chyba już nic nie pomoże.

— Nie odbierajcie mi ducha, w rękach Pana Jezusa ratunek.

— No, wlićcie — otwarła obszerną izbę, pełną słońca i kwiatów, wylewających czerwień i zieleń z doniczek i glinianych wazoników.

Przez mroczną sień przenieśli skureczony szkielec i złożyli na szerokiej ławie. Kot, leżąc na wygrzanej podłodze, stulał aksamitne łapy, jakby chciał chwycić

złoty pył drgający w powietrzu. Na odgłos obcych kroków odwrócił leniwie głowę, nie chcąc opuszczać swego miejsca. Spłoszony wejściem ludzi odbił się potężnym susem, wyskoczył na stół, a stąd na piec; tak chyżo przeciął izbę, że tylko cień jego mignął po jasnej smudze, znieruchomiał niby złowieszczy posążek, owinięty prężnym ogonem. Malinowska spotkała jego oczy rozbłyskujące niesamowicie i chcąc odpędzić złó, przeżegnała się nie bezwładną ręką, ale strwożoną duszą.

— Pewnikiem djabelski pomocnik — widziała utkwiony wzrok, wzniecający zabobonny lęk, i drżąc, szeptała — zostawił go, żeby mnie pilnował, o Jezuu, nie opuszczaj siroty.

— Poślę po mojego, w trzy miga przyjdzie — gospodyni gniewnie się rzuciła z izby i wrzasła — Marena! Marena! jezdeś hań!

— Czego tam? naco tyle krzyku? — dziewczka wychyliła rozkudłony łeb z chlewa.

— Dam ci czego tam! Nie słyszałaś, że cię wołam?

— Cobym nie słyszała?

— Drużbów mam po cię posłać? Zmacam ci gnaty kijem, to się przeckniesz i zaczniesz ruchać gicołami.

— Zaraz kijem, aha, krowie powiem: nastąp się, to usłucha, nie trza kija, a na człowieka? Boskie stworzenie? grzych.

— Nie mędrkuj, nie mamraj, ino goń po gospodarza.

— Kiedy wydoję?

— Juchy ci udoję, to usłuchasz, psiekrewskie ścierwo, patrzcie ją to, z takim pyskiem na gospodynię.

— Ehe, zaraz juchy, bom to pies? Kazują mi gę-

bę zawrzyć, wy se co innego zawrzyjcie — mruzczała pod nosem. — Kiej gnój wyrzucę? kiej kole krów porządek zrobię? nijak się nie móc obrobić, bo ganiają, ganiają, jak to bydle od rzeczy do rzeczy. Psiakrew, cholera ich cista — z wściekłością wbiła widły w steretę nawozu, jakby w bebechy samej gospodyni. Wychodząc ze stajni, poślizgnęła się na kałuży, wyciekającej z pod progu, i zaświeciła nagością powyżej schlastanych kolan. Warknęła w stronę drzwi:

— Kaj są gospodarz?

— Kaj som? Kaj som? ścierwo nieusłuchane, jęmość posyłałi, żeby przyszedł na pacierze z tobą. Nie wiesz, kaj som? Jak ci powiem, to... — świsła ją ślepiami, że dziewucha skoczyła, o mało nóg nie połała.

— Od rana do nocy ino w dyrdy, ino w dyrdy, pary już zabraknie — spuściła podkasaną spodnicę, trzepnęła po fałdach, zgarnęła z głowy bartóg, obciągnęła chustkę naokoło rumianej twarzy i wybiegła na drogę, zostawiając na białym śniegu stajenne ślady.

Parobek stojący przy sąsiedniej chałupie chwycił ją w pędzie za kaftanik, w tem miejscu wypięty i tak kusząco spiętrzony, że o mało nie pękł pod naciśkiem jędrnej twardości.

— Marena, dej mi tej rzepy.

Nie zatrzymując się, trąciła go ot tak ze zbytków, ale dość krzepko, bo zachwiał się namiętny biedaczyna i gdyby nie miłosierny płótek, toby całkiem się nakrył nożynami. Na pożegnanie pokazała rząd zdrowych zębów.

— Co się bierzesz, kiej jesteś przez nijakiej mocy.

— Z tobą to pofiglować nie można — stęknął, gramoląc się z upadku.

— Figle mu w głowie, kiej nie mam czasu i gospodyninie przegania, a wydziwia — ze złością rozgniała śnieg rozciapanemi chodakami. — Inom go razik tknęła, a on zaraz pac, aż mi żal chudocka. Żeby tak zaraz? nie do pojęcia.

— Poekoj, dam ci wieczór — krzyknął tamten z pogroźką wiele obiecującą.

— Chuchroś i wieczór — błysnęła wyzywająco ślepiami — zwolniła nieco biegu, ale zaraz stawiała wielkie kroki, owładnięta gniewem. Z goryczą wspomniła przecierpiane zawody. — Żeby wieczór był taki krzepki, jak w dzień wydziwia... taki z niego chłop, jak z masła żelazo, wnetki się rozmaźga. W pysku z niego cholera, ale do nijakiej rzeczy, co się grzecznej dziewczusze przynależy — całkiem zgnębiona, nawet nie spojrzała na nieboraka, który śpiesznie się cofał za węgiel, aby ktoś nie zauważył zajścia, i tylko zdaleka patrzył z podziwem i chciwą miłością na bujne kształty. — Na takiej kamieniebyś tłukł, ej pokruszyłyby się i kamienie. Jak tu zdzierżyć przy takiej?

Na otwartej przestrzeni wiatr nabrał ochoty, aby zobaczyć wszystko, czego nie można, zachichotał, miotnął mocno i zadarł kieckę dziewczusze, aż golizna błysnęła.

— Ścierwo, ino na złość człowiekowi — musiała spodnicę poprawić, spadające chodaki nazuć, musiała kaftanik garścią przysłonić, bo guzik już nie mógł wstrzymać i odpryśł od uciechy, co ją rozpierała. Zdyszana Maryśka wkroczyła do karczmy z takim gniewem, że rękami i każdym słowem brała gospodarza za kark i za drzwi wyrzucała. Ale nie na długo starczyło zawziętości. — Zaraz idźcie stąd. Nie myślę więcej latać za wami. Żeby mnie po drodze chłopcy biły i po-

niewierały. A co to jo? — chlusnął z niej żal, że musiała chustką oczy obetrzeć. — Póďteie, bo gospodyni się drą.

— Czego chce?

— Zwyczajnie, chyrloki przyjechały. Za co jo tyle cirpię? Żem chudobna i jestem w obowiązku? — znowu chlipnęła — wasza to ino na mnie zawdy i zawdy. A co ja sirota? Póďteie, będziecie i wy mieli za swoje.

— Nie boję się nikogo, te, dejno mi jeszcze jeden naparstuś — zwrócił się do karczmarza — ino uwiąż na sznurku ten drobiazg, żebym nie połknął, bobyś miał stratę — wlał w siebie blachę okowity, splunął tego, otarł wasy. — No chodź. Że też nie można wyjść z chałupy ani na krok, bo was zaraz djabli noszą.

— Jo nic, ino gospodyni smażą was w piekle.

Kroczył za dziewczuchą nieco chwiejnie, powłócząc nogami na szczełt wyzbytymi z sił. Zgiął się, wchodząc do sieni. Wyprostowany, szeroki w barach, niemal dotykał powały wichrowatym łbem. Przed drzwiami ni stąd ni zowąd, pewnie dlatego, że się nawinęła nieopatrznie, uszczypnął dziewczynę w pośladki i parsknął ucieszony.

— No, na tobie, cholero, ogień można krzesać.

— Powiem gospodyni, to na gębie wam ogień wykrzese.

— Cicho, gospodarzem jestem i posłuszeństwo mi się przynależy i co innego też, jak ludzie nie widzą, bo nie honor przy wszystkich.

Zdrowym śmiechem, zwalistą obecnością zapchał izbę tak, że już brakowało miejsca dla innych. Przycichli, wpatrzeni w przybyłego. Znachor przy przejściu przez próg stracił równowagę, odruchowo spoj-

rzał w stronę żony i odrazu zmalął, spokorniał, niejako znalazł się pod jej kierpcem.

— Psiakrew, zesłałem, tyli kawał w dyrdy.

W odpowiedzi śmignęła oczami, aż błysło w izbie. Chłop minął niemą groźbę, choć wołał, żeby go powitała kłonicą, i wynamrotał.

— Matka, ino nie przy ludziach, na osobności wolno ci. Kapinkem się napił, ledwom język opłókał i tego mi żałować? — pomyślał z rozpaczą. — Niech co chce będzie, — nabrał odwagi, znów górnio sięgnął powały i zahuczał nad chorą. — Pociś przyjechała, bidulo?

Malinowska, gdyby miała siłę, upadłaby do jego nóg, jakby przed świętym tak długo wyczekiwanym na pustyni, teraz, nie mogąc się ruszyć, tylko spoglądała w jego oczy, wielkie, niesamowite, mądre, choć pijaństwem świecące, i uśmiechnęła się z bezgraniczną ufnością.

— Po poradunek i skrzepienie — zamilkła, wpatrzona jak w zjawę, która się urzeczywistniła i przybrała kształty tego żyjącego człowieka. Zrywał się wyraźny szep. — Takiego was widziałam, takusieńkiego. I wyście mi się wyśnili i droga i wasz dom. O Boże, o Boże, wszystko musi być prawda. Pan Jezus mnie do was przywiódł.

Kiedy znachor położył na niej ręce, kiedy oparł wzrok, czuła, że chyba świetlny wicher przeleciał po pokurczonych kościach, po zwątpiałej duszy, że te ręce, te oczy wyniosły ją z otchłani na sam szczyt, w jasność.

— Dlaczegoście dopiero teraz przyjechali? Długoście się wybierali, o długo, wiem, chcieliście nawracać. Nie trza było słuchać — z przepaścistej, potężnej

piersi, jakby z głębi dzwonu, spadały dźwięczne bryły, które Malinowska brałaby w dłonie, ale coś je odręcało. Nagle znachor zwrócił się do Władka — jechaliście do mnie, a co było po drodze?

— No... no...

— Jechalim, jechalim, dobre ludzie pokazali, poradzili, aż tu — chora się zająknęła, bo doznała wrażenia, że ów dziwny człowiek przeświecił ją i widzi każdą myśl, każde wyrastające słowo.

— Nic? a co to była za mowa?

— Ja nie — głos jej z przerażenia zadygotał i zaskrzepł — nie ja... nie... rozmaite ludzie, jeden to, drugi tamto, mają dość złości, ale my nie słuchali, ino się śmiali.

— Znam te śmichy. A kto mówił: czarownik, blagownik, łupiskóra, he?

— Skąd? panie, skąd? to wyście słyszeli? — już nie słowa, ale ostatnie teńnienia wypływały — była mowa po drodze głupia i niepotrzebna.

— Widzisz, trza zawiązać język, bo on więcej złego narobi, jak ręce. Drugi raz w niczem ci nie poradzę i będziesz musiała sobie przyprowadzić księdza.

— Panie, wejrzyjcie na mnie, mnie gorzej jak Łazarzowi — oczy przyczołgały się do jego oczu, rąk i żebrały o uzdrowienie — tyle lat w poniewierce. Com się naciępiąta, to nikt nie wie. Oddalcie ode mnie chorobę.

— Najpierw po doktorach, trucicielach zapłaconych, a kiedy zabiły ducha, to wtedy do mnie, żebym wykurował ciało. Kuruj zeschnięte drzewo. Ducha zabiły.

— Prawda... prawda... tak radzili ludzie głupiemu rozumowi. Zawierzyłam. Dochtory nie pomogły, za-

biły, co było zdrowe, zgasiły nadzieję. Zróbcie tak, żebym choć z rok pożyła i nacieszyła się światem, jak inne ludzie, żebym pożrała w niebo, żebym widziała, jak rośnie trawa na wiosnę.

— Wiem, co ci jest, to nie zwyczajna chorość, nie. Od złego człowieka pochodzi, to w woli ludzkiej ratunek. Będę chciał, to poradzę, a nie, to cię nikt nie wykuruje.

— Z ręki złego człowieka chorość? — powtórzyła martwiejącym głosem. — Powiedzcie, kto winien mojemu nieszczęściu?

— Poco? Żebyś więcej zemściła? Chcesz złością na złość, zemstą na zemstę? on na cię siekierą, a ty dwiema? Czy ci lżej będzie?

— Nie z zemsty się pytam. Choć mi ludzie tyle krzywdy wyrządzili, to nikogo nie zemszczę. Nie chcę, żeby kto na świecie cierpiał tak, jak ja.

— Ino zemstny człowiek chce widzieć wroga. Chcesz wziąć tego człowieka na swoje sumienie, to ci go pokażę, no, powiedz?

— Nie — po długiej chwili napęczniało jedno słowo, jak wielka kropla krwi z pod serca.

— Bo to niepotrzebne. Poco ma przy twojem sumieniu stać z przekleństwem? lepiej niech stoi z chlebem niż z kamieniem. Nie po złość przyjechałaś. Chcesz, żebyś tutaj drugi raz przyszła na swoich nogach, nie na wozie?

— Jezu! Jezu! na nogach? co mówicie, panie? Zróbcie, co w waszej mocy. Tyle się napłaczę, tyle namartwię. Boże, obeźryj się na najnędzniejszy stwór i zabierz mnie, bo niema poco trzymać przy takim życiu. Ale żal umierać. Nie dla siebie, nie. Jak dzieci zostawiać? — wyrzekła wyraz wiążący ją ze światem

najtrwalszym łańcuchem. — Jakbym umarła, to sirotę na zmarnienie pódą. Nie mogę się ruszać, ale choć patrzę na dzieci żywemi oczami.

Znachor poszedł do komórki. Gospodyni wyгнаła z izby Władka i Józka. Malinowska, pozostawiona sama, słyszała przez ścianę stukot, chrapliwą rozmowę, to zakłęcia, to echa kłótni, to odgłosy bójki i szamotań. Wiedziała, że z „przestępem“, dającym mu moc i mądrość, albo z „wodnym duchem“ rozmawia, szarpie się. Potem nastąpiła cisza, widocznie w zgodzie o czymś rozprawiali. Gorzkowski wrócił do izby całkiem odmieniony. Zwichrzone włosy sterczały. Nieład na całej postaci, jakby po szaleńczej szarpaninie z zawziętym wrogiem. Twarz pałająca czerwienią. Z oczu buchał niesamowity ogień. Zwalił się na podłogę i głębokim głosem wymawiał, patrząc w przestrzeń, jakby wyjawiał prorocтва.

— Wyście świadczyli prawdę pod przysięgą?

— Świadczyłam w sądzie, żeby się nie działa krzywda.

— Macie zrobione z zemsty.

— Od Biela?

— Było założone pod progiem, podłote i przejdzone — ominął jej pytanie. — Wtedy jeszcze nie na was. Na brata. Wyście przeszli pierwsza i dlatego. Zemsta i na was była. Jeszcze niejedno nieszczęście na drodze, jeszcze ogień pod przyciesią, nie na niebie, nie, przy ziemi. Krew. Jeszcze siekiera. Noc czerwona. Ogień ugaszę, siekierę wydrę. Boli. Trza znieweczyć jego moc, żeby krzywdy nie czynił. Kamienego on serca, nikt do jego serca nie przemówi — chłop zesłał zupełnie, a po wargach snuł się szept, jak dym, wkrótce znów zaczął rozbłykiwać, gorzeć,

plonąć, obwieszczając prawdy jemu wiadome. W oczach jawił się odbłask chyba wewnętrznych błyskawic i zmieniał ich wyraz, to grozę budził, to łagodził.

Kiedy znachor umilkł, Malinowska zaczęła opowiadać o sobie, o życiu, tak, jakby krew spływała z najboleśniejszych ran, wierząc, że je cudotwórcza zagoi. Wyjawiała największe tajemnice swej młodości; gdyby popełniła zbrodnię, toby ją wyznała przed wszechmocnym i wszechwiedzącym spowiednikiem. Gorzkowski kiwał głową, wykonywał ruchy, jakby ujmował w dłoń te najbiedniejsze słowa, aby je ukoić, uciszyć, i powtarzał.

— Wiem, wszystko wiem, wielka z ciebie pokutnica i męczennica.

Ilekróć popatrzył na Malinowską, doznawała ulgi i w zachwyceniu przypominała sobie biblijną opowieść o cudownem uzdrowieniu. Usłyszała wezwanie wyrzeczone ongiś: dzieweczko, wstań! Pod jego dotknięciem może już poruszyć ramieniem, nogę zgiać, niemoc znika, a ciało nabiera jędrności, zdrowia, gibkości. To Chrystus ku niej zstąpił w tym tęgim, podpiętym chłopie i uzdrawia ją szorstką, zgrubiałą ręką. Szeptąła.

— Odechodzi ode mnie choroba, siadę o swojej woli, pójdę z sirpem do pola, tak będzie, jak zezwolicie, niech się stanie wola wasza. Takam szczęśliwa.

Znachor dźwignął się zwrócony ku wschodowi, coś kreślił w powietrzu, wypowiadał zaklęcia, klęcząc na lewem kolanie, wyciągnął nóż, zrobił krzyż przed progiem i potem z wysiłkiem oburącz go wyrzucał. Słaniając się, stanął w oknie. Znieruchomiał z oczami utkwionymi w górze i drgnieniem warg, a mimo to

nieznaną potęgą rozmawiał ze słońcem, ciskał w niebo błyskawice prawiecznej modlitwy, potem już nie głosem, ale samemi ruchami zaklinacza wołał w przestworza. Pograżony w milczeniu, wpatrzony w siebie, nakazywał szeptem.

— Tak będzie, bo tak chcę. Rozwiążę powrózki złem związane, dam ci siły i pójdiesz za mną, gdzie ci kazuję. Słyszysz, co ci mówię — pochylił się nad chorą, pograżoną w omamieniu, że ma przed sobą mocarza władającego światem, pociągnął ręką po jej ciele i tym uzdrawiającym, rozkazującym ruchem prostował pokręcone kości, życie wlewał w schorzone członki. — Odbiegnie od ciebie zła siła na zatrąte, za rzeki, za morza. Odjedziesz jeszcze teraz na wozie, ale przyjdiesz potem na nogach, póki ja będę żył i ty będziesz żyła, bo ze mnie masz życie — potężnym ciosem uderzony, wstrząsnął się, coś z siebie zdarł i spojrzał wokoło przytomnie, z takim zdziwieniem, jakby się obudził po dręczącym śnie. Opadł na ławę. Oczy ściemniały, duch z nich ustąpił. Został barczysty, tęgi, zuchwały chłop, zdatny do bitki i wypitki, gotowy porwać wszystkich nieokiełznaną ochotą.

— Ale mnie umęczyło — poczłapał do łóżka, po-grzebał pod poduszką i z barłogu wyciągnął flaszkę, spojrzał pod światło z pieszczącym uśmiechem — Boże, daj wam zdrowie — wlewał zawartość łykami, aż w gardle zagulgotało. Tupnął nogą po parobczańsku i zanucił krzepkim, choć przytłumionym głosem:

„Tańcowałbym, żebym móg,
Żeby nie miał krzywych nóg,
Ale krzywe nóżki mom,
Co podskoczę, to się gnom“.

Przy ostatniem tupnięciu wdarła się żona, istna burza z piorunami, i jednym z nich, najłagodniejszym, śmignęła po stopach tańczącego. Zamiotła nosem i nic nie rzekła, lepiej, żeby kłonicą w łeb zdzieliła, o lepiej. Wystarczyło i to. Rozochocony biedak zdrętwiał. Nogi straciły animusz i wesołość.

— E dy, e dy, z djabłami daję sobie radę i z wszelakiem złem, a z taką nie mogę. Czy niema nijakiej siły? Baba mocniejsza od djabła, oj, mocniejsza — bezradnie, z poddaniem stwierdził. — Już tak musi zostać — łeb dźwignął, włosy pogładził kilku ruchami i zwykłym głosem nakazywał, co ma czynić. — Dziewięć pręcików weź z każdego drzewa, bodajby nie były z osiki, za dużo w niej płaczu, a tu trza krzepkości, ino te, co wypuszczają młode, roczne. Gotować i obmywać. Próchna z buka zebrać o północy i kadzić o wychodzie słonka, kiedy pierwsze promyki z nieba zejść do izby, a potem...

Malinowska, pełna zaklęć, ich mocy, powtarzała nazwy, napomnienia, mieszając je z dziękczynieniami.

— Bóg wam zapłać.

— Jeszcze obydwójce zatańczujemy, jeszcze naostatkiem wam powiem to: przyjdzie do was dzisiaj jedna kobita i będzie się napierała gwałtem, żeby pożyczyć co bądź, to miejcie na pamięci, że nie wolno jej nie dać, nie wolno ani tyciego ździebełka wynieść — podjętą słomkę pokazywał — bo wszystko się obróci przeciw wam. Jedźcie, a przyjdźcie do mnie na nogach, inaczej nie chcę was widzieć — roześmiał się beztrósko, radośnie, a tak zwyczajnie — mimo to nie zniknął urok jego nadludzkiej siły, tylko wcielił się w nową postać.

Kiedy wynoszono Malinowską, wrony zerwały się w popłochu z pod progu, aby podwórze napełnić krakaniem i czernią. Było zwyczajne stado, ale w oczach wychodzących zmieniło się w miliony potępionych dusz.

— Djabły się rozlatują po świecie, takie to są u niego służebniki, to nie dziwota, że ma nieczystą moc.

Koń wypoczęty pognął rażno. Józek trzepał go batem, bo chciał być jak najdalej od przeklętego miejsca. Wicher niósł zaprząg. Płozy podskakiwały na tyłu kamieniach. Kopyta wyrzucały grudy i zamieć. Dzwonek, przejęty grozą, oznajmiał coś złowieszczego, dygotał między nagimi gałęziami drzew, jakby wśród wyprężonych powrozów wisielczych.

Malinowska jechała w podziw, który nie miał jej opuścić przez całą drogę. Nie mogłaby inaczej wypowiedzieć tego, co czuła, chyba tylko płaczem szczęścia przed obliczem samego Boga. Już nie pomyślała o swojej przeszłości, o udrękach, o chorobie. Tamten mocarz obdarzył ją wiarą na wszystkie dni żywota.

Kiedy znaleźli się w szczerem polu, Włodek szepnął tajemniczo.

— Mamo, nikt nas nie widzi, trza odżegnać, jak kazali Kramarczycka — nieznacznie wydobył flaszkę ukrytą za pazuchą, z namaszczeniem uniósł, dwoma ruchami przeciął powietrze, że dwa cienie w kształcie krzyża spłynęły przelotnie na matkę, i pokropił wodą święconą. — Niech złe odejdzie poza góry, poza rzeki, niech zostanie same dobre, co od Boga pochodzi, tak nam dopomóż, Panie Jezu.

Łzy napływały do oczu chorej i mieszały się z kroplami święconej wody, drgającej światłem na twarzy.

Nie widziała synowskiej ręki, czyniącej obrzędową powinność, tylko przestwór świata niczem nieograniczony. Tyle miesięcy leżała uwięziona w ciasnej izbie, że teraz płakała ze szczęścia, mogąc patrzeć w niebo, które z nią i w niej było.

— Synu! synu, takam silna, żeby ino tak na zawsze. Będę zdrowa.

Ponad ziemią, ponad ludzką nędzą przesuwwały się obłoki, jakby najradośniejsze myśli błękitów, zrazu białe, potem przeistaczały się, stawały różowe, rozżarzone, wkońcu płonące purpurą, powoli poczęły gasnąć, fioletowieć, popieleć, rozwiewać się w nadciągającym zmierzchu, aż zniknęły roztopione w nieprzeznaczonych mrokach. Malinowska szukała najpiękniejszych obłoków, weseliła się ich kształtem, barwą, śledziła ich narodzenie, przemiany. Wciąż spoczywał na wargach uśmiech, chociaż po zachodzie już nie widziała, tylko ciemność, w niej mieszkającą szczęśliwość i niebo gwiazdami usiane, jakby ziarnem wykruszonym z kłosów i rozsypanem po niwach. Nie czuła swego schorzałego ciała, stała się ciszą, okrucieństwem, iskrą zachwyty, zagubioną w bezmiarze samej wieczności.

Skrzyp sanek ślizgał się wzdłuż telegraficznych słupów. Po drutach, jak po jednostajnie śpiewających, napiętych strunach, dźwięk samotnego dzwonka pomykał w kraj śnieżny, gdzieś się urywał nagle i już tylko mroźna pustka dzwoniła przestrzeni.

Mijali obce wsie. Uśpione domy patrzyły czarnymi oknami. Czasem światło rozbłysło, oświeciło ludzką sprawę i zgasło, czasem ktoś — nie człowiek chyba, ale duch ciemniejszy niż noc — dokądś dążył. Raz tylko czyjeś kroki wyraźnie uderzyły w ciszę. Zgar-

biony cień posuwał się za sankami. Widać było, że coś zdziera z twarzy, coś rękawem ociera, jakby mrok dzisiejszy.

— Mamo, ktoś idzie za nami — szepnął Władek, patrząc w oczy matki utopione w gwiazdach.

Nie rozumiała, czego chce, gdyż wciąż słyszała mowę przestworzy.

— Mamo, śpicie?

Słowa wyłaniały się z pod gęstych mgieł i powoli przybierały kształt ludzkiego głosu.

— Wiem, wiem, Biel idzie.

— Nie patrzycie, a widzicie.

— Miejsca nie może sobie znaleźć. Ściga go. Przyjdzie do nas, nie ze złością, ale z nieszczęściem, większem niż nasze.

— Spotkam go kiedy, to go... — spojrzenie synowskie tak wymowne starczyło za groźbę.

— Nie trzeba tak, synu. Nikt chleba nie posieje na siekierze. On ma może gorsze życie, niż my.

— Co mówicie, mamo!? Przecie przez niego wasze kalictwo. Niema za to kary.

— Zemściłam go tak samo, ale już się wszystko odmieniło we mnie.

Tamta postać, bezwolnie idąca krok za krokiem, jakby powrozem przywiązana do wozu, zachwiała się, oddalała, traciła zarysy, odpadła i zawieruszyła się pod nasypami ciemności. Jeszcze drżał chrzęst deptanego śniegu i szelest potraconych gałęzi. Gdzieś zadudniły kroki na lodzie. Rozległ się skrzyp otwieranych i gwałtownie zamykanych drzwi.

Władek, śledzący zabłąkanego wędrowca, idącego przez noc, wyrzekł twardo.

— Poszedł do Paszczkuli.

— Zawdy do niej chodzi, niech chodzi. Dość się naponiewiera, dość.

VII.

Alojz od samego rana uganiał, załatwiając codzienne czynności w izbie, na podwórzu, na obejściu. Zrazu ponosiło go pragnienie pędu przeżące się w mięśniach i kościach. Nie czuł zmęczenia, ani się przeciw niemu nie buntował. Zresztą nie wiedział, czy może być inaczej. Nie znał jeszcze przekleństwa pracy. Wszystkie chwile zmieniał w wysiłek zdrowy i ochotny, to też godziny przerzucał przez dzień, jakby się niemi bawił. Teraz słyszał głos matki jednakowo powtarzający: to zrób, tamto zrób, jeszcze tego nie ma. Zwijał się, chwycony w kierat bezwzględny, wydzierający zdrowie, siły, radość dzieciństwa. Trzeba dREW narąbać. Na mrozie szczypał siekierą polana, czując w dłoniach kształt toporzyska tak zimnego. Wody nie ma. Trzeba naczepać oblodowaciałem wiadrem, przelać i ponieść do domu. Chwycił drewniane ucho opuchłą, obmarzniętą garścią. Ciężka, chlustająca bryzgami konewka wisiała, jakby na wyprężonej linie, na słabem ramieniu wrywanem ze stawów. W izbie chuchał w palce, stukał kierpcami na rozgrzewkę. Niedługo. Czasu brak. Z pod łóżka wyciągnął kobiałkę. Kozikiem skrobał ziemniaki, ale tak ostrożnie, aby za grubo nie obcinać. Obrane rzucał do wody. Postawił garnek na blasze i wybiegł na podwórze. Zastał Staszka stojącego na ławce, z łyżką gotową do jedzenia, wpatrującego się pod przykrywkę, z pod której spojrzeniami porywał białe grudy.

— Co robisz?

— Jeszcze nie bulgoce. Nijak nie mogę się doczekać — narzekał zawiedzionym głosem.

— Zejdź zaraz, bo się poparzysz.

— Jak będę czarownikiem, to zrobię tak, postawię garnek, dmuchnę na ogień i zaruteńko się ugotuje.

— To zrób tak.

— Ehę, kiedy nie umię. Pojadę do Kieczny, to mnie babroś nauczy. Puknę w podłogę i chleb wyskoczy, puknę do garnka, jedzenie będę miał. Kiedy się ugotują ziemniaki?

— Będziesz widział.

— Ehę, będziesz widział. Takim głodny.

— Do jadła toś zrywny, ale do roboty to cię nagnać nie można. Zaraz.

— Nie bądź zrywny, kiej kiszki o tak krzyczą, słuchaj — tkał palcem po brzuchu całkiem pustym. — Tyle razy było zaraz.

Obydwaj jednakim wzrokiem śledzili przykrywkę, która powoli, niechętnie, ale obiecująco zaczęła stukotać o krawędź żeleźniaka. Pili ustami i oczami zapach i kształt pary, wydobywającej się małemi kłębkami. Bezwiednie poruszali wargami, zębami, krtanią, jakby już gryźli i połykali należne kęsy.

— Odcedź, potem posól. Umiesz ugotować rosół? — Malinowska kierowała chłopcem.

— Cobym nie umiał — zaśmiał się. — Hyboj stąd, nie podłóż pod nogi — odtrącił Staszka. Przytrzymując pokrywkę, ostrożnie odcedził wodę do garnka w kłębie buchającej pary, na odwar rzucił trochę baraniego tłuszczu i postawił zpowrotem na ogniu, rów-

nocześnie śledząc brata, stojącego niedaleko. — Ehe, ty coś chowasz?

— Ja nic, — z niewinną miną zaprzeczał, a równocześnie patrzył chciwie na wysypane grudy. Korzystając z nieuwagi Alojza, chwycił ziemniaka i wepchał go do ust.

— Czego kradniesz?

— Spróbować chciałem, czy ugotowane — marnotał, połykając ostatni kęs.

— Nie żałuj mu — nakazywała matka.

— Nic nie robi, a więcej zje, jak ja, trza po sprawiedliwości.

Bryłka tłuszczu wnet się roztopiła, zostawiając na wodzie żółtawe plamy.

— Mamo, już jest rosół.

Alojz porozdzielał jedzenie, nalał matce i karmił ją, pytając troskliwie.

— Dobrze?

— Wszyćko dobre, bo od was. Żeby to omaścić. Czasem jadło w gębie rośnie. Żeby to skąd bułkę dostać.

— Chcecie?

— Co z tego, że chciałabym.

— Przyniesę wam. Jak chcę, to muszę mieć.

— Skądbyś wziął — zaśmiała się — jużś mi raz herbatę obiecywał. Możebyś gdzie ukradł, Boże broń. Ręce i nogibym ci poprzetręcała, złodziejstwo wielki grzech. Ludzie cię dość naprzeklinają, bo wszystkim na źle robisz.

— E, co tam — mruknął lekceważąco — muszę was ucieszyć, żebym z pod ziemi pazurami wydarł.

Rozmowę przerwała Bielowa, która weszła bez pozdrowienia. Już w progu spojrzała po ścianie.

— Nie macie próżnego garnusia? — o jest — zdjęła z gwoźdźcia naczynie, dmuchnęła na dno, przelała przyniesione mleko — omaścicie cyr.

— Bóg wam zapłać. Jak się ludziom odwdzięczę?

— Niech będzie na zdrowie. Za co się odwdzięczać? Za kapkę mleka? Pan Jezus nagodził, tom przyniesła — mówiła jak o rzeczy niegodnej uwagi.

— Nasza krowina niby cielna, ale Bóg wie, kiedy się ocieli. Paszy niema na przezimowanie. Żal sprzedać, bośmy z nieboszczykiem od cielątka chowali.

— Kara Boża bez kropli mleka.

— Wspomogą ludzie, żeby ino sami mieli. Trza którego dnia wywieść na jarmark.

— Starajcie się do wiosny dochować. Łatwo wywieść z chlewa, ale trudno nazad zaprowadzić.

— Wiem, wiem, co robić, z pustego żłobu i najlepsza krowa mleka nie naczyrpie.

Sąsiadki po rannych obrządkach wpadały do izby Malinowskiej jak po ogień. Każda pokryjomu, co chłop ma wiedzieć, przyniosła pod zapaską to kawał chleba, to parę jajek, to łyżkę masła — pożywcie się, boście słabo.

Malinowska dziękowała i zapraszała, żeby zaraz nie odchodziły.

— Dobrze wam mówić. Jest to czas? Tyle ugańniczki, a to, a sio, ani spamiętać.

Żadna jednak nie ruszała się. Stały pod ścianą, pod oknem lub wsparte łokciami na krawędzi łóżka. Aż dziw, skąd tyle ich się dzisiaj zebrało. Widać było, że roznosi je niecierpliwość, palą pytania, a co tam, a jak tam w Kieczny, ale hamował je lęk przed nieczystą siłą. Nie wytrzymały. Ciekawość przełamała zaporę jakby wzburzony strumień.

— Co było?

Ucichło w izbie po jednozgodnem pytaniu.

Malinowska, przejęta wspomnieniami wczorajszego dnia, opowiadała, co widziała, co słyszała, co czuła, szczegółowo opisywała obawy, zwątpienia i radości, drogę, izbę, wygląd owego tajemniczego cudotwórcy.

— Ino wlaźł do izby, zaraz na nas: coście mówili? — Nic — odpowiadam. A on w śmiech. Nic? Po coście przyjechali do łupiskóry i blagownika. Chciełście zawrócić, to trzeba było zawrócić. Kto nie ma wiary w moją moc, to niepotrzebnie przyjeżdża. Iście tak było.

— Wszyćko widzi, wszyćko słyszy, kiej jest pod gołem niebem — Bielowa wsparła ręce na biodrach i objaśniała — pod dachem go opuszcza, to dlatego, że wodny duch mu wszyćko podpowiada. „Przystęp“ chowa w komorze i radzi się go. Dawniej nie miał takiej mocy, dopiero od wojny. Jego stryk zachorował, woła go i mówi: „weź to ode mnie, bo będę strasznie cirpiał, jak nie weźniesz“. Brataniec się zlił i od tego czasu „przystęp“ wyuczył go rozmaitych sztuk.

— A nie powiedział, kto wam to porobił?

— Chciał powiedzieć, ale żebym wzięła na swoje sumienie. Ino tyle: rozłote, podłożone i przejdzione.

— Babry! — pokiwały głowami i krzyknęły — Biel porobił.

— Wiecie, co z nim było ostatniej niedzieli — na-bożna Gątkowa powiodła po zebranych oczami, na-brała sił i powoli mówiła, jakby czytała modlitwę. — Ludzie klękają, jeden za drugim przystępują do ołtarza, za porządkiem. Ciśnie się i Biel, łokciami prze-

biera i na sam przód przed wszystkimi chce iść. Wiedziałam, otworzył gębę i komunikuje się i w te razy wyleciały drobniutkie wrony, jak muszki. Nic mu nie zrobiły. I wicie, co się stało? jakby go ktoś zakrył kapą. Biel od ołtarza, a czarna chmara popod sam sufit szła, Biel do drzwi, cała chmara za nim i dopiero na dworze we mgle się straciła.

— Djabły po jego duszę przyleciały, ino nie miały jeszcze przystępu. Komunja go uratowała.

— Zabierą go ze sobą, zabierą. Potępieniec.

— Poradził choć w czym „ten“? Jesteście krzepiejsza?

— Kiej mnie dotknął, tom myślała, że Pan Jezus rozwiązuje z rąk i nóg powrózki, kiej spojrział, to samo światło we mnie wchodziło. W duchu czułam siły, ale jeszcze nie mogłam się ruchać. Pokrzepił mnie i już mi teraz nie tak ciężko. Z każdego jego słóweczka słoneczko mi świeci. Będę zdrowa, już mnie nie puści ze swojej opieki.

— Nie z Bożej ręki taka moc — dziwiły się, wzdychając nad słyszanemi nowinami.

— Aha, a naostatek tak mówi: kiedy przyjedziesz do chałpy, przyjdzie nasłana jedna i będzie chciała co zabrać. Nie daj wynieść nic z izby, choćby to było jej, nawet ździebełka słomy, nic. Zabierze, to wszystko przepadło i na nie mój ratunek.

— Był kto?

— Jezu! — słowo rośło, pęczniało i odpadło jak skalna bryła. — Przyszła jedna i mówi: kajś u was jest mój garnuś? a jest, mówię. Ona nic, ino chyciła i za drzwi. Wołam: dziś nie bierzcie. Jak wzięła, to jakby mi ktoś nóż wbił w serce. Wszystko mi przyszło do głowy, co Gorzkowski powiedział.

— Czegoś dała?

— Co miałam robić? Sama jestem bez władzy, dzieci nie było w izbie. Przyleciał Władek, chciał wyrwać. Czy to ma na tyle siły? Choćby przyniósł z za proga, to już przepadło.

— Przepadło! przepadło! — zaszeptały ze współczuciem.

— Któraż to?

— Niech jej Pan Jezus nie pamięta.

— Paszczkula — rąbnął otwarcie Alojz.

— Ona? Przyszła z Biela namowy.

— Ktoby inny?

— To już na cię niema nijakiego ratunku.

— Wiem — dopiero teraz uzmysłowiła sobie prawdę. — To już tak do śmierci. Jezu! — jęknęła, jakby sobie zadała śmierć ostatniem słowem.

— Nieboże ty, nieboże, lepiej, żeby cię Pan Jezus zabrał do swojej chwały. Co ci z tego życia — wrzuczone babiny zapaską ocierały łzy i każdym, najbardziej litościwym wyrazem spychały chorą w przepaść z tych wyżyn, na których przebywała od wczoraj.

— Największy kalika chce żyć i jego wszystko cie szy. Ja też. Choć na dzieci mogę popatrzeć i tem się uradować w mojem nieszczęściu.

Alojz piąte przez dziesiąte słuchał bajdurzeń babskich, skrobał zadanie, ale gdzie mu to w głowie. Wszystkie mięśnie go podrzucały, aby wybiec na śnieżny świat, skoczyć na narty, niech go wiatr wysmaga, przewieje. Przerywał pisanie i wspierając brodę na kułaku, wlepił ślepią w błękit widniejący w oknie. Tak był zagapiony, że nie słyszał stukotu drewnianej nogi, ocknął się dopiero wtedy, kiedy go trącił Tomala.

— Hania dzisiaj zrana poszła do ciotki i nie miał kto zabrać, oddaj pani — wyciągnął z pod kożucha starannie owiniętą książkę, spojrzał na Alojza, który miał palcami kartki. Skarcił go surowo.

— Nie szanujesz? Wiesz, co to książka? świat ci zasłoni, radę na wszystko da, a ty tak z nią, żywcem kaleczysz. Podziękuj pani i powiedz, że zajdę w niedzielę — stanął obok i słuchał trajkotań o znachorze, o chorobach, o czarach. Nie wytrzymał i parsknął serdecznie. — O ludzie, głupie ludzie.

— Nie drwinkuj ze świętych rzeczy, bo i ciebie może spotkać nieszczęście i co wtedy? — upomniała go Bielowa.

— Nie drwinkuję, ino się dziwuję, że dajecie wiarę, co wam napłótl błagownik. Głupieśta, o, głupie.

Baby rozpuściły ozory i na niego jedna przez drugą. Rozczapierzone, otoczyły Tomalę huczącego śmiechem i tem doprowadzone do wściekłości, pięściami wywijały i wypominały aż do ochrypnięcia swoje krzywdy, a tyś tak, a on tak, chłopcy cholery, wszystkieśta jednakie, żeby ino ugryźć, sponiewierać, a co my biedoki, niebożęta. Chłopina zrazu ubawiony, migał ślepiami filuternie, patrząc na rozdziawione gęby, zionące ogniem i siarką, wnet stracił jednak animusz, chciał się wyrwać stąd, chciał słowo wecisnąć w zgielek, ale jak? Nawałnica...

— Zatkano cię? he? czego nic nie mówisz?

— Skołowaciał mu ózór? za to, żeś tyle pyskował na siroty.

Tomala machnął ręką, stuknął się wymownie w czoło, plunął w stronę zebranych siarczyście, od serca.

— Psiakrew.

Zatłukł kulą, choć w ten sposób wywierając gniew, przeniósł niezgrabnie drewnianą nogę przez próg i rznął prosto ku domowi.

— Pomócili ludziom we łbach, młaką zalepili ślepia, ciemno im, a mówią, że na świecie ciemno. Czy się im robi kiedy jaśniej? I stare i młode jednakie. Do każdego oszukaństwa lecą, jak cielęta do siana. Takim łby porozbijać. Mówią o nieszczęściu, czy może być większe nieszczęście, jak teraz u nich. Prałbym drągiem po ciemnych, zakutych łbach.

Po jego wyjściu wrzawa zmieniała się w burzę, nieopatrznie zamkniętą w czterech ścianach, która nie mając nijakiego ujścia, musiała wyszaleć. Wreszcie ostatki przekleństw wybłyskiwały w nabożnych prośbach.

— Ażeby ci z pomocą Bożą druga noga odegniła.

— Co z takim mówić o Panu Bogu? Jest co dla niego świętego? do kościoła nie chodzi, księdza nie szanuje, z każdym świętem się wadzi, śmichy robi i furt djabelskie książki czyta. Ludzie idą na sumę, a on ścierwo, konik polny, wicie gdzie? kuśtyk, kuśtyk w las. Raz mówię mu grzecznie: idźże do kościoła, zmów pacierz, boś chrzczony. A on o tak, ślipia postawił i wicie, co powiedział? ja się z przyrodą modłę. A co to za djabeł ta przyroda? on rękami pokazał na niebo, na ziemię. Ej Boże, Boże, ma być dobrze na świecie, kiej takie heretyki żyją. Poczekoj, jak cię ciśnie na ostatnią pościel, to inaczej będziesz ślepia wywracał, będziesz ty, grzyśniku, skamlał: deście mi Pana Jezusa przy skonaniu. A wtedy dałabym ci orczykiem przez pysk. O Jezu miłosierny, o Jezu łaski pełny, wejrzyj na nas, bośmy niewinne i nie karaj wszystkich za jednego.

Namordowały się dość, nażaliły dość i już tylko sapały zgorszeniem i oburzeniem.

— Mamo, pójdźcie — Józka od Paczki, stojąc w progu, wołała matkę.

— Czego się drzesz? pali się, czy co?

— Hania płacze.

— Niech popłacze. Na zdrowie, kumo, na zdrowie pójdzie. Co wrzaśnie, to podrośnie.

— Podźcie.

— Co ty z takim pyskiem na matkę — Paczkulina chwyciła miotłę i żywcem chciała wyjechać z dziewczyną za drzwi.

— Tata tak samo — chlipnęła głośno — wyścigał mnie pogrzebaczem: idź po psiakrwią z bajd.

— O retę! tak powiedział? — Kumosie srodze doświadczone, postawiły oczy w słup i stęknęły, przejęte grozą. — Przy dzieciach na matkę? Chłop bez nijakiego ustatkowania, od maleńkości dziecko przyuczać do grzechu? matki nie szanować? Obraza Boska. Jabym mu dała bajdy, no.

— Tata piokłuje — ciągnęła z bekiem dziewczyna — że głodny i obiadu nikt nie gotuje.

— Poczekaj, poczekaj — Paczkulina westchnęła pobożnie, jakby go oddawała Panu Bogu w opiekę — z pomocą Bożą poczekaj. Żaden chłop bez baby nie może sobie gęby obetrzeć. Idź zapal, zaraz przyjdę — poleciała dziewczynie. — Już rąk nie czuję od roboty — rozrzuciła na całą izbę te upracowane ręce — tyle się człowiek naugania, naścigo, namorduje, każdy przecie widzi i nie dadzą ani kwilusi odzipnąć.

— Ma który chłop choć odrobinę litości i wyrozumienia? ani w dzień, ani w nocy, zawdy, aby usiepać,

utrapić, umęczyć. Miłosierny Boże, taka na nas godzina przysła.

Józka nie czekała, podskoczyła na jednej nodze, grzmotnęła Alojza w plecy, zanim się zerwał, zatrzaśnięta drzwi, po chwili ostrożnie wychyliła głowę, błysnęła wesoło oczami, z pyszną miną majdnęła językiem.

— Tyleś mi zrobił!

— Ja ci dam — pogroził zdaleka.

Uciekające chodaki prędko zastukały w sieni, na podwórzu i na ulicy.

Jedna i druga gospodyni, co prędsza, nie mogąc usiedzieć w miejscu, już miała iść do domu, ale jakże wychodzić, kiedy się tyle nazbierało strapień i nowin, że ani dna nie widać. Któraś spóźniona jeszcze przyszła i to i sio, aż język nie mógł nastarczyć. Nieprzerwanie chodziły po wsi, zaglądały do izb, do garnków, do sąsieków, do skrzyń, pod pierzynę i pod łóżko. Rozdziawiały gęby z podziwu, trzęsły się z oburzenia, to podrygiwały ze śmiechu. A że od śmiechu do płaczu najkrótsza droga, to zapaski same niosły się do oczu. Tyle wszędzie uciechy, tyle smutku i przekleństw.

— Wicie! wicie!

— A co, kumosiu? co?

— Kaśka kupiła sobie pierzynę i z tego wszystko.

— Cóż to ma do tego?

— Krew się jej rozruszała pod pierzyną, bo to nie była przyezona, i przypuściła chłopca do się.

— Już wiem, już wiem, nie mówcie, tyle zgorszenia na świecie, ej, że to Pan Jezus na wszystko patrzy. Inaczej dawniej było.

— Kumo, co dalej, co dalej? Takie teraz dziewuchy rozpustnice.

— Ano, coby było. Dziecko.

— Nieszczęście.

— Hale! hale! dobrze jej przy takim nieszczęściu, miała uciechę i chłopak jej jeszcze płacić musi. Miesięcznie — podkreśliła ważność tego. — Nie urobi się, a na każdego pirwszego będzie miała żniwa.

— Bidok.

— Nie żałuję go. Wirchował się strasznie ponad wszystkich, a teraz ma, kara Boska go spotkała. Napity był, ciągnęła go ku sobie, ochotę rozpałała i teraz zmartwienie nie na jedno lato.

— To dopiro nieszczęście.

W ten sposób cała wieś, codzienne życie przychodziło do barłogu chorej i tu dalej żyło w nowem wcieleniu. Malinowska słuchała z przytajonym uśmiechem pobbłaszania.

— Wszyćko marnota.

Kobiety tak były dzisiaj zaprzątnięte omawianemi sprawami, tak rozgorączkowane, że nie zauważyły, kiedy Alojz chlusnął na dwór, chcąc Józkę dopaść i zemścić się za uderzenie. Zaczajony, czekał z ulepioną kulą. Wtem z poza zaspy mignęła czerwona chusteczka, jakby mak wystrzelił z bieli.

— Jadwinia — ucieszony szepnął. Nie chciał rzuć, ale kiedy wziął rozmach, palce same się rozplotły i bryła śnieżna odskoczyła od dłoni. — Paf — zaśmiał się — mam cył. — Ubawiony, na czworakach hycnął przez próg, otrzepał spodnie w sieni, cicho wślizgnął się do izby i z miną niebożątka dalej pisał zadanie; tak się śpieszył, bo wkrótce do szkoły musi iść. Cichał piórem po papierze i w bazgrach wyrażał ucie-

chę. — Ale mi się udało. — Pyszny nastrój nagle djabli wzięli. Gorzkie myśli najniespodziewaniej zaczęły napływać. Rozpraszał je, wciąż jednak inne mąciły pogodę. — Nie boję się nic. Co mi zrobi? Nie wie, kto ją grzmotnął. Skądby wiedziała. Jadwinia nic, ino matka. Jezu! dostać się w jej łapska, to do gnatka obrobi.

Psi nastrój objawiał się w pisaniu. Niedawno stawił litery „szykownie“, teraz pozał się Boże, dziadygi koślawe i kaprawe. Już miał wyrwać kartkę. Właśnie wtedy zahuczały kroki, depczące po dziewczęcym płaczu. Alojz zadrżał, zgarbiony przywarł do zeszytu i kreślił wyrazy z zapałem, budzącym podziw. Teraz żadna siła nie oderwałaby go od pracy.

Sowiakowa, popychając przed sobą pochlipującą Jadwigę, wkroczyła do izby i od progu ze świętem oburzeniem brała na świadectwo zamazane obrazy i pasyjkę.

— Zabił mi dziecko. Żeby ci, gałganie, Pon Jezus, co wisi na ścianie, każdziuszką kosteczkę tak samiuśko połamał.

— Co on?

— Tego ścierwę przez półbym rozdarła.

— Kiedy rzucałem? Widzieliście — chłopak zadarł buńczucznie łeb i choć serce skakało po warjacku, patrzył z wyrazem najniewinniej posądzonego.

— Jeszcze się pyto, kiedy. Ścierwo, dam ci, to se przypomnisz — wyciągnęła rozczapierzoną garść, aby go według zapowiedzi napół rozedrzeć, ale się uchylił. — Co ci winna? Dziopiatko nikomu wody nie zamąci, ciche to, a on zbój z za węgła wyskoczył i taką bryłą wałnął, że mało głowy nie potrzaskał. Powiesz: nieprawda?

— Nieprawda.

— Kumo, może się wam przywidziało? — kobiety usiłowały uspokoić Sowiakową. — Nie chcemy go bronić, bo wiemy, jaki z niego hunewot, aleśmy go z oczu teraz nie spuszczały, klęczy i pisze. Może był kto inny?

— Niema drugiego takiego zbója na świecie.

— Wychodziłeś? — zapytała matka Alojza.

— Jakbym wychodził, tobym nie pisał. Kiedy ja napiszę, jeszcze tyle mam — pokazał ustęp palcem — przeszkadzają, przeszkadzają, a potem pani się będzie gniewała, żem leń. Co ja winien? — wykrzykiwał szczerze oburzony i przez wszystkich prześladowany.

— No, sama widzicie!

— Nie płacz tyle — Sowiaczka zapaską otarła Jadwidze nos — połamię ścierwie nogi, to nie będzie siroty napastował.

— Mamo, połamcie — „dziopiątko“ załkało rzewnie — taki z niego zbój. Nie darujcie.

— Jaby mu miała darować? Musi być sprawiedliwość — złapała garścią Alojza, wbijając w ciało paluchy, i szczekała, wałąc pięścią w plecy — ścierwo zatracone, nie będziesz krzywdził mi dziecka. Wszycoko mało, jaby skórę z ciebie zdarła i na ogniu przypiekała.

— Nie tykajcie cudzego dziecka, boście nie matka i nie dajecie jeść — Bielowa z trudem wyrwała chłopca z pazurów baby i pchnęła go za siebie.

Alojz beknął więcej dla ozdoby i ze zwyczaju. Zbytnio się nie przejmował karą. Nie pierwszy raz oberwał. Już tyle razy wtrącali go na dno piekła, że nie powinno z niego zostać ani włoska. Według swego mniemania nigdy nie był winien. Prawda, pełen fantazji, nieokiełznany, zawsze przewodził we wszystkich

psikusach, zabawach i bez badania zawsze można było na niego wskazać nieomylnie jako na sprawcę. Same z siebie wyskakiwały słowa i czyny, nigdy nie na źle, ale z nadmiaru uciechy. Ludzie powinni się pośmiać, pochwalić, oni zaś zaraz na niego z przekleństwem i kijem. Chlipał, pisząc.

— Co ja teraz zrobię, zadanie mam zepsute, całe mokre — pokazywał łyzy zaplątane między literami.

— Osusz nad blachą, to nie nie będzie znać.

— Ajno nie będzie znać. Co teraz powiem pani? — gniewnie chłostał piórem kartki i babskie wrzaski, myśląc z goryczą, że gdyby wszyscy się gonili po śniegu, toby całkiem inaczej mówili, ale siedzą w izbach i niczego innego nie robią, tylko się złoszczą. Chciał matce i innym to wyjawić, machnął ręką ze zniechęceniem na ich gadki i zakazy. Szkoda czasu i tak jego prawd nie zrozumiały. Czy starzy mają rozum taki, żeby wszystko pojęli, co mały wie. Djabła tam. Mają kij i myślą, że są mądrzejsi. Ej, żeby nie było kija, toby całkiem inny porządek istniał na świecie. — Alojz obejrzał się, bo mu się zdawało, że ktoś podpowiada te zdrotne nakazy.

— Co mu dziecko winno? no, co? powiedzcie — jeszcze hałasowała Sowiakowa — idzie sobie spokojnie dziopiątko, a on takim kamieniem w samiuską głowę — obiema rękami oznaczyła bryłę, mogącą pół wsi wytłuc.

— Ja nie kamieniem — Alojz, nie mogąc ścierpieć kłamstwa, wystrzelił porywczco i odrazu opadł na ławkę.

— Słyszeliście! sam się zdradził — rozgorzała zwycięsko i nowemi piorunami uderzyła — nie kamieniem, ino czym?

— Skądby teraz kamień — wtrąciła Bielowa z niedowierzaniem — pod śniegiem?

— Ino same strapienie mam z tobą, Alojz — pognębiona Malinowska skarżyła się — czegoś taki?

— Gałgan z niego wyrośnie, bo od małości nieprzyuczony kijem, niema ojcowej ręki, to dlatego.

— Co mam z nim zrobić? udusić? przecieżem matka. Wiem, każdemu dokuczy, ale dla mnie ma dobre serce.

— Jeszcze nieraz zapłaczenie przy jego dobrem sercu, oj nieraz. Dobre ma serce? Każda matka głupieje przy swoim dziecku i czem bądź się ucieszy. Rozpuszczacie dzieci. Z takiego trza drzyć żywe mięso.

Alojz w literach potwornie wykoszlawionych zamykał złość, żal, nienawiść, każdą z nich groził, przeklinał, pomstował, urągał wściekłym babom. Płacz i złość prędko przeleciały przez duszę, kiedy już nie czuł groźby kija. Co popatrzył na skrzywioną dziewczynę, to go dusił śmiech.

— Cyrwony łbie, cyrwony łbie. Czemuś sama podlażła pod cyl? — gdyby teraz miał pod ręką śnieg, toby cisnął w rumianą gembusię. — Mazak. Lizoń. Chciałem ją nauczyć na nartach jeździć, figa, cyrwony łbie, cyrwony łbie — przytłoczony górą krzyków, gróźb, przestróg, kończył zadanie, machnął piórem i z wściekłością wyrzucił ostatnie słowa. Zgarnął książkę do torby, chwycił czapkę i stojąc w progu, krzyknął ku dziewczynie. — Będiesz chciała, żebym ci krowy nawracał, kijem ci nawrócę, pożałujesz jeszcze.

— Olaboga — wrzała Sowiaczka — i teraz grzysy. Pana Jezusa nie pochwali, ino z zemstą idzie z domu.

Gdzieby dawniej za naszej pamięci tak bywało? Szło dziecko do szkoły, ojca, matkę pocałowało, Boga pochwaliło grzecznie. A teraz? Jezu! — stękała, przewracając ku obrazom zgorszone oczy — Panie Boże, odpuść. Wyrośnie z takiego nasienia podpaleniec, krzywdziciel i heretyk.

Za drzwiami na widok śniegu Alojz zapomniał o zajściu. Podskoczył ku chłopakom zjeżdżającym na sankach, jednym rozmachem wywrócił ich w zaspę, nie popatrzywszy na gramolących się, skreślił wbok i pognął ku wsi, mając przed sobą Tatry.

Na śnieżnem pastwisku leżały skamieniałe cielska, zbite, pokręcone, porośłe białą sierścią, gładzone słoneczną ulewą.

VII.

Alojz sadił uboczą, roznoszony pośpiechem. Tyle miał w sobie wiadomości, że ani pomieścić. Wiedział, że wszystkich w szkole wprawi w zdumienie. Było czem. Wspomnienia o znachorze, Bielu, strzępy rozmów słyszanych w izbie rozwiewała niecierpliwość, a kapocinę wiatr i pęd. Nie chciał się zatrzymać. Czyż mógł, kiedy tyle nowości spotykał po drodze? Mijając zabudowania Paszczkuli, pociągnął nosem.

— Zabili świnie. Oho, one też wiedzą i czekają — spojrzał po drzewach, na których tkwiły wrony. Czasem któraś otarła dziób o gałąź, przefrunęła niżej, czasem któraś kraknęła, jakby zakłęła, zaraz wtórzyły jej inne i powstawał wiecowy zgiełk.

Z za węgła Kruczek wychylił łeb, wyprężony, gotowy do skoku, czekał, wietrząc i przepatrując obej-

ście. Alojz postanowił go przepłoszyć. Podjął kamień, ale poniechał zamiaru, zaciekawiony tem, co widział.

— Ten postrzeleniec wystroi ştukę, że boki zrywać.

Paszczkula, nie wychodząc na dwór, wylała z cebrzyka strugę krwawej wody. Wrony chrzęszczącą chmarą spłynęły na kałużę, wydzierając sobie ochłapy z dziobów. Pies błyskawicznym skokiem wpadł w sam środek, tak że stado rozprószyło się, jak czarne wiechcie i z wrzaskiem osiadło na płocie. Przewąchał dokładnie miejsce, skrzywił paszczkę, bo nie znalazł nic godnego, i zgnębiony połaż w stronę domu. Chyłkiem wpęłzł do sieni. Co czynił, tego Alojz nie widział. Dopiero po chwili z łomotem chlusnął przez próg, a tuż za nim miotła i krzyk.

— Żebyś nogi połamał!

Choć przekleństwo było srogie, to jednak Kruczek nie zwrócił większej uwagi, tylko z wiarą w nogach śmigał przez podwórze, wlokąc ukradzione flaki. Zaraz pognały za nim wrony, unosząc się tuż nad grzbietem. Pies, otoczony zbiegowiskiem krakań i trzepotów, podobny był do potwora machającego tyłu skrzydłami i wrzeszczącego tyłu głosami. Cienie ich migały raz z tego, raz z drugiego boku. Ptaki, baczne na każdy ruch, zastanawiały się, z której strony uderzyć. Gdy potrząsnął głową, rozpierzchały się w popłochu. Gdy któraś nacierała zbyt natarczywie, Kruczek warczał i mięso wypadało z otwartej paszczęki. Wtedy najbliższa wrona porywała, usiłowała odlecieć, trzepotała rozpaczliwie, nie mogąc podnieść ciężaru. Pies znów chwycił, ciągnął i wyrывał zdobycz bez większego wysiłku. Po wielekroć się to powtarzało, aż wkońcu nabrał rozumu, przydeptał

ochłap łapą i miotał paszczką na wszystkie strony, kłapał groźnie, ujadał, wymierzał ciosy, odpierając czereď. Gdy któraś zbytnio się zbliżyła, odpadała od kłów, jak od ognistych pocisków, zostawiając garście wyrwanego pierza. Alojz, ubawiony widowiskiem, przytupywał, ryczał, chwając chwackie czyny.

— Ale wam sprawił wesele, pódźta i wy, da i wam.

Pióra wirowały w powietrzu i plamiły biel czarnemi znakami. Wrony jeszcze kołowały, podobne do skłębionej chmury dartej w kawałki, znów się skupiały nad grzbietem Kruczka, jakby go chciały pogrzebać czernią i wrzaskiem. Odpędzone, oblepiły jesion, przecinający niebo ciemnymi pręgami nagich konarów i w jego koronie kracząc gniewnie, groziły psu, który już przeniósł ochłap pod krzak głogu i pod ciernistą jego ochroną łapczywie pożerał kawały, aż pęczniały zapadłe boki. Za każdym szarpnięciem drżał kurczowo, warczał, bo jeszcze bronił, ujadał, odpierał już nie żywe stado, lecz widma wron i widma ich krakań. Po skończonej uczcie machnął jęzorem po paszczęce, gdyby mógł, toby wylizał powietrze pełne oszałamiającego zapachu i śmigając wesoło oczami, w podskokach wracał pod dom, oduurzający wspaniałemi darami i uciechami. Wrony zrazu pojedynczo, wkońcu hurmą się zerwały, jakby otrząśnięte wichrem i z chrzęstem poszybowały ku wsi, widniejącej wdole.

Kruczek, im bliżej był zabudowań Paszczkuli, tem przezorniej zwalniał kroku. Radość się ulatniała. Ogón zwisał smętnie. Zdala od płotu bacznie przepatrywał podwórze, gotowy do ucieczki. Pociągał chci-

wie nozdrzami i cicho skowyczał, bo zapach gotowanych kiszek walił z otwartych drzwi.

— Kruczek — zawołał Alojz.

Pies ani myślał posłuchać, skręcił w miejscu i zniknął poza szopą.

Alojz dopiero wtedy zrozumiał przyczynę ucieczki, kiedy w drzwiach zjawiła się Paszczkula i machnęła miotłą z pioruńską furją.

— Ty go szczujesz? Widzieliśta go, psa będzie na ludzi podmawiał, jak cię przejadę przez łeb, to ściarupy będziesz zbierał.

— Nie wolno mi patrzeć?

— Dom ci pozwolenstwo, dziadu! psiakrew!

Alojz, niegłupi czekać, aż go skrobną po grzbiecie, wziął nogi za pas i śmigał, aż trącał piętami plecy. Ledwo przebiegł kilkanaście kroków, wpadł na starą Samerdaczkę, wiecznie pokazującą ludziom zęby w płaczu. Trzymała się płotu i dychała, nie mogąc tchu złapać. Na widok Alojza zastękała żywo, a tak zgrzytając.

— Ehe! ehe Alojzik, ktoby inny, jużes znowu coś wystroił.

— Ja nic — zająkał się pokornie, choćby ją z ochotą grzmotnął kamieniem.

— Ty nic, zawdy nic, do szkoły ci niepilno, ino ludziom na źle robić.

— Jeszcze czas.

— Kiej ci nauczycielka pofiguje kijem po portkach, to będziesz miał czas.

— Zaśbyta bili zaraz — na przypomnienie szkoły już nie stał dłużej.

Daleko jeszcze ścigały go krzyki Paszczkuli.

Zanim nauczycielka mogła go zapytać, dlaczego

się spóźnił, Alojz od progu obrazowo zaczął opowiadać szczegóły pysznej przygody i pomagając sobie głosem, rękami, ciałem, malował atak, obronę, pomijając nic nie znaczące, według jego mniemania, zakończenie z Paszczkulą.

— Kruczek chwycił flaki, wrony chciały mu odebrać. I tak ciągly. One z tej strony tak, a on tak. Co chyciły, to odegnał. Potem kłapał paszczką, aż mu zęby błyskały. Myślałem: pogryzie wszystkie. Nie pogryzł, ino piór natargał, aż było ciemno. A śnig, jakby ktoś wydarł zapisane kartki z zeszytu. Uciekały, mało skrzydeł nie połamały. Wrzeszczały. Nic sobie z nich nie robił. Czego bidoka napastowały? Co im winien? Dość się namordował, zaczęm chycić kawałek mięsa. Tak się śmiałem, aż mnie w boku żgało. Jakby pani widziała, to tak samo miałyby uciechę.

Ubawiona klasa wybuchnęła śmiechem.

— Alojz, idź na miejsce, więcej się już nie spóźniaj.

— Nigdy nie chcę się spóźnić, ino samo tak wychodzi.

Nauczycielka usiłowała dalej prowadzić lekcję, ale raz za razem zrywał się hałas. Ku Alojzowi sływały szepty z sąsiednich ławek, coś objaśniał i słyszane wieści obiegały wokoło, wszczynając zgiełk, z którego odpryskiwały pojedyncze wyrazy — matka — babry — czary — Kieczna — Biel — bitka.

— Dlaczego nie siedzisz spokojnie? wiecznie się kręcisz, co tyle rozprawiasz jak przekupka i przeskadzasz w nauce? — zniecierpliwiona nauczycielka upomniała go. — Nie uważasz, będą cię musiała w kącie postawić. — W żaden sposób nie mogła

uciszyć gwaru, uporządkować zamęt i zmusić dzieci do uwagi.

Rozgorączkowane dzieci odpadały od Alojza, jakiś czas siedziały spokojnie, aby znów z dawną żywością omawiać przebieg zdarzeń tak ważnych, tak niezwykłych. Hania nie mogła wytrzymać i rozgłosiła nowinę, że matka Alojza była w Kiecznej, bo ją Biel pobabrał i z tego choruje, że wczoraj na Bereźniku Biel chciał wszystkich wyzabijać.

Po skończonej godzinie runęła ku nauczycielce nawalnica, wołająca dziesiątkami głosów. Trudno było zrozumieć, co mówią, dopiero Staszek dokładnie opowiedział.

— Ludzie to się go boją gorzej niż diabła.

— Kogo?

— Ano kogoby? — Biela.

— Któregożto?

— Tego, co u pani sprzące. Żeby pani wiedziała, jaki on. Jezu — Alojz chwycił się za głowę, patrząc w przerażeniu w słowo, zdrętwiałe w powietrzu. — Zbój. Nie chcieli go puścić, zabił psa kulikiem, rozburzył drzwi i telo wydziwiał na całą wieś. Nazlaływało się ludzi, ale nikt nie poszedł ratować. Trza było się bać takiego. Mógł wyzabijać. Synowie go sprali, pokrwawili i ciśli na pole. Dobrze mu tak, czego założył babry na moją mamę i teraz z tego chorują.

— Co ty wygadujesz? Nie wolno!

— Nie wolno, kiej prawda. Czego taki zbój. Wiecie, pani, że on swoją babę zaprzęgał do pługa, poganiał batem i orał zagony. Tak płakała, tak płakała, a on wrzeszczał: ciągnij, cholero, bo za darmo

nie będę ci dawał zryć. Byk dla mnie ważniejszy, bo go sprzedam, a ty co?

— To kłamstwo — urwała ostro. — Nie wolno tak mówić.

— Haniś, powiedz, czy nie prawda? — zwrócił się z przekonaniem do Tomalanki — najbliższej mieszka, to wszystko widzi.

— Prawda, proszę pani — Hania mówiła dobitnie, aby niczego nie pominąć — zaprzęgał Bielową i tak poganiał — wywijala ręką, jak biczem — i za każdym razem ćwiek, ćwiek przez plecy, ludzie, co šli do pola, to pomstowali, ale on sobie z tego nic nie robił, ino kwiczał: jahym sam jeden nauczył ro-zumu wszystkie baby.

— Chwycić siekierę i ciachnąć w człowieka, jak w smreczka, to dla niego nic, podpalić, to też nic. Narobi on mątu, narobi, niech ręka Boska broni. Wieś w strachu jest przed nim, żeby nie puścić z dymem. Ludzie to się ciągle dziwią, że pani bierze do roboty takiego zbója, takiego czarownika. Bo on — Alojz ściszył głos i szeptem mówił tak, jakby z ciemnej piwnicy wyrzucał rozżarzone węgle na podłogę i na dusze słuchających — kiej zaczaruje, to ciało kawałkami odpada i ino kości zostaną, może rozum przemienić w głupotę.

— Powtarzasz niestworzone bajki, szkoda tylko, że chodzisz do szkoły — nauczycielka karciła go, choć ją zaciekawiała opowieść o pierwotnym człowieku, milejącym, ponurym, którego, mimo że go codziennie spotykała, jednak właściwie nie znała zupełnie.

— Kiej ludzie o nim mówią, to się zegnają, bo on z djabłem w przyjaźnielstwie żyje.

— To są zabobony, gusła, w które wierzą tylko

ciemni ludzie, a was szkoła uczy czego innego. — Kiedy spojrzała po szeregach, zauważyła, że słuchając z niedowierzaniem, i pomyślała, że sieje ziarno po kamieniach. Tamta, pierwotna wiara, wszczepiona od dzieciństwa, skamieniała w ich duszach.

Dzwonek oznajmił koniec pauzy. Wrzawa zahuczała i zamarlała zdeptana tupotem. Drzwi zatrzaskiwały się, głuszac wpływający zgiełk. Ktoś miarowo stapał po opustoszałym korytarzu, pilnując spokoju. Klasy zaczęły nowe godzinne życie.

Po krótkiej pogadance nauczycielka poleciła Alojzowi przeczytać wiersz: „Kto cię do snu kołysał, gdyś był jeszcze maleńki“. Wezwany wymawiał wyraźnie słowa, tak pięknie się wiążące, tak dzwoniące w ciszy, wielbiące dobroć i poświęcenie matki. Kiedy po skończeniu wiersza zaczęła mówić o miłości dzieci do rodziców, rozległy się prędkie kroki, gwałtowne pukanie i przez drzwi, z rozmachem otwarte, wkroczyła, śmiało rzecz można, wdarła się baba, którą, co było łatwo poznać, złość rozsadzała. Rany Boskie, gdyby to było w chałupie, to wszyscy z izby na złamanie nóg w pole, bo łap, coby w garść wpadło, miotła, garnek, polano, siekiera i chlast przez łeb. Wyrabiała krótkie powitanie i stanęła w środku, srogo fuczac. Kiedy nieco odsapnęła, rozwarła paszczkę, zionącą ogniem i kamieniami.

— Już nie mogę tego ścierpieć... co za dużo, to za dużo, bez granic — rozrzuciła ramiona, wskazując dwa końce świata.

— Cóż to powiecie, Węgłarzowa? — nauczycielka łagodnie, z uśmiechem usiłowała przerwać potok, chyba z taką samą siłą spadający na Sodomę i Gomorę.

— Niech się pani nie śmieje, bo nie po śmichy przyszłam, ino skroś dziecka. Już mi tego za dużo, długo się hamowałam, ale się przebrało. Przyszłam zrobić porządek.

— Dlaczegoż to chcecie zrobić porządek? — nauczycielka mówiła spokojnie. Zaciekawiał ją zawsze typ tej kobiety, niepowszedni w swoim rodzaju.

— Dużo się nazbierało, za dużo!

— Cóż takiego?

— Zaraz z brzegu pierwsze. Pani kazuje siedzieć w jednej ławce mojemu dziopięciu i Cabalonce. Nie do pojęcia, co się teraz wyrabia na świecie. Moje dziecko z taką. — My z węglarskiej roli gazdy z dziada, pradziada — wyprostowana, zadarła głowę. W tem jednym zdaniu mieściła się duma rodowa, chwała i honor. Każdem słowem się wychwalała tem, czem jest, wirchowała, pyszniła hohoho, co to ona. — Węglarze! ród pirszy we wsi, ile to nasi ojcowie mieli owiec, ile wołów, ile złota i srybła w ducce, hoho. Co można, to można, chybaście też gospodarska dziewczka, to macie gospodarski rozum i sama wicie. A Cabały dziadoki — pogardy, z jaką to wyrzekła, nie zdołałaby wyrazić żadna ludzka mowa — nie powiem, złodzieje, nie, ale to ani rozumu w głowie, ani nijakiego honoru, żyje tem, co zarobi u drugich. Moje dzieci chlebem rzucają, a ich dzieci zbierają kości, co moje dzieci ngryzą. My na morgach, a oni, e, to nie możemy żyć w żadnem przyjacielstwie. Zakazuję, nie chodź z niemi, przestrzeg daję, ale co moje zakazy, kiej w szkole inaczej. To matkę boli, wy to powinniście poczuć, boście nie z wiechcia urodzona, inoście chyba z gospodaraki — sapnęła z godnością — równoście. Wiem, jak

dziecko podrośnie, dojdzie do rozumu, to samo przejrzy i będzie wiedziało, że źle robiło, ale poco psuć od małości, — jakby siekierą przecinała rozmowę — niech mi tego nie będzie. Ale to nie koniec. Rozpuściło mi się dziecko, nie chce słuchać ojców, ino zbyt, ino śmichy. Zaganiam kijem od samego rana: ucz się, cicho siedź, a ona w bek „pani w szkole lepsza, jak wy“. Widzieliście ją z taką gębą na rodzoną matkę. To tak teraz uczą w szkole? Za moich czasów było inaczej, dziecko szanowało starszych, bo się bało, a teraz niczego się nie boi. Takie są zaprowadzone porządki? — pochylona, cisnęła srogie spojrzenie, jakby chciała ukamienować owe dzisiejsze porządki.

Córka Węgłarzowej na widok matki myknęła pod ławkę i w swej kryjówce czekała na wyhuczenie burzy. Inne dzieci patrzyły ze zdziwieniem na przybyłą, zrazu były może nieco przełęcznione, ale przywykłe do swobody, przestały na nią zwracać uwagę i swoje robiły. Codzienny zgiełk zaszumiał, zahłasował i zapanował niepodzielnie w klasie.

Baba tupnęła w podłogę.

— Cicho! tu nie jarmark, co to za porządki, ani pogadać nie można, jak starszy mówi, to zamknij gębę. Nie wrzeszcz, gałganie. Cicho, po dobroci go-dom, bo jak się zezłoszczę, to chycę kija i zaraz będzie cicho. Jabym was nauczyła porządku. Chodziłam do szkoły, to wiem, jak ma być — zwrócona do nauczycielki, ciągnęła karcącym głosem. — Dzieci powiadają, że się pani nie boją. Jak to może być, żeby się dziecko nie bało? Musi się ich przykrócić we wszyćkiem. Trzeba bić, niech pani bije, bo się rozpuszczą, no i o — wskazała pięściami na ławki —

będą takie nieusłuchane. Na wsi ludzie mówią, że dzieci nie boją się pani, nie, ale to nie. Żle pani uczy.

— Żle uczę?

— Całkiem źle. Przychodzi dziopię ze szkoły i pytam się: coście się uczyli? — nie — mówi mi — bawiliśmy się. Jutro znów się pytom: coście się uczyli? — a nie, bawiliśmy się. To nie nie robicie? — A nie. I zawsze tak. Co to za nauka terazniejsza. To ma być szkoła? Na to idą podatki? na rozpustę? Co się wydziwia? Kija brak w szkole. Bez kija, jak bez chleba, nie móc żyć. A wiedzą, jak trzeba uczyć? „Najpierw trza kryślić krysecki, potem lasecki, kulecki, kółeczka, a potem i, u, o, a, e, później już samo leci“. Tak dawniej bywało, niech i teraz tak samo będzie, a nie zbytki, nie śpiwy, nie śmichy i dokazywanie. W imieojcaisyna — przeżegnała się tak zamasyście, jakby kijanką wywinęła parę razy przy czole i ramionach — gdzieby to dawniej tak było — uniosła wskazujący palec, jakby zdanie kończyła groźnym a wszechmocnym wykrzyknikiem: Kij!!

Nauczycielka spokojnie wysłuchiwała uwag.

— Muszę skończyć godzinę, na pauzie porozmawiamy swobodnie. Dobrze?

— Ja nie taka czasowa, jak pani, co nie nie robi, o nie się nie trapi, a tu kole gospodarki tańcuj, gotuj, upierz, łątaj, jedno dziecko woła jeść, drugie z płaczem pod ręce włazi, krowa ryczy, rzuć siana, leć do świni, trza się nauganiać, że nogi nie chcą nosić, w wieczór jeszcze trza prząść, bo jak, nago nie będą chodziły, moje dzieci — z naciskiem podkreślała, już nie wymawiając słowa „węglarskie“. — Ledwom się z chałupy wyrwała, a wszystko we mnie skacze i parzy, jakbym na węglach stała, bo myślę

sobie, że się dzieciśka wyzabijają — westchnęła ciężko. — Dobrze to pani siedzieć w cieple, czystości, nijakiej roboty nie mieć, a ino z dziećmi figlować. Mnie aż głowa trzeszezy od strapień.

— Jednakże proszę was, zostańcie, posłuchacie, zobaczycie, jak obecnie dzieci się uczą, może wtedy łatwiej dojdziemy do porozumienia.

— Ano niech ta będzie — zgodziła się po namyśle, wcale nie przekonana.

— Stasiu, posuń się trochę — poleciła nauczycielka dziewczynie siedzącej w pierwszej ławie.

— Co będę siadać, postoję, dość się nasiedzę przy kądzieli.

— Nauganiacie się przy gospodarce, to was bolą nogi, siadajcie.

— No, to już siądnę. — Baba ledwo się zmieściła w skrzypiącej ławie, tyle było na niej ciała, spodnic i złości. Jeszcze fuczała, kręciła się, rzucała jak na uwiązaniu, nie mogła sobie miejsca znaleźć. Powoli opuszczał ją gniew. Słuchała ze wzrastającym zaciekawieniem pytań i odpowiedzi. Wyraz twarzy łagodniał. Ogarniało ją wzruszenie. Nauczycielka ożywiała pogadankę śpiewem, to żartem. Węglarzowa zaśmiała się parę razy. Kiedy powiodła wzrokiem po wnętrzu, nie mogła wyjść ze zdumienia. Przecież chodziła do tej klasy, a nie poznawała jej. Dawniej ściany oschłe, karzące, odpychające, jakby były wyrazem tamtych surowych sposobów nauczania, dzisiaj zakwitły barwami polskiej ziemi, pięknnością jej drzew, widoków, cennych zabytków. To nie martwe obrazy, ale lekcje codziennie przerabiane zmieniły się w kolor, w wesoły kształt, w radość. Węglarzowa zrozumiała, że ściany te same, a tak inne, bo one

jakby zapamiętały słowa nauczycielki i były pomocą, serdeczną przyjaciółką, która w czasie nauki barwą podpowiada i śmieje się słońcem. Gdziekolwiek spojrzała, widziała twarze bystre, pogodne, słyszała odpowiedzi śmiało wypowiedziane. Prawda, panował gwar, ale na skinienie nauczycielki głuchł jakby starty i wszyscy siedzieli z uwagą w ciszy takiej, że niemal było słyszeć łoskot wzruszonych serc.

— Olaboga, słuchają, choć nie widzą kija.

Nauczycielka gorąco, z przejęciem opowiadała o matce, o pracach jej, o poświęceniu dla rodziny, o dziejach miłości i ofiary.

— Powiedźcie, co przedstawia ten obraz.

— Mamę taką, co patrzy na dzieci.

— A co widzicie?

— Mama cieszy się, że dzieci się śmieją.

— Kochacie mamusię?

— Kochamy! kochamy! — wybuchł wrzask mogący rozsadzić ściany.

— W jaki sposób pokazujecie mamusi, że ją kochacie?

— ...gdy słuchamy... gdy jej nie martwimy...

— Gdy mamusia mówi: Franuś, chodź, kołysz dziecko, albo Franuś, przynieś wody, to co robisz?

— To zaraz lecę i pomagam. Z tatusem rznę drzewo i szczypię siekierą, o takie bąble mi wyskakują na skórze — pokazał dłoń już spracowaną od najmłodszych lat.

— Ja izbę zamiętam, gotuję, bo mama się narobi. Kiej mama bawi Anielcię, to ona płacze, a jak mnie zobaczy, to zaraz fika nóżkami, chce tańcować, rączki wyciąga i cieszy się, że mnie widzi.

— Co każdy człowiek powinien mieć dla drugich?

Jeden tak odpowiadał, inny inaczej, aż Hanka Tomalanka głośno wypowiedziała.

— Każdy człowiek powinien mieć dobre serce dla świata, dla ludzi i dla każdego stworzenia.

— To ona powtarza ino to, co pani kazuje.

I ów nieznany człowiek krzychał swoje nakazy ustami zgromadzonych dzieci.

— O Jezu, to ja nie dałam dobrego słowa swojej matce, to ja... a dziecko wszyćko widziało, wszyćko słyszało... Nie samego pisania, nie samego czytania tutaj uczą, ino tak do serca. — Węglarzowa zasłoniła twarz dłonią, aby ukryć wzruszenie, i krajem chustki ocierała oczy. Teraz poczuła uderzenia kijów i całe dzieciństwo ją zabiło. Tyle lat, a ciało znów zadrżało skurczem żył, mięśni, kości. Odwróciła się i oczami pełnemi łez patrzyła na szeregi dzieci, wśród których znalazła córkę, tak inną, niż w domu. A ta teraz zamrużyła porozumiewawczo do matki i powiedziała wejrzeniem: widzicie, nie chcieliście wierzyć, taka teraz szkoła, w nauce kazuja się bawić.

Matka i córka patrzyły na to samo z dwóch brzegów, ponad przepaścią dzielących je lat i były jednakowo uradowane.

Dzwonek obudził życie. Drzwi rozpadły się, jakby powódź zgruchotała tamę. Każdy był krzykiem. Tupot kroków walił w podłogę tysiącem cepów. Przeróżne, niczem nie skrępowane głosy miotają się, aby wyhałasować radość.

Kobieta stanęła w środku klasy, samotna i niezaradna. Młode, rozhukane życie omijało ją, jak wzburzony potok omija zawadzający głaz.

— Ustąpcie się, bo was obalimy.

To nowe pokolenie we wrzasku, w tupocie zdrowych nóg wypadło z ławek, aby jutro tak samo zuchwale, zdobywczó runąć w życie.

Onieśmielona Węglarzowa zbliżyła się do nauczycielki. Milczała, nie mogąc znaleźć słowa, któreby zawarło to, co dzisiaj przeżyła. Coś się w niej zatamało, coś nowego wyrosło. Ujęła ją mocno za rękę.

— Nie gniewajcie się na mnie, bom głupia baba. Gdziem się miała nauczyć? Mój Boże, mój mocny Boże, żeby to tak samo było za moich czasów, toby inaczej... Tyle się pani z niemi natrapi, umęczy, a wszyéko pani widzi, wszyéko wie i ma taką okropną cierpliwość, a tak ładnie mówi do obcych dzieci. Rodzona matka nie byłaby taka, gdzieby matka potrafiła wytrzymać z taką hałastrą? Jabym nie ścierpiała, jak mnie złość chwyci, tobym wyzabijała, porozdzierała, a pani tak grzecznie, tak miło, do serca, do czucia i do rozumu. To jest dopiero robota.

— Ech — tylko przy oraniu i koszeniu, bo tam kości bolą — zaśmiała się nauczycielka.

— Tak mówią na wsi. Nie trza się dziwić, na wsi ludzie są niewyrozumiałe. Tu kości nie bolą, Jezu, ale to jest dopiero robota. Nie wiedziałam, że teraz tak uczą. Przepraszam, jakżem w czym pani ubliżyła, alem zawdy prędką. Nie bijecie, a uczą się.

— Widzicie, że niezawsze kij jest potrzebny.

— Myśmy do kija przyzwyczajone i myślemy, że kij najmądrzejszy na świecie. Mój Boże, żeby to człowiek mógł się wrócić do teraźniejszej szkoły, żeby moje lata wróciły, tobym też... tobym inaczej... ech... Dawniej w szkole naprzeklinałam dość, napłakałam się dość. Tyle mają nasze dzieci, choć szkołą się cieszą, niech się cieszą, jest czem, oj, jest.

VIII.

Zebranie, konferencja, praca obywatelska, nadmiar obowiązków rozsadzał dzisiejszy dzień tak, że nauczycielka wróciła do domu wyzbyta z sił, z jedną myślą, aby runąć na łóżko i odpocząć. Drogę do upragnionego celu zagroził stos zeszytów. Doznała wrażenia, że sterta papierów wyrosła w olbrzymią górę; przytłoczyła jej życie i nigdy już nie wygrzebie się z pod niej. Zupełnie wyczerpana, długo siedziała przy stole, zanim sięgnęła po pióro. Huk tylu godzin w głowie, ochrypnięty głos w krtani. Zachrząsały papiery i przypominały jej, że ma jeszcze napisać sprawozdanie. Wizje zarządzeń, planów, statystyki, okólników, przemienione w obłądny wir cyfr, paragrafów, obliczeń, wykazów, zestawień, prześladowały ją aż do udręki. Zawsze: pod osobistą odpowiedzialnością. Buntowała się przeciw tej robocie bezcelowej, oglupiającej, zabijającej zapał, wszelkie wartości, zmuszającej do kłamstwa. Była uważana za parszywą owcę, źle widzianą „u góry“. Może też dlatego przepędzano ją od roboty do roboty, wysługiwano się nią bez wyrozumienia dla jej zdrowia, sił, dla warunków życia. Wiedziała, że kiedyś musi otwarcie wystąpić przeciw władzom, ich ciasnocie. Już nieraz zrywała się do walki, już nieraz wisiła nad nią groźba usunięcia „dla dobra szkoły“. Wypełniała obowiązki wzorowo. To było za mało. Zbyt samodzielna i krnąbrna. Jedyna jej wina, że zawsze wybiegała naprzód przed innymi. „Burzy lud“. A ona tylko w wolnych godzinach szła do chłopskich chat z książką, uczyła poczucia krzywdy, dźwignięcia się z pierwotnego stanu, chciała ruszyć z bezwładu, pchnąć naprzód, a z pożaru, który obejmował świat,

wyjmowała parę rozżarzonych węgli, aby podpalić zmartwiałe dusze. W pracy nie chciała widzieć ciężkich warunków swego bytowania, ucisku doznawanego z wielu stron, samo ich wspomnienie usuwała, aby nie wkradło się zniechęcenie. Wiara w owocność wysiłków była podnieta. Pragnęła iść drogą wytyczoną przez powołanie. Była z zamiłowania nauczycielką. Gdyby było inaczej, swój zawód uważałaby za przekleństwo, za odrabianie ciężkich robót.

Oderwała się od rozpamiętywań. Musiała poprawiać zadania. I teraz nie widziała poza tym rozkazem.

Litery, jak czarne okruchy rozbite i porozrzucane po białych stronach, raniły oczy, oprószone za-rem. Machinalnie sięgała po zeszyt, z wysiłkiem przewracała kartki. W ustach, na ubraniu, w całym ciele, w kościach miała zaduch szkolny, tak ciężki i duszący, że nie mogła się go pozbyć w żaden sposób. Otaczał ją hałas rozhukanej zgrai, klasy, korytarzy, podwórza, złożony z krzyków, jakby jeszcze teraz sypały się na nią cegły rozwalanych murów. W tem runowisku zdarzenie z Węgłarzową, jej słowa, a potem wzruszenie i uśmiech zatraciły się, zalane atramentem. Zniknęli ludzie, wypadki, została czarna struga płamiąca życie. Wśród bazgrot tropiła błędy, znacząc je czerwonymi kreskami, jakby wybroszoną krwią z palców. Odgłosy zbliżających się kroków wytrąciły pióro. Już nie mogła skupić uwagi. Wiedziała, że to Biel idzie. Nie chciała do niego słowa przemówić. Słyszała krzątanie się po izbie.

Biel grzmotnął o podłogę naręczem drew, butami walił, jakby chciał rozbić w drzazgi podłogę. Zaczął

rozpalać ogień powoli, obrzędowo. Gasło. Zajrzał do popielnika i stęknął.

— Jak się ma palić, kiej tyle popiołu. Niema kaj wiadra? — mruknął niezadowolony. — Wiedziałem, że tak będzie. Jakto może być, żeby nie było tego, co potrzeba w gospodarce. Zbiję skrzynkę. Mierzi mnie taka robota. Lubię we wszyćkiem porządek. Trza do gazyty zgarnąć. Podajcie mi jaką.

— Leżą na półce — zniecierpliwiona, odpowiedziała krótko i sięgnęła po następny zeszyt.

— Bo to wiem, jaką wziąć?

Szelest przewracanych kartek dawał znać o sobie w przerwach między stukotami butów Biela, który dzisiaj tak długo, tak niezdarnie spełniał swe czynności. Przypuszczała, że chce coś powiedzieć.

Stała w środku pokoju z czapką w garści i chrząknęła.

— Jest co do roboty?

— Nie, nie — teraz dopiero spojrzała na Biela uważniej i na widok bardzo zmienionej twarzy zawołała z najwyższym zdumieniem — rany Boskie, co się wam stało?

— E, nie takiego — machinalnie zastonił dłonią szramy, zalepione bibułką, ból zadany rękami synów — e, bo, e bo, zwyczajnie, jak to na wsi bywa. To już chyba pójdę — chwycił za klamkę i wypuścił, zrobił kilka kroków i stając w kręgu lampy, tkał palce w rany, odrywał zeskorupiałe bibułki i rechotał z mściwą boleścią. — Dzieci mnie tak oporządziły. Dzieci kochane.

— Czyje dzieci?

— Czyjeżby? moje.

— Aha prawda — przypomniała sobie opowiadanie Alojza.

— To pani nic nie wiedzą? Bitka była, skrzywdzenie, że rany Boga żywego. Żeby obce ludzie pobiły, to nic, wola Boża, ale mnie tu boli, w bebeczach. Patrzenie, jak potargali ciało i przyodziewę, szmaty ze mnie leciały — pokazywał dziury, pozszywane grubą nicią — one tak porobiły, tyle szkody, dzieci moje kochane — wyszczerzał zęby w śmiechu, mającym w sobie coś z krwiożerczego zwierzęcia.

— Za cóż to?

— A za nic, za to, że ojciec, za to, że się tyle napracowałam, za to, że mnie wyżarli z gospodarki. Malinowska pojechała do czarownika... — zaczął od początku.

— Do czarownika? po jakie лихо?

— Odczyniać. Dużo trzeba by opowiadać — popatrzył nieufnie, ze zgorszeniem i dodał śpiesznie — teraz to nie jest ważne. Na zabójstwo nie szedłem, ino z dobra-woli, jak ojciec, jak gospodarz do swego. Kiej mnie dostrzegli, w dyrdy zawarli chałpę. Patrę, pies na łańcuchu przy dźwirzach. Słyszę: huzia! huzia! nie puść dziada. Wiecie kto? Synuś stał w sieni i szczuł. Co powie: huzia, to pies na mnie się ciska. Tak mnie serdeczny żal zdjął, że się mało nie rozplakał. Przed rodzonym ojcem dźwirze zawierać? To nie grzech? nie obraza Boska? czy Pan Jezus ma to ścierpieć? powiedzcie! Kij leżał pod nogami, ani nie wiem, kiedy chyciłem do obu rąk. Chlust go. Jeden sius wystarczył. Odrazu go uciszyło. Po-ciskało, pociskało, długo się bidok nie mordował. Co winien, kiej go szczuli na ojca? To nierozumne stworzenie i żal mi go było. Łatwo mi poszło z dźwirzami.

Pochwaliłem w izbie Pana Jezusa, a ony na mnie patrzą jak zbójce. Moja kole śniadania rychtowała, syn starszy kole cieślarki, widzę, ręce mu o tak skakują, myślę: ze strachu. A ja nie. Jedli ziemniaki. Siedzę, patrzę. Głodny byłem i mówię grzecznie, choć od bólu aż mnie skręcało: możebyście dali? Ciśli trzy, o tyle ziemnioki. Zapłakałem: Pan Jezus was ciężko skarze za mnie, a w te razy moja rozdarła gębę: idź do pola, czekaj jak pies, obydwaj się zdacie do siebie. I z tego była bitka. Starszy chwycił mnie pod gardło, a młodszy bił polanem po głowie, aż mnie zaćmiło. Czy ja, bidok, dom radę takim nażartym smokom? Straszne rzeczy, żeby synowie rzucali się na ojca, żeby matka buntowała. Takie terazniejsze żony, takie dzieci. Z dobrem sercem szedłem, a ony tak.

— Lepiej zapomnieć, pogodzić się z nimi.

— Będę krzyczał, niech ludzie wiedzą, żem się od swoich synów krwią oblał. Nie ja sam na świecie, dużo takich ojców — z za pazuchy wyciągnął spocony, stargany strzep, składał, stulał i wołał rozkazując: — przeczytajcie, tu stoi napisane o ojcu, co dzieciom w głupości zawierzył. Mógł wydusić, wyzabijać w kolicie, dobrzeby zrobił, miałby spokojne życie. Cały majątek zdał na syna, a syn pożłował łyżki strawy — na zeszytach położył szpargał, chcąc nim, swoim bólem i zemstą zasłonić wszystkie sprawy. — Słuchajcie, co mówię, wielką prawdę mówię.

Nauczycielka wzrokiem przerzuciła szare kartki, zrazu drgnieniem warg, potem szeptem, wkońcu głośno czytała jarmarczną poezję.

— Niech wiem — krzyczał — że inne ojce są nie-

szcześliwe, niech się choć tem pocieszę, czytajcie od początku — wskazał paluchem, jakby chciał rozbić grubo nagryzmony napis: „Prawdziwa opowieść o synowej, która zamordowała starego ojca Jakóba“.

„Z własnego domu mnie wypędzają,
Kawałka chleba mi odmawiają“.

— Jak mnie, jak mnie — stękał Biel — z mojej własnej pracy wyganiają na kumorę. Wszyćko napisane o boleści ojca, co dzieciom zawierzył.

„A teraz waszej śmierci czekają,
Bo wasz majątek w swych rękach mają.
I jeszcze wam gorzej będzie, dziadku,
Bo śmierć wam zrobią prędko na ostatku“.

— Tak mnie chcieli zrobić śmierć — zerwał się i opadł na stołek. Słuchając opowieści, czasem głowę pochylał przy wyrazie „sakrament“, w piersi się bił i ciężko wzdychał — wszyćko z mojego serca bierze, jakbym każdziuskie słowo wypłakał żywemi oczami. Pan Jezus go natchnął swoją łaską.

W odpustowej pieśni, naiwnej, nieudolnej, śpiewanej przez ślepcę przy harmonji, nieznany autor mówił o rozpaczach ojców wyrzuconych z gospodarstwa, poniewierających się po gościńcach, rowach, wspierających głowy na przydrożnych kamieniach, wyciągających ręce po wyżebrany chleb. Wyrazy tej pieśni stawały się skargą Biela, przekleństwem i boleścią aż do głębin mściwą. Oczy płakały, a ręce zacisnięte tężały na kolanach twarde, choć tak bezsilne. Z tych pięści, z tych oczu spadały słowa.

— Prosto z jarmarku poszedłem z tą pioszeczką za pazuchą przez góry do nich i mówię: dzieci kochane, wyganiacie ojca, a za to może was kara Boża spotkać. Posłuchajcie. Czytałem, a com przeczytał, tom się łzami zalewał, bo mi serce pękało od żalu. W te razy najstarszy syn powiedział: Nie czytajcie nam tego, bo nas nie obchodzi, i zaśmiał się, wicie do czego, takie pisanie? — Do czego, moje dziecko? — pytam. — I wiecie, co powiedział? uczciwszy uszy — za stodołę. O tych świętościach tak brzyćko mówić i do takiej rzeczy. Za podufałe są dzieci i kara musi spotkać. Matki winne.

— Może tak nie było?

— Tak powiedział. Bogiem się świadczę. Teraz widzicie, jakie są moje dzieci, zbóje są. Przez sąd mnie wygnali z gospodarki. Co złego zrobiłem, że przyszedłem na takie rozbiecie? To nie mam nijakiego prawa na świecie? Jak to może być? Jednego kawałeczka chleba nie mam, a tyle mojego pola, nie mam gdzie głowy przytulić, na mrozie śpię, a tu moje budy. Pani, pani, chudobny byłem, tyle nie miałem ziemi, cobym igłę wcisł, a wszystko wypracowałem temi rękami — podsuwał pod oczy nauczycielki żylaste dłonie, spiętrzone węzłami, jakby urobione z zeschniętej gleby, z samych grud. — Kupiłem takie wyrwisko, a dalej takie młaczysko, że ino kwicole i liski gazdowały. Robię, robię, ani dnia nie widzę, ani nocy. Ludzie, co tędy przechodzili, patrzą, kiwają głowami i w śmiech: tu chcesz mieć chleb? — a tu — mówię — i teraz spojrzał surowo, jakby ciosem siekiery rąbnął w bukowy pień. — Hańten znowu w śmiech — prędzej doczkaś się na kamieniu. — Jak będę chciał, to i na kamieniu dochowam się

ziarna. — Głupiś. — Możem głupi, ale mam swój rozum w rękach, zdatnych do każdej roboty. Masz dość pola — mówię — to ci nie potrzeba, ale ja choć na kamyku, to muszę mieć chleb. Obsiałem i czekam. Śmiechu było coraz mniej, aż ustał, kiej pole zaczęło rodzić, owies, jarzec, nawet żyto. Ludzie się dziwowali, bo nigdzie takiej urody nie było jak u mnie. Pracowała też moja, nie powiem tego, Boże broń, żeby nie pracowała.

— To wyście zaprzęgali żonę do pługą? — dopiero teraz przypomniła sobie opowiadanie, słyszane w szkole.

— Choćbym zaprzęgał, to co? — urągliwie zapytał i z powagą dodał — posłuszeństwo mi winna.

— Cóż wy myślicie, że wolno ostatnią żyłę wypruć z kobiety?

— Pan Jezus przy ołtarzu dał mi władzę nad nią. Baba nie na podobieństwo Boże stworzona, ino na wygodę chłopu, do roboty i inszej rzeczy, co przy ołtarzu ślubowała. Orałem, nie zapieram się — powtórzył z naciskiem, surowo — nie boję się tego, boni w niczem nie zgrzeszył.

— Jakże tak można? Trzeba być bez sumienia.

— Ej pani, ej pani — z pobłażaniem pokiwał głową nad jej oburzeniem — nic nie wiecie, to poco mówicie? — przez krótką chwilę szczęśliwy uśmiech zagościł na żylastej twarzy. — Wiecie, dlaczego?

— Skądbym wiedziała.

— A widzicie — błysnął zwycięsko. — Zaprzęgałem, bo trza było wyrobić ornicę, a konika nie było, ani krowiny. Obydwojeśmy jednako robili. Jedno prawo do chleba, jedno prawo do roboty. Nie zmuszałem, kobieta sama chciała w dobry sposób.

— Ludzie mówią inaczej.

— Niech mówią. Ludzie, aby uzryć drugiego, aby skrzywdzić. Nie obetnę im jęzorów, alebym prał rzemieniem po pyskach, toby mieli zastanowienie. Com im winien? ścierwy — zachnął się, zamilkł i z namysłem opowiadał, jakby grudę za grudą wyorywał z pod skib. — Miałem płużek szykowny, lekki, drewniany, jakie dawniej za ojców bywały. Nie było nijakiej żywiny, żeby zaprząść. Kopaliśmy motykami, ale co motyką urobisz? Niesporo szła robota i mówię: kochana żonko, mam płużek, spróbujmy orać. No, to orajmy — z uciechy krzyknęła. Poskładałem płużek. Ziemia nie była głęboka. Weź za kolce i ciąg, ja ze zadku będę pchał. Jakbym nie popchał, toby moja nie pociągnęła, bo nie miała siły, a nie przykazywałbym jej przez przymus, mam przecie czucie. Oraliśmy nie po uboczy, nie pod górę, ino nadół. Bata w garści nie miałem żadnego. Nie poganiałem jej, Boże uchowaj. Moja strasznie rada była, że taką sztukę umie, jak nikt we wsi i co ona ludziom pokazuje, bo ludzie się strasznie cudowali. Nie narzekała, buntacji nie robiła, bo wiedziała, że tak trza, żeby ziemia miała, co potrzeba. Grosza nie chcieliśmy wydać, bo go nie było w domu. Ze mną orała, ale com się sam narobił, to ino jeden Pan Jezus widział. Musiałem takie rowy kopać po pas, rąbałem skole i nasypywałem śtorcem, na to stertę drobniańskiego żwiru, potem gliny. Był młaczysty grunt, teraz spodem woda idzie, a wierchem jest sucho. Skąpiłem sobie i dzieciom, żeby pola dokupić. Mordowałem się ze samym sobą. Z Boga i tych rąc mam wszystko — rozpostarł dłonie, wtedy nauczycielka doznała wrażenia, że te ręce dziesięcioma palcami

rodziły bryły, skiby, ze skib zagon i od zagona do zagona, aż rozmożyło się rozłożyste pole, cały obszar gospodarki. — Wykrwawiłem — Biel opowiadał godzina za godziną, dzień za dniem, już nie wyrazami ludzkiej mowy, nie kawałami głosu odwalonego od skały chłopskiego uporu, ale zharowanemi kośćmi, wszystką mocą mięśni i pazurów. Po raz drugi tamte dzieje sobie przypominał i po raz drugi obrabiał jałowy nieużytek, przerąbywał litą skałę, to znów kopał głębokie rowy i walił w nie rumowisko, wydzierał „samorody“, w glebie osadzone od wieków. To była walka ponad siły, ale poszedł na udry. Nie widział końca mordęgi, a mimo to nie ustał. Nie liczył godzin. Zrywał się, kiedy było ciemno, odchodził z pola, kiedy zupełne wyczerpanie wytrącało narzędzia z garści. Dzień mierzył obszarem dokonanej roboty. W południe żuł suchy chleb, moczony w źródle. W ciele czuł skały, skiby, w opuchłych dłoniach rzekę wody i błota. Jego słowa prężyły się od wysiłku, dzwoniły łoskotem kilofa, młota, mokołem przepracowanych dni, miesięcy, lat, chropawe i kanciaste ociekały ich znojem.

— I tyle mi zostało, wygnali mnie. Tam każda trawka, każde ździebelko z mojego potu, tyle tam, tyle tam...

Zdawało się, że ciężkie krople kapią na podłogę i słyszać ich łoskot w ciszy. Nauczycielka, wstrząśnięta do głębi opowiadaniem Biela, pragnęła obetrzeć zharowane, nieszczęśliwe wyrazy, jak spocone czoło żniwiarza, odpędnzonego z własnego zagonu w czasie żniw.

— Takżem się dorabiał kawałka chleba. Ludzie

od zazdrości zaczęli robić ruinę i bunt między nami, a najgorzej brat.

— Brat?

— Własny brat. Mówił mojej, że przy mnie ino djabeł usiedzieć może. Nie powiem, że jestem bez winy, bom człowiek grzeszny. W małżeństwie rozmacie bywa, raz dobrze, raz źle, trza jedno drugiemu ustępować i w Bożej zgodzie żyć. No nie?

— Oczywiście, życie małżeńskie tylko na przebaczeniu, na wzajemnych ustępstwach można budować.

— Nóż przy nożu może żyć, ale nie gniew z gniewem. Grzecznie mówię: nie słuchaj złego człowieka, utamuj się. Mów jej. Boże daruj, jak szatan, od swego męża stroniła i umykała. Kiedy żona przynajmuje opiekunów i oblubieńców ku sobie, to ślubny chłop musi z domu uciekać.

— Ach, to dlatego — teraz zrozumiała położenie. — Ależ to oburzające. Żeby brat był tak nikczemny.

— Nie kto inny, ino brat z moją przetrzymuje. Nie zdybałem ich na pościeli, ale tak mówią. Brat rozszcypał nasze małżeńskie życie. Za jego poradą podała do sądu, że żonę katuję, dzieci morduję, głodem morzę, że nią orałem, i same oczernianie. Adwokaci za pieniądze tak kręcili, tak kręcili, aż wykęcili oszustwo i moje nieszczęście. Sędziowie uwierzyli oszustom, odebrali majątek i mnie, chudobnemu, kazali jeszcze płacić za procesy, nie wolno mi nic mieć, bo mi wydrą stąd — zakrzywionemi szponami wydzierał sobie z gardzieli. — Ojca wygnali na środek ulicy i drogę pokazali. Ona bogaczka, jej chałupa, jej rola, jej sadek, jej krowy, a ja nic, nie, nie,

moje ino kamienie, co ciskają na ojca własne dzieci. Czego tak, pani? — głos jakby umarły, sam głuchy, ciężki dźwięk leżał na wargach. Biel siedział z rękami bezsilnie porzuconemi i dyszał, zlany potem.

Poza domem przemykały codzienne sprawy tak obce zrozpaczonemu człowiekowi. Dzwoniły sanki, pędząc ku naznaczonemu celowi. Wieś dźwięczała różnoraką mową. Pieśni parobczańskie zagarniały na szerokość przejścia i waliły melodjami w okna mijanych izb. Stukot śpiesznych kroków skrzypiał na zamarzniętej ulicy i rozbiegał się w swoje strony. W piecu trząsał ogień, rzucając na podłogę blask, jakby się deski zajmowały powoli, rozżarzały, aby buchnąć wkrótce płomieniem.

— Mnie tu boli — Biel powoli skurczył dłoń, podniósł ją i walił w dudniącą pierś — każda żyłka mnie boli. Przez sześć lat w dekunkach, z frontu na front, com się naponiewierał, com nacirpiał, to nikt nie wie, ino moje kości, ino moje życie. W oczach jeszcze dziś mam pełno krwi ludzkiej i przez krew patrzę i nie wiem, czy żyję, czy jestem umarty.

— To od wojny wam tak?

— Od wojny, pani. Może od tego, com przeżył i widział, mam zepsuty, chrobaczliwy rozum. Nie dziwota, już tak do śmierci będę — wzdrygając się, czemś przeszywany, mówił prędko, jakby z pobożowiska zbierał skrwawione słowa. — Kule gwizdały, granaty siepały ziemię, od ognia ino się łyskało. Koniec świata. A my w tym ogniu, w kurniawie, w kulach śpiewamy: „Serdeczna Matko“, żeby odegnąć nieszczęście. Hihhi. Dużo pomogło. Jędrek Packulin podniósł obie ręce, zerwało nim i rzuciło

jak snopem w przykopę. Wojtek Gontków zacharczał i krew zalała śpiewanie. Jasiek Brzyskulin chycił się za serce i zawołał: mamó! Bartek Dobosz lig i płakał w ziemię: co z dziećmi, co z dziećmi? Tyle pomarło, inom ja wrócił ledwo żywy i tak pobity, ani mnie było poznać. Tu mam wszyćko, com widział — oczy wytrzeszczał, grozą przejęte, jakby znów zobaczył tamtych, śpiewających. — Pocom z pod kul wrócił? poco? Żebym nie miał jednej skibki? Żebym się poniewierał gorzej, niż dziad, bo dziad idzie od chałpy do chałpy i każdy go przenocuje, zratuje, miłosier-nem słowem pożegna, a mnie kamieniami ścigają. Mam zapłatę. Tom się poto tyle lat natyrał, poto mnie gryzły wszy całego świata? Powiedzie, czy tak ma być? — pytał szeptem, potem krzyczał, domagając się natarczywie natychmiastowej odpowiedzi. — Ludzie mnie skrzywdzili, ona, dzieci, brat, Pon Bóg i wszyscy święci jednako. Podeptali mnie o tak, o tak — tupał kierpcami, jakby swoje wyobra-żenie, największego wroga chciał rozgnieść. — Teraz-żem nic — niespodzianie się pochylił, ujął rękę nauczycielki, ukrył w zagłębieniu sękatej garści i głą-dził miękko, patrząc w jej współczujące oczy wzro-kiem najbardziej bezbronnej, najbardziej skrzywdzo-nej istoty. — Znajdźcie dla mnie sprawiedliwość i ratunek.

— Powiedzie, co mam zrobić, nie poskąpię ani czasu, ani sił, aby ulżyć w waszej niedoli.

— Idźcie do mojej i pomówcie z nią, żeby mnie do domu przyjęła, powiedzie, żem grześnik nad grześniki, żem upodlony człowiek, ale z duszy-serca chcę się poprawić i w skrusze żyć. Niech się nie ob-ziera za innym chłopem.

— Czy wysłucha mnie, obcej?

— Wysłucha, ino wy najpierw musicie uwierzyć w moją prawdę, żebyście czuli tak, jak ja.

— Wierzę, ale czy to wystarczy? — w tej chwili zrosła się z garścią Biela, czuła ból jego serca, moc jego ciała, tragizm nieszczęśliwego życia i bezdźwięcznymi wargami wyrzekła — czyż przekonam tak nielitościwą, tak złą kobietę? Wszystko uczynię, ale czy zdołam?

— Kiej dobry człowiek przemówi, to wiele zrobi i najtwardszego skruszy — nie usłyszał, raczej wy-czuł treść jej słów i odpowiadał takim samym szep-tem. — Wyście dobry człowiek. Z serca do serca najlepiej idzie mowa. Przede mną ludzie uciekają, krzyczą, że idzie jancykryst. Moja mowa nie nie warta — w tem dźwignął się, stanął, jakby chciał iść przeciw wszystkim obelgom, kamieniom, przekleństwow. — Niczego się nie boję. Muszę mieć swoje prawo, muszę w tych pazdurach dzierżyć gospo-darkę. Nie daruję, nie daruję — i znów błyskające oczy zaczęły nabiegać dawnym ogniem, żebracza ręka kurczyła palce powoli jeden za drugim, zmieniając się w kułak. — Jak trza podpalić, to podpale, jak trza zabić, to zabiję, we wojnę jużem przyuczony. Trza ze złemi ludźmi porządek zrobić, z mojami krzywdzicielami. Inaczej nie będzie, nie może być.

IX.

Nauczycielka po wyjściu Biela do późna w noc ślęczała nad tyłu sprawami, że zupełnie zapomniała o napisaniu bezcelowego drobiazgu, jakiegoś sprawo-zdania, nakazanego przez kierownika.

Krótki sen wcale jej nie pokrzepił. Wstała zmęczona. Nie była zdolna do żadnego wysiłku. Z trudem się ubrała. Łaziła leniwie po izbie, przenosząc z miejsca na miejsce niewykonane zamysły, postanowienia, zrodzone w zniechęceniu, we wstręcie do samej siebie. Uczyła dopiero po południu, dzisiaj jednak wcześniej musiała iść do szkoły, gdyż miała uczestniczyć we wzorowej lekcji gimnastyki, którą przeprowadzą instruktorzy z kuratorjum, znawcy, słowem — cudotwórcy. Miała przed sobą poranek wlokący się bez celu. Dopiero żywiej zadrżała, coś się w niej odmieniło, kiedy słońce weszło przez okno i wewnątrz napełniło świetłą energją. Krew w żyłach nabrzmiała, zapulsowała jak na wiosnę miazga w drzewie, zbudzonem do nowego życia. Pragnęła otrząsnąć z siebie zmęczenie fizycznym wysiłkiem. Uderzył w nią cios postanowienia: narty. W zniecierpliwieniu, pośpiechu, rozgorączkowana wybiegła na podwórze i zaraz za zabudowaniami podążyła po łagodnym stoku wzdłuż płotu, wspinającego się słupkami i żerdziami pod górę. Wnet poczuła oddech wolnej przestrzeni. Śnieg w oczach zakwitał rankiem wyiskrzonym, aż oślepiającym. Niosła ją ochota, aby dalej, aby wyżej. Gdzie spojrzała, niebo witało ją błękitem. Zupełnie o tem zapomniała, że jeszcze dzisiaj ma wrócić do ciasnej izby, zapchanej zaduchem, nędzą, do orki na ugorze. Sunęła lekko, spadała w kotlinę. Ślad jej biegu falował. Pod narty kładły się ciemne, stężałe cienie. Drzewa chwiały ku niej rozczapierzonemi konarami. Spłoszone ptaki płynęły przez powietrze niby barwny powiew. Słońce od czasu do czasu podścielało pod siebie zabłąkaną chmurkę, niby pieluchy i wędrowało po sklepieniu wygodnie, beztrosko w białych miękkościach,

zawiewając przelotnymi cieniami. Wysterczające z zasp zeschnięte badyle ostów, śliczne rysunki liści były mistrzowską, jedyną ilustracją pejzażu zimowego. Nauczycielka omijała je, aby nie otrząść, nie skruszyć ornamentów, stworzonych z chwiejnych drzeń i skrzeń. Zmęczona stanęła pod drzewem, oparta plecami o pień, wciągała w siebie słońce, pachnące mrozem i niebem. Upiła się bielą śniegu. Czuła jędrne jego pulsy w każdym palcu, w każdym włosie, w każdym spojrzeniu. Nawet nie pomyślała, że jej wzruszenia i przeżycia teraz niczem nie różnią się od wzruszeń i przeżyć Alojza. Ta sama ją ogarniała tęsknota za przestrzenią, poryw do wędrówek przez góry, w odnęt dnia, w samą wolność. W uniesieniu chciała krzyczeć. Kiedy się ocknęła, popędziła w stronę wsi, aby się nie spóźnić. I teraz niebo potrząsało obłokami ze swych wysokości. Osty kiwały łodygami, prosząc srebrnym ziarnem i okruchami migotań. Ptaki, ich barwne i szare wyobrażenia ulatywały niby duchy, jawiące się cichym śniegom. Pragnęła podskoczyć ku nim i ku kuli słonecznej, kołyszącej się na sklepieniu niby wypieszczone dziecko w błękitnej płachcie. Dysząc od pośpiechu, oparta o kijki, z żalem odwróciła się jeszcze raz. Wzrok ślizgał się po dwóch brózdach, które w pędzie przecięła pole, białe niebo wyiskrzzone gwiazdami.

Już nie miała czasu ugotować obiadu. Zagarnęła zeszyty i wybiegła z izby. Błogosławiła dzisiejszą wycieczkę, jej urok, który sprawił, że była tak mocna, skrzepiona, tak pełna zapału i wiary w siebie. Żaden cień nie zdołałby zaćmić jej pogody, nastrój ten można by przyrównać do jasnego dnia. Pokona wszystkie przeszkody, rozbroi łagodnym słowem najbardziej

opornych. Zatęskniła do rozwichrzonych głów, do tupotu nóg, do oczu witających ją tak szczerze, tak prawdziwie tem, czem mogą, dziecięcem przywiązaniem. Nie śpiesząc się, aby przedłużyć choć we wspomnieniu przeżyte chwile, podążyła ku szkole. W którymś z mijanych domów zegar wydzwonił godzinę, rzucając pojedyncze dźwięki pod jej stopy. — Spóźniłam się — pomyślała. Z poza bram, płotów, drzwi, wybiegały dzieci z powitaniem i uwieszały się u jej rąk.

— Proszę pani! proszę pani! Pockojcie mnie kwilu się, bo już dychać nie mogę.

Gromadka rosła, wykrzykując po drodze nowiny. Gwar wzbijał się wysoko niby dźwięczna kurzawa. Każdy z obecnych chciał jej w czemś pomóc, usłużyć, aby zdobyć pochwałę. Wydzierali zeszyty, książki.

— Ja wezmę, ja...

— Czy lekcja już się rozpoczęła? — zapytała przechodzącą p. Pawelską.

— Jeszcze nie przyjechali — rzuciła w odpowiedzi i pomknęła przez korytarz.

Tupocąca burza wtoczyła się do klasy i rozprysła się pojedynczo po ławkach. Pchnięte krzesło fiknęło koziółka i stanęło bez żadnego szacunku na katedrze, która naprzekór rutynie i powadze zjechała ze środka pod ścianę jako sprzęt niepotrzebny. Dzieci zaraz przeczuły, że dzień będzie wyśmienity i zaczęły się pysznem opowiadaniem. Przyniosły z wieszadła fartuch pani, bez zachęty wypełniały dobrowolne obowiązki, podniecając jeden drugiego.

— Michaś, otwórz okno.

— Staszek, naznacz pogodę.

— Anielciu, zetrzyj stół. A czy kreda i gąbka przygotowana?

— Józia, podlej kwiatki.

W śpiesznym stukocie chodaków przelatywały treściwe rozkazy. Chwila milczenia po mocnem „baczność“. Modlitwa o chleb powszedni i odpuszczenie win zgodnie strzeliła pod powagę. Skoro przebrzmiało: „W imię Ojca i Syna“, auto zahłasowało przed szkołą. Śpieszne kroki zastukały w korytarzu.

Kilku chłopców wybiegło do okien.

— Samochód przyjechał z jakimiś panami.

W czasie powstałego zamieszania weszła starsza nauczycielka p. Pawelska.

— Mam panią zastąpić z polecenia kierownika. Już się rozpocznie lekcja wzorowej gimnastyki — podeszła do stołu i jakby trzasnęła kijem. — Inspektor też przybył — stąd śmignęła zimnym wzrokiem po uczniach. Pod jej spojrzeniem gwar pierzchnął, ruch zastygł, dzieci jakby zamarzały w bryłach lodu. Przemoc spętała ręce, ustom odebrała głos.

Wiadomość o niespodziewanem przybyciu inspektora obezwładniła nauczycielkę, zabiła świadomość. Pawelska potrząsnęła ją za rękę.

— Niechże pani już idzie. Czego się bać? Nie można się spóźnić, bo potem chryja gotowa być. Oni są czuli na drobiazgi i uważają to za obrazę władzy.

W popłochu popędziła ku naznaczonym drzwiom. Po przekroczeniu progu powiał zaduch onuc, kożuchów, pamiętający chyba pańszczyźniane czasy.

— No, w ładnych warunkach odbywa się ta pokazowa lekcja.

Sali gimnastycznej nie było, na ten cel przeznaczono obszerniejszą izbę, w której przed chwilą skoń-

czyła się nauka, i nie miano czasu już przewietrzyć. Zebrano uczniów najwyższych klas. Chłopaki, drągale z pod ciemnej gwiazdy, co już nauczyły się na pastwisku niejednej mądrości, dziewczuchy rozrośnięte, wybujałe, kryjące pod tanią bluzką kształtujące się wypukłości piersi, zaród nieszczęść i nadziei. Inspektor Kobiółka, z pięknie wyszczotkowaną czupryną, wysoki, przystojny, odmierzał każdy ruch, każdy krok, jakby chciał je porządkową liczbą opatrzyć, do rejestratury włączyć, aby było więcej cyfr potrzebnych do sprawozdania, więcej zapisanych papierków. Kilka osób z grona nauczycielskiego z uniżeniem, z miną porażonych piorunem kurek, wpatrywało się w dostojną władzę, rzeźbiącą słowa chyba z kości słoniowej.

— Tak, tak, alibi, załączniki, świadectwa, drogą urzędową, okólniki, powtarzam: drogą urzędową — gdy to mówił, przymrużał nieco oczy i z lubością patrzył, jakby ustawiał w szeregu wyrazy stojące na baczność, ubrane w mundury błyszczące od odznak.

Nauczycielka stanęła tuż obok Trojaka, kierownika szkoły w sąsiedniej wsi. Chłopisko jak stóg siana. Lubił tego popić, wyściskać dziewczuchy też. Znany był z żelaznej siły. Gdyby palcem śmignął, to uf. Gębę buchającą zdrowiem obrastały zwichrzone kłaki, istne cierniaki, głogi. Lubili go za rubasność, choć cierpli, gdy zaczął mówić, ciął jak kosą po nóżkach, po rączkach, do czysta. Nikt nie chciał być w tej kośbie. Trojak pochylił łeb ku przybyłej i dmuchnął z pachem taniego tytoniu.

— Paniusiu, poziroście dobrze, a w ślepie biercie, kumendyje się wyprawiają. Centa nie docie, choć szóstkę wortają, a uśmiejecie się, że mało brzuch nie

popęka, huhu, uciecha z jarmarku, choć nima katarynki.

— Niechże pan przestanie, przecież inspektor, gotowa być awantura, gdy zauważy.

— On nie nie widzi, dumnie rozindyczony. Odkąd Kobiółka został „zwierzchnością“, buduje nowe światy i dlatego gdzieby zwrócił uwagę na takiego nędzarza jak ja, tem bardziej, że to mój kolega. O, gdy przemawia, to dokumenty składa wiekopomne, piramidalne — przytem wyprostował paluch podobny do bijkaka cepów. — Takim władza uderza do główki i fi-ka koziołki.

Instruktor w krótkich zdaniach, z gestem władcy pouczał zebranych, objaśniał ważność nowoczesnej metody, jej skuteczność, jej niezwykle działanie rozwijające ciało, wyrabiające bystrość umysłu, spozstrzegawczość. Nie spojrzał ani razu w stronę Trojaka, bo ten na pewno trzasnąłby w ślepią prawdę, że te objawienia, im prostakom podawane do wierzenia, można przeczytać z taniego podręcznika kupionego za 80 groszy.

— A teraz każde moje słowo będziemy ilustrować przykładami. Dzieci kochane — spieścił słodko to wezwanie — zdejmijcie buciczki, a obujcie gimnastyczne pantofle.

— Co, proszę pana?

— No! pantofle! Kto pręduje!

Uczniowie odbiegli od roboty, od krów, od cepów, to też mieli chodaki oblepione gnojem. Na rozkaz pochyłili się, aby zzuć buciary wykrzywione, zdarte, połatane, ciężkie jakby z buczyny wyciosane, matczyne trzewiczyska, to szmaciane „kierpcoski“. Długo się mozolili, nie mogąc się uporać ze sznurka-

mi, z krajkami, paskami. Odwijali przemoczone onuce, brudne szmaty. Jedna z dziewczyn zaszlochała. Trojak podsunął się ku niej na palcach, ściszając kroki.

— Czego beczysz, dziopię?

— E dy — e dy. — Wstydom się, bo nie mam żadnych buciąt, ani pończoch, ino babka mi z woreczka uszyli, o takie szmacioki.

W obydwie dłonie ujął stopy i pokazał.

— Tak chodzą... A zapytajcie na wzorowej lekcji, co dzisiaj, co wczoraj jedli.

To drobne zdarzenie nie wywarło większego wrażenia na zebranych, zaprzątniętych ważniejszymi sprawami przebudowy ludzkości.

— Na ławeczki wyjść.

Uczniowie wyskoczyli szeregi. Zginali grzbiety, wyrzucali ramiona. Przykładali raz lewe, raz prawe ucho do deski.

— Zegar idzie. Główki wbok. Tik, tak, tik, tak!

— Zegar bije! Za każdym uderzeniem rączki wbok wyrzucić! Bim! bim! bim! Która godzina?

Klaskając w dłonie, wyrzaskiwali ilość uderzeń.

Na rozkaz zbiegali na brudną podłogę i po kilku podskokach, pokłonach uklękli na kolanach i opierając się na dłoniach, kreślili nosem początkowe litery swego nazwiska.

Ćwiczenia odbywały się w takt sentymentalnowesołej piosneczki, na której wspomnienie hipopotam zapłakałby żałością, zabierając się do lekkiego skonania. Zrazu skłócone głosy tworzyły wrzaskliwe zamieszanie, później uporządkowano je i już brzmiały zgodnie, ale bez zycia, bez ochoty.

— Radośnie śpiewajcie. Raz dwa — raz dwa.

— Ojcaszków puścić z pasem, toby ich zaraz nauczili wesołego śpiewu — burknął pod nosem Trojak.

Nauczycielka, patrząc na ćwiczenia chudych, wynędzniałych ciał, bladych twarzy, pomyślała, że to patyki krzaków, obdartych, zziębniętych, sieczonych szarugą, wykonują ruchy daremne, udręczające i powiewają łachmanami w takt melodji. Bose stopy uderzały o deski jak kapiące krople chlapaniny jesiennej. Nawet śpiew miał coś z wiatru bitego ulewą, z jego głosu przeciągłego, zanoszącego się płaczem nad pustemi zagonami.

Na zakończenie ostatniej zwrotki chwycili się za dłonie, pochylili głowy, co miało oznaczać filuterność, zalotność, huknęli mocno, dziarsko, aż szyby zadygotały: a kuku! a kuku!

— A kuku! a kuku! — zaśmiał się Trojak do ucha nauczycielki. — Niech pani patrzy na tamtych, kpią w żywy kryminał. Każą im śpiewać: a kuku, a kuku. Niejeden z tych dryblasów złapałby dziewczuchę, w przykopę cisnął albo pod jałowiec i wiedziałby, co do czego służy. Każą mu nóżki wyrzucać, on kieckęby...

— To wcale zabawny i pouczający obraz.

— O tak, bardzo zabawny! Jakby głodnej szkapie, odprzęgniętej od kieratu, kazali fikać opuchniętymi łapami i śpiewać wesoło: a kuku, a kuku!

— Nie możemy trzymać się starych norm. Postęp, nowoczesność.

— Chłopaki lubią ćwiczenia wojskowe, obroty, marsze. Dziecku wojsko się podoba. Przytem zaśpie-

wać im choćby tak, — bębniąc palcami w ścianę, —
zanucił szeptem:

— Ej, kieby nie świtało,
Byłoby mi dziwce dało,
Ale zaczął kogut świstać,
Zacęło się dziwce ciskać.

Co? he? to kolorowe, obrazowe?

— Jest pan niemożliwy.

— Dla nich wystarczająca gimnastyka, kiedy
uganiają za bydłem po górach, rzną sieczkę, gnój
wyrzucają.

— Pan zawsze czarne strony wynajduje. Wia-
domo.

— Może dlatego, że patrzę życiowo, gnój to gnój,
chleb to chleb, a panienka w mgiełkach buja, mgieł-
ką się żywi i idylicznymi obrazeczkami. Ideały, przo-
downice, kagańce oświaty, kapłaństwa — jerum —
jerum zakopciały już całkowicie. Sługus zasmarka-
nych, zabiedzonych, brudnych dzieci. W łapy o tak
pług ująć i orać, bat chwycić i świstać, he. Nie po-
doba się? Karm ich nowoczesną gimnastyką, gdy
nie mają soli do postnych ziemniaków. Takie ewi-
czenia dobre dla przedszkola, dla ochronki, a nie dla
takich dryblasów. Z podobnemi dupersznitami na
prowincję przyjeżdżają za dietki i to słone, aby nani
we łbach rozświecać. Nie szkoda pieniędzy? Psiakrew.
Spędzają nas jak bydło, na koszty narażają. I poco?
Na cyrk patrzeć? Z karuzelą jeżdżą.

— Panie, panie — zachnęła się nauczycielka i od-
sunęła nabok swoje krzesło.

— Skowroneczki, słowiczki ćwierkające sonety

w gaiku, a tu gnojóweczka, której ani rusz nie można osuszyć serduszką choćby najbardziej gorejącą.

— Państwo nie słuchają, a to niezmiernie, nadzwyczaj ciekawa lekeja, nowocześnie ujęta, postępo-wo — upomniał inspektor i wykonał ruch, jakby po jego aksamitnej dłoni potoczyły się wypolerowane kule. — Pan Trojak jako najstarszy nauczyciel, najbardziej wytrawny, musi całość zre-a-su-mować.

— O, jo mom pamięć dobrą, wszystko zbierę do kupy — machnął w odpowiedzi łapą, jakby zagarnął snopek zboża.

— A więc może pan powtórzy główne etapy dzisiejszej lekcji, bardziej znamienne ustępy — dobitnie nosowo ę wymówił i zwrócił się do Trojaka po wyjściu dzieci z klasy. — Dzisiejsza lekcja jest etapem rozwoju. Wszędzie i zawsze naczelnem hasłem dy-na-mi-ka ideowa w pracy nauczycielskiej — zahaczał szeroko, jakby motorem wytwarzającym ową dynamikę. — W dusze nauczycielstwa, pragnącego postępu i dążącego ku niemu wielkimi krokami... — urwał, bo zabrakło odpowiednio patetycznego słowa — może pan zrea-su-muje — i spojrzał na Trojaka, który chrząknął i poprawił się wielce wymownie na krześle.

— Bardzo pouczająca — podniósł się wezwany, rozczapierzonymi paluchami przejechał po zwichrzonej czuprynie, w której gęstwinie brony z trudnością mogłyby ład uczynić, i rzucił prosto z mostu.

— Kiedy patrzę na rozmaite reformy, to mi się przypominają „Księgi narodu i pielgrzymstwa“, szczególnie jeden rozdział mówiący o kraju włoskim, żyznym w oliwę i ryż, ale niezdrowym, bo latem przychodziło złe powietrze. To też jedni kadzili,

łożąc wielkie pieniądze na kadzidło, inni parkany budowali, ale nikt nie myślał o istotnem uzdrowieniu, o osuszeniu. Trzeba za bebechy chwycić ów „problem“. To i my tak kadzimy, parkany stawiamy...

— Ależ, panie Trojak, to nie istota problemu, odbiega pan od zasadniczej rzeczy.

— Więc się streszczam. Przepis o wzorowej szkole a życie to dwa odrębne światy. Pracuj dla zdrowia głodnych, bosych w klasie, gdzie dusi się w smrodzie sześćdziesięcioro dzieci przez pięć godzin. Reformy dla głodnego i nagiego. Należy stworzyć warunki zdrowotne. Dość mają smrodu i nędzy w swoich izbach, trzeba ich wypuścić na śnieg, na świeże powietrze, niech się gimnastykują, to będzie reforma. Ino wprawdzie każdemu trzeba dać pajdę chleba, garnek mleka i buty na łapy, a wtedy zobaczymy, jak się rodzi radość, rozwija umysł, jak zdobywać zdrowie...

— A wiecie państwo, pan Trojak poruszył niesłychanie ciekawy i żywotny problem! problem! — wpadł z zapalem inspektor.

— ...czy dziecko może wykonywać ćwiczenia fizyczne wesoło, gdy jest głodne...

— Tak! tak! tak — Kobiątka drobił krótko, jak kura chcąc znieść jajko, mające świat zadziwić. — Może ktoś z państwa opracuje referat na najbliższą konferencję okręgową. Może... no kto? Ciekawy i niesłychanie żywotny problem. A możeby państwo rozdzielili między siebie? Każdy z innego punktu!

Przy drzwiach powstało zamieszanie. Z korytarza zabrzmiało gwałtowne wezwanie.

— Proszę natychmiast zawołać pannę Anielę. Natychmiast.

Poderwana nauczycielka wypadła z przerażeniem.

— Pani Heleno, co się stało? Dlaczego pani taka wzburzona. Czy może nieszczęście?

— Ależ to nieznośna klasa, zgryza, hołota rozpuszczona. Straszny poziom. — Wyskakiwały słowa jedno po drugim, podobne do siebie, złe, gorzkie. Uciekały czem prędzej z tego lochu. Nie dziwota. Miały dość. A mimo wszystko w piersiach chrobotało, huczało, jakby w ogniu piekielnym, w dymie siarki smażyły się jeszcze sroższe przekleństwa. — Chamy! było!

— To idealna klasa. Stawiam te dzieci na wzór, wyniki mam świetne.

— Tak? O nagłą śmierćby mnie przyprawiły. Krokiem! mówię! krokiem tambym drugi raz nie weszła. Żadnej dyscypliny. Oni śmia bezczelnie mówić wytrawnej nauczycielce, która w szkole zęby zjadła: „nasza pani nie bije i tak lepiej się uczymy“. Niesłychane. Na co zesza szkoła. Na psy. Dawniej nauczyciel był w poszanowaniu, bo się go bali.

— Cóżem winna, że tak czują.

— No, skutki metody pani są nadzwyczajne. Zobaczymy, jaki będzie koniec. No, jabym ich nauczyła miłości nauki, poszanowania władzy.

— A więc kijem należy uczyć miłości kija?

— Żałuję, że się wogóle zgodziła na zastępstwo. Do innych metod przywykłam, — fuczac, odwróciła się i odbiegła w mroczną głąb korytarza, kogośzywając na pomoc, kogoś biorąc na świadectwo, zgorzona tem, na co musi patrzeć.

Nauczycielka śpiesznie pomknęła, ścigana prze-

czuciem nieszczęścia. Gwałtownie otwiera drzwi i stanęła w progu. Szeregi klęczały na ławkach z palcem na ustach, nakazującym milczenie. Cisza panowała, jakby ktoś wszystkich przytłoczył kamieniem.

— Co to?

— Za karę. — Alojz łypnął ślepiami. Widać było, że wargi mu drżą, coś chcą wyjawić.

Naraz wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Tamta pani tak kazała, bośmy zbytowali.

— Cicho! — usiłowała stłumić wybuch i przecinała go daremnie podniesionym głosem jakby wzburzoną wodę. — Co wyście narobili? Jesteście nieznosni. Pogniwialiście panią i zhańbiliście klasę. Wstyd mi za was. Za karę zostaniecie po nauce.

— Jakby nas jeszcze raz tamta pani uczyła, to oknem pouciekamy.

— Nie wolno tak mówić.

— Ehe, nie wolno.

— No, mybyśmy jej dali, onaby sama uciekła. No.

— Alojz! — upomniała karcąco, chciała coś rzec, aż tu najsroźsza nagana rozprysła się w kichnięciu.

Zerwali się na baczność. Zdziwiona powiodła wzrokiem po wyprężonych szeregach.

— Co wy dzisiaj wyprawiacie? Nie kazałam wstawać, to nie każę siadać. Stójcie sobie zresztą.

— E bo, e bo, — Alojz nabrał odwagi i dmuchnął mężnie — tamta pani kazała wstawać, jak się jej kichło. Miała katar, to my raz za razem. Ale my teraz z dobrego serca, bo myślimy, że tak trza.

— Aha! na zdrowie życzą, więc kazała uczcić do stojnie kichnięcie, — dusząc się ze śmiechu, stanęła

przy oknie, odwrócona od klasy, aby nie zobaczyli jej twarzy.

Niewidzialny powiew chodzący górą rozwieszał obłoki jakby koszule na niebieskim płócie. Białe ich kształty rodziły się z błękitu i roztopiały w błękiecie. Patrząc na zbocza gór, na śnieg w powodzi słońca, przeżywała po raz drugi wspomnienie dzisiejszej wycieczki. Była skrzepiona, spokojna, przeistoczona, mocna, rozjaśniona południem. Wciąż czuła rytm pulsującej krwi, będącej radością, zachwytem i żądzą życia. Zadumę przerwało auto, które zajęchało buńczucznie, trąbiąc z całego gardła. Musiała wyjść i pożegnać świetną komisję wzorowej lekcji. Inspektor wychylił głowę z okna limuzyny i powiedział dumnie głosem.

— Wyniki dzisiejszej lekcji nadzwyczajne. Była zarzewiem tylu nowych pro-ble-mów. Nauczycielstwo musimy odświeżyć. O tem będziemy mówić na najbliższej konferencji. Dynamika ideowa w pracy społecznej!! Proszę pamiętać! Referaty! panowie! referaty!

Auto zagłuszyło łoskotami motoru wzniosły hymn i jeszcze raz ukazało odęte ważnością twarze odjeżdżających. Trojak patrzył chwilę, machnął olbrzymią łapą i sapnął ciężko, jakby odtrącał z piersi głąz.

— Psiakrew, oni aucikiem, a ty rznij pieczętą przez góry. Tyjater, jak Boga kochom, tyjater. A kuku! a kuku! Przyjdzie do szkoły dryblas i ani me, ani be, choćbyś kichy wypruł, choćbyś gardło zdarł, choćbyś święconą wodą go kropił, no, bo on przyzwyczajony do tego, że go tatuś od maleńkości kropi pasem albo powrozem. Nie słucha, nie uczy się,

chwycisz go za kołnierz, a on na cię skoczy z pięściami. Nie wolno bić. Ano nie wolno. Wolno nauczyciela z dziećmi na bruk wyrzucić, niech sobie palnie w łeb — huhuhu! grzmiał śmiechem. — Nowoczesność. Wychowywać najłagodniej. Chrystus miłość głosił, najłagodniej postępował, to go ukrzyżowali. Poco kazali mi iść. O głodnym pysku rano wylazłem z chałupy, a teraz rznij zpowrotem taki kawał drogi. Drzyj zelówki, a jak podrzesz, to w czym będziesz hasał. Odjechali. Narobili gwałtu, wiatru, a każdy z nas trząsał porcietami i nic z tego — pociągnął cholewy i tupnął, jakby otrząsał nabrane błoto. Buciarami wystukiwał do taktu, patrząc w stronę znikającego auta.

— „Porachuj, dziwceno, ile gwoździ w dachu,
Tyle bedzies miała w pirsą nockę strachu“.

No, grzmij, Walenty — ruszył z rozmachem naprzecią, przez pola do siebie.

Krótką przerwą zakłębiła się hucznie. Wnet zgłuchła. Zatrzaszkiwano drzwi jedne za drugimi. W każdej klasie inna lekcja. Dzisiaj nauczycielka płonęła zapałem, to też nauka była wytechnieniem, porywem. Wszystko w niej przeżyło się do skoku.

— Cóż tam znowu?

W połowie godziny stróż wszedł bez pukania.

— Książka zarządzeń.

— O, tu pani podpiszą.

— Dajcie prędko — umaczała pióro, skrobnęła podpis, bo żal jej było marnować czasu. Po odejściu stróża niemal przypadkowo ćwiartka urzędowego papieru podpełzła pod oczy. Szeregi zdań pokruszyły się, rozpadły niesfornie po bieli. Powstała zawierucha liter, przecięta błyskawicą. Nie słyszała gwaru,

nie widziała wzburzonych ławek, zniknął świat, a został świstek poplamiony niezrozumiałymi znakami. Rozeznała kilka wyrazów, bezwzględnie pięścią uderzających między oczy. Związała je w zrozumiałą treść: „zaniedbywanie obowiązków“, „nieposzanowanie władzy“, „nagana“, „w razie powtórzenia doniosę wyższej władzy“. Siedziała skulona z ręką przerzucaną przez stół.

— Taka nagroda za moją pracę? Taką zbrodnię popełniłam...

Miała napisać sprawozdanie, ale w tej orce zharowana, przepędzana od roboty do roboty, zapomniała o tem zupełnie. Cóżby się stało, gdyby przypomniała po koleżeńsku? Zaraz „nieposzanowanie władzy“. Ta niezasłużona kara poniżała ją, upokarzała i krzywdziła. Nie mogła dotrwać do końca. Podjęła dalszy ciąg lekcji, coś tłumaczyła, ale nadśluchiwała. Za dużo się w niej gromadziło żalu, upokorzenia, poczucia krzywdy i złości. To on, ta władza, był wyrazicielem, symbolem systemu, źródłem udręk, dokuczań, aby tylko pognębić bezbronnych. Oburzenie w niej krzyczało. Zastygały słowa z kipiącego żelaza. Przemierzała klasę od ściany do ściany i łoskotami kroków coś wzdrygającego chciała zdeptać. Kiedy dzwonek zabrzmiał, porywczo zgarnęła urzędowy akt, zgmiotła go i brnąc przez ciżbę, hałas, huczący między murami, podążyła w stronę kancelarii. Tabliczki pilnujące klas myliły drogę. Ktoś biegł za nią, krzycząc.

— Panno Anielo! panno Anielo!

Potknęła się i znieruchomiała, jakby na krawędzi przepaści.

— Może idę naprzeciw wielkiego nieszczęścia? Przebrała się miara. Za długo wzbierało. Dzisiejszy wypadek był dopełnieniem.

Podobna była do człowieka rzucającego się w przystępie rozpacz w pożar swego domu, ostatniej ostoi. Nie miała sił zawrócić. Drzwi otworła i zamknęła. Trzaskiem ich odgrodziła się od tamtego wezwania, ścigającego ją aż do progu. W głębi pokoju biały orzeł sfrunął na jej spotkanie z amaranutowego tła. Ktoś, wspierając zachmurzone oblicze na rękojeści szabli, ponuremi błyskawicami patrzył w przyszłość z pod krzaczastych brwi, z pod nawiśłego czoła.

Kierownik, nie podnosząc się ze stołka, skrzywił nieco głowę ku przybyłej. Nauczycielka w ciszę kancelarji, szemrzącej papierami, wniosła bunt swego życia i nie hamując się, rzuciła na podłogę pytanie, a zmięty szpargał na stół.

— Co znaczy to pismo?

— Jakto? Nagana. Jeszcze przed tygodniem poleciłem sporządzić sprawozdanie. Całe grono wypełniło polecenie, jedynie pani zlekceważyła obowiązki i nakazy przełożonych. To nie ja, to in-spe-ktor polecił, a pani zlek-ce-wa-żyła!! — wymawiał dobitnie poszczególne zgłoski.

— Gdyby pan mi przypomniał po koleżeńsku, po ludzku...

— Władza raz nakazuje. Przypominanie byłoby poniżej godności urzędowej. Brak karności był powodem naszej zguby. Musimy się leczyć z narodowych wad. Zresztą inni są wydyscyplinowani i pamiętali. Pani zbyt często łamie przepisy.

— Ale inni nie wypełniają tylu obowiązków, co ja. Wyciera pan mną kąty jak miotłą. Wszystko ja, wszędzie ja. Poranki, obchody, odczyty, biblioteka, stowarzyszenia, świetlica, prace pozaszkolne. Nigdy nie wymawiam się, pracuję. Ja nie spełniam obowiązków? Inni dla pozoru, dla pochwały władz, piszą skłamane sprawozdania, nie troszcząc się o prawdę, nie dbając o właściwe zadanie szkoły i nauczyciela. Dla tych albo dla donosicieli są zaszczyty, awanse, pochwały, nie dla rzetelnych pracowników. Dla mnie nagana, że nie chcę być narzędziem, że chcę mieć własne zdanie, nie chcę się płaszczyć i wysługiwać. Hasło: służalczość! Kto głośniej krzyczy, ten bardziej zasłużony. Zapanował wszędzie krzyk frazesu. Poza wobec przyszłości. Obłuda, błaga, fikcja, fałsz, zakłamanie.

— Pani zawsze była niespokojnym duchem, wprowadziła do grona ferment, co więcej: bunt!

— Wiem, jakie moje przestępstwo: odwaga obro-ny swej godności. Nikt nie śmie prawdy powiedzieć. Każdy jednakże czuje krzywdę i buntuje się, ale nakłada na twarz wędzidło. Gdybyśmy wszystko wypowiedzieli, co nas gnębi, co nam siły odbiera, tobyście zadrżeli. Coście w zaślepieniu biurokratycznym uczynili z reform, stworzonych przez wielką miłość narodu i jego przyszłości? W stolicy pomysły dla przebudowy człowieka, tu nadole zostały wykoszlawione, zmienione w bezduszne przepisy bez treści, któremi głuszycie życie. Nie zapał, nie praca, nie poświęcenie się dla idei, ale ilość szpargalików ma rozstrzygać o życiu człowieka, — głos jej zrazu hamowany stawał się krzykiem sponiewieranego ogółu. To nie ona mówiła, ale każda przepracowana godzina, umęczona du-

sza, każda żyła, każdy mięsień i zdeptana godność nauczycielstwa. Żyła w tej chwili buntem, poczuciem jego ważności i stała się buntem i oskarżeniem. Słowa porywcze, bezwzględne, grzmiąły salwą na alarm. — Władza powinna być zachętą, doradcą, przyjacielem, pomocą, w wychowywaniu pokoleń, a nie źródłem szykany, nie policjantem. My dzisiaj ślepem narzędziem, sługusami, ale nie służbą narodu. Popychadłem.

— Proszę przestać obrażać władzę, za ten niewczesny wybuch może pani srogo odcierpieć. Pani zawsze była buntowniczką — kierownik stanął przyobleczony w dostojęństwo, od którego odpryskują wszelkie ciosy jak od pancerza.

— Poszanowanie godności własnej wedle waszego zdania jest wyrazem buntu. Wam chodzi o zewnętrzny efekt, pozór, o pięknie napisany plan. Ale czy się go wypełniło, to nikogo nie obchodzi. Najdoskonalszą reformę można uczynić mordownią, najgorszą reformę można wznieść na wyżyny doskonałości. Nauczyciel stwarza metodę, ale tylko wtedy, jeżeli duszę nosi w ręce, w każdym skinieniu, w każdym słowie, jeżeli kocha zawód, jeżeli kocha dzieci i pracę nad niemi. Wy papierkom każecie uczyć. Okólnikiem ludzkiego życia nie przekształcicie. Nauczyciel zdobył dzieci dla szkoły, bo wasze papierowe zarządzenia pomazał krwią, jego wysiłek rozstrzygnął o wartości wychowania — biła pięścią w stół, w sterty okólników, rozporządzeń, planów i sprawozdań. — To próchno, które zaśmieca życie naszego pokolenia, to próchno, którem zasypujecie radość wolności. Sterty szpargałów pisanych przez tysiące umęczonych rąk.

— Cóż z pani za reformatorka. Za dużo wiemy o działalności pani.

— Kto donosi?

— Tajemnica urzędowa — odburknął krótko.

— Wiem, och wiem. Anonim jest wszechwładny, wszechwiedzący i wszechmocny. Byle łajdak chłapnie błotem na człowieka zdradziecko, pociemku. Widzicie tylko chlapiące błoto i z tego oceniacie wartość. Nowi bohaterzy. Jak się bronić przeciw takim?

— Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, co mówi? upominam, po ojcowsku. Niech mam przekonanie, że pani uniesiona młodością buntuje się szlachetnie. Naraża się pani na następstwa...

— Zdaję sobie najzupełniejszą sprawę, co mi grozi, ale już tchu mi brak. Nie chcę, aby ktoś się litował nade mną. „Im nauczyciel bardziej jest niepokorny jutra, im więcej pracuje pod batem, tem lepiej dla władzy“. Wiem, pójdzie doniesienie „ze względu na dobro służby“ albo „słabe wyniki pracy“. Chcę oskarżać. Duszy wolnego człowieka nie można upaństwowić! Szkoła powinna być kuźnią charakterów, jej cechą radość i prawda, aby była radością i prawdą. Złe wychowanie to nie naprawiona krzywda dla dziecka, to krzywda dla narodu. Każecie wychowywać w radości i w miłości prawdy, a zmuszacie, aby każdy z nas żył w kłamstwie, w znękanii i ucisku. Nauczycielstwo jest poniżone i zdeptane. Czy w takich warunkach może rozbrzmiewać śmiech nad szczęśliwemi ławkami. Jednakże rozbrzmiewa, bo my mimo ugniatającego przymusu ostatkiem sił żywimy radością i prawdą. Sobą. Wy zabijacie samodzielność, wy w nas zabijacie człowieczeństwo — wzmagą się w niej siła wymowy,

ukształtowane myśli były porywczo, mocno, bezwzględnie, jak puls w tętnicach człowieka trawionego gorączką. Spadały wyrazy, podobne do odłamków żelaza. Słyszała pojedyncze, dzwiczące w powietrzu prawdą wewnętrzną, rozczzerwienione gniewem. — Młodzież, która jutro opuści te ławki, ma spełniać olbrzymie zadanie: przebudowanie świata, jego dotychczasowego porządku. I właśnie najpiękniejszy skarb: odrodzenie człowieka, wiara w przyszłość, dusza dziecka dostały się w brutalne łapy biurokratów. Macie przed sobą żywego, czującego człowieka, nie martwy papier.

Kierownik stał milczący, z zaciśniętą pięścią, spoczywającą na stole, jakby chciał coś miazdżyć, może słyszane zdania, może nauczycielkę.

— A więc tak. Dobrze. Pani powinna się opanować. Nerwy, nerwy.

Widać już układał pismo urzędowe. Czasem palce chwytaly pióro i odkładały je, czasem w żrenicach nieruchomo leżących na mówiącej zle spojrzenie zamigotało, to znów na wargi wypełzał ledwo widoczny, nie dobrego nie wróżący, ironiczny uśmiech i trwał bez zmiany. W pewnej chwili, w przerwie między jednym zdaniem a drugim nauczycielka przytomnie popatrzała na postać wydmuchaną powagą, przełotnie pomyślała, że to tylko nadęta wiatrem purchawka, i pożałowała swego wybuchu. Głos się załamał. Zagasł bunt. Wargi zadygotały i zamilkły. Ruchem ręki tak wymownym dokończyła to, do czego zabrakło słów.

— Cóż on? pionek, wykonawca. Czyż zrozumie, że tylko wolny duch może wychowywać wolnego człowieka — każdym spojrzeniem odtrącała go od siebie,

mężnie się odwróciła, zamknęła drzwi i poszła dokądś, sama nie wiedząc, dokąd. Wyzbyta z sił, o mało nie upadła. Stała wrośnięta w deski, zjeżone niewidzialnymi sękami. Z nienawiścią popatrzyła na drogę, którą musi przebyć, na klamkę, którą musi otworzyć. Bezwiednie skierowała kroki ku bramie. Odejdzie stąd w świat, w swoje życie, choćby na nędzę, aby zachować pozór wolności. Znała to życie bez chleba, bez domu, bez dachu, na bruku. W mroku smuga. Nadzieja.

— Przecież mam zagon pola, mam izbę przy matce.

Nogi zrywały się, aby biec tam, i przywierały do podłogi. Ktoś wołał, ktoś po wielokroć wymawiał jej imię. Uczuła, że czyjeś ramię ją objęło, wsparło i zatrzymało. Nie poznała głosu.

— Co pani chce zrobić? Na ulicę pani pójdzie? Myśmy niezdolne do innej pracy. Myśmy wszystkie tak z początku, pionierstwo, postęp, kapłaństwo, praca dla ludu — czyjś głos znajomy. Czyj? Ktoś mówił głęboko, urywanie, jakby się dławił śmiechem — płonące pochodnie, haha! spadające w pomyje, w rynsztok, a potem bez światła, w pustce. Dawniej musieliśmy walczyć z ciemnym, upartym chłopem, uważającym szkołę za przekleństwo odrywające dzieci od pracy. I myśmy z seminarjum wyszły z górnołotnemi hasłami. Życie i chamskie chodaki podeптаły wiarę i zapal. Nie starczyło ognia. Pani musi nawrócić i razem z nami drzeć gardło, wypływać płuca zzarte gruzlicą, bo taki nasz cel. I po latach zostanie z pani to samo, co z nas. Żebyś wydarła płuca, to zawsze źle, dla nich zawsze źle.

— Co oni ze mnie chcą zrobić?

— Lepiej kamienie tłuc przy gościńcu, niż być nauczycielką bez powołania... Wiem. Dla chleba.

— Kto z nas zmusza do kłamstwa, do upodlenia? — pytała szeptem.

— Niepewnością jutra trzymają nas jak psa na uwiązaniu — to pani Pawelska kościstym, męskim ruchem zawróciła ją od progu i powiodła ku drzwiom klasy. — Niech pani pamięta, że życie nie jest „Odą do młodości“.

Ramiona nauczycielki zwisły, barki się ugięły, oczy zagasty i nabrały wyrazu szkapy głodnej, umęczonej, wyczerpanej. Ten sam chód, to samo dźwiganie nóg, te same ruchy. Tylko palce zaciśnięte w pięść, wbijając się w skórę do krwi, wyrażały bezsilność kobiety. Zadrżała, słysząc wrzask, rumor, tupot, wybuchy śmiechu uczniów pozostawionych bez opieki, nie wyczuwających tragedji, jaka się rozgrywała.

— Słyszysz pani, jak wyją? Co im? Jeden nauczyciel odejdzie, drugi przyjdzie i znów się do niego przywiążą. Oni żyją swoim życiem.

Tamta ręka otworzyła drzwi i zamknęła je.

Na widok przybyłej hałas się rozwiął, spłynęły szepty, jak po zagonach zboża, kiedy w nie burza uderzy. Nauczycielka nienawistnym wzrokiem spojrzała po ścianach jakby po murach więzienia, w którym musi trwać, zawsze jednako, bez zmiany, do końca swych dni. Chciała coś wypowiedzieć. W gardle obrzmiałe słowo. Z głębi izby, przepęłnionej zaduchem, zaczęły się wyłaniać pojedyncze twarze. Poznawała i wymieniała po imieniu. Szeregi za szeregami. Wpatrzzone oczy błękitne, jasne, pogodne, beztroskie, rozbawione, coś krzeszały w jej zniechę-

conej, zgorzkniałej duszy, rozpałały sygnał nowo poczętej prawdy. Pod wewnętrznym nakazem sięgnęła po książkę.

— Trzeba skończyć.

I teraz jakby światła we mgle wyłaniały się słowa, które tak często powtarzała w chwilach upadku, które były dźwignią i porywem.

— „Kocham te dzieciśka. Cobym mogła, tobym wszystko dla nich zrobiła, żeby z uśmiechem i szczęściem na mnie patrzyły, bo to jedyne uśmiechy w mojem życiu“.

Minęła ostatnia godzina w nakazie obowiązku.

— Czy zostaniemy za karę po nauce?

Milczeniem odpowiedziała. Mozoliła się, coś chciała z siebie wydźwignąć. Gdyby ktoś bliski był obok, toby mu powtórzyła słyszane słowa, mające być treścią jej przyszłości.

— Tak, tak, życie to nie „Oda do młodości“.

CZĘŚĆ DRUGA

X.

Zaraz po rozpoczęciu godziny uwaga wszystkich ześrodkowała się na Józi Bobkuli, która już po dzwonku wpadła do klasy i nie usprawiedliwiając opóźnienia, w drzwiach wyrzucała z siebie wiadomości tak prędko, że ledwo mogła zaczerpnąć tchu.

— Wczoraj mama zachorowali i od samego rana tak krzyczeli, tak krzyczeli i za brzuch się chwyтали. Przyszła Grońska i wyścigała nas z domu. Pozbieraliśmy się i poszli do babki. Siedzemy, siedzemy, aż się nam uprzykrzyło. Co tu będę robiła, pójdę do domu. Ehe, podziesz, kiej dźwirze zamknięte, nie chcą nas puścić. Wynieśli nam po kawalusię placka i wyprali do pola. W nocy tośmy nic nie spali. Poleciałam rano do domu, patrzę, a przy mamie dziecko się drze. Skąd się wzięło? Babka powiedzieli: Grońska poszła do rzeki po wodę i złapiła do wiaderka. Wiecie, w takie zimno, z pod lodu? A gdzie położyła, żem nie widziała? Za kominem — mówią. — Chwyciłam i chcę nieść. Wszysey na mnie z krzykiem: połóż, nie tykaj. — Odniesę nazad do rzeki, poco przynieśli takiego bachora, co się drze.

Nauczycielka wyszła na korytarz, wezwana pukaniem.

— Aleś głupia, pomęcili ci w głowie, że to Grońska przynosi — Alojz wyskoczył z ławki i krzyknął do gromadki otaczającej Józkę.

— Ty wszystko zawsze wiesz.

— Bo wiem. Mama Wojtka zaczęła krzyczeć z wieczora i zaraz nas wyścigali, a my w mig ztyłu i do okna, wszystko, ale to wszyściuśko widzieliśmy. Wiesz, skąd dziecko? o stąd, z rozdartego brzucha Grońska wyciąga babom.

Wejście nauczycielki rozprószyło gromadę po ławkach. Zaraz podniosły się palce z wielu miejsc.

— Proszę pani, Alojz taki paskuda, same brzydkie rzeczy mówi, że nie móc słuchać.

— Cóż takiego?

— Kiej się wstydam.

— No powiedz mi do ucha — pochyliła się ku Marysi.

— Taki bryć, mówi, że dziecko nie z rzeki, nie aniołki przynoszą z nieba, ale Grońska ludziom wyciąga z rozdartego brzucha.

— Istotnie brzydko, bardzo brzydko. Alojz, jesteś wciąż niepoprawny — nauczycielka, zaskoczona niespodziewaną wiadomością, karciła chłopca wbrew swemu przekonaniu. Rozumiała, że należy wytłumaczyć, najpiękniejszymi słowami opisać tak splugawiony, tyłu grzechami przekłęty akt rodzenia. Nie wolno jej było tego uczynić, — zaraz przybiegłyby matki z całej wsi, jak więdźmy z krzykiem i groźbami, zakazałyby jej „szerzenia zgorszenia“. Nauczycielka zgłuszyła gwar, surowo ukarała Alojza, ale w ciągu godziny wracała myślą do zdarzenia i postanowiła objaśnić. Pragnęła zacząć od opisu kwiatów o ubar-

wieniu kielicha wabiącego motyle i muchy, mające przenieść cudotwórczy pył, następnie przejść do drzew kwitnących z wiosną w ciepłych powiewach, igrających wśród koron, opowiedzieć o zwierzętach codziennie spotykanych, wkońcu w sposób zwyczajny, bez drażniącej tajemniczości mówić o boleściach matek rodzących wszystkie dzieci, jakie są na świecie. Przecież to tak naturalne, wyrasta z człowieka jak kwiat z ziemi ku słońcu, aby rozkwiatać i barwy zmienić w ziarno. Przypominała sobie obrazy ze swego dzieciństwa, przejmujące ją dreszczem. I teraz nieraz widziała sekretne znaki, słyszała szepty, zwierzenia wypowiedane z wypiekami. Łatwo zrozumieć, co oznaczały. Wiedziała, że dzieci zaczerpną uświadomienia poza szkołą, na pastwiskach, w lesie, na szopach, jakby piły błoto spragnionemi ustami, aby duszę zbrukać na całe życie. Miała napiętą uwagę, aby nie powiedzieć czegoś nieopatrnie. Mozoliła się z postanowieniem i walczyła sama z sobą.

W oczach zastygały wszystkie szeregi, wszystkie twarze. Zauważyła znużenie po niedawnym podnieceniu, zaraz musiała ożywić, wzniecić zaciekawienie. Godzinę przeplatała wierszem, śpiewem, opowiadaniem. Wysiłek był tak wielki, że ogarniało ją — tak częste w ostatnich czasach po awanturze z kierownikiem — zniechęcenie graniczące ze zwątpieniem i pustką. — Poco? — Czasem godziny przemijały jak motyl, który się zjawił i zniknął, a pragnęło się, żeby jeszcze wrócił i ucieszył duszę. Dzisiaj godziny zmieniały się w bryły wyłupane ze skały, przecinane sygnałami dzwonka, zwiastującego przerwę.

Na pauzach panowała zupełna swoboda. Na przestrzeni kilkunastu minut tak burzliwych miotały się

setki głosów, aby wyhałasować nagromadzone siły w zbiorowej zabawie.

Nauczycielka spotykała resztę „ciała nauczycielskiego“, słuchała opowiadań o drobnych zdarzeniach i wrażeniach z ostatniej lekcji, intryg, obmawiań.

Przejęta obrzydzeniem, uciekała, odtrącając obecnych krótkim wyjaśnieniem, że ma dyżur. W przełocie uderzyły w nią słowa jak rzucone kamienie.

— No, z tego się nie wygrzebie.

Wyczuła, że o niej mowa. Teraz stanęło w oczach zajście z kierownikiem. Struchlała.

— Co ze mną zrobi? Przeczytał się. Czy to groźna cisza przed burzą? Żebym tylko mogła się bronić.

Uptywająca pauza nie była spoczynkiem, ale nowem umęczeniem; minuty zmieniały się w postronki wiążące ją z nadchodzącą godziną. Podwórze kipiało zgiełkiem, kłębiło się od przeróżnych przygód. Nauczycielka nie mogła o sobie myśleć. Musiała widzieć wypadki rozgrywające się z błyskawiczną szybkością, patrzyła w tantą stronę, gdzie migały ręce, niby ptaki, trzepocące wśród kul ze śniegu, a zauważyła, że pod ścianą, w roztrzęsionym hałasie ktoś wszczął bójkę. Już biegła ku zapaśnikom, już rozdzierała splot ciał związanych zaciekłością. Z krzyku odpowiedzi obrony i oskarżeń nie można było wyłuskać przyczyny awantury. Usiłowała pogodzić powaśnionych.

— Kto pierwszy zaczął, niech przeprosi!

— Alojz tak chwycił Wojtkę i trzepnął go w zęby.

— Wojtek rznął go w brzuch.

Nauczycielka złączyła ich ręce w uścisku, a wrogowie wyrzekli równocześnie: — Przepraszam.

Rękawami otarli łzy i już gnali ku wszczynającym

się bójkom. Co chwila przybiegały dziewczęta i beczwały niezmiennie powtarzanem imieniem: Alojz! Alojz!

— Już pojęcie przechodzi, co wyprawiasz.

Alojz, przyprowadzony przed nauczycielkę, stał z głową ponuro opuszczoną. Milczał, nie dlatego, żeby się buntował, ale wewnętrznie zastygł i żadna siła nie zdołałaby przełamać jego uporu.

— Zawsze pierwszy zaczyna, nikt z nim nie może poradzić, ino dziadek, bo go pasem skrzese, to wtedy jest dobry.

Alojz wzrokiem przebódtł mściwie oskarżyciela.

— Ano, to do dziadka dam kartkę, aby cię przykładnie ukarał.

— Podrę kartkę, niech mnie pani skatuje, bo... bo... — wybuchnął i urwał, a tylko wzrokiem błagał, aby mu przebaczyła. Bez dalszego tłumaczenia szurnął nogami i odmaszerował.

Dzwonek oznajmił koniec pauzy i rozbawione gromady z hukiem wdarły się do klasy. Alojz bokiem zerkał ku nauczycielce, chcąc złowić łaskawsze spojrzenie.

— Czego się pani na mnie gniewają, kiej nigdy ja nie nie winien, ze mnie ino tak z uciechy.

Istotnie tak zawsze było. I teraz też nie mógł poskromić ochoty kipiącej w żyłach, nie mógł pohamować rąk, nie mógł utrzymać nóg w jednym miejscu; skakały, uciekały, aby dla zabawy tego uderzyć, tamtego potrącić, to znów ryknąć, ażby ściany się zatrzęsły. Potem zaraz harmider, wrzawa, przekleństwa. Bóg wie co. A cóż on winien? Tylekroć przysięgał poprawę i zawsze daremnie.

Nauczycielka, dalej zgniewana, omijała Alojza.

Była tak utrudzona, że ogarniało ją pragnienie, aby upaść, skamienieć, o niczem nie myśleć, nie nie czuć. Nie wolno jej było tego okazać, musiała tryskać radością, pogodą, przeobrażać się w uśmiech, aby był uśmiechem dzieci.

— Pani taka dobra, zawdy jest wesoła.

Zwalczała w sobie znużenie nieugiętą wolą i upominała się, że nie wolno być strudzoną i zniechęconą jeszcze przez tyle a tyle minut. Pod powieki wpadały czarne litery, jakby ostre grudy tnące krawędziami. Głos odmawiał posłuszeństwa i nie mógł przybrać w wyschłym gardle właściwego dźwięku. Dopiero po pewnym czasie znów rozbrzmiewał donośnie, głosząc pogodę, radość, miłość życia i obowiązku, spływał w serca słuchaczy, aby zostać prawdą karmiącą. Gdzieś słyszała rozkaz, że praca musi być zabawą, i teraz ta praca zmieniała się w uśmiech, jakże bardzo ciężki, wymęczony i potem zlany. Zobaczyła chłopca, który od świtu niezmordowanie szedł brózdą i ruchem mocnym ciskał ziarna jednako dla wszystkich skib. To ona. Dzisiaj drażnił ją zamęt i gwar wybuchający z byle powodu. Ogarniał ją gniew, że z trudem się hamowała, aby nie skoczyć z pięściami na niesforną, hałaśliwą czeredę. Skopałaby krzyki. Godzina rozrastała się, spiętrzona poszczególnymi sekundami i nauczycielka nadśluchiwała, kiedy zabrzmi upragniony dzwonek.

Rozczochrana dziewczyna otworzyła drzwi, wepchnęła zaburzanego chłopca i rozkładając ręce, głosem dojrzałej kobiety wyjaśniła, poco przyszła.

— Mama nie mogą sobie dać rady, od książki ucieka, ino zbytki mu w głowie, nie chce do szkoły cho-

dzie, ino na ślizgawkę, niech go pani spierze, to się poprawi.

— Cóż ty znowu wyprawiasz, Janek?

— Ma to rozum albo zastanowienie? — ciągnęła dziewczyna — szkoda każdziuskiego słowa, chyciła-bym kija i takbym sprąła, o tak. No, alem się z nim nasiepała — poprawiła potargane chodaki, pogładziła włosy, związała chustkę i zawstydzona spojrzała po podłodze — naniesłam śniegu. Jużem niepotrzebna, idę do swojej klasy, będę tu zachodziła — we drzwiach pogroziła bratu — jak się nie poprawisz, gałganie, to ja się wezmę do ciebie i zrobię porządek, na takiego trza ino kija. I powiem ino tyle: dzieci trza od maleńkości rznąć kijem, bo inaczej na głowie kołki będą ciosać.

Nauczycielka jakby przez czarną zasłonę patrzyła na dziewczynę i słyszała jej nakazy.

— Zawsze kij najwyższym wychowawcą. Przywykli do niego.

Znała mściwość, okrucieństwo, nienawiść, skamieniałe przez pokolenia, usiłowała ich twardość skruszyć i wyrzeć. — Widziała wielkie uzdolnienia, tłumione przez ciężkie warunki, i starała się wydobywać ich hogactwo z pod nasypów, aby budować przyszłość w sercu dziecka. Nieraz zadawała sobie pytanie, co z nich wyrośnie, gdy przypominała sobie rozmowę z Bielem i echa codziennych zdarzeń ze wsi. W czasie dzisiejszej lekcji tak często przesuwiał się człowiek zaciskający siekierę i ogień. Przez tyle wieków Chrystus miljonem nauczycieli kształtuje ich dusze, a czyż je zmienił? Czyżby szkoła miała większą moc? Dzieci w szkole stawiane za wzór, za kilka lat, gdy dorosną, będą się krajać nożami, będą się rąbać siekierami,

gdy pójdzie spór o skibę, o miedzę albo o dziewuchę. Czyż jest na świecie potęga, któraby wyszarpała tę bryłę z odwiecznej martwoty? Czy nie daremny jej trud? Czy jej wysiłki nie są tylko zapalką rzucaną na skałę? Patrzyła na szeregi ławek, które teraz mnożyły się i biegly w nieskończoność aż po krańce jej życia. Co pewien czas odpływa pokolenie, a w pustej klasie zostaje sama, by jutro świeże zastępy zapełniły klasę beztroską wrzawą. Aż któregoś dnia, może nawet tego nie spostrzeże, te same ławki zajmą synowie jej uczniów i przyniosą wady swych ojców, które tępiła z takim poświęceniem, z takim uporem. Zmienia się twarze, a zostanie jednaka dusza ludzka. Będzie dalej z zapalem urabiać ich życie na miarę ludzką, rozwijając umysł, kształcąc serce. Dwa światy tak odrębne, przeszłość z przyszłością, zwiąże, jak ognistym słupem, swoją pracą, swoją miłością. Tym nieprzeliczonym zastępom obcych dzieci odda ostatnie spojrzenie, ostatni puls. I teraz pytała szeregów, które przeszły i które przyjdą, czem jest praca nauczycielska? I wobec wszystkich powiedziała, że jest krynicą, do której biegna wciąż spragnione rzesze. Przyjdzie taki czas, że spotkają wyschłe dno, więc miną, nawet nie pomyślą, kto był źródłem, tak hojnie darzącem. Na wspomnienie tego głos uwiązł w gardle, wezbrał płacz za czemś straconem. W ciągu dalszej godziny każdym spojrzeniem widziała zdrój wyschnięty, opuszczony, niepotrzebny, zagubiony przy drogach ludzkich.

— Tak trzeba, tak musi być, aby wypełnić wolę przeznaczenia, posłannictwo swego zawodu — tem pokonała zwątpienia i uśmiechnęła się do uczniów.

Alojz też spotkał jej uśmiech, jakby dla niego jednego przeznaczony. Dzwonek, zgłuszony zrywają-

cym się hałasem, oznajmił koniec nauki. Nauczycielka z trudem podniosła rękę do czoła, z trudem wymawiała wyrazy codziennego pacierza, ostatkiem woli stanęła na baczość, aby oddać cześć godłu polskiemu.

Zadudniły wszystkie deski podłogi, wszystkie stopnie schodów, tłuczone młocką chodaków, pędzących ku domom. Gromady wybiegające zaraz za progiem zapominały o nauczycielce, o szkole, zaprzątnięte innemi sprawami. Któryś zjeżdżał na sankach, wrzeszcząc zwyczajsko w mroźny wieczór uciechą zdrowych płuc.

— Uciekajcie z drogi!

Inni pędzili z rozpostartemi kapotami ku błyskowi smugi lodowej, wyslizganej tysiącem podeszew. Ostatki krzyku wsiąkały w mrok ulicy. Na opustoszałym korytarzu szkoły spoczęła cisza i martwota.

Nauczycielka stała w środku klasy niby drzewo odarte z liści. Kiedy zgłuchły odgłosy wrzawy, spojrzała po ławach, po wnętrzu pełnem zaduchu i w tem mgnieniu zagasł w niej słup ognia, tak wytrwale rozświetlający minuty męczących godzin. Przypominała sobie, co ma czynić, postanawiała iść ku wieszakowi, zdjąć płaszcz i wtedy z przerażeniem pomyślała, że musi wracać do swego pustego mieszkania. Nie chciała tu zostać, a bała się stąd odejść. Izba szkolna czterema ścianami odgradzała ją od osobistego życia, od żywiołu trosk, zawodów, czekających ją za progiem. Na stole widziała przekłety list, którego widmo przesładowało ją od tyłu tygodni, niby wyrok śmierci. Każde jego zdanie zmieniało się w tragiczny splot. Chwyliła kurezowo płaszcz, opadła bez sił na stolik

między zeszyty i. wrosła w deski. Odpocząć, nie myśleć, nie czuć, zapomnieć, nie patrzeć, nie słyszeć.

Po pewnym czasie ktoś wchodził ostrożnie na górę. Coraz wyraźniej skrzypiały drewniane stopnie. Ów ktoś stanął i po nabraniu odwagi otworzył drzwi. Ukazał się Alojz, udając, że wraca po zapomniany kałamarz. Nie wiedział, co uczynić na widok nauczycielki — po chwilowem wahaniu zbliżył się do stolika i pogładził po ramieniu lekko, ledwo dotykając.

— Pani! pani, co wam? czego nie idziecie do chałupy? Choroście?

Obudzona, spojrzała po pustych ławkach i zaczęła coś mówić bez ładu i składu, czego Alojz nie rozumiał.

— Pomogę wam — chłopak troskliwie wyjmował z jej palców drobiazgi — wyście się dość namordowali. Czego płaczecie? Każdy wam doskwirzy, a ja najbardziej. — Co chcecie, to zrobię, ino mi darujcie. Wicie... wicie... ja was barz lubię... barz... tak samo jak Hanusię, a inaczej, całkiem inaczej, ino się telo nie gniewajcie na mnie. Czekiałem na was przed szkołą, aleście nie wychodzili, tom tu przyszedł niby po kałamarz, ale to nieprawda.

Nauczycielka patrzyła na niego uważnie, dziwiąc się słyszanym słowom, po twarzy tak umęczonej spłynął uśmiech jak objawienie, spoczął na wargach i wypełnił je całkowicie.

— Alojz, toś ty do tego zdolny? — nie wypowiedziała tego. Znów się zachwiała.

— Podeprę was, boście zesłabli — podbiegł z pomocą. — Pójdźcie.

— Głowa mnie boli.

— Zaprowadzę was.

— Poco? — powoli się ubierała, zgarnęła stertę zeszytów, wykonując dokładnie postanowione czynności. — Już idź, kiedy zajdziesz do domu? Daleko masz.

— Przelecę na wirch woczymnieniu, nie dziwota mi chodzić po ćmoku, — szedł obok nauczycielki, zawsze czujny, z gotowością do usług, a nad nim przez drogę noc szumiała samem szczęściem.

— Dziękuję ci — pogłaskała Alojza po głowie, przestąpiła próg i zanurzyła się w sieni.

— Ostańcie z Panem Bogiem — mówił do pustki, słysząc kroki oddalające się, jakby to ptak uderzał skrzydłami w ciemność. — Wyście dobra, ino ja gałgan. Jabym za wami, jabym...

Sążnistemi krokami przeskoczył wieś oświetloną elektrycznemi lampami, dopiero za ostatnim domem gąszcz wieczorny zagroził mu drogę. Alojz mozolnie wyszukiwał ścieżki pnące się pod górę. Mijał słabo majaczące plamy drzew i bryły zabudowań pogrążone w mroku. Pogubione okruchy światła migotały samotnie po czarnem pustkowiu. W niektórych izbach knotek rozpraszał tyle tylko jasności, aby w jego kręgu mogły łązić cienie zmordowane po całodzienniej krętaninie, aby kobiety ruchliwemi palcami mogły wysnuć nigdy nie kończące się nici i motać je na wrzeciona. Czasem szyby różowiły się odbłaskiem płochliwego ognia. Alojz wiedział, że to smolna szczapa, wetknięta w szparę komina, staroświeckim zwyczajem świeci domowym sprawom, jak świeciła przed wiekami w zimowe wieczory, gdy kobiety przędły kądziel, wijąc opowieść o zamierzchłych czasach, dziwach i cudach.

Tu był mrok, a nad wsią wisiła świetlna łuna.

Na górującym wierchu Alojz zobaczył drobny kwadrat okien, pośniewający wyblaskami, jakby éwiek wbity w ciemność. Po położeniu poznał swój dom.

— Pod blachą palą, może Władek gotuje? Żeby ino o głodzie nie iść spać. Ech nie, może choć naleśnika upiekę w popiele — z oczami skierowanemi w tamtą stronę parł ku radosnemu ogniovi.

XI.

Przez ostatnie dni nauczycielka unikała spotkania z Bielen. Jego opowieść o wielkiej krzywdzie i wielkiej miłości do ziemi rozgałęziła się w niej, wnikając w załazek każdej myśli. Widziała tragizm i nadludzką udrękę, która pewnego dnia może się zmienić w dziką zemstę. Ostre, zacięte blaski, jakie zauważyła w ów wieczór, wystarczały za cios siekiery. Czy w szkole, czy w domu jawiło się słowo, jak struna targana rozpaczą: zabije. Wprawdzie tłumaczyła sobie, że to człowiek religijny; chociaż miotany sprzecznemi uczuciami, to jednak nie będzie zdolny do urzeczywistnienia zamiaru, gdyż „piekło“, „potępienie wieczyste“ będą przeszkodą. Z drugiej strony doświadczenie uczyło ją, że w ludzkim sercu obok siebie leży pobożność i zbrodnia, że od krzyża do siekiery taka krótka droga... Gdy wspomniała spowiedź Biela, wyrzuconą tak żywiołowo, wiele mu przebaczała, gdyż widziała, że ten chciwiec i okrutnik żyje nie poto, aby wyzyskiwać ziemię dla chleba, ale chce być stertą nawozu żywjącą potem, aby spełnić zadanie swego przeznaczenia. Bez roli zmarnieje, jak marnieje żdźbło zboża wyrwane

z gleby. To zdźbło było obrazem Biela. Nauczycielka miała przeświadczenie, że nad jego rodziną wisi niebezpieczeństwo i że w jej rękach ratunek. Nie wiedziała jednak, co należy uczynić. W niedzielę po południu postanowiła iść do Bielowej.

Szła na ranną mszę na czele długiego szeregu dokazujących dzieciaków, nie mogących pohamować rąk, głosu. Dopiero poza progiem kościoła cichli, zbliżali się do kąpielnicy, rozpryskując po czole i ubraniu krople święconej wody. Śpiew, rozbrzmiewający w nawie, zgłuszył stukot setek kroków. Nauczycielka bacznie uważała, aby wszyscy zachowywali się „pryzwoicie“. Jednakże upominanie pomagało niewiele. W czasie najbardziej uroczystych chwil figle same wyskakiwały, „zbytnikom“ przychodziły na pamięć najpyszniejsze przygody, budząc szepty i uśmieszki. Karceni, milkli obłudnie, a rozswawolone oczy wcale nie miały wyrazu skupienia.

Alojz Malinowski wetknął głowę w czapkę i śmiał się tak, że nie można go było uspokoić w żaden sposób. Trząsł się może nie ze śmiechu, ale z zimna...

— Alojz, co ty dzisiaj wyprawiasz? powiem prefektowi.

Ta groźba podziałała ledwo na chwilę. Nauczycielka odsunęła się nabok ku konfesjonałowi, w którym bieląła komża młodego wikarego. Poznała, kto się tam zbliżał.

— Ach, Hurkała, dziadek Staszka.

Stary ledwo się dowlóktł, opadł bez sił na posadzkę, niemal pod stopy księdza. Nauczycielka wiedziała, że ci starcy wygnani, sponiewierani znajdują tutaj ostatnią przystań. Wszystko ich zawiodło, nikogo nie mają na świecie, przed nikim nie mogą się uskarżyć,

tylko tu wyżałą się i wypłaczą ból w otchłan milczenia spowiedzi. Rzucony ludzki łachman szeptał, a zdawało się jej, że to drewniane kraty łkają.

— Każdy ma swój krzyzik, ale mój za ciężki — synowa, synowa. Jezu!

Nauczycielka odeszła nieznacznie, aby nie słyszeć starczej skargi. Stąd spojrzała w ciemny kąt, gdzie klęczał Biel z podniesioną głową ku obrazowi w urągliwej postawie, przeczącej ręką pokornie splecionym. Wyobrażała go sobie zawsze jako zbuntowanego, wzywającego pomsty na świat i ludzi, a modlącego się chyba z pięściami. W pewnej chwili pochylił się, twarz została czemś przejaśniona, a oczy jakby zapłonęły modlitwą i uniesieniem. Była to brutalność, zaciekłość, zemsta i nienawiść chłopska rzucona w proch. Nauczycielka, zdumiona dokonaną przemianą, jeszcze niejednokrotnie zwracała wzrok w tamtą stronę, a wtedy Biel przypominał jej figurę Chrystusa, brutalnie wyrąbaną z jednej bryły buka, znajdującą się w zapomnianej kapliczce poza wsią. Podniesiona ręka do czoła, pochylenie głowy, uderzenie kuliakiem w pierś, ruchy tak powszednie, nabierały głębokiej treści i stawały się wyrazem wzniosłego porwyu kajającego się grzesznika. Ze wzruszeniem śledziła twarz Biela, wielki spokój, zachwycenie, pokorę.

Ksiądz szybko odprawiał mszę, przelatywał od obrzędu do obrzędu jak dziad przez koronkę. Czasem pieśń, wzburzona melodjami, wstrząsała kościołem i opadała na posadzkę, w ciszy przepływał szept pacierzy i szelest przewracanych kartek.

W pobliżu szkolnych dzieci klęczała stara Zachwiejka nad rozłożoną grubą księgą, z której ściekał różaniec, jakby to czarne wyrazy modlitw zmieniły

się w wielkie ziarna. Wzdychała, przymykała powieki, a wszystko widziała i gdyby oczy miały zęby, toby kąsały i zgrzytały. Nie mogła patrzeć na zgorszenie. Chciała Boga chwalić, a tu ją wściekłość roznosiła.

— Józek, pożryj — Alojz trącił łokciem sąsiada — jak rozdziro gębę, aż jej śpiwanie w gardle wiadać.

Cóż mogło być śmieszniejsze, więc parsknęli i śmiali się do rozpuku, kryjąc twarze w czapkach. Co chwila któryś wspinał się na palcach, aby zobaczyć śpiewanie wyskakujące z pobożnej czeluści.

Baba dostrzegła to, skoczyła ze swego miejsca, wbiła pazury w ramię Malinowskiego, potrząsnęła i przygniotła go do posadzki, nie zmieniając wyrazu rozmodlonych oczu.

— W chliwieś, ścierwo, czy w kościele?

Nauczycielka wyrwała chłopca z garści świątobliwej więdźmy.

— Co się stało?

— Rozdarłabym gałgana, toby wiedział, jak chwalić Pana Jezusa, klękniij, proś o zdrowie i rozum. Ścierwy się rozpuściły i nie szanują świętego miejsca. Kija brak. O Jezu — westchnęła. — Człowiek musi grzyszyć przez takich rozpustników.

— Cóż dzieci winne? Każdy tak. Wyście jaka byli?

— Jaka byłam, to byłam, co ci, pani, do tego. Zbójów se pilnuj, a nie mnie, bo ci płacą — odsunęła się i klęcząc, ciskała ślepiami. — Pańska dziadówka na mnie, na gospodynię, z pyskiem w kościele, przed Panem Jezusem. O Jezu Miłosierny, zmiłuj się nad grzysznikami i weź mnie w swoją opiekę. — Srodze, a niewinnie sponiewierana, biła się w pierś i swoje

udręki ofiarowała Ukrzyżowanemu, całując każdym spojrzeniem skrwawione rany. Na odgłos dzwonka, oznajmującego komunię, wstała i ze spuszczonej oczami przeciskała się ku balaskom, gdzie już klęczały pierwsze szeregi.

Ksiądz z kielichem zeszedł po stopniach ołtarza, nieeąc blask i szelest ornatu. Biel powoli parł ku przodowi, robiąc łokciami. Upadł na posadzkę i parzył w białe krążki, unoszące się ze złotego wnętrza.

Westchnienia przelatywały przez kościół, uderzenia w pierś brzmiały głucho.

— Niegodzien jestem.

W twarzach czekających przebijał się coraz inny wyraz, — to lęk przed majestatem, to ufność i cześć, to znów jakby gospodarz przyszedł w gościnę do gospodarza, po pomoc i poradę, ugadali się, a teraz w przyjaźni trwają, czasem zatrzepotały czyste źrenice dziecka. Wszyscy rozchylali usta i z książeczką, rozłożoną pod brodą, oczekiwali w skupieniu, jakby miał wstąpić duch święty w ich dusze. Wpatrywali się w przepaść nieznanych światów, wiecznej szczęśliwości.

— Straszne pragnienie mam, Panie Jezu, żebyś przyszedł do mojego serca.

Ksiądz był coraz bliżej. Szeregi się rozrywały w pojedyncze ogniwa, rozrzucone po kościele.

Biel klęczał w ostatnim rzędzie, przejęty trwogą, że gdyby upadł na posadzkę biały komunikant, toby się oblał krwią. Usłyszał coraz bliżej skrzypiące kroki, poczuł pachnącą smugę, która go owiała i trwała tak długo.

Ksiądz stanął przerażony, bo kiedy spojrzał na Biela, doznał wrażenia, że ten zawzięty chłop prze-

krzywił urągliwie głowę, otworzył usta, aby wyszczerzonymi zębami zachichotać.

— Mam cię, Panie Jezu, choć raz dostałem cię w pazdury.

Komunikant zadrgał w palcach i znieruchomiał.

Ktoś zobaczył, że ręka księdza krwią się oblewa, jak o tem mówi legenda ludowa. Zdawało się, że kościół zadrżał w posadach i za chwilę wszystkimi cegłami ukamieniuje grzesznika.

— Jegomość Biela nie komunikował.

— Kara Boża!

Biel, zgięty wpół, zapadł w posadzkę. Uczynił ogromny wysiłek, aby powstać. Dźwigał się, odrywał kolana, w całym ciele znać było szamotanie, jakby napięte mięskły windowały go z głębokiego oddechu. Deptał cementowe płyty tak samo martwe, bezduszne jak i on teraz, kiedy szedł przez zmarły kościół i łoskotem kroków rozbijał pomruk, wyrastający z betonu. Zwalił się z chrobotem w dawnym miejscu, jak żelazna zbroja, strącona z żołnierskich bark na kamienie. Doznał uczucia, że leży przybity gwoździem do posadzki, a zebrana tłuszcza miażdży go i trąca. Wzmógł siły, podniósł głowę i nie oczy, ale rozpalone pociski utkwili w krzyżu.

— Niech cierpię.

Łapał dech, poruszał wargami, a oddech i szept nabierały głuchej mocy i twardości.

Kościół pustoszał. Ludzie odpływali powoli; przed odejściem jeszcze raz się odwracali, podejmowali najcięższą bryłę ze serca i ciskali na Biela.

— Grzyśniku potępiony!

Z zakrystji wypęził chudy kościelny, podobny do zestarzałego, wysuszonego jastrzębia, który złożył

nabożnie wypierzone skrzydła na piersiach. W małych ślepkach miał chytrą, łazącą się do świątków suto złożonych. Stąpał cicho, skradając, podstępnie przekraczając główkę na boki i ślizgając spojrzeniami po ławkach, gdzie kilka bab drzemało w ostatnich modlitwach.

— Nie widzieliście kaj Biela?

— O Jezu! o Jezu! od powietrza, głodu — zaszepętały jednak żarliwie, gorąco — o hań jest ten potępieniec.

Biel, trącony w ramię, podniósł łeb i drapieżne ślepie wbił w kościelnego.

— Czego?

— Jegomość was wołają.

— Czego chcą? — uciął krótko.

— Zapytajcie się go! Co ja, bidny sługa kościelny, kazali wołać, wołam. Wicie, wicie, sieroto, taki rozjeżdżony na was, tak się ciska, tak tłucze pięściami. A o co?

— Niczego się nie boję. Ja sprawiedliwy człowiek. Boga mam w sercu.

— Tak, tak — szeptał kościelny — cierpcie to upokorzenie, zbierajcie kamyczki, co ludzie na was rzucają, i Panu Jezusowi ofiarujcie — uniżenie pochylił głowę.

Biel skrzepł, zwał się, hardo wkroczył do zakrystji i zapytał w progu.

— Jegomość mnie wołają?

Ksiądz już ubrany czekał z niecierpliwością, wsparty o szafę, w której wnętrzu rozbłyskiwała monstrancja; na tle rozstrzelonych złotych promieni tkwiła blada, nalana twarz i oczy jakby wycięte z niebie-

skiej blachy. Na widok Biela groźnie się zapaliły blaszane oczy.

— Pojednałeś się z żoną, jak ci kazałem przy spowiedzi?

— Już się z nią nie raz i nie dwa pojechałem. Spotkałem ją, jak niesła karpiele, i mówię: chodź, co się bedziesz tyrała. Poszła ze mną. Miałem ziemniaki i mleko. Ona mi mówi, trza uskrobać ziemniaków i ugotować. A to gotuj. Rozpaliła ogień, uskrobalimy w zgodzie. Długo trza było czekać, bo nieskoro się gotowały, to i przyszło do grzechu, przecież ona żyjąca i ja żyjący i jednakowośmy spragnioni tego samego. I taka była zgoda, zwyczajnie jak w małżeństwie, na łóżku i przy misce.

— Co mi za brednie pleciesz? Nie jestem ciekawy. Powiedz, czyś poszedł wczoraj do żony, aby się z nią pojednać i w zgodzie żyć?

— Nie raz byłem, o, są znaki — pokazał szramy i skaleczenia — już się ze mną pojednali.

— Wczoraj byłeś?

— Nie. Czy może żyć w zgodzie owca z wilkiem? a ona wilkiem dla mnie.

— Jak śmiałeś przystępować do komunji świętej?

— Bom spragniony Pana Jezusa.

— W tak ciężkim grzechu? Chciałeś świętokradzko przyjąć komunię.

— Bez winy jestem, moja dusza wymyta i wybiełona, jak izba przed świętami.

— Twardyś jak siekiera.

— Pan Jezus widzi moją krzywdę i wie, żem człowiek sprawiedliwy.

— Nie dam rozgrzeszenia, póki będziesz trwał w uporze, zmaż winy, pojednaj się z żoną i z bratem.

— Jak się z nimi pojednać, kiedy nie chcą nijakiej zgody? Poszedłem do niego, pokloniłem się pięknie i mówię: bracie kochany, narobiłeś mi krzywdy, wepchnąłeś mnie do upadku, ale niech ci Pan Jezus tego nie pamięta. A na to mi odrąbał tak: Idź, Judosie, ode mnie. Coś przyniósł? siekierę czy kamień? To on tak na brata za dobre słowo?

— Kiedy to było?

— No było... dawniejszemi laty. Teraz choćbym chciał darować, to nie mogę, bo mam w sobie ból niezagojony. On prawotnik, proceśnik, on bluźnierca, bezbożnik, on podpalił niezgodę pod naszym małżeństwem. Brata winuję, bo on... bo on... e, nie powiem, nie można grzeszyć w świętem miejscu. Dzisiaj chciałem przyjąć Pana Jezusa z największą miłością, ale jegomość nie dali dostępu do mojego serca. I z tego mam boleść niepocieszoną. Pomimo, że grzeszny grześnik, to i tak przyjdzie łaska do mojego serca. Pan Jezus więcej cierpiał i Panu Jezusowi ofiaruję moją boleść, — oczy Biela zwilgotniały i spłynęły łzami. — We mnie teraz jest radość, bo się moja boleść łączy z boleścią Jezusa.

— Płaczesz, bo sumienie robi ci wyrzuty, zatwardziały grzeszniku — wzburzony ksiądz zawołał — gdybyś kamień zlał wodą, to tak samo płacze.

— Jegomość nie wiedzą, co w mojem sumieniu jest. Chcecie drogę zagrozić Panu Jezusowi do mnie? Niech tam. Powiem ino tyle — słowa zabrzmiały jakby młotem odrąbywane — choćbym chciał przebaczyć, to Pan Bóg nie daruje mojej krzywdy, bo jest sprawiedliwy i wie, że niewinny.

— Zły jesteś do gruntu, przewrotny człowieku. Zbrodniarzby zmiękł.

— Jegomościu! — Biel rzekł ostrzegająco, bez podnoszenia głosu.

— Miejsce święte plugawisz, wyjdź stąd zaraz. Dziadowskie plemię. — Ksiądz rozkazująco wskazywał drzwi.

W Bielu zakipiała duma chłopska. Porywczym ruchem podniósł pięści i pochylony dyszał suchym, a tak donośnym szeptem.

— Czego mam się wynosić? Ze swego? Żona, dzieci wygnali, teraz wy z kościoła. To nie mam mieć nigdzie miejsca na świecie? Nasz kościół. Ojcowie budowali, dość się napracowali. My tu gospodarze. Z ojca kożuch zdarli, bo nie miał czem zapłacić, ja bez soli jadłem, a na te ołtarze dawałem. Stąd mnie wyganiać? Nie pódę, bo to nasze, gromadzkie, wszyćko nasze.

— Zamilcz!

— Nie będę cicho, bo mówię prawdę.

— Precz stąd!

— Jak wy tak będziecie ludzi wyganiać — głos Biela zabrzmiał chrapliwie — to wszyćkich wygonicie, ino zostaną święte obrazy, kupione za ludzkie, za nasze pieniądze. Za przestrono będzie w kościele. Nie wolno mi paciorka zmówić?

— Czekaj, popamiętasz, ja ci pokażę — ksiądz tupął, wołał, aż drżały wstrząśnięte mszalne naczynia, błyskające słońcem, wpadającym przez okno.

— Mnie już dużo, aż za dużo we wojnę pokazali i niczego się nie boję.

— Ty na sługę Bożego? Takiś katolik? Na potępienie wieczyste! świętokradco! — urywanie wołał. — Zginiesz marnie pod płotem i nikt kropli wo-

dy ci nie poda za to, że śmiałeś sługę Bożego obrażać.

Biel na krótko wyrósł nad księdzem, groźny i górujący, jakby miał runąć zwysoka, zmiażdżyć go, gdy nagle czemś przetrącony, skurczył się, zachwiał, przytomnie popatrzał i bez słowa wyszedł. Mijając główny ołtarz, opadł ciężarem na stopnie, zastygł z rękami splecionymi. Już nie wstawał, ale na klęczkach podążał przez kościół w prochu zniesionym z dróg świata, co chwila uderzał czołem o posadzkę, gorzko płakał, całując kamienie zlane jego łzami. Doczołgał się do drogi krzyżowej, minął i w kącie razem z napisem rzewnie zaszlochał przed napotkanym obrazem.

— Pocieszycielko utrapionych, módl się za nami.

— Uzdrowienie chorych, módl się za nami.

Wniknął w wilgotny mur, dygocący szeptem modlitw i kajań.

— Czuję w sobie żal i rozpacz jak dziecko odrzucone od matki. Mam ogromne pragnienie miłować Ciebie, Panie Jezu! Wszyscy na mnie: wynoś się stela. Gdzie się mam podziać? Straszna godzina na mnie przychodzi. Znikąd ratunku i pociechy. Kiedy mi się łyzy ciurkiem puściły, to jegomość powiedział, że temu płaczę, że sumienie robi mi wyrzuty. Panie Boże, ja Łazarz temu płaczę, bom wszędzie widział swoją krzywdę, uciemiężenie, bom widział ciężki los przed sobą i samych fałszowników, podstępników i krzywdzicieli. Niema sprawiedliwości. Jabym cały świat o tak, o tak — gniótł w garściach, rzucał pod stopy i tratował. — Tyle wartają krzywdziciele. Ludzie, jak były złe, tak dalej są złe. Szkoda pracy nad nimi. Rozwalić kościół, bo się na nie nie przyda. Ka-

zanie? Nabożeństwa? jakbyś piaskiem o skałę rzucał. Której niedzieli wyjdę na chór, z chóru na turnię, młoteczką mularską będę kleptał, pazurami będę darł, aż wydłubię cegły. Niech się to wszystko zwali. Dzisiejszym ludziom kościół niepotrzebny. Ino pierwszej wyniesę Matkę Boską i wszystkich świętych, boby ich kamienie wyzabijały — zakotłosał się i obezwładniony zastygł jakby porażony, bo najwyraźniej usłyszał, że zatrzeszczały mury i pękło sklepienie, rozpięte nad ludźmi, rozdzierane błyskawicami biblijnego gniewu. Zabrakło mu tchu od wewnętrznego wstrząsu. W trzasku belek, w łoscocie wiązań, burzonych ołtarzy zobaczył sploty ciał, w skurczach męki sterczące z pod gruzów ramiona. Z huku ścian dobywały się wołania, jakby ludzie, gruzy zmieniły się w szaleńczą modlitwę. Na ten widok, przypominający obrazy zniszczenia czytane w biblji, płonącym od nienawiści sercem wzywał na sąd niebo i piekło, brał się za bary z wrogami żywiołami, wołał o pomoc, o ogień dla takich ludzi.

— Ino tak, ino tak, już im nic nie pomoże, ani sąd, ani kryminał, ani księża. Trza podpalić na wszystkich rogach, żeby nie zostało nic. Same na świecie rozpustniki i rozbójniki. Na tyle kazań, na tyle nauk takie ludzie są niedobre, takie buntacje potrafią robić, tyle niesprawiedliwości, tyle fałszywych przysięg. Jakby widzieli klęskę, toby może przejrżeli i Boga wzięli do serca i swoją krzywdę naprawili — swoją krzywdę wszędzie widział tak olbrzymią jak wieczność i teraz użerał się o każdą godzinę swego nędznego życia, o każdą grudę wydarłej ziemi. Z tego muru, pod którym płakał, wyrывał cegły, kamienował wrogów i upojony zniszczeniem,

wołał poprzez gromy, poprzez huk burzonego kościoła, nie głosem, ale nieubłaganą prawdą duszy, w przestrzeń mściwego Boga.

— Żeby zešli na to, co ja, żeby łaknęli skibki chleba, żeby pragnęli kropli wody w takiej poniewierce, w takim pohańbieniu. Wytłuc, wypalić, wydusić, ino tyle wartają, za mnie, za mnie. Zlituj się, miłosierny Boże. Po niewolach, po wojnach tyle się nacierpiałem i wciąż się tyram po cudzych drogach — szczeka powoli się poruszała, słowa ukształtowane tężały na wargach, zmienione w kamienną treść. Przy każdym pulsie krwi, przy każdym wyrazie, wymawianym powoli, oczy rozbłyśkiwały, chwytając ostry, siekący blask, idący czy z ludzkiej duszy, czy ze świec, stojących na ołtarzu, czy z lampy wieczystej, samotnie wiszącej w pustym kościele.

XII.

Idąc w stronę domu Bielowej, nauczycielka szukała w sobie słowa mającego przemówić do jej sumienia i przekonać, czuła jednak, że każde rozprysnie o zawziętość tej kobiety. Niejednokrotnie chciała zawrócić, ale zanim postanowiła, wewnętrzny nakaz pchał ją naprzód. Wspinając się po stromej ścieżce, przypominała sobie dzisiejsze zajście w kościele i pewne ustępy rozmowy z Bielem. Zdumiona i zaciiekawiona, widziała prawdę hardej duszy. Buntowała się przeciw jego nakazom, ale gdy zobaczyła jego ręce, gdy pomyślała o jego życiu, przebaczała mu, bo w węzłach spracowanych garści mieściła się najistotniejsza prawda.

— Hardy, skrzywdzony przez los człowiek.

I tego skrzywdzonego człowieka chciała bronić.

Często brakowało jej tchu, musiała odpoczywać. Wtedy patrzyła na wieś, oplecioną srebrnym skrzydełkiem potoku, wyblaskującego z pod śniegu, na las, przerośnięty bielą, i na odległe góry, spiętrzone skalnymi wierchami. Zbocza paliły się popołudniowym słońcem. Drzewa kładły na śniegu cienie tak niebieskie, jakby wycięte z błękitu nieba. W oczach miała roziskrzony świat. Rozkwitały różnokolorowe szczytły i zaraz gasły w gęstwinie. Któryś trzepnął skrzydłem, rozprószył kiść migocącego śniegu. Ich dzioby kropliły się ubogiemi dźwiękami.

Stąd widziała wzgórze, otaczające wieś, na zboczach, pokrajanych zagonami, z roku na rok się zwężającymi, sterty kamieni, które z wiosną oracz z pod pługa wydobywa, aby je jutro rozrzuciły bratnie ręce w zabójczej walce, gdy pójdzie spór o miedzę, czy o skibę. Znała przejawy życia całego roku, najdrobniejsze szczegóły pejzażu, zawsze z miłością i z uwielbieniem patrzyła na pola, kwitnące wiosną, rozzłoczone żniwami, czerwieniejące jesienią, bielejące zimą. Teraz z pod огоłoconych drzew wychodziły zabudowania, porozmieszczane pojedynczo, to gromadnie, stare, wiekowe, zapadłe, zgarbione, pokrzywione, wpatrzone z nad gnojówki w świat brudnymi okienkami. Obok nich domy krzepkie, węglami związane z pni, rąbanych przy nowiu, to znów nowe, bielejące obciosanymi bierwionami, zroszone kroplami żywicy, jakby zastygłym potem. A wśród starych i nowych zagród plątały się ścieżki, wydeptane ludzką dolą, aby po nich mogły chodzić jednakże od wieków troski, zmartwienia, radość, przekleństwa i pomsta.

Nauczycielka widziała za szybami blade twarze. Czasem na ich wargach jawił się uśmiech chorobliwy. Te uwięzione dzieci, spoglądające w ogrom dnia, mimowoli przyrównywała do kwiatów, konających w zaduchu. Pragnęła wyrwać drzwi, strzaskać pięściami okna i wyrzucić umierające istoty na słońce, na śnieg, aby zdobywały krzyk i zdrowy śmiech.

Czasem drzwi odpadały, z izby chlusnął bosy chłopak i wyrwał w pole co sił mimo ścigających go przekleństw. W progu stawały kobiety brzemiennie, dźwigające na wzdętym brzuchu kilkumiesięczne niemowlęta, które sięgały za koszulę, szukając piersi, nabrzmiewających pokarmem dla tego w łonie... i wybuchały piskiem, wierzgając, kopiąc to poczynające się istnienie... Z brudnych chustek wynurzały się twarze tak znękanе, tak starcze młodych matek, kaszlących w małe, łapiące dech usta niemowląt. Gdzie indziej jedno dziecko na rękach, drugie, chwytając się na pokrzywionych nogach, kryło głowę w fałdach spódnicy, inne skarłałe, tkwiło zagrzebane w barłogu, pod szmatami. Prześladowały nauczycielkę wychudzone postacie, rozdzierane kaszlem, mające tylko oczy beznadziejnie smutne... Szeptala z wściekłością do okien, często wiechciem zatkanych, do ciemnych wnętrz.

— Tu drgnęłoby skamieniałe serce ludzkie, wy zaś każecie płodzić dzieci bez pamięci i wierzyć, że to wola Boża, której nie wolno się sprzeciwiać. Przyjdź, zobacz, wychowuj. Świat się wywrócił, a tutaj to samo beznadziejne koczowanie w najpierwotniejszych warunkach, bez dążeń, bez pragnień, bo ich porywem, radością i spoczynkiem jest niedziela. Dziedziczne są tutaj ciemnota, uległość pańszczyźnia-

na, nieufność, nędza, wiara w Opatrzność, lenistwo, znajdujące oparcie w skamlaniach: jak Bóg da! dopust Boży! — Nikczemnikiem trzeba być, żeby obojętnie patrzeć.

Hasła i nakazy, leżące w jej duszy, zapomniane, zwietrzałe i wytarte, teraz nabierały innej prawdy i kazały zaciskać pięści. Życie chłopą pokornego, oddającego myśli, uczucia, zamiary woli wyższej, było podobne do rzeki bezwolnej, leniwie płynącej. Nauczycielkę ogarnęło pragnienie, aby ta rzeka wezbrała, wściekła się i rozwaliła przekłete brzegi, prze-moc nędzy i beznadziejność ratunku.

— Wstrząsnąć bezwładem, martwością. Zburzyć te budy, aby śladu nie zostało, rzucić ogień pod zdrętwiałe dusze, niech buntem oszaleją, pragnieniem innego życia. — Zaśmiała się. — Im mówić o budowie nowego życia? o szklanych domach? gdy soli i zapałki nie mają, łacha na grzbiecie, chodaka dla bosej rodziny.

Oderwała wzrok od cuchnących izb i parła na-przód przez obszary, mieniające się w słońcu przepychem kolorów. Po tych barwach, po śniegu mknęły rozbawione dzieciaki, wzniecając obłoki pyłu zerwanego z pod nart. Obszar bieli pokrajany był kreskami i brózdami. Na miedzach, na spadzistych wzniesieniach widać było skocznie, zrobione z kamieni i desek. Rozbieg, odbicie i skok. Trzepotały rozwiane cuhy, zwinne postacie, podobne do ptaków, odrywały się od ziemi, przecinały śmiało powietrze, ginęły w rozpadlinach, wyskakiwały na napotkane wzgórze i mknęły po pochyłości ze zwycięskim okrzykiem.

— Aleń daleko skoczył!

Mali narciarze, wysmagani mrozem, z lekceważe-

niem mijali nauczycielkę, grzęznącą po kolana w zaspach. Wśród najbardziej hałaśliwych rej wodził zuchwały łobuz, krępy, zwarty, przedsiębiorczy, który odłączył się od tamtych, zleciał z góry, zakreślił łuk, miotnął skibą na zakręcie i stanął wryty, wyprostowany, dysząc pośpiechem, zrumieniony wiatrem i zdrowiem.

— Ja tu!

— Ach Alojz, wszędzie zawsze ty — powitała urwisa ze zwyczajną swoją serdecznością. — Gdzie mieszka Bielowa?

— O na hańtym groniku — wskazał kierunek i trzepał śpiesznie. — Umicie jeździć, a styrmacie się na nogach. Pojedźcie z nami.

— Kiedy mam zepsute wiązania.

— Naprawię wam. Ostańcie z Panem Bogiem — machnął czapką. Już nie miał nic tu do roboty; nabrał rozmachu, odepchnął się kijkami i śmignął wdół, jakby to radość rzuciła go w przepaść cudownego dnia. Wiatr przyległ do policzków, gorący wiatr płynął krwią. Ogarnięty szaleństwem śniegu, śmiał się do obszarów wzdętych zaspami, do nieba i do gór.

— Kto prędzej dojedzie?

Patrzac na zabawy, nauczycielka pomyślała, że te gromady, nie tak dawno jeszcze uwięzione w izbach, czekały wiosny w zaduchu przez miesiące; teraz do nich przyszła radość zimy, a świeżość powietrza rozszerzyła płuca. Może kiedyś wejdzie w ich progi inne życie z kromką pożywneho chleba.

Wśród nędznych chałup wyróżniało się wzorowe obejście, jakby wśród wiejskiej, obszarpanej biedoty siadł rodowy gospodarz, zasobny i krzepki w sobie.

W powietrzu, ponad dachami dygotały druty, przeciągnięte od drzewa do drzewa.

— Radjo! hohoho! rzadkość, Europa, świat zjeżdża do chłopskiej izby i śpiewa nowoczesną pieśń swej chwały — widok anteny uradował ją, jakby zwiastun najpiękniejszej nowiny. — Czyj to dom? — spytała przechodzącej kobiety.

— Czyżby był? Tomali. Tego, co nogę stracił we wojnę.

— Ojciec Hani?

— Ten, ten — przytakiwała gospodyni ucieszona, że mogła się przysłużyć nieznajomej osobie choć tą wiadomością.

— A tam dalej mieszka Bielowa?

— Hej!

Kiedy weszła do wskazanej sieni, gospodarujące stado drobiu rozprysło się na wszystkie strony. Kogut w połyskliwych szatach, łopocąc ciężkimi skrzydłami, siadł na najwyższym szczeblu drabiny, obrócił łeb, rozogniony grzebieniem, i wrzasnął groźnie na przybyłą. Kury, pozostawione nadole, rozdzierały dzioby, jakby istotnie ktoś im przemocą wyrywał z gardła ostatnie ziarno.

Bielowa, modląc się przy oknie, spojrzała z ponad okularów na nauczycielkę, oznaczyła miejsce obrazkiem, zamknęła książkę, pocałowała złoty krzyż na okładce, okręciła różańcem i położyła za belką.

— Nie poszłam na nieszpory, bo byłam na sumie. Synowie teraz poszli, zostałam w domu, trza pilnować, bo to rozmaite ludzie się kręcą. Pani na wybieczkę? Że też się chce styrnać po górach w zimowy czas — mówiła prędko, chcąc pokryć zmieszanie i trwogę.

— Śliczny macie widok.

— My nie widzimy Bożej ładności, bo nikt z tego nie wyżyje. Napracuje się człowiek, naugania przy gospodarstwie, tota niema kiedy patrzeć na świat.

— Nie na wycieczkę przyszłam, ale do was.

— Do mnie? w imię Ojca i Syna — niby z wielkiego zdumienia przeżegnała się, a końce palców zadrzały na czole. — Cóż was przyгнаło?

— Wiecie, kto jestem?

— Cobym nie wiedziała? Alojz każdemu pokazuje: ta pani mnie uczy. Wieś to niewielki świat. Siadźcie — podsunęła stółek ku oknu. — Pożryjcie na ładne widoki i niech się wam dusza raduje. Malinowskie mieszkają o w hańtej izbie.

— Muszę do nich zajść.

— Lepiej nie chodzić, serce z żalości pęka, bieda, boleść i nieszczęście. Wszędzie, dom w dom tyle bida, ale tam niech ręka Boska broni. Siadźcie, tyli kawał isć, toście dość utargali zdrowia.

— Często chodzę tędy, tom przyzwyczajona — siadła naprzeciw Bielowej i śledząc wrażenie wywołane, zaczęła mówić powoli. — Dobrze, że mnie znacie, to łatwiej się dogadamy. Pewnie nie wiecie, po co przyszłam?

— Iście nie wiem. Dzieci moje już nie chodzą do szkoły.

— W sprawie waszego.

Po tych słowach twarz Bielowej zastygła, tylko oczy błysnęły, jakby ogień po nich przewiał. Kurczowo zadrgały napięte żyły.

— Prosi, żebyście go przyjęli zpowrotem na gospodarke, bez której żyć nie może. Czuje skrucę.

— Niech idzie w swoją stronę, nie pójdziemy za

nim nigdzie. Jakbyście mu pokazali worek pieniędzy, toby dopiero czuł skruchę.

Nauczycielka poszarpanym głosem powtórzyła opowieść Biela, jego słowami, bez wyjawienia prawdy zaklinała żonę, aby się zlitowała nad nieszczęśliwym, tak bardzo doświadczonym przez los człowiekiem. Przecież to ślubny mąż, przecież to ojciec jej dzieci. Bez gospodarza, bez jego pracy i dozoru zmarnieje majątek, z takim trudem zdobyty.

— Wiem, wszystko wiem, idzie na zmarnienie — westchnęła Bielowa nad zniszczeniem. — Za procesy płać, choćbyś z pod bebeczów miał wydrzeć, bo cię zlicytują. Skąd brać, kiej niema czem ziemniaka osolić. Wczoraj znów nowe przyszło — sięgnęła za obraz i trzepocącymi palcami rozpościerała zwitek upomnień. — Od adwokatów. On wtrząpał nas w tę biedę.

— Ani wy nie jesteście bez winy, ani on, jednak kobiece serce powinno przebaczać.

— Już mu wiele darowałam, wiele, więcej nie mogę. — Bielowa podniosła mężnie głowę i patrząc otwarcie w oczy, zapytała nieoczekiwanie. — To ino ja wszyčíemu winnam? Powidzcie! — zrazu mówiła surowym głosem. — Musiało się we mnie dużo zebrać, żebym była tak, z kamienia. O dużo, ani udźwignąć. Żeby na kolanach przyszedł, tobym go kopła, bo nic inego nie wart. — Potem głos wzmagął się, czerwienił i mówiła zgrzytem zębów, — niech przyjdzie, to z siekierą wylecę, zabiję, zabiję, — wyczerpana opadła na ławę. — Szkoda zdrowia dla niego i każdego słowa. Jakbym chciała wszyčíko opowiedzieć, tobym musiała rok odłożyć, a każdą godzinąbym płakała. Łatwiej się pogodzi siekira z siekirą.

— W zgodzie spłacicie długi, w przeciwnym ra-

zie sprzedadzą gospodarkę na licytacji i na żebry pójdziecie.

— Wiem, wiem.

— Razem z dziećmi. Przecież Biel ojcem tych dzieci.

— Taki ojciec — pokiwała z politowaniem głową — wieszał ich u powały za byle co, prał i krzychał: nogi, ręce połamię, a na ludzi muszę was wykierować. Nigdy nie pomyślał, że trza obuć, odziać. Dziecku nie kupił ani za tyle co mak.

— Grzeszył, ale już odpokutował swoje grzechy. Krzywda mu się dzieje.

— Jemu się krzywda dzieje? jemu? Żeby pani tyle wycierpiała, co ja, toby kamieniami ciskała za tym zbójem. Nagom była, bo jakie łąchy miałam, to ze mnie zdarł, nie trza było jeść, nie trza było spać. Żeby mógł podzielić jedną krupkę kaszy na dziesięć części, toby podzielił, a za konia kazał robić.

— Mogliście przecież wytłumaczyć, że to ponad siły.

— Do niego mówić? trzebaby czekać jak pies. Com się upłakała, to jeden Pan Jezus wie. Nieraz chytałam siekiere, żeby go przez łeb. Ino nie chciałam na potępienie iść.

— O wszystkim słyszałam. Wiem też, że zapręgał was do pługa. Ale to wynikało z miłości do ziemi, odbierającej mu rozum. Nie chciał grosza wydać na najemnika, bo pragnął dokupić jeszcze jeden kawałek. Za to go potępiać? A przecież gospodarki nie zabrałyby ze sobą do grobu, pozostawiłyby dzieciom. Wspólnie pracowaliście, aby osuszyć młaki, uprawić nieużytki.

— Prawda, prawda, cośmy się urobili, to ani opo-

wiedzieć. Przyszliśmy pod gołe niebo, tu młaki, tam kamienie. Z ojców nie mieliśmy nic, ino te palce. Budę z gałęzi postawił, krowinę pod drzewem uwiązał, a my od nocy do nocy w robocie — przypominała sobie dzieje nadludzkiej pracy. — Korczyliśmy ornice nie rękami, ale zębami i pazdurami.

— A widzicie, sama przyznajecie — uradowała się nauczycielka — przy wspólnej pracy zdobyliście gospodarkę, teraz w zgodzie musicie ją utrzymać. Mówił mi, żeście strasznie była rada, kiedy was zaprzęgał.

— Rada byłam? Mój Boże — westchnęła z głębi piersi. — Kiej byłam w ciąży wtedy z najstarszym chłopcem — zabrakło jej głosu, jakby nie wolno było więcej powiedzieć, bo to wyznanie dostatecznie stwierdzało okrutną rzeczywistość.

— No tak, no tak — jękała się nauczycielka — może nie wiedział.

— Nie wiedział? Kiej go prosiłam, to mnie jeszcze więcej poganiał, gorzej bydlęcia. Śmigał batem, co mnie uderzył, tom gorzkiemi łzami się zalewała, bo dziecko we mnie bił. Dziecko z matką ciągnęło. Jak takie dziecko na ojca popatrzy?

— Mówił, że nigdy nie użył bicia.

— Jemu wierzycie? taki dobry, taki grzeczny przed obcymi ludźmi, że możecie go na chleb rozmuskać. Nie bił... nie bił... — ręce nieznacznie uniosły się ku guzikom bluzki i znieruchomiały, jakby skonały i już nie mogły wykonać tego, co postanowiły. Nagle Bielowa rozpaczliwym ruchem zdarła okrycie, obnażyła plecy, chwyciła kurczowo nauczycielkę za ramię i jej wzdrygające się palce wodziła po

szramach, bliznach. — To od jego bicia znaki. Tyle lat od tego czasu, a ciągle bolą i tak do śmierci. Kiej padłam w bródzde, to wrzeszczał: ciągnij, cholero, za co ci zryć daję, próżniaków nie będę chował, wygonię, a inną sobie wezmę. Baba mi potrzebna do roboty, nie do miski. Wygnał mnie. Chorowałam. Jego brat mnie przyjął, wsparł, pomógł, u niego przyszedł na świat najstarszy syn, to godny, od Boga człowiek, podzieli się z biednym, niczego nie pożąda. Ksiądz kazał, ludzie nas pogodzili. Znowu mieszkaliśmy razem. Zrazu było dobrze: ino błyskał ślepiami, ino zęby szczyrzył jak zły pies, potem znowu to samo. Całe plecy to ino rana od jego bicia. Jakżem prała koszulę, to się potok zaczerwienił od krwi. Raz mi ręce wykręcił i rozpaloną solniczką przypiekał, raz, kiedym z sił opadła, do komory mnie zamknął, zostawił dzbanek wody i skałę: zdechnij, jak nie chcesz robić, ja cię skruszę i musisz chodzić wedle mojej woli. Dziecko biło we drzwi, płakało, jeść chciało, umordowane położyło się na progu i usnęło, a wciąż przez sen się zrywało i wołało — mamó! mamó! — Jezu! Jezu! To dziecko zagrodziło drogę do ojca. Pani, szkoda waszych słów za nią, to nie człowiek. Mnie nie wierzycie, to zapytajcie sąsiadów, opowiedzą wam, jakie miałam życie. Popatrzcie na matkę Alojza, on tak porobił, czary rzucił. Przez niego niejedno nieszczęście. Mogliśmy w zgodzie pracować, on zgodę rozszczypał, bo z garła chce wydrzeć, łyżki jedzenia żałuje, człowieka widzi ino przy robocie.

— Czy zawsze był taki?

— Zawdy, ale najgorszy, kiedy z wojny wrócił; nieraz trza było nocną godziną uciekać, bo chciał wszystkich w domu wyzabijać, co miał w garści, to

z tem leciał: próżniakom muszę ręce zuciwać. Djabeł przy nim siedzi.

— A wiecie, że gotów i teraz podpalić i wyzabić z rozpaczy.

— Wiem. Niech podpali, niech wyzabią. Będzie koniec. Teraz mam ręce jak połamane, nie zdolę się bronić. Dawniej dzieciom kazałam go bić, teraz już nie każę. Żeby z torbami miała pójść, to pójdę, ale go do mojej budy nie puszcę. Nabiedowałam się dość, ale mi milsze takie życie, bo choć w spokoju żyję, nikt mi łyżki strawy nie wymawia. Pani, nie namawiajcie mnie do zgody. Za dużo mam w sobie boleści, żebym mogła bez złości patrzeć na niego — mówiła bez nienawiści, ale tak, jakby głosiła bezlitosną, niczem nie zachwianą prawdę. — Siebie nie odmienię, nie pójdę do niego i nikt na świecie nie może mnie zmusić. Każdą godzinę, com z nim żyła, tom przepłakała, każdą bryłkę ziemi, co była pod jego nogami, tom przeklęła. Teraz albo jego, albo moja śmierć. Nieraz się wstrzymuję, żeby nie chycić siekiery — pojedyncze wyrazy zabrzmiały głucho, jakby uderzenia tej siekiery. — Nie chcę widzieć krzywdziciela, niech zdechnie, niech zgnije, nie mnie nie obchodzi. Wszystko za mało, za to, co on ludziom narobił.

Nauczycielka ujrzała zły blask, usłyszała ów łoskot i pomyślała, jakże niepotrzebne, marne i fałszywie brzmiące są w tym domu jej słowa o przebaczeniu. Puste wargi nie umiały nic innego wypowiedzieć.

Bielowa zakrzętała się po izbie i w stukocie zdejmowanych naczyń mówiła.

— Już się wnetki zmierzchnie trza żywinę na-

karmić. Bydlę pierwsze przed wszyćkiem, przed dzieckiem, bo dziecko się upomni, a bydlę jak? Trzeba czuć. Cisula już jawi, no, — dodała wyjaśnienie — ma się ocielić, ino nie wiem, którego dnia się latowała. Było krydą zapisane w szafie, ale starł na złość, taki zemstny — w chwili tak niezmiernie ważnej: krowa ma się ocielić, zapomniała o nienawiści, mściwości, jakby z zapaski wytrząsnęła śmiecie i kamienie. Wyprowadziła gościa na podwórze i zegnała, uśmiechając się bezradnie, przyjaźnie. Śpiesznie poczłapała do stajni, pędzona najważniejszą troską.

— Krowiny głodne.

— To jest najświętsza prawda: baba zatroskana, śpiesząca z cebrzykiem do krowy — pomyślała nauczycielka, patrząc na zarysy krzepkiej postaci, idącej mocnymi krokami ku gospodarskim sprawom, ku swoim światom. Nie mogła i nie chciała wracać do domu, do tylu uciążliwych zajęć. Pragnęła zostać sama. Wstąpiła na pierwszą wydeptaną ścieżkę i wlokła się za swoim cieniem, jedynym przyjacielem i towarzyszem. Dotarła do szczytu, kiedy przestwór zaczął nasiąkać czerwienią, a pocisk słońca przebił ściżbione obłoki i spoczął na krawędzi góry widniejącej wdali.

Z chmur przepojonych płomieniami ukształtowały się postacie barczyste, spięte ze sobą ramionami, przywarły grzbietami do stropu nieba, aby go wyrwać i dźwignąć wzwyż. Szamotały się, połyskując purpurą, jakby krwawym potem.

Wieś, leżąca w rozpadlinie, oszroniła się siwizną i fioletem, tylko okna rozbłyskiwały różowo, żegnając odchodzący dzień. Na krzyżu kościoła tłała zatajona iskra, czekając na wichę, któryby ją rozdmu-

chał i zmienił w łunę nad światem. Pochyłe tafle zboczy były już pogrążone w zmierzchu, tylko szeregi idące, ostro ściosane wierzchołki rozjarzyły się ogniem, podobne do zastygłych fal wzburzonego morza, kiedy je pożoga dotyka. Ponad wieńcem gór, na krańcach widnokregu piętrzyły się zwały Tatr, niby potworne, przedpotopowe byki, które uderzyły na siebie i pokonane, pobite leżą w potokach własnej posoki i w potokach ognia, wytoczonego ze słonecznych żył.

Nauczycielka, urzeczona pięknnością zachodu, zapamiętała przemiany barw zachwyconemi oczami i przeżyła je wzruszonym sercem.

Słoneczna krew prędko spływała, świat tracił ostrość, wyrazistość, zasypywany szarym popiołem, potem kurzawą rozpylonej ciemności. Z poza gór przyszła do niej noc, przekroczyła ją i rzuciła czerń na ziemię, na góry i doliny. Na niebie, w miejscu, gdzie słońce zaszło, ścieliła się reszta czerwieni, jakby obłok, który przed chwilą otarł krwawy pot z oblicza bardzo utrudzonego.

Nauczycielka nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest, dokąd dąży, zapomniała o sobie, stała się drobną grudą, zespoloną z ogromem wszechświatów i wszechrzeczy. Kiedy wyblęły gwiazdy, pytała z uśmiechem i odpowiadała z takim samym uśmiechem.

— Czem marzy niebo w ciemną noc? Gwiazdami! A czem człowiek? — nad tem pytaniem moliła się daremnie. Mając oczy pełne gwiazd, szła w ciszę. Nie nie widziała, raczej stopami wyczuwała ścieżkę, tak dobrze jej znaną. W mroku zamajaczyła czarna plama, zwichrzona korona drzew.

— Kapliczka — rzekła z taką radością, jakby

po długiej rozłące powitała przyjaciela przypadkiem spotkanego. — Dobrze idę.

Lubiła to miejsce. Często, zwłaszcza w lecie, przechodziła tutaj, przyciągana przemożną siłą. Z pod kamieni wytryskiwała woda, źródło wiecznej radości, ze srebrnym pluskiem przeskakiwała po kamieniach, a na małej łączce tworzyła krynicę, w której przezroczach spoczywało odbite niebo i przeloty obłoków, widzenia święte, objawione tej toni i patrzącemu człowiekowi. Nauczycielkę zaciekał Chrystus, umieszczony pod daszkiem, tak inny, tak odrębny, mający własną symbolikę. Zwyczajnie przedstawiany bywa jako nędzarz okryty strzępami łachmana, z trzcina w ręce i z koroną na głowie, wydany na urągowisko i przyjmujący z bezbronnyim wzrokiem obelgi, plwania, na wargach tylko tając ledwo wyczuwalny uśmiech, rozjaśniający twarz, jakby ślina, przekleństwa zmieniły się w ten święty płomyk, trwający jednak od tysięcy lat. Tutaj inaczej. Nic nie było Boskiego, ani nadludzkiego, nie było nawet męczeństwa, ofiary, tylko zaciekłość i bunt burzyciela świata. Nieznany cieśla szarpiąciami ciosami siekiery wyrąbał w bukowym kłocu muskularnego chłopca, przywiązanego do słupa grubym łańcuchem. Kłębowisko rozkudłonych włosów, przygniecione ciężarem cierniowej korony jak skałą. Z pod zsuniętych brwi oczy bodziły mściwemi spojrzeniami niebo i ziemię. W twarzy, ledwo obrobionej, bryłowatej, była chłopska zawziętość, zgrzytająca nakaz: pazury za pazury, ząb za ząb. Symboliczna trzcina była sękatym kijem, mocno tkwiącym w zaciśniętym kułaku. Ramiona proletarjackie, wypracowane, nabrzmiały mięśniami. W postaci znać było, że zbuntowane kości,

żyły, muskuły prężą się od wysiłku, aby stargać więzy, gwałtem nałożone, i że za chwilę spadnie rozrywany łańcuch pod robociarskie stopy. Chrystus wywierał wrażenie groźnie zamilkłej chmury nad światem, miotającej błyskawice zemsty.

Nauczycielka miała minąć kapliczkę. Stała zdziwiona, widząc jaśniejący powiew światła, który muskał powietrze i ciemne zarysy smreków.

— Któż to świeci?

Podeszła bliżej, ostrożnie odchyliła gałęzie i w najwyższym zdumieniu o mało nie zawołała: Bielu!

Trzy świeczki, wetknięte w szpary, oświecały wnętrze kapliczki, okazując muskularnego Chrystusa, skurcze mięśni, brutalnie wyciosaną twarz, zapajęczone kąty, obwieszzone kiściami kłosów, bławatów, które kwietny maj przyniósł z pól rękami dzieci. Na kamiennym progu, tuż u nożysk ubiczowanego leżała otwarta książeczka do modlenia z grudką ziemi na oznaczonej kartce. Znać było, że człowiek klęczący odłożył ją, aby wkrótce znów po nią sięgnąć. Zboku widziała wyraźnie twarz, światła jednak nie starczyło, to też ramiona i plecy stapały się z mrokiem, sprawiając wrażenie, że postać jest wykuta z jednolitej bryły ciemności. Biel tkwił bez ruchu, jakby głąz stoczony z gór i wkorzeniony kolanami w posadzkę. Wpatrywał się w płochliwe wybliski, poruszane niewidzialnymi powiewami. Świeczki topiły się równo. Krople stearyny nabrzmiewały, powoli się staczały, stygnąc w zwisających soplach. Wargi Biela pękały, drgały nieznacznie, z tych drgnień rodził się szept, z szeptu wyrastały słowa; zrazu ciche, przechodziły w zwyczajne brzmienie, aż wkońcu stwardniały i zadźwiękły mocno.

— Panie Jezu, ciśnij miłosiernem okiem na mnie i zobacz, jaki jestem skrzywdzony. Ucisk mam taki, że już wyżyć nie mogę. Wysłuchałeś innych i mnie wysłuchaj. Brat, własny brat, jest wrogiem w mojem nieszczęściu. Com źle zrobił? za co tak cierpię? Brata, żonę, dzieci na sąd Boski oddaję, bo w grzechu i w uporczywości trwają. On zły, ona zła, obydwoje krzywdziciele. Żeby się wam to stało, co mnie robicie. Żebyś skapiał, kochany braciszku, żebyś skapiała, ślubna żonko, żebyśta skapiały, rodzone dzieci, żebyśta wszystkie skapiały za moją krzywdę, za moją poniewierkę, jak te trzy świeczki, postawione przeze mnie przed miłosiernym Panem Jezusem, nie ze złości, nie z zemsty, ino za sprawiedliwość, za sprawiedliwość, bo ty, Panie Jezu, jesteś sprawiedliwym sędzią i wiesz, żem jest niewinny.

— Zwarjował, naprawdę zwarjował — nauczycielka szeptała ścierpłemi wargami. Pochyliła się, aby skoczyć ku niemu, pięściami zatłuc bluźnierczą modlitwę. Coś rzuciło zaporę między nią a człowiekiem. Bezradna, zmartwiała, wrosła w pień smreka, pod którym stała, ręce zdrętwiały w rozpostartych gałęziach, poczuła drżenie własnych pulsów w głębinach zmarzłej ziemi, w najdrobniejszym korzonku. Doznała wrażenia, że zmieniona w drzewo, miotane wewnętrznym dreszczem, patrzy na obrzęd, gdzie potęga pierwotnej wiary przemawia grozą.

Niezmiennie chwiały się trzy światełka, a przy poruszeniu wyjawiały zatajone drobiazgi, garście kłosów, strzęp zeschniętego wieńca, postać przykutą do pniaka, bryłę Chrystusowej twarzy i oczy bodące klęczącego człowieka.

Biel, skamieniały w modlitwie, po wielokroć to

samo powtarzał, wpatrując się w krople topniejącego wosku.

— Niech skapieją, gdzie są, gdzie się obróćą, w domu, w polu, przy robocie, przy misce, na łóżku, niech skapieje ich język, ich ręce, co mi krzywdę robiły, niech skapieją nogi, niech skapieją oczy, każde z osobna i wszystko razem, co ich jest. Tak mi, Panie Boże, dopomóż. Niech skapieją, jak te trzy świecezki, kupione za ostatni grosz.

Nauczycielka miała pewność, że Biel zabiłby ją tutaj na miejscu, gdyby ją teraz spotkał. W przeobrażeniu wyplątała się z kłujących więzów, siłą odzierała ciało od gałęzi. Nie dźwignie ciężaru nóg. Coś ją odepchnęło stąd. Uciekała naprzelaj przez pole, kamienie, miedze, zasy, gąszcze. Zmęczona odwróciła się. Już nie zobaczyła człowieka. Nad kapliczką unosiła się ledwo widzialna łuna, wkrótce i ta zniknęła.

— Ostatnia świeczka zgasała — nauczycielka, po-grażona w mroku, szeptała do Biela, czy do siebie, czy do ludzi. — Całe życie palimy świecezki, aby ktoś skapiał, skapiał, skapiał — śmiech ją porwał. — Tego człowieka uczymy ewangelji? Zapałką chcemy podpalić kamień. Przy nikłym płomyku, wytryskającym z palców, chcemy zgłębić tajemnicę duszy. Zapałka błysnie, muśnie skąpy krąg powierzchni, ale nie sięgnie brzegów, ani głębin. Nauka o miłości i o przebaczeniu nie przejrzy i nie zbada tajemnic dusz ludzkich. Jakże przelotny, jakże chwiejny jest jej płomyk.

W tej stronie, gdzie księżyc miał wzejść nad lasem, unosiło się silniejsze jaśnienie: zwiastowanie poświaty. Chociaż tu panowały mroki, to jednak

z drugiej strony na krańcach widnokregu w głębiach nocy ukazały się Tatry, zamglone rozprószonym światłem. Poszarpane szczyty, widziane w czasie zachodu, teraz były zupełnie inne, straciły ciężkość skał, grozę, czarność przepaści, a zamajaczyły, niby srebrny duch, ogromem jawiący się ciemności i ludziom. Widziadło bezcielesne, świetlne nabierało metalicznej wyrazistości, jakby wraz z mijającym czasem zostawało wykuwane z bloków złodowaciałego blasku na tle słabo rozjaśnianego nieba.

To był najpiękniejszy sen dzisiejszej nocy. Tatry w świetle księżyca, którego wejścia człowiek jeszcze nie ujrzał.

Księżyc powoli wyłaniał się z poza gór, wschodził poto, aby samotny człowiek mógł zobaczyć bezmiar nieba, góry i samą wieczność ciszy.

XIII.

Po powrocie do domu nauczycielka nie mogła się uspokoić. Rzucana wzburzeniem, przemierzała izbę od ściany do ściany gwałtownymi krokami. Coś w niej zagasło, coś pękło, coś się rodziło. Sprzęty widziane przejmowały ją wstrętem, były symbolami jakichś uczuć, wspomnień, obrazów. Postanowiła pracować. Pióro, zaciskane w palcach, potykało się po literach jakby na bryłach, wyrastających z papieru. Sięgnęła po książkę... czytane zdania przybierały kształt żywych istot, natrzęsających się do rozpuku z jej pracy, z jej wysiłków, wskazując na modlitwę pod kapliczką.

— Czemże religja? Czy nie świeczką, od wieków

jednaką, wetkniętą w skałę poto, aby chwiejnym płomykiem mogła oświetlić niedzielę? Ten płomyk nie przepali duszy, — nie. Niema nawet takiej siekiery, któraby zdołała ją przerąbać.

Z rozmyślań obudziły ją znajome kroki. Biel z rozmachem zamknął drzwi i buciarami hałasował, trzaskał, jakby chciał coś zatłuc.

— Spóźniliście się dzisiaj?

— No to co? — warknął krótko — pani też nie było.

— Tak się pytam.

— Znów pewnie podrywka.

— Żadna podrywka.

— Nikt ze mną po ludzku, ino każdy na złość — mówił twardo, jakby rzucał naręcze polan na podłogę — zresztą nie mam czasu na gadanie. Czem podpalić? Papier nic niewart, trza drzewa, a wczoraj nie naszczypałem.

— To dzisiaj naszczypcie.

— Dzisiaj? w niedzielę? Grzech, Jezu! — jęknął jakby nie w drzewo, ale w siebie rąbnął siekierą. — Niema czem podpalić. Ha! trzeba Pana Jezusa obrazić — wyjął kozik, przeżegnał się — Panie Boże, odpuść — i statecznie, jakby krajał chleb, łupał drewnienka i układał pod blachą. Trzasnęła zapalka. Wybłysnęły złote płomyki, igrały po drzewie, szumiały w czeluści pieca, wylewając blask na twarz, która zaczęła się żarzyć czerwienią, reszta zaś postaci grzęzła w mroku. Kiedy dźwigał się z podłogi, nuczycielka rzuciła znienacka.

— Gdzieście dzisiaj byli?

— Cóż się tak pytacie jak zbója? Szliście do mojej. Chcieliście pewnie pojednać ją? Z taką piekiel-

nicą nigdy nie będzie żadnej zgody. Dobrem słowem kamienia nie przełamięcie. Wiem wszystko. Jakżeście weszli, to popatrzała na was, jak byk na rzeźnika. Niech do śmierci trwa w uporze, niech djabeł weźmie jej duszę! Inaczej nie będzie. I piekło zapaskudzi złością — mówił prędko, nie patrząc w oczy nauczycielce. Widocznie chciał zmylić jej czujność, odwrócić uwagę od właściwego pytania.

— Skąd wiecie, że byłam u waszej?

— Czasem zachodzę tam, kryję się za krzakami, chcę choć zdaleka pożyć na gospodarkę. Odganiają, ścigają, a wse mnie tam ciągnie. Jakżeby było inaczej.

— A później gdzieście byli?

— Nikany nie byłem, no tak polazłem do lasa. Choć tyle mi wolno. Nikt nie zabroni...

— A coście porabiali pod kapliczką? — śledząc bacznie twarz, rzeźbiącą się w świetle, zauważyła, że muskuły szarpnięte skureczyły się, jakby przesyte jej słowami i zaraz zmartwiały.

— Hi! hi! Jakoście, pani, dziwna — zachichotał krótko i spoważniał. — To nie wicie, poco się chodzi do świętego miejsca? Nie po zbytki. Byłem, czego-bym się miał zaprzeć. Wyganiają z kościoła, ino stamtąd Pan Jezus nie wygoni, bo widzi, żem sprawiedliwy. Paciorek zmówię za siebie i za moich krzywdzicieli. Nie pamiętam im, co mi narobili. Szedłem tamtędy, tom się uzałił Panu Jezusowi. Mówię prawdę, przeciebym się nie świadczył Panem Bogiem. Gdzieście byli, żem was nie widział — chytrze błysnął ślepiami.

— Chodźcie do kościoła, dzisiaj też byliście.

— Cobym nie miał chodzić? — z politowaniem

popatrzał — przecież nie jestem bydlęciem — mówił swobodnie, z bez troską w głosie, bo zrzucił z siebie ciężar, ugniatający go tak długo.

— Rano w kościele, w wieczór pod kapliczką, żeby skapiał brat, żona i dzieci — krzyknęła, nie mogąc opanować oburzenia.

— A pani co do tego? — zuchwale podniósł łeb. — Nikogo się nie boję. Znowu braciszek albo moja nabuntowali przeciw mnie. Niech buntują. Nie chce pani, żebym sprzątał, to nie będę, gdzie indziej też zarobię na kawałek chleba — udając gniew, zmierzał do drzwi.

— Nie idzie o to — zawróciła go, chwyciwszy za ramię. — Jak wy możecie pogodzić kościół, Chrystusa miłosiernego z waszą modlitwą pod świeczkami?

— Nic złego nie robiłem, sprawiałem święty obrządek. Tamto inna rzecz, to inna, a każda dla człowieka stworzona, żeby było dobrze. Człowiek musi mieć lewą i prawą rękę, wtedy dopiero mocny i zdatny do wszystkiego. Mam ból w sercu z powodu ludzi. Przed swojemi oczami widzę niesprawiedliwość. Nikt nie chciał mnie ratować, ani ksiądz, ani sąd, ani ludzie, to sam muszę szukać sprawiedliwości. *Według środków swoich i nieszczęścia szukam ratunku.*

— Wasza wiara jest przewrotna. Zastanówcie się nad tem, co mówicie, zapytajcie księdza.

— Co się będę pytał księdza, on swoje wie z kościoła, ja swoje z życia. Z kazalnicy łatwo pouczać, bo na kazalnicy chleba nie pieką. Ksiądz dba o swoją gospodarkę i nie da sobie kęsa urwać. Z czego mam żyć? Niech mnie, albo ich ze świata zgubią.

— Wstydziłibyście się w ten sposób mówić. Ty-

leście przeżyli, tyleście widzieli, a jesteście tak ciemny.

— Taki jestem, jaki mam być.

— Chrystus kazał miłować, przebaczać, a wy z pod stóp Chrystusa idziecie na ludzi z siekierą — pragnęła przemówić do sumienia, do rozumu i kiedy wypowiedziała słowa, widziała, jakie są zdawkowe i bezsilne.

— I przy paciorkach kij też potrzebny, o bardzo. Przez nieszczerście człowiek do wszelkiej rozpaczyny wpada. Rzuciłem się do czarów, bom szukał środka, żeby się ratować. Wszyćko jest od Pana Jezusa. Jestem człowiek żywy i muszę się bronić. Mam się zabić? Ludzie przykazań nie słuchają, każdym przykazaniem grzeszą, a ja, upadły, poniżony, skrzywdzony człowiek, mam słuchać? Ludzie mówią codziennie w pacierzu: nie zabijaj, a o jedną kromkę chleba się zabijają. A we wojnę?

— Dlaczego chodzicie się modlić pod tamtą kapliczkę?

— Dlaczego? — milczał, zbierał siły, aby wyjawic ukrytą prawdę. — A no tego, bo mi ten Pan Jezus najmilszy, bo to ludzki chłop. Z tamtego świata, a taki jakisć swój, wie, co trza ludziom. Z pięściami na cholerów, a nie z płakaniem i labidowaniem. I dlatego nigdzie nie idę, ino tam.

— Tyle w was zemsty. Ksiądz w kazaniach poucza, że to grozi wiekuistym potępieniem. Piekło! Czy rozumiecie to?

— Oddaję się na sąd Boski, bo żyję sprawiedliwie. Pan Jezus najlepiej rozrządzi. Taki grzech bierę na sumienie. Żebym ino nie miał większego. Wiem tyle, że łaska Boska jest większa, jak djabelska moc. Czu-

ję miłość do Pana Jezusa w sercu, Pan Jezus wie wszystko i musi ich skarać, jak już skarał jedną osobę.

— Pleciecie. Pewnie myślicie o Malinowskiej? Cóż wy sobie wyobrażacie, że zachorowała z powodu waszych zabobonów. Głupota.

— Pani, nie sądzicie Pana Boga. Nie trza igrąć z wolą Bożą — karmił surowo, jakby bluźniącemu grzesznikowi objawiał prawdę i karę zarazem. — Przysięgała fałszcznie w sądzie i teraz za mnie żywcem gnije. Jeździła do czarownika, już nie odczyni czarów, nie odgoni chorości, nie, nie, — powtarzał kilkakrotnie, jakby klinem przygwaźdżał Malinowską do jej barłogu. — To wielki cud Boski, że się tak stało.

— Opętał was piekielny duch, straciliście rozum.

— Pan Bóg robi ze mną, co będzie chciał, ludzie nie mają nic do tego. I brat i żona i dzieci nic innego nie wartają, niech zejdą na to, co ja, niech się tak samo poniewierają, niech nie mają łyżki strawy.

— Cóż wam przyjdzie z tego? Czy znajdziecie ulgę w swoim położeniu?

— Uciechę!! — wyszczerzył zęby. — Jeszcze im co innego sprawię. Wicie co? Powiem wam kiedy indziej — oczy, głos, twarz, ręce mówiły z tem samem okrucieństwem, jak pod kapliczką, przed ubiczowanym Chrystusem.

— Do kryminału was zamkną... Jabym... jabym... — zadygotały gniewnie wargi.

— I kryminały dla ludzi stworzone. Jak zgrzeszę, to niech mnie zamykają. Sprawiedliwość musi być na świecie. O nic innego się nie biję, ino o sprawiedliwość — twarz Biela znów wysunęła się z półmro-

ku w krąg światła, a sama postać zrastała się z ciemnością.

Nauczycielka patrzyła z niewytłumaczonym uczuciem na chłopca i ze zdumieniem słuchała jego mowy; drażniły ją, przerażały wyznania. Miała wrażenie, że spadają na nią kamienie i ciosy. Pragnęła je zniwieczyć, odtrącić, zdeptać. Otrząsnęła się z tego wrażenia i przemówiła zwyczajnym głosem.

— Byłam u waszej. Chciałam was pojednać.

— Ino siekira może ją pojednać — oczy zgasty i zastygły w bezwzględnej, niczem nie przejednanej groźbie.

— Żona całkiem inaczej przedstawia te sprawy niż wy.

— Pani zaraz poznała, jaką ona ma fałeczną duszę — zawołał zwycięsko. — Świętulka, a paciorkami-by człowieka zagryzła. Dość mnie nakrzywdziła.

— Czy i wtedy was krzywdziła, kiedyście zamykali ją w komorze, ciskali dzbanek wody i skałę?

— Napletli wam ludzie głupości, aże wstyd. Że też wierzycie sojezym językom. Wiecie, co Malinowska mówi? Że nade mną w kościele latają wrony takie małe, jak muchy. Ma to rozum? I temu też wierzycie?

— Może w gorączce, może od bólu tak mówi.

— Gdzie tam od bólu. Ze złości.

— Powiedzcie, czy to prawda, żeście zamykali żonę.

— No wicie, no wicie — zrazu nie umiał zlepić potrzebnego zdania — no, rozmaicie się trafi, jak to na chudobnej gospodarce, przy fałecznej babie. Niczego się nie wypieram. Żona powinna słuchać męża we wszyćkiem. Chłopy mają rozum przy babie

w portkach, a ja o tu — zaciskał palec za palcem, tworząc bryłę powiazaną nabrzmiętami żyłami — wicie, tu mam najlepszy rozum. Jak zgrzyszyła, tom ją czasem éwieknął, to już taki nasz święty przywilej. Trza bić, bo nieraz lepiej trzymać w garści rozpalone żelazo niż babę mieć w chałupie, przy złej babie i piekło jest ochłodą. Jak ją kiedy éwieknąłem, to dla jej dobra, żeby się nie leniła, grosza szanowała i była pomocą w pracy.

— Potoście też ręce przypiekali?

— I to powiedziała? — zaśmiał się, czemś szczerze ubawiony.

— O, dużo więcej mówiła.

— Mnie wiercie, bo wam powiem sprawiedliwą prawdę. Posoliła ziemniaki, a solniczkę postawiła na blasze. Zatargało mną, ale nic, zaciąłem zęby i swoje robię, a ręce to mi tak latały. Już się drzewo kurzy, jakżeby się nie kurzyło, kiej stało na rozpalonej blasze? Mówię grzecznie: czegoś tak postawiła? — ona zaraz z pyskiem: nic się nie stanie. Nic? — tom wziął solniczkę, przyłożył do ręki, o tu w kostce, skóra trochę zaskwirczała i swąd poszedł po izbie. Moja wrzała. Twarda baba, a wicie, nie wytrzymała. Musiało ją zabołec, jakże mogło być inaczej. Nie dziwota. Wtedy ja do niej: czego wrzeszczysz? przecieżeś mówiła, że się nic nie stanie. Kiedy się paliła solniczka, to mnie wszyćko bołało. Anim nie zemścił, anim nie bił, jak inne chłopcy. Boże broń — inom denko przyłożył lekuško. Czego ona taka marnotrawnica? Pani, powiedzcie, coby wasz chłop zrobił, jakbyście marnili jego dobro? Mówcie sprawiedliwie, wedle sumienia — patrzył oczami człowieka nigdzie nie znajdującego pomocy, potem dodał z goryczą —

E, baba zawdy za babą. Nikt nie chodzi w mojej skórce, to nie wie, co cirpię. Myślałem, że pani ma łaskawe serce i idzie za moją sprawiedliwością. Czego na mnie wszyscy przez złość? to ja muszę być najbardziej poturany! już niema gorszych ludzi na świecie? pani powinna wejrzeć na moje nieszczęście, bo jestem sam jeden, nigdzie żadnego oparcia, nigdzie pomocy. Jestem grzyśnik przegrzyszny, bom żyjący człowiek i nie mam w sobie nijakiego życia. A wiecie czego? — zionął szeptem. — Całego swojego ducha dałem ziemi. — Po tem wyznaniu w jego postaci, w ramionach beznadziejnie zwisłych znać było zmęczenie i wyczerpanie. Biel czynił wrażenie drzewa, wyszarpanego z gleby, postawionego na zmarnienie pod ścianą, a wciąż prężącego daremnie i niepotrzebnie mięśnie, przywykłe do ciężkiej, codziennej pracy. Po chwilowem milczeniu szept zachwiał się, jakby duch, którego oddał ziemi, zpowrotem wstępował w niego. — Wyście powinni zmiarkować, co człowieka boli. A mnie wszystko boli. Pod własny dach nie chcą puścić, z gospodarki wyganiają. Czy może być większa krzywda na świecie? Ja gospodarz w poniewierce! — Ja! — zerwał się z dygocącemi rękami. — Ja budowałem, kamień sam, gonty sam, drzewo sam, piec sam, wszystko sam od przyciesi, węgiel za węglem, dyl za dylem. Nikt nie pomógł, — wołał najtajniejszym drgnieniem mięśni, znajdujących ciężar bierwion wytaszczonych na zrąb, każdym ścięgnem dłoni, pamiętających kształt kilofa, siekiery, sierpa, pługa, każdym oddechem, każdą kością w ramionach, barkach, krzyżach. — Tylem się napracowałem i na to mi przyszło. Wiem, czego. Jakżem babą orałem, to mnie słuchała, kiedym osłabł, to mnie wygnała.



Czego tak! — stękanie wstrząsnęło wzdętą pierś. — Ona wydarła ze mnie duszę za żywa i terazem trupa. Poco ręce, poco nogi, poco oczy, kiej nie mogę chodzić za pługiem. Ręce, nogi zucinać, oczy wydlubać, toby mnie nie ciągnęło do ziemi. Wiecie — zwierzał się szeptem ze swojej tajemnicy. — Już wam mówiłem, po nocy tam chodzę i pilnuję. Żal mi chudoby, żal mi żywiny. Djabłu duszę oddam, żeby mnie ino nawrócił do mojej gospodarki. Temi rękami chcę orać. Żeby kazali ręce zucinać i krwią pomaścić ziemię, to zucinam o potąd, po łokcie. Teraz już wicie, czegom Pana Jezusa tak prosił. Żebym miał nosić za pazdurami po ziarnku piachu z hańtego wirchu na hańten wirch — zatoczył łuk z jednego krańca na drugi — to będę nosił, bo muszę mieć tyle gruntu, żeby choć garniec zboża wysiać, dwa drzewka posadzić. Ludzie mi nic, ona mi nic, dzieci mi nic, świat mi nic, ino żeby przed śmiercią z tych rąk wykrwawić zagon. Mam głowę zgryzem zepsutą, bo co ja teraz wart? Dziad. Jakżem powiedział, że skała będzie rodziła chleb, i rodziła, teraz mówię: muszę wrócić do swojej gospodarki. Żeby mnie posiekali na takie kawałusie, na tycie — wyznaczał coraz mniejsze — to każdy będzie miał tyle pazdury i pazdurami będzie się bił o swoje. — Biel przestał mówić, a w powietrzu wciąż dźwięczały słowa, nabrzmiące nieodpartą mocą i prawdą.

Ten ciemny chłop z ognia, z zemsty, nienawiści i z kamieni urastał do potężnego symbolu. Jego życie to walka, harówka, wygrzebywanie chleba z Adamowej roli! I potworna prośba pod kapliczką i pokorna modlitwa w kościele były głosem tego samego człowieka. Nauczycielka miała wrażenie, że patrzy na

dwie dusze, zapominając, że to jednolita bryła, zwrócona w przeciwne, a tak bliskie strony: jasność i ciemność. Owe dwa oblicza zespalały się w jedno, które było ślepą miłością. Cóż on winien, że miłość jest chciwością, mającą pazury i siekiery, kiedy pazury i siekiery zmieniają się w pług, w sierp, narzędzie pracy, w miłosny uścisk dla zboża. W oczach o tak tragicznym wyrazie rozpaczy ujrzała jego dzieje.

— Gdyby dusza tego człowieka zmaterjalizowała się, byłaby bryłą ziemi, przepojoną znojem dni życia, tak bardzo umęczonego i spracowanego.

— Poratujcie! wspomóżcie — wyciągał ręce z dygocącymi palcami już nie do niej, ale do żyjących ludzi.

— Cóż mogę poradzić? — poczuła współczucie, zarazem bezsilność.

— Nie, to nie. Sam sobie poradzę. Żebym miał podpalić, tobym już ich dawno wypalił. Nie ich mi żal, ino domu, bo to biedak na poniewierce. Ale się wzmogę, nabierę sił. Nie daruję — odwrócił się i wyszedł, ciężko stąpając.

Powietrze, ściany, drzwi drżały, wstrząśnięte od jego kroków, od jego głosu. W izbie pozostała opowieść, wspomnienie straszliwych zmagañ człowieka.

XIV.

Krótkie, donośne ciosy dzwonka obudziły zamilkłą szkołę. Przez otwarte drzwi wyrwał się nurt rozhukanej hordy i pędził po schodach na podwórze. Z hałasu wyodrębnił się tupot kroków, uderzeniami przygważdżający do drewnianych stopni burzliwy

wrzask. Od nawałnicy odszczepił się Alojz i razem z innymi podążył ku klasie, gdzie dzieci czekały na codzienne śniadanie, gibnął się zamasyście przed nauczycielką i siadł w ławce. Tutaj panowała cisza, na podwórzu zaś szalała rozkosz wolności, burza paury, aż Alojza podrywało, aby wybiec, zmieszać się z tłumem i wyrzесzeć radość. Musiał jednak tkwić bez ruchu. Ilekroć się ozwał chlupot nalewanej kawy, zamiętał nozdrzami, wciągając smakowity zapach.

Nadstawiali naczynia pod ręce nauczycielki, rozdzielającej szybkimi ruchami. Oczy zapalały się cheiwie, szczęki kurezowo drgały, zsiniałe wargi poruszały się, jakby już spożywały podawane jedzenie.

— Proszę pani, mnie, mnie pierwszemu.

Z napełnionym garnuszkiem odsuwali się nabok.

— Alojz, masz zawsze szczęście: zostało trzy kromki, weź sobie.

— Bóg zapłać — zaśmiał się świętem podziękowaniem. — Uf, mało nie wyprysnął pod powałę, ale ciężar tych trzech brył chleba przytrzymał go, zato serce podskakiwało z uciechy pod samo niebo. Uszczęśliwiony chciał wołać w okna swego domu — Mamo, momy tyle, widzicie, jeden, dwa, trzy — chlebny skarb rozrastał się w garści chłopca. Zaraz ukrył w parcianej torbie. W czasie lekcji zauważył, że Jędrę Packulin ma bułkę rumianą, tak ponętnie pachnącą. Rozkosz i pokusa. — Mama zawdy mówi, że jedzenie w gardle jej rośnie.

Gdyby mógł, toby wyrwał tamtemu. Zastanawiał się, w jaki sposób wyłudzić. Nie godnego nie wymyślił, więc szepnął:

— Przeciarajmy się. Dam ci dwa kawałki.

— Nie chcę — odburknął niechętnie Jędrak.

— Dwa! dwa! — pokazywał palcami i pogardliwie wydał wargi — coś taka bułeczka, raz ugryziesz i po bułce, a chleb jesz, jesz — mówił powoli, jakby ze smakiem przeżuwał pożywne kęsy — i wciąż masz pełno w gębie — przekonywał z zapałem w nadziei, że bułkę zanieśie do domu, a trzecią kromkę zje po drodze.

— Daj mi spokój — nagabywany odtrącił go łokciem.

— Weź wszystkie — Alojz krzyknął z rozpaczą, jakby żywcem darł z siebie skórę.

Do zgody nie doszło tak łatwo. Przeważyla obietnica, że zrobi Jędrkowi narty. Nie można było dłużej walczyć. Ręka Alojza musiała przebyć trzy tak potwornie uciążliwe wędrówki. Pierwszą kromkę wydobyl śpiesznie, potem długo grzebał, nie mogąc znaleźć drugiej, naiwnie wierząc, że może tamten nie weźmie.

— Czego nie dajesz?

Podał, drugą, trzecią zaciskał kurczowo, nie mając sił dźwignąć aż do dłoni Jędrka.

— Czego nie uważacie? Któżby inny? Znowu Alojz — nauczycielka zauważyła zamieszanie. — Co wy robicie?

— Przeciarali się. Jędrak dał bułkę, a Alojz chleb — najbliższej siedzący zdradził tajemnicę.

— Nie szkoda to? Pomyśl, Alojz, trzy wielkie kawałki chleba za taką małą bułkę. Najgorzej wyszedłeś na tej zamianie.

— E bo... e bo... — nieznana siła odtrąciła z warg słowa.

— Jesteś uparty i niepoprawny. Powiem ci, że nie powinienes tak postąpić. Mogłeś matce zanieść. Jesteś złem dzieckiem. W tej myśli ci dałam.

Alojz chciał prawdę wyjawić, zawstydził się jednak, boby go wyśmiali. Już miał podnieść palce, aby pani pozwoliła mu wytłumaczyć, dlaczego wymienił chleb na bułkę. Ręka osunęła się bezwładnie na ławkę. Trwał w ponurem milczeniu, śledząc z pod czoła nauczycielkę, czekając na jej łaskawe spojrzenie. Nie popatrzała w jego stronę. Po nauce zupełnie zgnębiony zgarnął zeszyt i książkę, długo mozolił się nad kałamarzem, nie mogąc wetknąć korka. Przechodząc obok nauczycielki, zawahał się, szurnął kierpcami, nagle zawrócił od drzwi i wargi same wymówiły.

— Nie gniewajcie się, nie dla siebie wziąłem, bo... bo... — nie dokończywszy zdania, wypadł na korytarz, kipiący hałasem.

Schody grzniały łoskotem butów, kierpców, chodaków i milkły, wyprężając obtłuczone grzmiotem pauz stopnie, aby odpocząć przez resztę wieczora i nocy. Sale w szkole opustoszały, tupoty nóg rozbiegły się na wszystkie strony wśród najdzikszych wrzasków i nawoływań.

Alojzowi wiatr rozwiewał kapocinę, ukazując płat zgrzebnej koszuli i ciało, wysmagane zimnemi podmuchami. Chłopak podskakiwał razem z parcianą torbą i wołał do spotykanych drzew i kamieni.

— Mamie niesę.

Zatrzymał się nad potokiem. Musiał przechodzić ostrożnie przez czarne, zdradzieckie jamy. Woda przemyśla bowiem lodową pokrywę i burzliwie hałasowała, spadając w mrok wieczoru. Alojz wyciągnął nieznacznie bułkę z za pazuchy.

— Ino popatrzę i zaraz schowam. Ale pachnie — pociągnął nosem. — Jakbym raz ugryzł, to i tak dość zostanie — podniósł do ust i poczuł w dłoni ciężar, jakby ten pożywny dar zmienił się w kamień. — Ja zdrowy, to co bądź zjem, a mama chora, zawdy mówi, że postne jedzenie w gardle rośnie — popatrzył w jej oczy i rozpaczliwym ruchem schował bułkę pod kapotę. Mimo to nie dowierzał sobie. Nozdrza wciąż wyczuwały zapach, usta smakowitość, a ciało ugniatający kształt. Jeszcze nieraz miał pokusę choć skosztować. Ilekroć wydobywał, spojrzenie matki wytrącało bułkę. Kiedy wpadł do sieni, chciał się pochwalić głośno, że pokonał siebie. Zaraz za progiem zagasło uszczęśliwienie, przyniesione ze szkoły. Usłyszał głos dziadka. Ostrożnie nacisnął klamkę i ukradkiem wślizgnął się do izby, słabo oświetlonej smolnemi szczypami. Władek rąbał drwa na pieńku. Staszek z wypiętym brzuchem stał przy łóżku. Dziadek siedział na ławie, wsparty na kiju. Surowe, szorstkie kontury cuhy rzeźbiły się jakby wyciosane z grubego mroku. Zmarszczki przeorały twarz, zastygłą w przelotnych cieniach i w różowych rozbłyskach blasku. Stary pykał fajczynę, dmuchał na chorą, dychając.

— Takie dzisiejsze dzieci, skibki chleba żałują, śmierdzi im ojciec na stare lata. Jaga miała mnie dochować. Jak mnie chowa? widzą ludzie, oj widzą.

— Zapisaliście jej wszystko.

— Zapisałem, bo była najlepsza, mogłeś ją przewlec przez kluczową dziurkę, ino zawdy: tato, tatu-siu, ptasiego mlika wam nie zabraknie. Teraz wiem, jaka ona, z gardła chce wydrzeć każdziuski kęsek.

— Tato, mam dość swego, aż za dużo, czego do mnie przychodziecie z gniewem, ze zmartwieniami?

— Masz dość swego? Takaś córka — oburzony parskał dymem — tyli świat idę ze wsi, żeby na cie poźryć, żeby się uzalić, a tyś taka? Dla rodzzonego ojca własne dziecko nie ma dobrego słowa? Ino warwar na ojca. Tak to teraz jest na świecie — nadział czapę na siwe włosy i wstawał, żeby odejść.

— Nie macie się czego gniewać, nic złego nie powiedziałam.

— A cobyś chciała? Kijem za drzwi wyciepać? — stary sapał, ssał cybuszek. — Dzieci chcą żywcem starego wegnąć do grobu. Ino patrzą, kiedy wyjdzie z niego para. Za tyle starunku, za tyle pracy tak ci zapłacą, cztery deski i kilka kołków. Ej, Boże, Boże.

Alojz, zaprzątnięty własną sprawą, nie rozumiał skarg dziadka; podrywało go, aby wyjawic tajemnicę. Po chwilowem wahaniu położył ostrożnie bułkę na pościeli. Uśmiech szczęśliwy przeleciał z warg synowskich na wargi matki i obydwójce się uśmiechnęli równocześnie.

— Skądęś wzion? — zapytał dziadek z gazdowską powagą.

— W szkole mi dali.

— W szkole dają? dziadów robią? Gdzieby to było za mojej pamięci? Przyszło dziecko od sąsiada, jedlimy obiad, chodź, pojedz z nami, dawaliśmy ziemniaka — zatrząsał się, jakby odtręcał śmiertelny grzech. — Nie wzięło, żeby nie wiem jak było głodne. Niech Bóg zachowa, bo się wstydziło — krzyczał. — Jakże od cudzego brać? — walił dłonią w czoło, bo podobna zbrodnia nie mieściła się w głowie. — Teraz ludzie jak wilki, bez wstydu, niech co

chce będzie, żeby ino brzuch miały pełny. Od maleńkości uczą żebraniny. Chryste Nazareński. Gdzieby dawniej dziecko jadło przy obcych ludziach. Teraz jak ten ptak, gdzie siądzie, gdzie uwidzi chroboka, to dziobie, żeby sto ptaków na niego patrzyło. Co się porobiło w ostatnich rokach, nie do pojęcia! Olaboga, olaboga, taka rozpusta wszycko powywracała. Głupiemu mów, to ci uwierzy, że w szkole bułeczki rozdają. Kupiłeś? Skądś wziął grajcarzy? Chybaś ukradł. Nie co innego.

— Nie ukradem — Alojz miotnął ślepiami w starego.

— Gdzieby kradł, wie, że to grzech — Malinowska broniła syna.

— Ukradł. Wiem, znam terazniejsze dzieci. Kajżeś ukradł? Mów prawdę — wrzeszczał, tupał kierpcami. Djabli roztrzepali niedawną jego godność i gospodarską dostojność.

— Mamo, naprawdę nie ukradem, nie, nie — zwracając się tylko do chorej, powtarzał głosem, brzęącym prawdą — nigdy was nie cyganę.

— Wierzę ci, choć niezawdy...

— Nie mędrkuj tyle, ino mów, skądś wziął. — Stary przekręcał twarz chłopca ku sobie.

— Skądem wziął, tom wziął, ale wam nie powiem — hardo stanął, oczy zjeżył spojrzzeniami, aż iskrzącemi. W duszy jego wyrósł opór. — Co wy macie do mnie? Dajecie mi jeść? Poco tu przychodzicie?

— To ty tak? zatracony bąku — aż starego zatkanęło. — Widzieliście go, jak pysk rozdziro. Jezu Miłosierny, ażebyś zaniemówił, żeby ci ozor skołczał. Przed Panem Bogiem za ciebie odpowiem — chwycił go garścią za kołnierz, uniósł dogóry i potrząsnął.

— Mój ojciec toby ci kości poprzetrącał, jakbyś z takim pyskiem wyjechał, za mojej pamięci był posłuch, oj, był.

— Puście mnie — chłopak zafikał w powietrzu nogami, wywinął się zgrabnie i stanął gotowy do bójki, ciskając groźby z pod brwi.

— Widzisz go, na dziadka do bitki. Nauczę cię rozumu — wysunął ławę na środek izby — kładź się zaraz. Nie chcesz? — rozpiął pasek i rznął go przez plecy — ligoj! Teraz powiesz! he?

Alojz nie uciekał. Z zaciekłością zaciskał zęby, aby nie krzyknąć. Wychudzone ciało pod łachmanem dygotało splotem mięśni, kości i żył, wpierv nim je uderzenie dosięgnęło.

Malinowska czuła ból każdym ścięgnem i nie rękami bezwładnymi, ale czującą, bolejącą duszą chciała zasłonić syna. Nieujawiony płacz wstrząsnął nią, tak że jęczała bez wydania głosu.

— Tato, co wam dziecko winno? nie katujecie tyle.

Alojz wykręcił się na pięcie, buchnął w drzwi. Z sieni pogroził piąstkami, w chłopięcych oczach zamigotał błysk, wyrażający zemstę.

— Poczkojcie, dam wam. Jak urosnę, to będziecie widzieli. Kamieniem was zdzielę. — Zaraz poza domem rozprysła się zaciekłość. Gorzko płacząc, poszedł między zabudowania.

Dziadek tupał, wywijał pasem, krzyczał, aż ochrypl i zmordowany opadł na ławę, sapiąc gniewnie i żałośnie.

— Zepsuty świat. Paskuda. Widzieliście go, jak dorośnie, ehe, ehe, to ty mnie na kolano i patykiem

po portkach? co? Ej Boże, mocny Boże, za moich lat dzieci ojców szanowali. Taki śpik, a tyle ma złości. Co z ciebie wyrośnie? co? Łajdak! zbój! od szubienicy chyba odkupiony. Pod płotem zgnije. Gdziebym tak przy ojcach, Jezu Nazareński. Dziecko w kącie stało, a głowę miało tak zamkniętą. Doczekałem się czasów, oj, doczekałem. Lepiej do grobu iść i nie patrzeć na rozpustę. Muszę do cię, kochana córko, zaglądać, sama nie dasz sobie rady z drabami. Zedrę z zatraconego cholery skórę, to będzie wiedział, jak starych ludzi szanować — długo w swoim zgorszeniu ciskał gromy na zepsuty świat. Nie zmieniając głosu, sięgnął po bułkę i schował pod chęgę z usprawiedliwieniem. — Nie będziesz jeść takiego próchna, bo ci brzuch zamuli. Wiem, żebyś sama dała, boś nie taka jak Jaga i ojcu nie będziesz żałowała tej odrobiny. Tobie łacwi, boś młoda i sąsiady nadawają ci wszyckiego, a mnie jak Pan Jezus nie opatrzy, to znikąd nie dostanę. Ktoby dał? Zgasła mi fajka — ssał kilkakrotnie daremnie. Przed odejściem klęknął przed piecem, żarzący węgielek położył, przytknął palcem i mruczał, dmuchając. — Patycka niema w chałupie. Skądby był. Daliby to? Dla mnie nigdy nie niema. Rodzonemu ojcu żałują.

Malinowska skamieniałym wzrokiem uderzyła po rękę ojcowskiej, sięgającej po bułkę. Pragnęła zawołać, zakląć, aby nie zabierał, bo się udławi. Ojciec nie widział córki, nie słyszał jej prośb, zapatrzony w swoją skrzywdzoną starość. Dźwignął się z podłogi i wystękał zrzędliwie.

— To już chyba trzeba pójść, tyli świat iść po émoku. Jak dojdę? ej Boże, Boże! ja do was, aby serce ucieszyć, a wy tak. Panu Bogu oddaję.

— Niechże was... niechże was... — nie mogła dokończyć ostatniego słowa.

Stary przelaźł przez próg, zastukał kijem w sieni i zaszurał kierpcami po zamarzłym podwórzu.

— Lepiej, żeby moja noga tutaj nie powstała. Ino turbacja, ino gniew, ino zgorszenie. O Jezu! o Jezu! I rodzone dziecko w niczem nie wspomůže, w niczem nie poradzi, ino patrzy, żeby mu dać. Skąd brać? Dość się nadawałem. Ojca nie mają za nic. Starego toby do ostatniej kosteczki obgryźli.

Wieczór, wytopiony ze srebra, był schlastany tu i tam cieniami. Drzewa, porozrzucane po zboczy, zwichrzoną koroną zuchwale rozrywały księżycową jasność. Mimo, że było widno, stary mezołnie rozeznawał ślad ścieżki, która zanurzała się w głąb parowu i ginęła bez śladu. Pogrążał się w mroku zgęstniałym na dnie, jakby schodził w toń czarnej wody. Czasem zachrobotała potrącona bryła, potoczyła się po pochyłości i legła zatracona w śnieżnej pościeli. Ponad nim i przed nim kłębiły się wzburzone krzaki. Potykał się, zahaczał o gałęzie tarniny i pomstował bolejącym głosem, jakby to na złość ludzие porzucili pod jego niedołęzną starość wszystkie kolce, wszystkie kamienie.

— Ej, Boże! Boże, za jakie grzechy cierpię? ni-komubym nie życzył, żeby dożył takiej starości. Kara Boża! Panie Boże, czemu mnie trzymasz na tym świecie? — przewrócił oczy ku niebu i wzdychał na-bożnie. — Bo wiesz, żem nie taki, jak dzisiejsze ludzie, co się Boga nie boją, i Boga chwałę za wszystkie dary — stanął pod krzakiem, wydobył z za pazuchy bułkę, zrobił krzyż, pocałował, rozłamał i jadł powoli, nadstawiając dłoń, aby nie uronić jednej okru-

szyny. — Ona młodsza, to zje co bądź. Z katembym się podzielił, a nie z ojcem. Nie chciała dać takiej odrobiny. O Jezu Miłosierny, odpuść grzechy. Ino na cię patrzą, dej. Zawsze im mało. Wydrzyj duszę z garła dla nich — bezzębnymi dziąsłami żuły małe kęsy i labidził. — Rozpustne terażniejsze ludzie, w taki bidny czas bułeczkami się karmią. Gdzieby tak było za mojej pamięci. Ziemniacka się upiekło, kapuśniarką omaściło, a ludzie były zdrowe, nie takie chyrlaki, jak dziś. Mieli Boga w sercu, to i Bóg dawał zdrowie. Teraz chleb kuje w ząbki, ino bułeczki smakują. I ma być dobrze? — statecznie poruszając zuchwami, bez pośpiechu zjadał bułkę. Powłóczył starczemi nogami, zdążając ku wsi, ku swej nieszczęśliwej izbie. — Ulituj się, Panie Jezu, nad dzisiejszemi ludźmi — bił się w piersi, mamrotał pacierze nad grzesznym światem, on jeden sprawiedliwy, on jeden Boga się bojący.

Władek przez okno widział cień odchodzącego, ścielący się na śniegu. Kiedy matka kazała mu zawołać Alojza, krnąbrnie odpowiedział, że dobrze mu dziadek zrobił, bo już nie można z nim wytrzymać w chałupie.

— Uświrknie kaj na mrozie.

— Niech uświrknie, taki gałgan. Nie pójdę po niego. Rozpuszczacie, a Alojz, a Alojziku, a na niego trza wziąć kija — ulegając prośbom chorej, wyjrzał za próg i krzyknął w mroźną pustkę — Alojz, podź haw! — głos pobiegł w pole, wrzasnął między zabudowaniami i wpłynął w ciszę. — Co się bede darł, niech nogi połamie. — Miał wracać do izby, po namyśle obleciał dookoła dom.

Księżyc już wschodził, nie mógł się jednak wy-

platać z gałęzi drzew, zwichrzonych na krawędzi gór, jakby z czarnych ramion i paluchów, mocno go trzymających. Powoli się wytaczał, dźwigał ponad wierzchołki, wielki, urzekający tajemniczą siłą. Alojz wspinał się po uboczu, wpatrzony w gorzejącą bryłę. Otwierał i zamykał dłonie, jakby chwycił światło, naczepiane ze srebrnego źródła, i wypuszczał. Włosy burzyły się w poświęcie. Wyciągnął ręce i doznał wrażenia, że to nie jemu, ale ziemi wyrosły skrzydła i uniosły go wgórę, aby mógł sięgnąć głową księżycą, a stopami strącać gwiazdy. Nie czuł, kiedy go Władek szarpnął za rękaw.

— Póđź do chałupy, dziadek już pošli. Mama cię wołają. Co ślipia wywalasz? Pomąciło ci się w głowie. Teraz jesteś jak duch.

Alojz patrzył na brata jaśniejącymi oczami i mówił jakby w objawieniu, uśmiechając się odbłaskiem poświęty.

— Żeby to saneczkami zwieźć miesięczek albo na nartach spuścić, to byłaby uciecha, wszyscy by się cudowali, jabym potulał po uboczu — biegł, rękami przebierał, jakby toczył kulę w lotnej kurzawie, spadającą w sam środek wsi. — Wse byłoby widno.

— Alojz, co ty?! — wrzasnął starszy.

Obudzony wołaniem brata, spojrzał przytomnie, z przerażeniem wyrwał się z omamienia, chwycił kureczowo Władka za ramię i pociągnął go ku domowi. W sieni wydyszał resztę głosu.

— Straszyły mnie białe duchy ze śniega i z miesięczka.

Matka powitała go z wyrzutami.

— Tyle strapięń mam przez ciebie. Ludzie na mnie, żeś niedobry, że każdemu na źle robisz.

— A niech wydziwiają.

— Skądeś taki zły? Zawdy cię uczę o wszyćkiem, co dobre, co po Bożemu: sam nie zjedz a drugiemu daj, rób, co ludziom miłe, ustąp z drogi, — a ty zawdy z pazdurami. Dzisiaj na dziadka...

— Czego ze mną zaczynają? Oni ino kijem mnie widzą.

— Zasłużyłeś. Ludzie powiedzą, żeś cię do złodziejstwa przyuczyła. Czegoś się nie przyznał, skądeś wziął?

— Ehe, zasłużyłem, nie wiem za co? Na mnie wszyscy. A co ja winien? Czego mnie dziadek bili i wołali, żeś ukradł? Nie ukradłem, ino chciałem dobrze, żebyście mieli — spojrzał po pościeli. — Kaj bułka? — zaśmiał się. — Zjedliście? dobra była?

— Dobra, od was wszyćko dobre.

— Mama nie zjedli, dziadek wziął, widziałem, — burknął mały Staszek.

— Nie dla dziadka, ino dla was. Czegoście dali? Z garzcibym im wydarł. Pani dała mi trzy kromki chleba i przecieraliśmy się z Jędrkiem.

— Czegoś tak zrobił? Trzy kawałki za taką odrobinę. Zjadłabym chleb, naprawdę zjadłabym.

— Pani się też gniewała. Chciałem na dobrze, a znowu na źle wyszło. Mówiliście, że chcecie bułkę zjeść, bo wam jedzenie w gardle staje.

— Ino tak mówiłam, ino tak — oczy matki zaszkliły się łzami, niewypowiedzianą radością. — Dobre dziecko.

Nie wyrzekła tego słowa, bała się zdradzić tajemnicę swego szczęścia.

XV.

Tomala wyszedł przed chwilą. Nauczycielka, patrząc na oddane książki, leżące na stole, przypomniała sobie rozmowę prowadzoną z nim. Dziwiło ją, skąd w tym prostym chłopie taka mądrość. Poruszył tyle spraw tak rozumnie, tak życiowo, wskazał na tyle zagadnień. Różnił się od wszystkich zachowaniem i wyglądem. Cechowała go godność, wewnętrzne pogłębienie, a równocześnie młodzieńczy zapał.

— W ciężkich warunkach musiał wypracowywać swoje życie.

Rozmyślanie przerwało wejście Biela.

— U pani był Jantuś Tomala?

— A u mnie. Często zachodzi po książki.

— Ehe, po książki? — wyszczerzył zęby urągliwie. — Znam ścierwę. Żebym nie miał Boga w sercu, tobym go chlusnął kulikiem z za węgła. Tyle wart. No, musiał na mnie wydziwiać.

— Skąd na was? Ani słowem nie wspomniał.

— Onby nic nie mówił. Słodziuśki, a weprałby nóż pod serce. Wszystko u niego, żeby ino zwieść i zapękać oczy. Dziwują się ludzie, że go pani nie wypiere od siebie.

— Za co?

— Jakto za co? Jezus Marja! Że bez Boga żyje, że jest krzywoprzysięznik, nigdy do kościoła nie chodzi, ani do spowiedzi, między ludźmi buntacje robi i podpala ich.

— Nie jest taki, jak go przedstawiacie.

— Już obrócił panią na swoją wiarę? I pani jest za nim — przerwał rozmowę ze złością. — Patyczków niema kaj? Nie mam czasu na próżniaki —

chwycił porywczo podane pudełko. Zapalki gasły w dygocących palcach. Długo się mozolił, zanim zapalił. Klęczał przed otwartym piecem; tak chciwie pochłaniał żywioł ognia trzaskającego między polanami, aż oczy zaczęły rozbłyскиwać, zmieniając się w płonące szczapy. Chciał coś uczynić i zawahał się. Bokiem spojrzał na nauczycielkę. Nieznacznie zgiął jeden palec, drugi, zważył mocno i szczelnie ukrył pudełko, potem ręka opadła na podłogę, jakby pod straszliwym ciężarem. Dźwignął się z klęczek i stanął w kręgu światła.

— Pani wie swoje, ja wiem swoje. Krzywdzieliom nie daruję, żebym w kryminale miał zgnić. Ja bym świat wypalił i zaprowadził nowy porządek. Poczekam, przyjdzie mój czas, a wtedy... Śmierć mi niedziwna. Ja we wojnie był — krzyknął, jakby ciśnął skrzep krwi.

Nauczycielka spojrzała w jego oczy, sięgnęła do dna duszy, aż do ostatniego włókna uczuć i zobaczyła skamieniałą zemstę. To nie żyjący człowiek, ale upiór, mający wypełnić przerażające zadanie.

— Ano to pójdę. Jutro nie wiem, czy przyjdę, bo to rozmaicie się może trafić. Człowiek zawsze jest ułomny.

— Jakto? co wygadujecie?

— E nic, nie wiemy dnia ani godziny. Ostańcie z Panem Bogiem.

— Boże was prowadź — bezwiednie wyrzekła dawno zapomniane pozdrowienie niemal z dziecięcym wzruszeniem i pomyślała, że gdyby ogień miał mowę, że gdyby siekiera miała mowę, toby takim samym głosem się modliła, jak teraz Biel: ostrzem mściwej stali i płomieniem, niosącym zagładę.

Biel swoim zwyczajem nadział baranią czapę na rozkudłany łeb i przygarbiony zaczął iść ku drzwiom, stąpając tak, jakby przenosił na plecach skałę. Odwrócił się od proga.

— Jestem człowiek najpodlejszy, oczerniony jak nikt na świecie. Wy jednaście mnie nie skrzywdzili, od was same dobre. Naostatek wam powiem, za miękkaście na ten świat, wyśmieją się z was ludzie, powiedzą, żeście głupia. Do niczego nie dojdziecie, staracie zdrowie i wygonią was, tyle wam zostanie: droga przez wieś. Już pod wami dołki kopią. Co nie wydziwiają, Jezu, nie do pojęcia. — Pochylony zamiótł rękami szeroko i pożegnał ją po chłopsku: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Zaskrzypiały buciary, zadudniła podłoga. Biel zamknął drzwi i zstępował po schodach, coraz niżej, coraz dalej. Nauczycielka słyszała kroki i doznała wrażenia, że ktoś obuchem siekiery tłucze po czerepach czaszek, rozłupuje kości i pod te łoskoty wyszeptala.

— Zabije! zabije!

W tem mgnieniu zobaczyła domy chłopskie i szkołę, dwa odrębne światy, związane tylko stopami dzieci idących po naukę, aby wrócić znowu do mrocznych, cuchnących izb. Pożałowała dzieci, żyjących wśród błysków siekier. W zwątpieniu, odbierającym siły i wiarę, pomyślała, że z ich dusz, z takim mozołem urabianych, wyrośnie taka sama nienawiść. Wstrząsem całej istoty ujrzała po raz drugi ruch jego rąk. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że ukrył pudełko zapalek i zrozumiała groźbę.

— Podpali.

Wyszarpała drzwi i chciała krzyczeć, aby wrócił.

Usłyszała echo ostatnich kroków. Przerzucona przez mrok, z palcami wbitemi w deski, zaśmiała się z bezsilności swej.

— Kroplami rosy ognia nie ugasisz. Miłosierdziem... Niech idzie, dokąd chce, niech się dokona to, co się ma dokonać. Innego wyjścia niema, to jedyne rozwiązanie tego, co ma przeznaczone. — Cofnęła się do izby i siadła na poręczy stołka. — Cóż ja? proch — zobojętniała dla przemijających spraw, zobaczyła swoje życie, tragiczny splot zdarzeń, śmiesznych omyłek. Borykała się z tylu przeszkodami, a przecież zawsze znajdowała w sobie odwagę bojowania, aby znów upadać. Oświeśla dusze innym, a nie ma dla siebie promienia, aby rozjaśnić zgubioną ścieżkę, po której poomacku błądzi, spotykając same nieszczęścia.

— Nikt o mnie nie pomyśli, nikt się nie zatroszczy. Jestem sprzętem dla drugich, jestem sęgiem drzewa, kupionego za bezcen, za tyle a tyle miesięcznej pensji, z którego naręcza rzucam na ognisko, aby bezustannie płonąć aż do zgorzenia, aż do popiołu. Przecież i ja mam prawo do życia, do jedynej jego prawdy: do radości. Może mnie teraz wyrzucą na bruk...

Na ręce, na grzbiet, na każdą część ciała, na duszę spadło zmęczenie i zniechęcenie. Tyle sił miała, że dotarła do łóżka i zsunęła się na posciel. Ramiona zwisły, a wtedy piersi wyprężone przybrały swój kształt, jakby nie były osłonięte nawet cienką bluzką. Zginął Biel, świat tego dzikiego chłopca, sprawy wsi. Musiała patrzeć na wyłonięne z zapomnienia dzieje swe, od dnia,

kiedy jako nauczycielka przestąpiła próg szkoły. Zawsze samozaparcie, zawsze praca, zdzierająca zdrowie, urok dziewczęcy, niszcząca jej młodość, poto, aby po latach został zmordowany, bezużyteczny, ograbiony człowiek. Wspomnienia zmarnowanych godzin, które mogły ją uszczęśliwić, oddawna jej szukały i dzisiaj w chwili upadku znalazły, aby się upomnieć o należne prawa i oskarżać za winy. Nie wiedziała, w jaki sposób się bronić. Obrazy wzburzyły uwięzione zmysły, budziły niepoohamowany rytm krwi. Teraz dopiero zbuntowała się przeciw przesądom wszczepianym od dzieciństwa, nikomu niepotrzebnym, niweczącym powołanie kobiety: prawo do mężczyzny, tęsknotę do miłości, do macierzyństwa. Zrozumiała, że życie może się potknąć o te pragnienia, albo też życie może spłonąć ich spełnieniem szczęściem. Skazana na samotność, czując w sobie proces zniszczenia pod działaniem przemijających lat, wewnętrznym krzykiem pytała: cóż z warg, jeżeli nikt ich nie wyczuje? cóż z piersi, jeżeli ich kształtu, ukrytego przed wzrokiem mężczyzny, nikt nie uwielbi? Zwiędłą. Przekwitną i zostanie strzęp zużyty, który nigdy nie zaznał rozkoszy. Czem ciągle poświęcenie, mozół wobec miłości? czem nieznaną wieczność wobec szczęśliwego uśmiechu na ziemi? Czystość, dziewictwo, cnota to ucisk nakazów stworzonych na przekleństwo, upokorzenie i pohańbienie. Poto żyje kobieta, obdarzona urokiem swego ciała, aby ktoś ją wybrał i posiadał. Do tego dążyła od czasu, kiedy obudziła się w niej świadomość. Musi chodzić w skłamanym płaszczu cnoty, choć ją ten pali. Nigdy nie mogła iść za popędem, bo plotka śledziła zawistnymi ślepiami każdy jej krok, aby oczer-

nić, z błotem mieszać. Wieś tysiącem rąk podnosiła kamienie.

— Zgorszenie!

Jej wargi szukały teraz tamtych ust, choćby ich wspomnień. Ale tylko ciemność znajdowały. Kuszących uśmiechów nikt nie wyczuje. Piersi nabrzmiały pragnieniem, aby na nich spoczęły czyjeś ręce szorstkie, brutalne, a tak gorące i pieściwe. Rozwierały się ramiona, aby kogoś przygarnąć, związać. Obejmowały pustkę. Umęczona bezużyteczną walką sama z sobą, pomyślała, że przysięgi, słowa o posłannictwie, służbie społecznej, poświęceniu giną pomiędzy ustami kobiety a ustami mężczyzny, zmienione w powiew żaru. Łaknąc pieszczot, pochylała się ku komuś wybranemu, jak zapomniana w ciemnościach noc gałąź, obciążona dojrzałymi owocami. Patrzyła w przestrzeń ślepymi oczami, wołała niemymi wyrazami tego jedyne, aby przyszedł, władczo złamał bezwolny, kobiecy opór, zdobył to, coby oddała tak hojnie, tak bez granic.

Rzucała się po pościeli, parzona każdym żdźbłem barłogu, a potem zmordowana leżała z rękami, splecionymi na piersiach, które pod ich dotknięciem poruszyły się, wspięły buntowniczo, urągliwie, jak dwa strome wzniesienia zastygłej lawy, która we wnętrzu wiecznie się pali. W dłoniach czuła buchające płomienie.

XVI.

Nie wiedziała, że Biel, po opuszczeniu jej mieszkania, zawrócił z połowy wsi i pędzony postanowieniem, piął się ścieżką w stronę swego domu.

Księżyc pogrążał się w skołtuniących chmurach, a tylko od czasu do czasu w pewnych miejscach wykazywał poprzez zasłony swoją świetlistą obecność.

Na sercu Biela spoczywało zawiniątko, którego nie wolno było nazwać po imieniu, aby nie straciło swej mocy. Tajemnicę znał on i tamten. Od tylu dni, lat twardniał zamiar, zrastał się z mięśniami i stał się żywą istotą, samą zemstą. W ciele i w duszy niósł wolę tego, co ma zrobić, co musi. Wystarczy mu sił, choćby „to“ miał wydrzeć stąd, z pomiędzy kości, ścięgien, wraz ze skrwawionemi kawałkami mięsa. Wiedział, co ma uczynić. Zakopie pod progiem, zaklnie na złe moce. Już dawniej zakładał babry na brata, dzisiaj na żonę, na dzieci. Nie czuł lęku. Myśl była paliwem i rąbnięciem. W kieszeni zatrzepotały zapalki. Z każdej skoczył płomyk na spieczone wargi.

— Jak „to“ nie pomoże, to podpalę. Nie daruję, ja wam dam.

Przez drogę mięśnie naprężyły się do ostatecznego wysiłku. Te paluchy budowały, te same zniweczą. W stopach, w rękach, w grzbiecie, w kościach dźwigał wielkie, największe i najcięższe z pośród wszystkich postanowienie i przekleństwo. Choćby z nieba spadały siekiery, to i tak musi dojść. Niczego się nie ulęknie.

Z niektórych okien spływała smuga światła, aby pokazać postać niosącą groźbę morderstwa. Nikt

jednak nie widział cienia, jawiącego się na mgnienie i zaraz zespolonego z ciemnością.

Biel nie tak dawno, w noc podobną do dzisiejszej, odbył wędrówkę po czary. Przerazające widma wyłaniały się na niebie i na ziemi, ale szedł bez lęku, bo przed odejściem umaczał palce w kropielnicy. Czarownik ze świecącą gromnicą zaprowadził go na cmentarz. Wiedział, że była wytopiona z tłuszczu trupa. Djabelskie moce chciały go zawrócić i przstraszyć. Wiatr, wstrząsający przestworzami, usiłował zagaśnić wąty płomyk. W tem świetle znać było twarz pochylonego człowieka, ruchy jego rąk, sprawujących obrzęd. Z pod najstarszego krzyża wygrzebał świecące próchno, chyba żywe oczy, skwierczące wyrazy, rozżarzone przekleństwa. Mamrotał nad nim zaklęcia i modlitwy, a potem w szmatę, zdartą z umrzyka, zawinął garść tego ognia. Wśród wstrząsów, uderzeń, łoskotów pękającej ziemi, szeptem, idącym z czarnych głębin, mówił nie do ludzi, ale w przepaść mroków.

— Brata, dzieci, żonę twoją oddaję na sąd Boży.

— Sprawiedliwie, sprawiedliwie, oni rozbili moje życie — stękał Biel.

— Niech się tyrają bez kawałka chleba, niech nie mają rąk, żeby podnieść łyżkę do gęby.

— Tak mi, Panie Boże, dopomóż.

— Niech się stanie, żeby ich połamało na tyle części, jak tę świeczkę.

— Sprawiedliwie, bom skrzywdzony.

Teraz wybiegały zewsząd obrazy tamtej nocy, zagradzały drogę a pod stopy spadały słowa z cmentarza. Biel deptał nieustraszenie, roztrącał i parł naprzód.

Ścieżka wyprowadziła go z wąwozu i zawiodła opodal domu, który majaczył w ciemności, podobny do bryły złodowaczego atramentu. Pod stopami poczuł miedzę. Nie myślał stąd zawracać. Za długo szedł do zamierzonego celu przez tyle udręk i przeszkód. Dość miał siły, aby zrobić ostatni krok. Był tak blisko, a tak daleko. Sterczał samotny, milczący, jak dębowy kół, wbity w ziemię. I ten kół, podpalony wspomnieniem krzywd, wyszarpał z tego miejsca, niepomowaną nienawiścią.

— Niech tak samo tłuką gnaty po cudzych barłogach.

Furtka, ostrożnie otwarta, dała znać krótkim zgrzytem, że ktoś wkroczył na obejście. Biel potknął się na porzuconym gracie i zaklął.

— Nie sprzątną, moją pracę poniewierają po śniegu. A żeby was... a żeby was... marnotrawcy...

Okrążył dom i dotarł do drzwi od tyłu. Sięgnął za pazuchę, sprężył się, aż w gnatach chrupło i wydarł pieczołowicie strzeżony skarb. Biel poczuł, że ciało spłynęło ogniem i krwią. Ciężar wypadł z poparzonej garści, jakby żelazo rozpalone do czerwoności. Kawałem sękatego drewna wywiercił dziurę w zmarzłej ziemi i wepchnął do niej zawiniątko. Zakrzywionymi paluchami zrobił trzy kółeczka i nad każdym nakreślił krzyż, dysząc chrapliwie.

— Oddaję nie z Bogiem, nie z Jego mocą, ale z djabelską pomocą, zgnij żywcem, zgnij żywcem. Niech ciało z was odpada kawałkami, niech wam zostaną same kości, aż ja wejdę na moją gospodarkę...

Zgarniał piach, bryły do otworu i podpalał je spojrzeniem, udeptywał przekleństwami, ich kuła-

kami, obuchem siekier, zemstą. Kiedy kończył swoją czynność, rozległo się ryczenie, rozdzierające ściany. Zadygotały palce Biela. Skulony, wyciągnął głowę i nadśluchiwał. Nietylko usłyszał, ale zobaczył zwierzę w mękach. Skoczył w głąb podwórza.

— Krowa się cieli. Tak bez pomocy zostawiać. Niema gospodarza. Trzeba być bez litości. Ligają w cieple, pod pierzyną, to gdzieby pomyśleli o biednem stworzeniu, — namacał wielką kłódkę, wiszącą przy zamkniętych drzwiach. — Zawarli przede mną, boją się, żebym czego nie wyprowadził. — Szarpnął. Daremnie. Przyparł plecami, chcąc z zawias wyważyć. Nic nie pomogło. Trzasnął kamieniem, aż żelazo szczęknęło, ale nie puściło. — Żeby się tak bydłatko męczyło, żeby nie przypilnować, trzeba być kamiennego serca — jeszcze raz usiłował wyrwać skobel, rozpaczliwie zaszamotał i tak zamarł. Przyłożył wargi do deski, zjeżonej paździerzami, i wyjęczał:

— Cisula! cisula!

Krowa, uciszona znajomyń głosem, przestała ryczeć. Biel, słysząc szelest mierzwy, chrobot targanego łańcucha, szeptał do najmilszej istoty.

— Kłębcy się, ligo, teraz wstaje. Wysili sie biedactwo bez nijakiej pomocy.

Wiedział, że zwierzę teraz ogląda się poza siebie, mruczy, przemawia najtkliwszemi wyrazami do cielęcia, mającego opuścić jego łono. Przez ściany widział oczy zbolale i bardziej odczuwał mękę krowy niż mękę rodzącej kobiety. Biel szukał siekiery, chcąc wyrąbać skobel. Nie znalazł. Więc pustemi garściami szarpał, targał, aż grzbiet pękał od napięcia. Po wielu wysiłkach skoczył ku domowi, ku-

łakiem grzmotnął w ramę okna i wrzasnął, oznajmiając nieszczęście.

— Wstawajta, psiakrew! Krowa się cieli. Zginie bez niejkiej pomocy.

Za szybami, dygocącymi od uderzenia, zaczęła się śpieszna bieganina po izbie. Odpadły wejściowe drzwi. Nie było znać ludzi, tylko w kręgu niesionej latarni dwa grube cienie pędziły przez podwórze do stajni. Biel przemknął szybko w kąt między zabudowaniami i wrósł w ścianę. Tylekroć ręce odrywał, wykonywał ruchy, niosące ratunek, mogące ulżyć rodzącej krowie. Prężyły się mięśnie, dłonie czuły kształt zwyczajnych zabiegów. Zapomniał o zemście. Jedyna troska istniała na świecie, jedno pragnienie, aby się ocieliła szczęśliwie. Nie oczami, ale chłopską duszą, jej najtajniejszym czuciem śledził akt rodzenia. Słyszcząc stękanie, wzdrygał się.

— Panie Boże! Panie Boże, uchronź bidne bydłatko.

Latarka, stojąca w barłogu, od dołu oświecała wnętrze stajni, okazując coraz to nowy szczegół. Pod powałą gęstniał mrok. Biel w klinie jasności widział skrzętne zabiegi, chciał wołać, radzić, że nie tak, że inaczej, był pewny jednak, że go odpędzą, a wtedy krowę pozostawią bez opieki. Na myśl o tem martwiał, tylko serce łomotało, waliło w żebra tak, że w żaden sposób nie można było stłumić uderzeń.

Jeszcze raz przez drzwi wypadła Bielowa i rzucała cień po ścianach, niby żałobny znak. Niedługo bawiła w izbie, ledwo tyle tylko, że wyjęła z za ramy obrazu grudę święconej soli i już wróciła do stajni, żegnając, kruszyła i szczyptami obsypywała cielę.

— Polizaj, polizaj swoje dziecko, nie będą ci cipyły zęby.

W mroku ledwo przejaśnionym wyłoniły się kształty krowy, załśniły wielkie oczy, zanesione szczęściem, łeb tęgi, rogaty, tak miękko, z taką czułością pochylony ku włochatemu stworzeniu. Wśród radosnych porykiwań plątało się nikłe beczenie. Krowa lizała szorstkim językiem zlepioną sierść.

Cielę na niezgrabnie rozkraczonych nogach pchało się do wymienia, czarnemi racicami ugniatało żdźbła, chrzęszczące złoto, grzęznąc w barłogu, jak w falach. Bielowa, odpoczywając po wyczerpującej mordędze, gawędziła po gospodarsku o krasulach, cisulach, jakie miała, wyliczając ich zalety, wady, ile mleka dawały, kiedy się latowały, która bodła, która kopała, wkońcu oznajmiła, że tę cieliszę będzie chowała.

— Za dwa, trzy lata niewiastę przywiedziesz do domu, to w sam raz dla ciebie.

— Wystarczy paszy?

— Przebiedować trza do wiosny, w lecie zawdy lżej, chwastu nazbieram. Szkoda sprzedawać. Ładne.

— Trzeba zanieść do izby.

— Nie tykaj kożuchem — skoczyła i odtrąciła syna chcącego podnieść. — Pirwej trza zrobić święty porządek. — Mruczała zaklęcia, odżegnywania, wykonywała znaki, coś odpędzając. Nie przestając obrzędowych czynności, krzyknęła. — Podej snopek! — Rozwiązała powrósł i szczerle słomą otuliła cielę. — Teraz bierz! Nie wolno ani workiem, ani płachtą, ani kożuchem przykryć cielęcia, bo potem szmaty gryzie i nie chce żryć paszy. Trza słomą.

Syn przygarnął osobliwe brzemie do fałd ubrania i do serca.

Biel zdala śledził ruchy. Gotów był skoczyć z ukrycia. Wstrzymał go głos żony. Westchnął z ulgą.

— Ode mnie wie, że tak trzeba. Choć tyle mojej woli posłuszna.

Bielowa z latarnią wskazywała drogę synowi, niosącemu skarb do ciepłej izby, między ludzi. W stajni rozległ się ryk nabrzmiały żałością i gwałtowne szczekanie łańcucha. Krowa zrywała uwiązanie, bodła rogami widmo ludzi, którzy zabrali jej dziecko, to znów wyciągała szyję, uszczęśliwionemi oczami szukała w mrocznej pustce. W miejscu, gdzie cielę stało, lizała językiem pozostawiony zapach, wspomnienie kształtu tak wyczute, tak widzialne, tak dotykalne.

— Jak to bydlątko płacze za dzieckiem — rozczuliła się Bielowa, słysząc nawoływania tęskne i miłujące.

Tymczasem cielę wypłatało głowę z osłon barłogu i pyszczkiem chwyciło policzek, może szukało wymion. Chłopak wesoło się zaśmiał.

— Mamo, ale figliwe cielątko, będzie żyrne, tak mnie łaskoto, że ani utrzymać.

— Nie puszczaj! nie puszczaj, bo zabijesz albo pokaliczysz — upominała matka syna.

Zaledwie kilka kroków oddzielało ich od drzwi domu. Biel z kąta bacznie śledził idących. Chichot z najgłębszych pokładów nienawiści wstrząsnął nim.

— Prześli raz, teraz drugi raz. Obydwoje, obydwój — kurczowo zaciskał pięści, jakby podejmował kamienie. — Za mnie. Nie bedziesz, synusiu, na

ojca podnosił ręki, nie bedziesz, kochana żonko, ślubnego męża wyganiać z chałpy.

Już mieli przestąpić próg. Światło okazało szary ślad i rozrzucony piach. Bielowa teraz dopiero zdრętwiałemi oczami dotknęła rozkopanej, podartej ziemi, i jakby rażona gromem, osunęła się pod nogi synowskie, zagrodziła przejście sobą całą i krzykiem.

— Nie chodź!

Latarnia wyslizgnęła się ze zgrabiątych palców i zagasła. Mrok pogrążył zajście. Równocześnie zabrzmiał krzyk matki i ryk krowy, złączony w jedno, bo miały ten sam wyraz rozpacz, to samo nasilenie bólesci. Zwierzę i człowiek.

Biel, przeszyty wołaniem, uczuł, że ktoś wciosuje drewniany klin w jego lewą pierś, rozszarpuje ścięgna i kości. Wbił pazury w ciało, chcąc wydrzeć ból. Zimny dreszcz smagał go batami. Tchu brak. Zadusi go pętla wisielecza. Gdzieś uciekał. Wydostał się z podwórza na ogród. Napotykał wyrwy, doły, to sterty spiętrzone wysoko. Objął ramieniem pień drzewa i nagle nad czemś zapłakał serdecznie, gorąco. Miał przed sobą czarność, przecinaną ognistymi znakami. Słaniając się, zmierzał w noc. Wyprężony stanął, rósł, potężniał i jeszcze raz skoczył z pięściami w przestwór jakby do walki ze światem. Zadudniła ziemia. Gwałtowny wichur usunął oparcie. Biel potknął się, runął twarzą na zmarznięty zagon, kułakami grzmocił i tężał, wrastając w glebę. Nieudźwigniony blok powalonego ciała ktoś przybił przez płuca, przez serce. Stękanie wyrywało się z rozdzieranych piersi.

— Przemarnią! przemarnią!

Pod jęczące wargi podsunęły się skiby, brózd,

w których pulsowały drobiny jego życia, wszystkich pokruszonych, wyharowanych dni. W każdą grudę wylał się głos, jak strumień potu.

— Nie masz gospodarza!

W ciemności można było rozeznąć kształt człowieka z ramionami szeroko rozpostartymi, bryłę ludzką buntowniczo wzdętą, rozrośniętą barami, leżącą bez ruchu, jakby głaz strącony z wyżyn, zdruzgotany, zdeptany, a prężący się mięśniami i kośćmi. Wielkie garście kurczowo wbijały się rozczapierzonymi paluchami w glebę, w jej głębie, w samo osierdzie.

Zdawało się, że człowiek umarł.

Koniuszki palców drżały lekko, może wstrząsane ludzkim szlochem, a może żywym dreszczem czującej ziemi.

Jedynie palce wskazywały, że jeszcze żyje bryła człowieka, skamieniała w miłości i w nienawiści.

XVII.

W czasie wielkiej pauzy milcząca gromada otoczyła nauczycielkę i Giemziczkę z komitetu rodzicielskiego, rozdzielające posiłek. Dzieci podstawiały przyniesione naczynia, odtrącając się wzajemnie, głodnym wzrokiem pożerały kromy spiętrzone w koszu i wsłuchiwały się w chlupot nalewanej herbaty. Ręce bezwiednie się zrywały, aby chwycić.

— Każde dostanie, nie pchajcie się.

— O retę, tośta nigdy nie jadły? cośta takie pazyrne — huknęła zgniewana baba — jedno drugiemu chce wydrzeć ślipiami.

Skarcone ucihły i przyzywane po imieniu, podchodziły pokolei. Z konwi buchała nie zwykła para, ale przedziwna woń, która owiewała blade twarze rumieńcami. W klasie rozbrzmiewały dwa najradosniejsze wyrazy.

— Harbata i chlib.

Obdarzeni odchodzili na swoje miejsce, prawie nie podnosząc nóg, bo sił nie mieli. Nauczycielka kiwnęła palcem na Alojza, stojącego naboku. Kobieta wybrała olbrzymią pajdę i wetknęła mu garścią szorstką, a tak przejętą litością.

— Pojdz sobie, chodoku — trąciła nauczycielkę i sapnęła miłosiernie — strasznie bidny chodok — ojca nima, matka chora, jak nie dać? Bieda przebieda w ich chałpie. Innym tobym nie dała, o nie, bo za co? Nie robisz, to nie jidz. — O patrzcie — mrugnęła porozumiewawczo — Walkosa dzieci. Imbym nie dała, ani tycio, bo to dzieci niepotrzebne. Rób wszystko z zastanowieniem i miej tyle, ile dasz rady wyżywić. Postarałeś się o dzieci, to się staraj na dzieci — fuczała z oburzeniem. — Dajcie mu, żeby ojciec mógł lepiej Margosię za szyję trzymać i po pościeli z nią się ciskać. Do szkoły poślą, bo dadzą jeść za darmo. Jezu, takie ludzie bez wstydu, patrzą na żebrany chleb.

— Co one winne?

— Juźcić, co one winne, prawdę mówicie. Ojce winne, bo kazuja ręce wyciągać, ojce winne, bo psiekrwie nie mają nijakiego zastanowienia. Nieraz to mnie złość bierze i płakać chcę nad tym drobiazgiem, nagle to, bose, obdarte, głodne. Ojcowie jeszcze jedno, jeszcze drugie. Jabym im pokazała. Dziadów już dość na świecie.

— Jak drzewo nie rodzi, to się wycina, to i tu tak samo — żartowała nauczycielka.

— Jakto, pani, mówicie? to już każda baba musi rodzić do ostatka? Niejedno drzewo kwitnie, a nie musi rodzić. Drzewo też musi odpocząć, ono mądrzej-sze. Co tam chłopu, kiej obce ludzie się starają o dzie-ci. Myślicie, że ojcowie wdzięczne za śniadanie. Gdzie tam! Wyśmieją się: mają, to niech dają cholery pa-nowie, co od brody odkapnie, to dadzą chłopu. Tak zapłacą. Mówię wam, chłop za nic ma miętkie serce. A czyjeś ty, dziopię? nie Ciesielkiś? — przemówiła do zmizerowanej dziewczyny, zakutanej w chustkę. — Zaroz cię poznałam. Pewnie koszuli nie ma, ani bu-ciąt, ino szmatą owinie nożyny — objaśniała ściszo-nym głosem — był u nich mająteczek, o był, ładny. Gdzie się podział? Spalił się? woda go zabrała? nie-szczęście spotkało? Nie grodził przed dzikim zwir-zrem, nie wyrabiał z kamienia gruntów, nie obra-biał pańszczyzny, a poszedł z ojcowizny. A czego? Bo próżniak, nie chciało się robić. Było tam śpiwa-nie, pijaństwo, tańcowanie. Kosy przez lato nie weź-mie do garści, pole w urnicę zostawia. Boga się nie boi do ostatniego szelązka. Już był ojcem dzieciom, a przy ślubnej babie nie mógł wytrzymać i ścigało go za innemi. Dziewuchy z furki na furkę, a spod-nice o potąd furguły, całą sodomę pokazywały. No i wicie, co było? Chałupa, co mu ojcowie zostawili, zgniła, popodpierał, poklinił i teraz mieszka i żyje na słowach Bożych. Przeżarł, przepił, przemilował, dzisiaj dzieci po zebraniu posyła. Wiatr wychowa jego dzieci — pociągnęła nauczycielkę za rękaw — poźryjcie, największe bidoki przynoszą najmniejsze garnusie. A wicie, czego? bo mają wstyd, bierą, bo

muszą, ale ino tyle, żeby się nasycić, a nie nazryć. Największe bogacze, to plugoce. — Giemziczka wciąż mówiła, chociaż wedle zapewnienia jej nie miała czasu na pogwarki, bo przecież czekało tyle głodnych gęb, tyle chciwych oczu, tyle pustych rąk. Ani na starczyć. Więc szas-pras rozdzielała z rozmachem, że tylko dłonie migały. — Zawdy chlipią cyr z owsianej mąki, choć raz pojedzą jedwabnego chlebusia, niech pojedzą, niech im na zdrowie idzie.

Nauczycielka czerpała chochłą, odprowadzając wzrokiem dzieci, odnoszące pełne garnuszki ostrożnie, aby nie uronić ani kropli. Alojz nie jadł, lecz pił głodnym żołądkiem pożerane kawały. Herbata spływała słodką strugą do gardła. Po kilku łykach coś sobie przypomniał. Leniwie poruszał szczękami, nie mogąc przełknąć miękkiej ośródk, pęczniejącej w ustach. Tak był pochłonięty jedzeniem, że zupełnie nie zważał na nauczycielkę, która rozdzielając posiłek, śledziła Alojza, ponieważ jego zachowanie wydało się podejrzané. Udawała, że nie patrzy w tę stronę. Alojz już podniósł pajdę i odłożył, tak nagle mu zaciężyła. Coś w sobie ważył, coś pokonywał; nieznacznie, zgrabnym ruchem przesunął z dłoni resztę chleba i ukrył w rękawie.

— No, nikt nie widział.

Jednako ostrożnym ruchem ukradkiem wyjął z bocznej kieszeni kałamarz po atramencie, który wymył po drodze, idąc do szkoły, i pod ławką, lękliwie strzelając wzrokiem, przelewał do niego herbatę. Szkło zaczęło mile ogrzewać końce palców i budziło uczucie, że nie herbatę, ale kipiącą radość wlewał do serca. Nauczycielka, oburzona tem, co widziała, zapytała znienacka.

— Co ty robisz?

Zadygotały ręce chłopca, jakby uderzone patykiem. Drobnny strumień chlusnął na podłogę. Cisza zdrętwiała wokoło poto chyba, aby wszyscy mogli usłyszeć krople, jednostajnie spadające.

— Nie smakuje ci? pewnie wylejesz do potoku w powrocie ze szkoły. Czego nie mówisz?

Siedzący obok poszturkiwali Alojza łokciami.

— Powidz!

— Jakbym cię rznął kijem, tobyś się przyznał.

— Proszę pani, kiej go zatka, to nijak nie móc z niego głosu wykorczyć.

Alojz stał ze spuszczoną głową, zaciskając w ścierpłych palcach garnuszek i flaszeczkę. Wciąż się czemś zachłystywał, może utajonym płaczem, a może świeżo wypitą herbatą. Rumieniec wypełził na policzek, rozpościerał się nieznacznie, zalał usta, spalał słowo i o mało nie trysnął krwią. Taki wstyd. Nie powie.

— Nie wiesz, co odpowiedzieć? Dlaczego? — nauczycielka poszarpałaby go, gdyż upór doprowadził ją do wściekłości. Gdyby młotkiem uderzyła, to może odrąbałaby kawał twardzieliny z jednolitej skały. — Dlaczego jesteś tak uparty? — ujęła go pod brodę — patrz prosto w oczy, jak zawsze, szczerze, jasno, wiem, że powiesz prawdę.

Bokiem odsunął twarz i związał powieki rzesami.

— On lubi kraść, już od małości do tego przyuczony — z gwaru wypadł bezlitosny głos.

Alojz poderwał się z miejsca, jak postrzelony ptak, chciał zaprzeczyć, skurcz chwycił go za gardło i tylko gwałtownie zaszamotał rękami.

— Jo nigdy, jo nigdy nie kradnę.

— To ty, Józek, powiedziałeś? Wstydziłbyś się tak mówić o koledze. Kto cię tego nauczył? Jesteś naprawdę niepoprawny. Zaniesiesz ojcu kartkę, aby wiedział, żeś obraził swego kolegę. Ile razy mówiłam, że nie wolno skarżyć.

— Ja nie skarżę, tylko mówię.

— Alojz sam powie, dlaczego przelewał, bo wie, że go nie ukarzę — znów zwróciła się do chłopca. — Jeżeli ci nie smakowało, trzeba było zostawić, inne dzieci są głodne i zjadłyby z przyjemnością.

— Nie, nie — zaprzeczył niemem skinieniem głowy.

— Z niego ziółko hohoho, każdemu doskwirzy, bo on z takiego rodu — mimo upomnień nowy głos oskarżał.

Okrzyki wzniewały w Alojzie popłoch, przytem ogarniał go wstyd. Wolałby, żeby ktoś kijem go siekał, albo chwycił za kark i rzucił ze schodów, byleby nie zadawał dalszych pytań. Z drugiej strony gniew kazał zaciskać pięści i miotać złowrogim wzrokiem w stronę kolegów. I wtedy między brwiami powstawała pręga ostra, jak u starych. O mało nie trzasnął chlebem i garnuszkiem o podłogę, nie chciał jednak sprawić przykrości pani, zawsze dobrej i wyrozumiałej. Głównie jednak tłumiła wyznanie obok uporu świadomość, że będą się z niego śmiali. Wątpliwy szept, powiew idący z serca, nie mógł wyrazić tego, co chce.

— Dlaczego jesteś taki? chorą mamę zasmucasz swojemi postępkami. Mimo ciągłych przyrzeczeń nie poprawiasz się.

Kiedy wypowiedziała „chora mama“, Alojz za-

czernął oddechu i jakby w wielkim szlochu wyrzucił dwa słowa.

— Dla mamy...

— Co? dla kogo? — pytała starganym głosem, nie zdając sobie sprawy ze słyszanego wyznania. — Jakto dla mamy?

— Mamie chciałem zanieść, mama chora i mówiła, — znów się zachłysnął — żeby się kiedy napiła herbaty. I dlatego i dlatego. Oni nigdy, ja zawsze — już nic więcej nie mówił. Wciąż drżały mu wargi. To wyznanie, rozczzerwienione wstydem, jakby oderwane pulsy, spadło we wrzawę. Nauczycielka nagle zgięła się ku podłodze, jakby je chciała podnieść, aby tupot butów nie zdeptał świętości. Zobaczyła już nie tylko zawstydzenie, ale rozpacz na myśl o tem, co zrobił, i ogarnęła ją niczem nie wypowiedziana litość i wzruszenie. Bezwiednie położyła rękę na jego głowie. Alojz pragnął ją zdjąć, przytulić do warg, patrzył zaszklonemi oczami w przestrzeń, potem już nic nie widział, bo powieki zasłoniły stężały błękit źrenic. Długo kształtująca się łza wkońcu zardgała na policzku jedna, potem druga.

— Jabyłem chciał słuchać, ino wszystko wywraca się we mnie i na źle wychodzi. Teraz tak samo, chciałem mamie, a tak wyszło. Ręce i nogi mi zucinajcie, to będę dobry. — Nie mógł wstrzymać płaczu i wyszlochał — Już się poprawię, ino się na mnie nigdy nie gniewajcie.

Nauczycielka mocnym ruchem przygarnęła chłopca. Dalej rozdawała chleb, usiłowała wypełnić obowiązek, ale ręce jej się poplątały i bez słowa wyszła z klasy. Korytarze huczały wybuchami wrzasków. Alojz siedział w ławce, nie mógł już jeść, wolałby

połykać rozżarzone węgle. Kiedy ktoś go zawołał, chciał wyskoczyć przez okno. Zgraja go zatrzymała i poprowadziła do kierownika, stojącego na ganku w otoczeniu „całego grona“. Oglądali go od stóp do głów, szeptem prowadząc rozmowę.

— To są męczennicy, tak, tak. Jabym wszystkim sytym pokazała, toby, toby... To zbrodnia, za którą jesteśmy odpowiedzialni.

Ktoś nieopatrznie rozpiął kapotę mimo oporu chłopca.

— Nie ruszajcie mnie!

— Bez koszuli.

— Jedną mam i sam pierę. Kiedy mam uprać? To dlatego tak chodzę — odtrącił łokciem natręta.

Alojz poczuł palący wzrok na ciele i zawrzał takim gniewem, że o mało nie plunął w ich ślepie, w ich obmierzłe rozmowy. Tkwił, wrośnięty w podłogę.

— Ścierwy, niech zatluką, a niech nie robią wyśmiewiska. Co chceta ode mnie? co? — Ledwo zdołał się stąd wyrwać, na pożegnanie usłyszał przyciszony wzruszeniem głos.

— Jakież ma smutne oczy. Biedaczysko.

— Ty się ciesz. Jakby ci dziadek zerznął dudy, że ani sięgnąć nie można, tobyś też nie śpiwała — burknął w odpowiedzi. — Co kogo obchodzi, że nie mam koszuli. Nie proszę nikogo, żeby mi sprawili. — Kiedy mijał zebranych, nie słyszał, tylko wyczuł swoje imię i ścierpl. — No, narobiłem, narobiłem. Dadaż mi, rzetelnie zapłacą. Krodem? Niech zabijają, będzie raz koniec. Dziadkowi powiedzą? niech powiedzą.

Podwórze szalało, bo każda przemijająca chwila była niespodzianką, wykrzychaną przez tyle ust, ilu było uczniów. To życie nie zdołało porwać Alojza w burzliwy nurt. Osowiały, zgnębiony, tkwił w kącie, obojętnie patrząc na zabawy, bójki, gonitwy, walki. Raz tylko drgnął złowieszczo i pięści zacisnął, kiedy z którejś gromady wystrzelił głos i zaraz gdzieś się zapodział, zatopiony zalewem zgiełku.

— Krodeś, dziadkowi powiem!

Po dzwonku, kończącym pauzę, polazł posępny krok za krokiem, ze stopnia na stopień, aż dotarł do ławki i opadł na swoje miejsce. Nie widział obecności zebranych, nie słyszał nauczycielki, z takim wzruszeniem spoglądającej w jego stronę. Po nauce rozchukana zgraja wypadła z zamknięcia i zapełniła podwórze i ulicę hałasem, który uciłł niespodziewanie. Najbardziej wrzeszczący zastygli z czapkami w ręce na krawędzi chodnika. Dzwonek, wybiegający z mroku, podciął gromadę i rzucił na kolana.

— Ksiądz do chorego z Panem Jezusem.

Postać księdza, widoczna w żółtem świetle latar ni, mijała klęczących. Zadrżała dłoń, błogosławiąca ich modlitwy.

Konie, idące zwyczajnym krokiem, nagle chlusnęły wprzód a zahamowane gwałtownie, wsparły się na zadach, stanęły dęba. Przednie kopyta poderwane zadygotały w powietrzu, aby za chwilę spaść i po-gruchotać, co napotkają.

Z za węgła wyskoczył Biel i runął w śnieg tuż przed sankami. Woźnica siłą wstrzymał spłoszone konie, że o mało nie popękały lejce, skręcił raptownie i ominął człowieka, zasypując go kurzawą roz-trzaskanych bryłek lodu.

Biel wyciągniętą ręką dotknął stuły, rozmiecionej pędem.

— Panie Jezu, zabierz z tego świata wszystkich, co mi zagradzają drogę do mojej gospodarki — sterczał samotny w środku gościńca ze splecionemi palcami na piersiach. Nie zmieniając wyrazu twarzy, szeptał uszczęśliwiony. — Prosiłem Pana Jezusa, utajonego w olejach, w ostatnich pociechach. Ważna rzecz. Żywy Jezus jechał, słyszał moje prośby i widział mój płacz. Mało mnie koń nie potrącił, jakby mnie zabił, to jużbym był u Ciebie, Panie Jezu — słodki uśmiech spłynął na zaciśnięte wargi — ale mnie nie potrącił, bo łaska Boża ma mnie w swojej opiece i nie opuści, aż dojdę do sprawiedliwości — walił ślepiami w pusty wieczór, bił się kułakami w pierś i całował świętą obecność, rozprószoną w powietrzu.

Dzieci z krzykiem popędziły ku domom, obok kłęczącego chłopca.

Alojz laził osowiady. Kiedy mijał zagrodę Wierciochów, z za węgła grzmotnęło go wyzwisko.

— Złodziej!!

Już skoczył, aby pięściami zatłuc, ale nowa, sroższa obelga go wstrzymała. Wieczór krzyczał to samo wszystkimi stronami świata. Alojz miotał się, kułakami groził wybuchającym głosem. Zmordowany stanął pod drzewem i teraz dopiero uświadomił sobie, że nie starczyłoby rąk i kamieni, aby je zagłuszyć. Załkał bezradnemi słowami.

— Czego ja taki? Czego mnie skusiło? czego tak zrobiłem? już nie będę inny? Dziadek mnie zeklnie i spiere. — Dziadkowi pokazałby zęby, jedynie żal

mu było matki. Wiedział, że go nie skarci, nie zbije, tylko płaczem go powita. Wolałby, aby kije spadały, nie jej bezsilne, tak srogo karzące łyzy — Ja cię nie uczę złodziejstwa a tyś taki. Nikt z naszej famielji nie kradnie, tyś dopiero pierwszy. Nie będę miała spokoju w godzinie śmierci, bo będę myślała, że zostawiam takiego syna. Każdy powie: złodziej, a ja złodziejska matka. Jakbyś miał kraść, to ci ręce poutrącam, dla twojego dobra, żebyś w kryminale nie zgnił, żebyś wstydu nie przynosił — przez drogę słyszał te słowa, tak często powtarzane i widział jej oczy. Przejęty wyrzutami, zawrócił, śpiesznie zbiegł w noc ku wsi. Nie wybierał drogi, było mu obojętną rzeczą, dokąd idzie, byleby najdalej od dziadka, od kijów, jego przekleństw i od skarg matczynych. Wiedział tylko tyle, że będzie „polował“. Gdyby było lato, to fraszka, książki pod miedzę i hajda, gdzie oczy poniosą. Często tak robił. Dusila go ciasnota, coś wyrzucało z czterech ścian i kazało pędzić przed siebie, wciąż naprzód. Wędrował po polach, lasach, wyobrażając sobie, że zwiedza nieznanne kraje, stwarzał przygody słyszane i przeczytane, które duszą wyobraźni przeżywał jakby na jawie.

Przypadkowo spotkany Józef od Dobosza przeciął drogę pytaniem.

— Kajże idziesz, Alojz?

— E... e... tak ku wsi, do ciotki, mają mleka dać mamie.

— Pódemy razem.

Z trudem wydobywali z zasp oblepione śniegiem chodaki, to też zmęczenie zapierało oddech.

— Pożryj, co się hań wydziwia.

Przed domem Dobosza, stojącym na uboczu, wi-
dać było licznie zebranych.

— Stryk chorują, przed wieczorkiem stryna po-
syłali konie po księdza, nie zastali go. Kajs indziej
bywał. Teraz pewnie przyjechał jegomość.

— Widzielimy, dopierusieńko jechał.

Ludzie grupkami stali pod ścianą, przy płocie.
Przy oknie słabo oświetlonem można było poznać
twarze. Inni ginęli w mroku. Sień była zatłoczona
czekającymi w skupieniu. Z ciszy unosiły się wes-
technienia.

— Marnota.

— Ej, Boże, Boże! W pazdurach zaciskasz, śmierć
ci wszystko wyjmie bez bitki.

— Zawsze tak bywało i zawsze tak będzie: ko-
libka dla małego, miska dla żyjącego i praca,
a trumna dla starego. Ino te rzeczy potrzebne czło-
wiekowi.

Kilku chłopaków przylepiło twarze do szyb. Alojz
wspiął się, aby popatrzeć do środka. W izbie nikogo
nie było, tylko ksiądz, pochylony nad chorym, koń-
czył obrządek, potem zdjął stulę, pocałował srebrne
wyszycie, ściągnął komżę i ukazał się w codziennej
szacie. Jeszcze coś przemówił do klęczących i wy-
chodził. Przez otwarte drzwi buchnęło zimne powie-
trze. Kościelny zabiegał drogę z latarką. Zebrani
przypadli do czarnej postaci, do rąk bielejących. Pro-
boszcz kreślił krzyże w powietrzu, mamrotał błogo-
sławieństwa od progu aż do sanek, czekających za
płotem. Siadł na snopku słomy, zaścielonej kocem,
i sapnął.

— Okryjcie mi ta nogi, no, bierze mróz, tęgi. Ile
stopni będzie?

Zadzwieczał dzwonek, kiedy konie ruszyły. Alojza poderwało, aby uwiesić się ztyłu. Józek pociągnął go z sobą.

— Podź do budy, trza się ogrzać, bom zmarzł.

Gruba gromnica, wetknięta w barwny dzbanuszek, rozpraszała żółty, przekopcony płomień. W izbie trwał zapach jałowca, użytego do kadzenia. Podłoga zamieciona i uroczyście posypana piaskiem. Na stoliku stał czarny, wiecznie osmętniały Chrystus, połyskując świekami, wbitemi w czerwień ran. Twarz chorego Dobosza, wgłębiona w poduszkę, na siwych włosach, przepojona była spokojem, jakby cielesna powłoka pozostała na ziemi, a duch wstąpił już w przestrzenie niebieskie, dalekie od trosk i nieszczęść. Porzucone ręce odpoczywały po trudzie żywota, zaciskając ziarnka różańca, spływające z palców na posłanie. Ręce, tak upracowane za życia w złości, w zemście, w nienawiści i chciwości, teraz niepotrzebne, miały tylko tyle siły, aby utrzymać drobne ziarnka.

Chłopczy, mnąc czapki w garściach, wytrzeszczali ślepią na to, co się wokoło działo. Ten i ów mięszszego serca biadolił wedle wsiowskiego zwyczaju. Ludziska przyłazili, aby stanąć nad łóżkiem, nakiwać głową, nawzdychać, i odchodzili do swoich życiowych spraw, bo każdy miał tyle tego, że ani spałmiętać. Policzysz piach w rzece?

— Przy umrzyku nie nacieszysz się, ani nie najesz — kończyli żalosne pacierze. — Ledwo zipie, już dożrał do śmierci. Niechże ta, niechże.

— Jaki był, to był, nie ja go będę sądził.

— Prawda, kumie, prawda. Wicie! hohoho! wiemy, jak było, dość ma na sumieniu, dość zaniesie

przekleństw. Nie będę mu wypominała, kiej już idzie na sąd Boski, zda rachunek, oj, zda ciężki rachunek.

Za progiem wysychały ludzkie łzy, cichły najbardziej bolejące wyrazy, tylko zapaski, któremi kobiety ocierały spłakane oczy, dłużej chowały wilgotne wspomnienia.

Po pustoszącej izbie snuł się smutek i modlitwy kilku bab pod przewodnictwem Zachwiejowej, dzwiczącej paciorkami, rozkładającej ręce, jakby nieustannie usiłowała chwycić wieczność umykającą z tego padołu. Ich postacie, ich ruchy sprawiały wrażenie wron, pobożnie kraczących nad padliną.

— Dla okropności jego grzechów bądź miłościw.

Po przerwie domowe sprawy potoczyły się codziennym torem. Krętanina i uganiaczka po obejściu. Wnuki rozpoczynały kłótnię o drobiazgi, hałasując, okładając się pod żebra kuksańcami. Tego Zachwiejowa nie mogła ścierpieć, przerwała lamentsy za konających, kogo popadła, chwytając w garść i wyrzucała do kuchni.

— Ścierwy! Rozdarłabym, tobyśta były cicho. O Jezu Miłosierny, w godzinie śmierci...

Starszy chłopak rozłożył zeszyt pod smutnym Chrystusem i przy świetle gromnicy pisał zadanie na jutro. Na białej karcie kładł się przelotny cień krzyża, zależny od chwiejnego płomienia gromnicy. Czeladnik, skrzypiąc podszwami, łaził po izbie, rozpałał w piecu. Czas było gotować wieszczkę, więc skrobał ziemniaki i wrzucał do garnka, aż woda przyskała wokoło. Synowa zdjęła skopek i bucząc po drodze, siakając nos, pobięła do krowiny nakarmić, napoić,

wydoić, bo nawet umrzyk nie może w tem przeszkodzić. Rozlegał się szczęk naczyń, pośpiech.

Dobosz, obcy temu życiu, słyszał słowa, widział czynności gospodarskie, ale one już traciły rzeczywiste kształty, stawały się widmem, czy duchem tych spraw, przy których mozolił się przez życie.

— Matka!

— Co, ojciec?

— ...zwołaj, zwołaj sąsiadów — nie mógł się uporać z głosem, już nieużytecznym i niepotrzebnym, zapomniał ziemskich imion — Smocka... — kilkakrotnie poruszył wargami, aby podjąć drugie bliskie, teraz zatracone nazwisko — Hurkałę — płuca ciężko pracowały, chwytając resztę powietrza.

— Poco mam wołać?

— Porządek zrobię.

— O Jezu! o Jezu! tyle roków razem w pracy, w bidzie i w radości i już odchodzić chcesz, gospodarzu mój, co ja bez ciebie, sirota?...

— Zabiram się hawtela i ty wnetki pódzies za mną. Niedługo juz. Dość my się upracowali.

— O dość! o dość! temi palcami dopracowaliśmy się ślicznego mająteku.

— Poślij po świadków, trza rozrządzić, co kozdemu zostawię, żeby po mojej śmierci nie było nijakiej bitki i obrazy Boskiej. Chcę spokojnie spać w trumnie. Majątkiem podzielę jak chlebem, kozdemu po kromce...

— Gospodarzu! gospodarzu! nie zostawiaj mnie samej — żona, wsparta o ścianę, lamentowała coraz głośniej.

— Nie płaczcie tyle — Zachwiejowa objęła ją za szyję, pogłaskała po twarzy i posadziła na stołku —

pogódźcie się z wolą Bożą, już mu nie nie pomoże, ino nasze paciorki, niech po nich idzie grzyszna dusza po nadgrode, kiej taka wola Pana Jezusa. Klękniście i razem z nami mówcie: „Wyjdź, duszo chrześcijańska! wyjdź w imię Boga wszechmogącego... Zmiłuj się, Panie, nad łkaniem, zmiłuj się nad płaczem jego“...

— Zawołam ich — wyskoczył Alojz i zastukał piętami za progiem.

Wkrótce zahałasowały buty, w sieni otrzepujące śnieg. Wkroczyli dwaj przyjaciele w kozuchach i równocześnie zdjęli baranie czapy, przywalające łby.

— Niech będzie pochwalony...

Słaby, prawie niewidzialny uśmiech, jakby wewnętrzny przypływ radości rozjaśnił twarz Dobosza na powitanie przybyłych.

Smoczek wywijał fajkę i garścią omiatał wąsy, zarastające wiechciem rumianą, zadowoloną twarz. W gęstwinie brwi niebieskie oczy rozbłyskiwały wesoło. Nie mógł usiedzieć na miejscu, ponosiło go po izbie. Hurkała, suchy, wygolony, miał twarz z samych zmarszczek, brózd, zgryzoty i siwej starości. Na łysej czasce pośniewało światło niby oliwa rozlana między ocalałemi cudem włosami. Uścisnął w milczeniu niemocną rękę Dobosza i siadł statecznie, pograżony w zadumie. Smoczek figlarnie karcił sąsiada.

— Poco, przyjacielu, po nocy nas wydzirasz z pod pieca, na takie zimno? Pogwarki ci się zachciało z dziadami? Żeby z dziewczuchami to co innego — rozłożył ręce na znak, że w takim wypadku nie nie miałby przeciw temu. — Twoja wola, nie przeszkodzę.

— Nie na pogwarke... na odchodnem jestem...

— Na pacirze chcesz dać? wsturz swoją babę do dziury i wesele spraw. Jakżem stary, to huha — tupnął nogą, wywinął się dookoła. — Jeszcze siedzi we mnie ochota, młodemu pokazałbym, jak się tańczy. Pamiętasz? hoho! — mrugał ślepiami — jageśmy, e, co tam przy nich mówić, zaraz z zębami na cię. Ej, były to czasy. Chłop przestanie myśleć o babie, kiej go do trumny kładą.

— Wam i wtedy się oczy zaświecą jak djabłowi.

— Z uciechy, z uciechy, ino nie ku tobie, sestro nabożna, powiem ci na ostatek i to — zwrócił się do Zachwiejowej. — Baba, choć już siedzi w pazdurach djabła, to i tak drze się do chłopca i piszczy — Jadom! Jadom! Jadamecku, oj, oj, spiro mnie. Jużci paciorki klepie, do Pana Jezusa się wydziro a jednako piszczy, czego czas i ochota.

— Staryście a taki, że grzych wymawiać.

— Stary pniak też się dobrze pali i grzeje, aże w izbie gorąco.

— Bez wstyduście.

— Wstyd mam, ino ku tobie nie mam nijakiej ochoty. Terozżeś taka? Odkiedy? Jak byłaś dziwką i jakżeś ino mogła ruchać nogami, to na hańten wirch leciałabyś, żeby ci choć gacie na olszynie powiesili.

— Z pokorą i weselem przyjąć trzeba dla miłości Pana Jezusa — zaszeptła Zachwiejowa.

— Co bądź pleciecie, przecie przyjmował Pana Jezusa — upominała Doboszka.

— E! zna mnie dobrze, dośżeśmy się uśmiali, napili, bośmy w przyjacielstwie. Powiem ci ino tyła, sestro: Pan Jezus śpasy lubi. Wiesz, czemu zmienił

wodę na wino? No? Powidz! Żeby człowiek miał się czem w strapieniu pocieszyć. Gorzołki mu zabrakło, boby, boby...

— Mielibyście zastanowienie.

— Mam, ino nie we wszyćkiem.

— Nad grobem stoicie, to różaniec w grzyszne palce weźcie, może się Pan Jezus jeszcze zlituje — warknęła Zachwiejowa.

— Ja nie stoję nad nijakim grobem. Ludzie telo wygadują, że im starość cięży, lata gnietą. Mam siedemdziesiąt pięć roków a dopiero teraz zaczyna mnie cieszyć życie. Nic nie wiem o nijakiej starości, lata mnie nie gnietą, jak wrypię w siebie pół kwatyrki, to mi dopiro rażno i kuraśnie — podskoczył, trzasnął piętami w powietrzu — nosi mnie, takie mam leguśkie nogi. Wiesz, siostró, i ja mam strapienie. Wiesz, jakie? Drze mnie do baby, a nie dam rady we wszyćkiem, co się jej przynależy, oj nie. Tegom zły i z tego mnie zbira na płacz — przerwał figle i stanął nad chorym. — Tyś młodszy chyba ode mnie, ze śtyry lata albo sześć. Żeniłeś się, poczkaj — przypominał sobie, przebierając paluchami. — Aha, mój Wojtek już gęsi pasł. Tobie się ino widzi, żeś słaby, jakbym ci postawił gorzołki, toby cię podniosło.

— Już mnie, bracie, nie podniesie nic z pościeli śmiertelnej. Mam ino jedno życzenie, żeby doczekać pastyrki. Kolendy, kolendy — słowo, powielekroć powtórzone, rozjarzyło wargi. — Niech użrę, niech usłyszę.

— Nie pletbyś próżnioków. Jojcą nad tobą baby, to ci się odechciwo żyć. Weź patyka i wypier ich do pola, to zaraz zaczniesz inaczej dychać.

— Przyjacielu! przyjacielu, żartujesz, bo cieszy

cię życie — nabrał tchu i wyraźniej mówił — proszę was o ostatnią przysługę, chcę zrobić jaki porządek z chudobą.

— Możesz jeszcze godać?

— Mogę.

— To dej pokój. Chcesz, żeby cię dzieci szanowały, to nie puszczaj nic z garści, póki ostatnia para z ciebie nie odejdzie.

— Nie dasz? to ci palce obetną własne dzieci i wydrą — stęknął Hurkała.

— Już mi czas.

— Jaki czas? Śpasujesz, bo se leżysz pod pierzyną. Nie zapisuj!! pótyś gazda, pótyś pon. Zapiszesz, to choćbyś jadł ze swojej miski, i to dziecku wadzi, chciałoby, żeby i to było jego. Kąta nie masz, snopka ci pożalują i ławki.

Synowa, cuchnąca gnojem po powrocie z obory, postawiła skopek na stole, nadśłuchiwała i o mało z pięściami nie skoczyła ku Smoczкови.

— Ażebyś nogi połamał, zanimżeś tu przylazł. Nie da zapisu robić. Jabym... jabym... Zawdy się będę obcym ludziom wysługiwać? nigdy nie bede na swoim? Muszę mieć gospodarkę w pazdurach — rwana złością i żałością, co zapłakała, to zgrzytnęła zębami, z pod łez ciskała ślepiami i w spojrzeniach sypała piach do gardła chorego. — Zdechłby już, dość się nażył — zaraz głośno wzdychała. — O, Jezu Miłosierny, zabierz jego duszę do chwały wiekuistej, poco się ma tyle męczyć i trapić na świecie, niech sobie odpocznie, o Jezu, łaski pełny.

Umierający łapał dech i wymawiał wyraźnie słowa przedśmiertnej woli.

— Żal potargać, ale trza każdemu po odróbce.

Dużo ludzi, a ziemi nie przybywa. Kawałek na załaziu, com wziął po rodzicu, daję Frankowi, polanę z lasem na Gabańce i z polem na malinowie daję Józkowi, córce Maryji, co poszła za Jaśka, kawałek na Bereźniku. Dominik, mój syn najmłodszy, ma zostać przy budach...

— A ja? — podniosła się ku mężowi żona.

— ... matka przy nim — kończył, nie zmieniając głosu.

— Ojciec! co ty mówisz?

— Słyszają ludzie, somsiady i ty słyszysz. Dominik ma dać matce dochowanie do śmierci, miejsce w stajni dla krowy i ogród pod ziemniaki.

— Ja — przy — synie. — W przerażeniu nie wierzyła własnym uszom.

— Ty!

Przygięła się pod nieudźwignionym ciężarem tego wyroku.

— Tak mi płacisz za moją pracę? taką mam nadgodę? to ino tylem od ciebie zasłużyła? Ja na łasce dzieci? Gorzki taki chleb. Lepsze od nich kamienie. Wyścigają z torbą.

— Prawdę mówicie, kumo — wiecznie strapiony Hurkała uroczyście wstał z ławki i przemawiał jakby z kazalnicy — po tej wojnie czy czas niedobry, czy ludzie niedobre i takie są oziąbłe, okropa, nie słuchają kościoła, ani niczego na świecie, między wszystkimi chciwość, nienawiść, ojca, matki nie szanują. Dawniej ludzie nie mieli tyle złości i nie sakramentowali tyle.

— Przyjacielu, i dawniej wyganiaли ojców na żebranie, kiej nie zdolili kija na dzieci utrzymać w garz-

ci. Zdaleka to ci się jaśniej wydaje. Pożryj na tamte lata inaczej, pożryj — przerwał Smoczek.

— Mówię każdemu — ciągnął Hurkała z powagą — skamieniało teraz ludziom serce i moim dzieciom też. Zapisałem synowi gospodarkę. Nie chciałem dzirby majątku, bo jak targać? jak krajać niechęć? czybyś krajał nożem swoje ciało? Teraz przeklinam. Wykrwawiłem gospodarkę z tych pazdurów — rozpostarł szeroko obie garście, widząc z krwi i znoju zrodzoną ziemię — razem z niebożycką. Z Bogiem w spokoju spoczywa, ino ja zostałem w poniewierce. Bodajbym się starości nie doczekał przy dzieciach, przy synowej. Żal okropny człowieka złapi, o tu, o tu — grzmocił pięścią w starczą pierś — to musi płakać. Jeszczem w życiu tyle się nie napłakał, co przy synowej. Trzy roki siedzi w moich budach i dobrego słowa do mnie nie utraciła, ino zawdy, żeby cię djabli tłukli po piekle. Syn dobry był, grzeczny, od maleńkości w kościeleby siedział cały dzień, a kiej się ożenił, to sie w nim wszycko odbróciło, synowa tak go wyhadukowała.

— Prowda, prawda, zakocha się chłop w rzyci, a rozum w głowie traci — podpowiadał Smoczek.

— Chłop da się pod moc żony i jest bez swojego rozumu przy babie, zawdy ją usłuchnie na źle. Cirpię jo, cirpię.

— Samiście winni, trza zrobić miejsce młodszemu, dość waszych rządów — szczerknęła z boku synowa. Jeszcze miała dużo złości, ale ją zgryzła w siebie. Trzaskała garnkami, najchętniej jednak grzmotnęłyby w ich dziadowskie łby. Szukała czegoś, aż wrzasła — kaj cedzidło? Ani mleka nie móc przelać. Cholery, nie ludzie. Zapodzieją kajś.

— Kto chce psa rznąć, to kija nie szuka, bo bele czem go rznie — kwękał Hurkała. — Moja wina, że dycham? Powiem ci tyle, moja dziwko, jabym drzewa urąbał, jabym ziemniaczka uskrobał, przypilnował przy gospodarce, jaby głowa nie bolała o wiele rzeczy, ale powiedz jej to, kiej zaraz siekierę chyta i z pyskiem: wynoście się, bo to nie wasze. Jezu, to nie moje? Trza na stare lata po sądach chodzić i na krzyż przeciw swojej krwi przysięgać — zatrząsł się nad swoją dolą, nad przysięgą przeciw synowi. — Tegom dożył. Jezu!

— Czegoś zapisywał? Mówiłem ci nieraz, wyścigają cię. Jabym wziął kija na cię.

— Myślałem, że mnie będą szanowali, że będę miał ulgę na stare dni. Odpoczywam, o, odpoczywam, uprzedzają, ubijają, zdechnij, zdechnij.

— Moje dzieci inne, uszanują matkę — jęknął chory, jakby się zakrztusił własną krwią.

— Były dla cię dobre dzieci, boś dzierżył nad nimi palicę.

— Są dobre dzieci? — pytał Hurkała rozpaczą swego życia.

— Trafią się.

— Są, są takie? co do ojców mówią, odpocznijcie sobie, boście się dość napracowali? dadzą pod krzyż podścielić? Gdzie są? Moje z pod ojca słomę wydrą i śpij na gołych deskach.

— Inaczej robię, każdemu na osobności mówię — mrugał figlarnie Smoczek, ubawiony wspomnieniem rozmów — dziecko kochane, bedziesz dobry, to ino tobie jednemu zapiszę i na wszyćkiem gazdą zostaniesz, szanuj mnie; nie bedziesz dobry, to się ożenię, hohoho, niejedna za mnie pódzie. Nie wierzysz? co

tak ślipia wywalasz? tybyś pirsza, ale ja za inną obziram się, za młodą dziwką. I ze starego garka można tłusto jeść. Jeszczem dość ochotny.

„Juzbyf był, juzbyf był po kolano w niebie,
Alef się nawrócił, dziwceno, do ciebie“.

— Powinny was dzieci wygnać za wszystkie grzechy. O Jezu, za sodomę — miotnęła pobożnie błyskawicami.

— Jedno przez drugie lepsze — nie zważając na zgorszenie Zachwiejowej, ciągnął żartobliwie — każde mi świci, pod brodę kładzie jajeśnicę z kiełbasą, tato, przy mnie wam będzie najlepiej. Jem tłuste, słuchom i swoje myślę, że z żywych rąk gospodarki nie puszczę. Bierę do śmierci, na wieczyste — nie.

Doboszka porwała z kąta miotłę i wtykała w dłoń umierającego.

— Chyć i bij po plecach, po tych rękach, jeżeli zgrzeszyła przeciw tobie. Dej mi palicę i torbę i wy-ciep mnie swojemi rączkami do pola. Powiedz: idź po zebraniu. Pódę, nie sprzeciwię się, ino powiem: Bóg ci zapłaci, mężu mój, bo to od ciebie. Ale żeby mnie tak dzieci?...

Dobosz ominął zawodzenia i skargi żony, już nie widział żyjących ludzi, patrzył w wieczystą dal i wyrzekł po gospodarsku mocno, nie znosząc sprzeciwów.

— Tak ma być, jak mówię, od tego dzieci, żeby ojca słuchały. Matce krzywdy nie zrobić, to wam przykazuję. Matkę szanować.

Otarła oczy zapaską i z twarzą, zwróconą ku mężowi, powiedziała bez gniewu, ale niezwykajnie, jak-

by wołała za odchodzącym, który już nie zawróci i nie usłyszy.

— Idźże, Waluś, idź, kajżeś się zabrał, i nie rozrządzaj więcej, a jo pódę do miasta po sprawiedliwość, to panowie ze sądu dadzą mi, co się przynależy, obce ludzie mnie poratują, kiej ślubny mąż krzywdzi... — płacz zalał słowa. Łkając, stanęła w kącie, odrzucona, niewysłuchana, niepotrzebna, tylko poruszała kurczowo palcami, jakby już zaciskała czekający ją kij i poprawiała zawadającą torbę.

— Takżeś rozrządził, kolego, tak będzie — Smoczek przestał żartować i mówił, jakby brał świętości na świadectwo. — Nie chciałeś nikogo skrzywdzić, nie chciałeś zabrać ze sobą przekleństwa, ale rozmiecie ci wypadnie. Teraz się zapytam ciebie, nie żal ci umierać?

— Co zrobić? — chory uśmiechnął się. — Czas przychodzi.

— Tele dobra opuszczać. Nigdy się człowiek nie nażyje dosyta. Miałem telo uciechy, a zawdy mi za mało.

— Ja miałem tyle pracy i nigdy nie było mi za dużo. Dość bidy zaznałem z moją. Teraz ci powiem, żal mi jej, ale tak musi być. Krótsze jej przekleństwo, bo jej też niedaleko do grobu, niż dziecińskie i nie takie ciężkie, bo od ślubnej żony, nie od rodzonych dzieci. Wszyćko wiem i w spokoju nie umieram.

— Kolego kochany, nie boisz się śmierci?

— Czego? — pobłażliwie pokiwał głową nad marnością tego wyrazu — czego, bracie?

— No, śmierci.

— Jak ten liść dojdzie, dożreje i odpadnie. Tyle!

Czego się bać! Jakbyś z jednej izby przeszedł do drugiej, bo ci powiedzą, że hańba ładniejsza. Z radościąbym poszedł, ale człowiek zawdy był brudny, grzyszny. — Spojrzał na Smoczka przytomnie. Oczy dość się naświeciły w gniewach, złościach, teraz zapłonęły innem światłem, patrzyły innem spojrzeniem, nie zgryzotami tylu lat, lecz uciszeniem wszystkiego, co boli, co trapi, co męczy. Ręce leżące na pościeli chciały coś czynić, spełnić do końca powinność i zaciśkały już nie ziemskie, drewniane, materjalne narzędzia, ale ich obraz, duszę kosy, pługą, sierpa i sianych ziarn zboża. Uchodził z nich duch pracy, znikawała cielesność, ciężar, a zostawało tylko człowiecze, zużyte, spracowane, niepotrzebne wyobrażenie. Odpoczywały po mozołach ciche, pokorne, oddane, nie sobie, nie życiu, nie trudom.

Zachwiejowa z namaszczeniem mówiła: „Polecamy cię, duszo świat żegnająco... Niech zastępy aniołów wyjdą naprzeciw tobie... Niech świętych panien chór powiedzie cię z pieniem wesela do przybytku Oblubieńca Boskiego“.

Ktoś śpiewający szedł środkiem ulicy. Pieśń wyłaniała się z ciemnej oddali, zbliżała, nabierała wyrazistości i uderzyła w okno, oświetlone gromnicą, młodym, pełnym animuszu głosem:

U mojej dziwcy
w sobotę zmówiny,
w niedzielę wesele,
w poniedziałek chrzciny.

Ręka chorego zadygotała jeszcze raz, jakby chciała przytulić, przykryć, ująć pojedyncze nuty.

Smoczek drgał w miejscu, hamował nogi, aby nie tupnąć, nie podskoczyć, i wykrzykiwał z uznaniem.

— Takie śpiewanie z nóg wyskakuje do tańcowania. A to z niego jucha, a to jucha, ale wyśpiewuje, żeby ino ludzi ucieszyć. Prawdę śpiewa hihi! ha! Takie dzisiejsze dziwki. Idą do ślubu we troje, chłopca wiedą pijanego, ona, co wioneczek stargała, i to, co jutro hihihi! Nawet na swoim weselu panna młoda nie tańczy, bo jak? Spodnica pęka od tego przytrafunku. Same matusy idą do ślubu, odrazu z dorobkiem.

Zachwiejowa sterczała, zmieniona w słup biblijnej soli, czekając na ogień z siarki. Co spojrzała na Smoczka, to o mało go piorunem nie poraziła. Zacięła jednak zęby i nabożnie zgorszona, wyrzekła głosem tak, jakby nie kamykami, ale paciorkami sypnęła na zatwardziałego grzesznika.

— Wstyd przy umierającym, co Pana Jezusa przyjął, i przy dzieciach, co grzechu nie znają.

— Co ja takiego mówię, coby nie wiedziały? — figlarnie się obruszył — przecie widzą, bo mają oczy.

— Pfuj — już nie wytrzymała i splunęła na środek izby — ino zepsucie takie śmichy z najświętszej wiary. Policzy, rzetelnie policzy Pan Jezus paskudztwa.

— Kiej będę umirał, to sobie coś figliwego umyślę, żeby Jezuskowi do śmichu powiedzieć, a ucieszy się zmartwiony bidok, że człowiek idzie do niego bez strachu, a z weselem. Ugwarzę se z nim, uśmieję. W niebie też lubią uciechę. Jakby mieli patrzeć na taką kufę, jak twoja, toby wszyscy święci uciekli i święty archanioł też, choć gazduje z ognistą szablą, bo on wie, że choćby ognistą szablą, to nie prze-

prze baby — dalej żartował, wcale niestropiony wyrzutami.

— Stary, a taki bezstyda — syknęła i zaraz westchnęła: — „Obyś nie doznała, co jest strasznego w ciemnościach, okropnego w płomieniach, dręczącego w mękach“.

— Z ciebie święty djabeł, wiesz, twoje paciorki na siekirce, co powiesz paciorek, to Pana Jezusa ciach siekirką. Nacirpi się bidok z takiej pobożności — ubawiony przymrużał oko po urwisowsku i uśmiechał się dobrodusznie.

— O Panie Jezu, o Panie Jezu, ulituj się. „Niech ustąpi przed Tobą sprośny czart z towarzyszami swymi“. — Zachwiejowa przewróciła oczy z westchnieniem, godzącem w niebo — gorszycielu, taka mowa przy chorym, co się wybiera w drogę do Pana Jezusa? Panie Boże, widzisz, jaki on, jaka ja służebnica Twoja. A żeby mu ozór połomało, żebyś nie mógł wypowiedzieć grzechów na śmiertelnej pościeli. Spraw Panie Jezu w miłosierdziu swoim... „Niech zadrży, oglądając Cię w liczbie aniołów; niech do przepaści uciecze“... — w dalszym ciągu mówiła modlitwy za konających, idące z jej serca. — Ja też grzysem, umię obrazić Pana Boga, ale umię i przeprosić nie tak, jak on, gorszyciel z Sodomy... „Niech cię wybawi Chrystus od wszelkich mąk, który był za ciebie umęczony“...

— Mam gryźć świętymi ząbkami, jak ty? he? ty-byś chciała każdego za żywa wepchnąć do grobu, piaskiem zasypać, boś szczęśliwa, kiedy możesz wykładać: wieczne odpoczywanie. A ja chciałbym słoneczka ludziom przychylić, żeby w wesołości żyli i użyli na tym świecie, co trza, a potem wesoło szli,

jak gazda do gazdy, na święte pole po żniwach doczesnych po inne plony, bez przekleństwa, bez złości — spojrzał na twarz Dobosza, wsparł rękę na kolanie, stężał, smętnie ćmił fajkę i w zadumie dodał, jakby objawiał najistotniejszą prawdę. — Taki ja, przyjacielu, ty wiesz i zaświadczysz. I teraz chciałem cię ucieszyć...

Gospodyni odzyskała przytomność i wciąż narzekając, przypomniła sobie nakazy Zachwiejki. Chciała na kimś złość wyrzucić i zerwała się ku chłopcom hałasującym, zaprzątniętym swojemi o wiele miłszymi sprawami. Machając zapaską, wypędzała jak przerażone kury.

— Do pola! do pola!

Alojz pierwszy ruszył w ciemną, pustą noc.

Przez tę chwilę dokonało się, co się miało dokonać.

Zaraz wróciła do izby, poprawiła w milczeniu głowę męża, pociągnęła pierzynę, aby przykryć obnażone sztywnie sterczące stopy, i niezgrabnie, z powagą, jakby odprawiała odwieczny obrzęd należny żonie, zaczęła splatać palce, zlewając rzęsistemi łzami spracowane ręce, leżące spokojnie, cicho na śmiertelnej pościeli.

— Mężu mój, opiekunie i podporo, na to mi przyszło, że te rączki łzami obmywam.

— To już po wszyćkiem, telo z całego życia — westchnął głęboko Hurkała. — Czego mnie nie weźmiesz stąd, Panie Jezu.

— „Oddajemy, Panie, aniołom Twoim świętym tę martwą glinę ciała, co się ma wkrótce rozsypać w proch“ — szeptała Zachwiejowa.

Poza domem wiatr miotał nocą, przez którą przepływały szumy zadymki. Ktoś zajechał na podwórze,

rozległy się nawoływania i jędrne, zmarznięte głosy, opowiadające wesoło, jak to zwykle bywa po szczęśliwie zakończonej pracy.

— Tego smreczka już dawnom se upatrzył. Gdzie ściałem, nikt nie widział, ze swojej polany przywiózem. Zawdy trza tak: do pana się barz nie przybliżaj, bo się oparzysz, i daleko nie uciekaj, bo się nie zagrzejesz, ino do jego lasu śmiało idź, bo zawdy ogrzywkę znajdziesz.

— Ile razy idę w pańskie, to mnie strach bierze.

— Hu! hu! Kto się strachów boi, to mu bździanami dzwonią — zahuczał śmiech szeroko, donośnie, od serca.

Smoczek poczłapał do okna, zrazu nic nie widział przez szyby, zlewane wilgocią topniejącego mrozu, dopiero później poznawał kształty spraw i ludzi.

— Wojtek i Jasiek przyjechali z lasa.

Tamci dalej hałasowali, wśród krzatań, przywykli do otwartych przestrzeni. Konię odprężnięte zginęły w głębi stajni, jakby dwie czarne plamy przepadły w lochu jeszcze czarniejszego mroku. Potem ucichło. Wkrótce już przed drzwiami rozległ się stukot. O próg tupali, otrzepywali śnieg z nóg. Przez otwarte drzwi wionęło zimnem. Do ciepłej kuchni nanieśli mrozu z całego dnia, łopocąc buciarami, walili się na rozgrzewkę, sapiąc zgodnie na cały dom.

— Ale ścierwo zimno.

Z wąsów zdzierali sople lodu, mimo to i tak dość zostało. Głośno gwarzyli, wybuchając jeszcze śmiechem. Było z czego. Ścieli ładnego smreka, zgrabnie się uwinęli.

— Niech na pańskim rośnie, a pod chłopską

blachą się pali. Nie grzech w pańskim lesie kraść, bo drzewo samo rośnie.

— Huhu!

— Cicho! ojciec! — żona Dominika przyłożyła palec do ust.

Synowie, tęgie, barczyste chłopcy, oszronieni, wło-chaci, podobni do rozrostłych buków, wkroczyli do izby. Wniesiony łoskot obmarzniętych chodaków brutalnie brzmiał w ciasnem wnętrzu. Spojrzeli na łóżko równocześnie i westchnienie stoczyło się z pier-si, niby kawał gładu, odwalony ciosem. Zdjęli wiel-kie kudłate czapy i położyli obok na podłodze. Po-chylili łby zwichrzone włosami i do czoła podnieśli ręce w grubych baranich rękawicach. Odmawiali pa-cierz, wciąż wzdychając. Coś rozrywało synowską modlitwę, po wargach rozpadały się pojedyncze sło-wa, a rodziło się stare, zawsze jednakie, niewypowie-dziane pytanie, wyrosłe z głębi może ziemi, a może z pod ludzkich trzewi.

— Co mi ojciec zapisali? Kto w budach zosta-nie?

A potem zgodna myśl, jakby siekiera w zaciśnię-tej garści.

— Nie dam się skrzywdzić.

Śnieg, przyniesiony z lasu, pozostawiony na sy-nowskich twarzach, topniejąc w ciepłe, kroplił się, spływał strugą i z łoskotem spadał na głuchy szept.

— Wieczne odpoczywanie... a światłość wieku-ista...

Zdawało się, że płaczą, złani łzami.

Pijany chłop z ulicy wrzasnął w okno z taką siłą, że aż zadrżały w izbie wszystkie świętości.

Tulało się, tulało
 To cyrwone jabusko,
 Jaze się zatulało
 Do dziwcy na łózko.

Z pomiędzy poszczególnych części melodji wystrzelały westchnienia Zachwiejowej.

— „Niech ustawicznie pamiętamy, że nie wiemy ani dnia, ani godziny, kiedy nas przed straszny sąd swój wezwiesz“... „Nie pamiętaj jej, Panie, nieprawości... Racz ją udarować niebieskiem weselem“...

XVIII.

Po zajęciu z herbatą Alojz przez parę dni nie pokazywał się w szkole. Szkoda, bo czekała na niego flaszka pełna herbaty i bułki. „Polował“. Nocował u ciotki, kłamiąc, że matka go wysłała, aby był bliżej wsi. Później szukał schroniska gdzie indziej. Hanka Tomalanka przynosiła mu pajdy chleba. Wkońcu miał dość poniewierki, ucieczek, kryjówek i dzisiaj postanowił iść do szkoły, a wieczorem wrócić do domu. Zmordowany mówił z poddaniem:

— Niech dziadek zerznie skórę.

Kurniawa, znagła wybuchająca, szalała przez kilka godzin, jakby djabli w gniewie porwali świat w pazury i ciskali w wir mroźnych podmuchów i świstów. W wichurze znać było zamazane kształty ludzkie, chłostane i miotane. Alojz, stojąc pod drzewem, poznał kobietę, dźwigającą tobół na plecach, przepychającą się przez zawieję.

— Cabalina niesie Józka do szkoły.

Urwis wychylał nos z płachty, bo był ciekawy, jak na świecie, i wykrzykiwał.

— Niech tata zrobi mi narty, to sam zjadę, ino się mignie.

Opodał Kramarczykowa zwoziła na sankach dwoje dzieci. Alojz wyskoczył z pod drzewa i chwycił powrózek.

— Pomogę wam.

— No wieje, że oczy chce wydrapać.

Nie zważając na sprzeciwy zmęczonej kobiety, pociągnął siłą ochotnych mięśni. Mijali gromadki pędraków, z których każdy miał głowę okręconą szmatą, porcięta połatanę, kierpce powiązane miłosierdziem Boskiem, aby choć cośniecoś ochraniały przemarznięte stopy. Ale to nic, maszerowali z wierchów przez białą dal, żwawym krokiem, byleby się nie spóźnić do szkoły. Torba ze zgrzebnego płótna, kryjąca książkę, zeszyt i kawał owsianego placka, podskakiwała na wychudzonym grzbiecie, przy każdym kroku, przy każdym uderzeniu wiatru.

— Poczkoj, Alojz, odzipnę trochę, już koszula mokra na mnie — sapnęła Kramarczykowa, stając pod zabudowaniami Hurkały właśnie wtedy, kiedy przez drzwi, pchnięte z rozmachem, wypadł starzec, runął w zaspę i pozostał bez ruchu. Za nim wyleciały przekleństwa.

Powstał wrzask. Dziadek chciał wstać, ledwo się wsparł na kolanach, dźwignął ręce, łapał się za skronie, palcami dotykał włosów, polepionych krwią.

— Tak bić tłuczkiem po głowie — zadygotał i załkał. — Weź siekirę i odrazu zabij. Poco katować? Łyżki strawy ci szkoda? To zabij.

Synowa przyskoczyła i garść ziemi wepchnęła w szlochające usta.

— Nazryj się, nę, nazryj się, nie bedziesz pyskował, ześ głodny — odbiegła ku drzwiom i kilkuletniemu synowi wetknęła zmarzłą grudę.

— Bij starego k... Żeby raz zdechł.

— Ty stary k... wynoś się do pola — powtórzył posłusznie chłopak i cisnął bryłę w dziadka, który zadrgał pod najsroźszem uderzeniem wnuka.

— Jeszcze ciśnij, nę, niech dziad nie zawadza — podzegała matka, wrzeszcząc. — Zdechnij raz. Żyjesz jak Matuzela, ty stary byku jancychrysta, na okopisko, hań twoje miejsce.

Hurkała długo gramolił się ze śniegu, nie mógł ustać na nogach; chwytając się płotu, zgarbiony i nędzny, jęczał starczą skargą.

— Com ci winien? za co? Jezu, czego mnie zostawiasz w takiej poniewierce? Moją krwawotę tyrają, bierą się do gruntu, po kawałku sprzedają i jak nie bronić? Za to bije, za to wygania.

— Gówno twoje z naszego chleba, ty zaraźniku! Co masz? Nie możesz zdechnąć, to weź powróżek i obwieś się, nie masz powróżka, to ci ukręcę.

Kramarczykowa podbiegła do starego, pomogła powstać i choć kipiała oburzeniem, to jednak usiłowała przemówić spokojnie do młodej Hurkaliny, po-skromić złośnicę.

— Wstydziłabyś się dziecka takich rzeczy uczyć. Kara Boża cię spotka. Własne dziecko tak samo ci zapłaci. Pan Jezus widzi.

— Co cię moje dziecko obchodzi? Mnie ma dziecko słuchać, a nie ciebie, bo mu daję zryć. Wraż se nos, wiesz kaj? o tu, o tu — zamiotła zamasyście

kiecką, aż łysnęła, czem mogła, czem chciała, i wszystkim aż po sam pas.

Chłop, stojący na drodze, zahuczał śmiechem.

— Pokoz jescce roz, ino ten razik. Rety! warto popatrzeć, jaze mi w oczach zabielało. Rozmaitości są na świecie. Zadrzyj jescce spodnicę. Jasiek, Wojtek, podź — przyłożył dłonie do ust i huknął w stronę najbliższych domów. — Uciecha.

Kramarczykowa splunęła z obrzydzeniem.

— Tak przez nijakiego wstydu. Świnia baba.

Alojz ugniół kulę śniegu i wyrzucił Hurkalinę w paszczkę.

— Masz! za dziadka. Rozbiłbym ci kufę, tobyś wiedziała — nie czekając na dalsze skutki awantury, chwycił sznurek i śpiesznie pociągnął sanki.

Hurkalina po raz ostatni wrzasła w odpowiedzi, aż chlapiło w powietrzu od słowa plugawszego niż błoto. Rozmiatając spódnice, zatrzasnęła drzwi i już w głębi domu huczała, mało ścian nie rozsadziła.

Hurkała trząsał się ze zgrozy.

— Ludzie, co robicie? ludzie!! ona mi za was zapłaci. Zapłaci stokrotnie. Co ja teraz? coście mi narobili? Mam drogę przed sobą, — pozbierał się i powlókł utrudzone stopy. — Trza się wezwyczaić po proszonemu iść, tak musi być. Wola Boża. Mój ojciec tak samo ode mnie, ja tak samo od rodzonego dziecka, ona będzie tak samo. Czem obdarzyłem, tem mi oddają. Sprawiedliwość musi być na świecie — stężał w powadze, jakby przez niego przemawiała najwyższa wola. Siadł pod zwalonym płotem, aby tutaj wyciągnąć dłoń po skibę chleba. — Na to mi przyszło. Nie majątki, nie, tyle mi zostało z życia, goła ręka.

Skądś z zadymki wypłynął śpiew zabłąkany na polach, wędrujący po ścieżkach.

Żebyś ty, matko, różgą dzieci siekła,
Tobysь wybawiła duszę swoją z piekła,
Aleś ty, matko, różgi żałowała,
Toś sobie sama piekło zgotowała.

Hurkała kiwał głową ze współczuciem nad słowami, jakby nad najbardziej udręczonemi istotami i stękał do płotów, do gościńców, dróg, czekających na jego zmordowane nogi.

— Prowda! prawda! Żebyś ty, matko, różgą dzieci siekła, ale ci żal było, to masz za swoje dobro. Trza było siekać. Ja też, ja też, trza było siekać. Teraz dziecko nie ma ojca za ojca, ino: ty byku jancykrysta. Już ja wieczny dziad.

Kiedy Alojz dotarł na miejsce, przestawało dąć. Ostatnie podrywy otulały wieś w powiewne spowicia, stwarzając białą wizję, tak że przedmioty ziemskie jawiły się jako sny.

Pod szkołą stały gromadki, czekające na rozpoczęcie nauki; zdawało się, że ściany złachmaniły się i drżą z zimna. Biedota, małorolni, bezrolni, nędzarze pozganiani zewsząd. Cuhy, jarmarczna tandeta, spencerki uszyte z wojskowych łachów, podarte chustki, spódniczyny, zbratane ze sobą w gromadzkiej nędzy, buty, kierpce, chodaki na nogach, które zrobiły Bóg wie ile kroków stamtąd, z chałupy, aż tu, przez zadymkę, zasy. Twarze ziemiste, bez kropli krwi i oczy śmiało patrzące. Z postaci i zachowania widać zuchwałość, buńczuczność, przedsiębiorczość, rozmach, to

ślamazarność, obłudę, świętoszkowatość, kryjącą paciorki za pazurami.

Ktoś jadł bułkę, inne patrzyły z zazdrością i zawiścią, chcąc wydrzeć kęsy.

Wojtek z nad rzeki wyciągnął kawał placka i to dało powód do rozmowy, kto co jadł dzisiaj, wczoraj, rano, w południe, w wieczór. Kasia, stojąca na brzegu, z rękami, wetkniętymi za chustkę, zawsze pogodna, zapytana, odpowiedziała z uśmiechem.

— Ziemnioki jadłam.

— Z czym?

— Z wodą.

— Omaszczone?

— Mama nie mają nijakiej omasty.

— Coś wczoraj jadła?

— Ziemnioki z wodą rano, a na wieczerzą z kapuśniarką. Mama ino dwa razy gotują, — jakby wyśmiała bielą zębów odpowiedź.

— Z mlekiem jadłaś?

— Jadłam.

— A kiedy?

— Łońskiego roku.

Skuleni, zziębnięci pod szkolną ścianą, opowiadali sobie, jak to matka w lecie kupiła bochenek chleba, kiedy indziej bułkę i funt cukru. Ludzie przechodzili, pędząc ku ważnym sprawom, nie słysząc najpiękniejszej opowieści o dobroci pytlowanego chleba, smakowitości bułki. Dzieci, śniąc o tych cudach, dzieliły się z biedniejszymi plackiem owsianym.

— A ja umię piec naleśniki.

— Ehę umiesz? — mruzcili z niedowierzaniem.

— Umię. Utrę ziemniaków, zasypię mąką owsianą, rozciapkam na blasze...

Dzwonek przerwał rozprawę. Pognali do klasy. Strach ogarnął Alojza na widok nauczycielki i w pierwszym rozpędzie skoczył do ucieczki. Zgrabnie wymykał się kilku ścigającym go chłopakom. Zwycięsko rwał co sił w nogach.

— Nie złapią mnie.

Najniespodziewaniej poślizgnął się i trzasnął twarzą w śnieg. Zanim się wygrzebał, już go dosięgli i obezwładnionego powiedli przed nauczycielkę.

— Co ty wyprawiasz? Dlaczego do szkoły nie chodzisz?

Alojz ciskał wściekłe spojrzenia z pod zwichrzonego łba, gdyby mógł, toby grzmocił pięściami. Przemyślał, w jaki sposób stąd drapnąć. Ze zgiełku wypadły coraz to inne oskarżenia, aż ktoś wytłumaczył, że dlatego nie chodził do szkoły, ponieważ polował.

— Jakto polował? — pytała nauczycielka.

— Książki pod dach, a potem przez dzień goni po polu, po lesie, mówi, że go coś ściga. Ino wandrować, ino wandrować. Cieszy go otwarty świat, jak cygana.

— Coś jadł? — zwróciła się do milczącego.

— Co mu po jedzeniu, kiej mu Hanusia wynosiła chleb.

— To ty, Hanuś, tak robisz?

Alojz popatrzał na zawstydzoną dziewczynę, spojrzeniem dodawał jej odwagi i wtedy wewnętrzny cios przełamał upórczywe milczenie.

— Ona mi nie dawała, ino jej zabrałem.

— Nieprawda, proszę pani, dałam mu, bo był głodny — zawołała Hanka płaczliwie.

— Dlaczegoś go nie namawiała, aby wrócił do domu?

— Namawiałam go i tak i tak, a on zawdy jedno

mówił: wstydom się pani i boję się dziadka. Tego nie wrócił. Dziadek nieraz kij połamię, tak go pierą, a mnie wtedy, o tu, ściska od żalu. Ostatni raz za butkę go wybili, a teraz odgrają się za herbatę, że ukradł. Dziadek wykrzykuje: niech mi wlezie w pazdury, to będzie widział, złodzieja nie chcę mieć w swojej famielji.

— Dlaczego nie masz, Alojz, zaufania do mnie? Jesteś zawsze niepoprawny. Poco uciekać z domu na takie zimno? Ani co jeść, ani gdzie spać.

— Co ja zrobię, kiej mnie tak wodzi. Nieraz dziadek skrzesali mi skórę, aże bąsiory wyskoczyły, i nie nie pomaga. Nie chcę, a samo ze siebie mnie ściga. Każdy wyzywa mnie, gałgan, złodziej, zgnij w kryminalne, wisieluch. A ja nie ze złodziejstwa, ino tak. Mama mówią: ustąp. Jak ustąpić, kiej złość we mnie skoko i do bitki cisko. Ze mnie już nie nie będzie. Dziadek wse, ludzie wse, jednako. Niech tam — machnął ręką, beznadziejnie urwał zdanie i siadł w ławce. Z torby wyciągnął książkę i zeszyt.

Klasa wkrótce zapomniała o nim, pochłonięta czem innem.

Alojz słuchał z uwagą lekcji, stracił samodzielność, stopiony z ogółem, był ciszą, posłuszeństwem, jednostką w gromadzie. Pisał zadanie, machał piórem, ustawiał litery śmiało, równo, wyraźnie. Inni ślamazarnie wlekli ręką po papierze, nie mogąc nadążyć jego lotnej myśli, porywczym ruchom.

W obszernej izbie teraz dużo było światła, jakby samo słoneczne południe weszło, aby pozostać przez wszystkie godziny, i porozrzucało kartki blasku po ławkach.

Alojz coraz częściej spoglądał przez okno. Przega-

niane obłoki przelatywały zwawo, jakby pędziły na nartach po błękitnej równi. Pragnął skoczyć na któryś. Aleby uganiał po całuskiem niebie.

— Czego się znowu gapisz?

Upomniany, ciął stalówką papier, chłostał chyba za doznane udręki i zniewagi. Niedługo wytrwał w zapale, bo już w następnej linijce litery ziewały z nudów. Nieznana siła wyrywała Alojza z ciasnoty i ciaskała w górski świat. Godzina pełzała sennie, chociaż panował gwar i rodziło się tyle zdarzeń. Zazdrościł ptakom odlatującym, dokąd chcą. Przerzucał ukradkiem wzrok po widniejącej zboczy. Kiedy pochylił się nad zeszytem, widział wciąż śnieżną dal. Ręce i nogi chciały stąd uciekać. Niezdolny był do skupienia, wpatrzony w kuszące obrazy.

Odpowiadał na zadane pytania, nieraz jednak pragnął krzyknąć nie własną wolą, ale nagromadzoną uciechą.

— Szkoda siedzieć w zamknięciu, kiej tyle śniega na dworze.

Na odgłos dzwonka, tupot i krzyk rozwalił drzwi naościę. Wszystkimi wyrwami wydarła się powódź. Alojz najgłośniej wrzeszczał, najpotężniej bił chodakami, aż trzaski leciały. Pędząc przez korytarz, zobaczył narty Bolka, oparte o ścianę. Przypadł do nich, ujął w ręce jakby najdroższą istotę.

— Nie ruszaj, znowu co narobisz.

— Ino spróbuję i zaraz odniesę.

— Pamiętaj — upominał go Bolek.

Ledwo stopy spoczęły w wiązaniach, zrosły się z deskami, już szaleńcza radość zerwała go z miejsca i pchnęła naprzód, jak ptaka do lotu. Buchnął w uli-

cę po spadzistym stoku. Wiatr uderzył w twarz, pęd rozwiął kapotę, aż przestrzeń zafurczała.

— Alojz! Alojz! — imię powiało obok jego uszu.

Zniknął za zakrętem we wznieconej kurniawie. Słyszał głosy, wiedział, że go ścigają, był jednak przeświadczony, że nikt nie zdoła go wstrzymać. Nie zastanawiał się nad skutkami ucieczki. Nareszcie nie wiążą go ściany. Ślepia lecą, gdzie chcą. Miał przed sobą wolny świat, to też krzyk rozsadzał piersi.

— Śnieg!

Wicher ponoszący go wrósł w plecy. Przelatywały pragnienia, aby oderwać się od ziemi, poszybować ponad wsią, ponad lasem, w błękit, huha! przebić niebieską powałę. Zaśmiał się, patrząc w górę, bo widział siebie pędzącego coraz wyżej, malejącego i znikającego w przestworzach, dosięgającego rozżarzonej kuli, aby wpaść w słońce. Widzenie zgasło wkrótce. Parł pod górę. Chrząścił nadeptany śnieg i cienie, leżące pod drzewami.

Mijali go narciarze, zdążający ku skoczni, której potężny huk ciemniał na północnej uboczy. Alojz, zachęcony przykładem, uganiał z zawodnikami, mającymi wziąć udział w najbliższych zawodach. Wykonywał rozkazy trenera, który zauważył i wyróżnił chłopca, ćwiczącego z tak wielkim zapałem.

Po wykrotach, skrętach, spadkach, w szumie wiatru dosięgli skoczni.

Alojz podczas kilkodniowego „polowania“, oparty o barjerę, godzinami tutaj stał, gapiąc się na ćwiczenia. Teraz też zajął dawne miejsce i ruchami powtarzał rozbieg, odbicie, przelot, lądowanie. Pouczenia trenera budziły popłoch w mięśniach, napiętych do skoku.

— Czego zawadzasz, pędraku? — wspinający się pod górę zawodnik potrącił Alojza.

— Ej, żebym... ej, żebym... tobym dalej skoczył. Ja będę gwiazdą.

— Jak ci tatuś złoł skórę, to ci wyskoczy niejedna gwiazda.

Co chwila ktoś zajmował miejsce na rozbiegu i wylatywał w przestrzeń. Jedni spadali, niby bezwładnie rzucony worek, inni koziołkowali po pochylni, tworząc w kurzawie kłęb rąk, nóg, nart. Każdy upadek witano żartami.

— Ty, co to było? Wywrotka?

— Zając przeleciał mu drogę i zostawił przeszkodę. Patrz, ile bobków.

— No, poszły ci iskry z pazdurów, kiedyś orał śnieg, nie potrzebujesz kupować zapalek.

Alojz patrzył z zachwytem na udane skoki, mierzył wzrokiem rozpiętość łuku, wyprężał się, to znów drżał, tupał, podrygiwał i kwiczał.

— Ja będę tak samo.

— Skakaj! — ktoś go namawiał.

— Kiej nie mam skokówek. Żebym miał, tobym ci pokazał. Moje narty są za wąskie i za krótkie.

— Ehę! prawda to. Boisz się i winę zwalasz na narty.

— Ajno, boję się, nie wiem czego? — z lekceważeniem burknął.

— To skakaj!

— Ty skakaj z takiej wysoczyzny.

— Boisz się, zaraz widać.

— Nie boję się, ino mnie strach przelatuje, kiej poźrę na taką paryję.

— Pożycz se dupy, to cię nie będzie bolała kiej ją sobie potłuczysz.

Smagany drwinami, w przystępie rozpaczliwej odwagi stanął na rozbiegu, gotowy do skoku. W chwili, kiedy miał wziąć rozpęd, spojrział wdół i utknął, obezwładniony zgrozą, bo otwarta przestrzeń, zmieniona w otchłań, rozciągała się w nieskończoność, że wzrokiem nie mógł dosięgnąć brzegu.

— Rany Boga żywego.

Nie zdawał sobie sprawy, kiedy strach go nawrócił i odepchnął w bok. Szczęki zadygotały.

— Czego się telo boję?

Obudzony huraganem śmiechu, spojrział po widzach i ze wstydu pragnął się zapaść w ziemię. Nie mógł przemóc w sobie napadu lęku. Ukryty za kępą leszczyny, rozgorączkowanemi spojrzeniami śledził skoki, wykonywał ruchy ćwiczących i naśladował je mięśniami i kośćmi.

— Żebym ja tak samo.

— Nie pódziesz, bo się boisz — zadzwiał Antek z brzyzka. — Nie boisz się? ino portki masz pełne stracha.

— Głupiś, żebyś wiedział, że się nie boję, będę skakał, jak Łuszczyk albo Marusarz — krzyknął z zapalem i dodał dobitnie — ja uparty. Póde, — rzucił narty na ramię i z nieugiętem postanowieniem drapał się pod górę, nie patrząc na gromadę gapiów, czekających, aby znów wybuchnąć śmiechem. Stanął na rozbiegu. Ktoś zdołu krzyknął ostrzegająco:

— Zwarjowałeś, głuptaku! Przeżegnaj się choć, bo pysk rozbijesz.

Alojz bezwiednie podniósł dygocące palce do

czoła. Pochylony spłynął na próg i na pomoście mocnem odbiciem napiętych mięśni, jak pocisk podrzutem sprężyn, oderwał się i chlusnął wdał. Pęd porwał go, poniósł w pustkę, wspartą mrokiem. Miał wrażenie, że narty podchodzą pod oczy. Poza tem nic innego nie widział. W jednej sekundzie, zmienionej w wieczność, nie miał czasu chwycić tchu. Przestał żyć. Wiatr rozrywał nogi, zdmuchnął czapkę i rozwiał skostniałe włosy. Alojz stracił równowagę, pękła pod nim ziemia i runął w najgłębszą jej szczelinę. Wywracany zgóry nadół, był podobny do ptaka, toczącego się po wyslizganej zboczy, machającego potłamanemi skrzydłami. Przez łaskoty rozbijanej głowy słyszał trzask zmarzniętych grud. Ostatkiem rozpędu gruchnął w zaspę i legł bez ruchu. Przerażeni widzowie biegli z krzykiem, aby ratować. Alojz niezgrabnie grzebał się w białej pościeli; oparty na łokciach, dźwignął ośnieżony łeb i popatrzał w stronę skoczni.

— Dalekom skoczył?

— Jak Łuszczek, tak samiuśko, żebym go widział.

— No, alem rozbił kufę. — Alojz parsknął, ocierając twarz.

— Jakbym miał taką kufę, tobym w każdą dziurę pchał, o każdy kamień tłukł.

— Ładnieś, bracie, skoczył, ino na drugi raz weź worek, żebyś miał w co kości pozbierać.

— Głupieśta wszystkie. Nie nauczę się skokać, póki się nie potłukę — krzyknął radośnie. — Wzięło mnie w zad i zaczęło wywijać, jak wróblem. Darłem rękami. A cobyś ty robił?

— Nadarłeś śniga, jak pługiem, patrz, skiby. Gębą zaorałeś. Już chyba nie pojedziesz?

— Cobym nie pojechał? Twarde mam gnaty, od

byle czego mnie nie zabolą. — Otrzeptał z siebie śnieg, prostował poobijane kości, nie chcąc dać poznać, że setnie je pogruchotał. Nie zważał na kpinki, odszczekując po drodze, walił po stromem zboczu z chłopskim uporem.

— Nie będą się ze mnie śmiali. Pojadę, będziesz widział — zaryczał ku chłopakom. — Kiej leciałem pierwszy raz, to tak się bałem, aże mi czapka ze strachu o tak, o tak kłapała. Teraz nie, ale to nie się nie boję.

— Połamiesz gnaty.

— No to co? Ubiję gnaty, popłaczę i zaraz będzie po bólu, jestem wezwyczajony, dziadek nie żałuje mi bicia. — Rozprawiał o doznanych wrażeniach. — Lecisz, lecisz, myślisz Bóg wie, ileś uskoczył, a tu buch i wyrnąłeś pyskiem, nawet nie miałeś czasu powiedzieć: Jezus Maryja!

— Ale ci wiatr po portkach furczał.

— No to co. Mam dość skóry, mam co drzyć.

Pouczony przez trenera, skoczył za chwilę prawdziwie. Coś go uniosło, w powietrzu podtrzymało, chyba poryw przyprawił skrzydła. Nie wiedział, kiedy dosięgnął ziemi i spłynął świetnie, bez podpórki. Stojąc na równinie, odwrócił głowę i krzyknął ku skoczni.

— Ile?

W odpowiedzi usłyszał wymienioną ilość metrów i pochwałę.

— Wspaniale!! Lądowałeś nadzwyczajnie. Musisz tylko poprawić styl.

Alojz odetchnął przestrzenią, radością wielką, jak świat i z zachwytem zawołał ku ludziom i obłokom, świadkom jego zwycięstwa.

— Nic się teraz nie bałem. Jeszcze wam pokażę ja... ja będę...

Naprzelaj przez pola kuśtykał dziadyga, wracający z lasu, zgięty pod brzemieniem gałęzi przystawał, odpoczywał i oparty o pień, spoglądał na skocznię z oburzeniem.

— Próżniactwa się narobiło na świecie na taki ciężki czas, na taką bidę, weź siekirkę, narąb drew, ale żadnego nie nagoni do roboty, oj Boże, ej Boże, ino obraza Boska, ino zgorszenie. Chłopaki z nartami, dziewczuchy co innego, a wszystko do grzychu. No-szą pudła, hihhi jakiesi mandaliny i brzęcą. Weź ty kądziel, wrzecionko i kłaków, uprządz choć derkę. I ma być dobrze. Takie dzieci rozpustne — uważnie patrzył. — Widzi mi się, że i Alojzik hań skoko. E, chyba nie on. Ajno? nie on — przystonił dłonią oczy. — Ten gałgan wszędzie bywa. Ręce, nogi połamie i kuruj go. Kalietwo na całe życie przyniesie do chałpy. Gdzieby to dziecko za naszych czasów szło na takie zbytki. Szanowało buciętą, bo się ojca bało i nie było za co kupić — dziadek przyśpieszył kroku, coraz żwawiej wygrzebywał rozciapane chodaki ze śniegu i zdyszany, kipiąc gniewem, stanął za kępą właśnie wtedy, kiedy Alojz po odniesionem zwycięstwie dumnie spoglądał ku skoczni, a potem pochylił się, aby zdjąć narty. Stary cisnął naręcz, wyskoczył z zasadzki, krzepko chwycił wnuka za kark i położył na kolanie.

— Tuś, beskurcyjo!

— Dziadku, już nigdy — wrzasnął chłopak, fika-jąc nogami.

— Drzyj buty, drzyj łachy — dziadek rznął kijem bez złości, godnie, po gospodarsku. — Na wszystko sam

jeden nie nastarczę, za dużo na moje ręce. I córka i wnuki na mnie patrzą, dej, dej. Skąd brać? — Uderzenia przeplatał stękanem, za to, a za tamto. Końca nie było wyliczeń i przypomnień. — Za bułeczkę też dostaniesz, za dziadka, co go nie szanujesz, coś go kamieniami chciał wyprać, za każdziuskie dziesięcioro przykazań, co niemi grzyszysz też. Teraz żadne przykazanie nie będzie się na mnie gniwało, bo o każde się upominam — trzymając mocno, bił w dalszym ciągu statecznie, ale tęgo, aż do kości. — Matusi nie ma, to nikt przy twojej dupie nie będzie jojczył: tato, tato, zlitujcie się, tato, bo go przetrącicie, tato, skrzywdzicie go, przecie to dziecko. Ehe, dziecko, a taki pysk ma. Będziesz szanował starszego? będziesz mu bułcyny żałował? Będziesz kradł herbatę? W szkole na dziada cię kierują, a ty siebie na złodzieja. Jakbym ci kazował iść po wodę albo drew urąbać, tobyś nie poszedł, boby ci było zimno, hę? Na rozpustę to ci nie zimno.

— Puście, dziadku! ...najdroższy ...już nigdy. W rękę was pocałuję.

— Matki niema, to „dziadku najdroższy“, masz i za to, bąku zatracony. Będiesz ciskał kamieniami? Sam Pan Jezus przyprowadził cię pod moje pazdury, żebym ci grzyszne ścierwo zerznął, masz, masz z pomocą Bożą, co ci się sprawiedliwie należy.

Kto wie, jak długoby prał. Wreszcie Alojz zebrał siły i podrzutem mięśni wyszarpał się z paluchów, ale nie mógł uciekać, chwycił tylko oboma garściami zbite porcięta i zachlipał żałośnie.

— Olaboga! Olaboga! za coście mnie tak?

— Jeszcze ci dołożę — stary ocierał pot z czoła i groźnie wyciągał łapę ku chłopcu. — Alem się umę-

czył przez takiego gałgana. Zawdy na złość staremu, zawdy tak. Ej Boże, Boże! — dźwignął brzemię na plecy, narzekając na swoje dziadostwo. Kuśtykał, zapadał w zaspy i kwękał. — Robić się nie chce, ino figlów patrzy. Boga w sercu niema, tego tyle złości, telo paskudztwa. Takie terażniejsze dzieci. Dawniej bały się ojców, a teraz, Jezusie! nikogo.

— Nie macie do mnie nijakiego prawa — wrzasnął Alojz w stronę dziadka, ugniótł kulę śniegu, wziął rozmach, ale upuścił ją na ziemię. Porwał porzucone narty, nadział głębiej czapę i smarował ku skoczni, mało nóg nie połamał. Nie zwracał uwagi na drwiny. Każdemu zapłaciłby z miejsca pięścią. Szkoda mu było czasu. Kiedy stanął na rozbiegu w przepisowej postawie, wpatrzony w przestrzeń, zapomniał o awanturze, o kijach, o przekleństwach. Podmuchy uderzały w twarz, budząc zdrowe rumieńce. Podniecona krew waliła w żyłach. Alojz, zwarty w sobie, muskularny, strzelisty, krzyknął do wszystkich zgromadzonych i do tej starezej drobiny, wlokącej niedołącznie swój cień w słońcu, przygnieciony ciężarem lat i drzewa.

— Ja wam pokażę. Rekord wezmę, ino się wprawię.

Góry wokoło odpowiedziały mocnem echem.

Alojz, przewiany wiatrem i słońcem, śmiał się pełną piersią do śnieżnego świata. Uszczęśliwiony, nie wiedział, skąd w nim tyle wesela i tyle uniesień. W ciele, sprężonem do skoku, był pęd, odwaga, pewność zwycięstwa i radość, jakby pieśń wystrzelająca pod niebo ze wszystkich mięśni i kości.

XIX.

Władek wrócił późno więcej zharowany niż zwykle. Coś wychlipał i zaraz potem, siedząc w kącie, ponuro milczał. To znów ciskało go po izbie zimnej i pustej. Szukał zwady raz z Alojzem, raz ze Staszkiem. Zły był dzisiaj, jak wszystkie cholery. Dość miał tego. Dziadek Malinowski nieustannie go buntował, kusił, aby do niego przyszedł na służbę od nowego roku. Wiedzieli przecież, że robotny, że za starszego obstoi przy młocce i przy pługu.

— Żebyś u mnie był, tobyś se żył a żył, kupiłbym ci kabat, portki, kierpce, kapelusz, kamizelę, wiesz, komu dałbym do cyfrowania? — zamilkł, aby wywołać tem większe wrażenie — Jantkowi z Gabańki. Jemu.

— Kupilibyście? — olśniony obietnicami chłopak nie mógł ukryć zachwyty.

— Sprawiedliwie mówię, przeciężes wnuczek. Ino żebyś mi w gospodarce pomagał, bo już nie zdolę robić, a niczego z pazdurów nie chcę puścić. Nigdy nie zaznasz głodu, bo co będę miał, to się podzielę. A teraz co? przy matce naharujesz się i łacha ci nie sprawi.

— Grzech mamę opuszczać.

— Jak nie będzie nikogo przy niej, to łacniej gmina zawiezie do szpitala albo dziadek z równi zabiere do siebie, ehe, ehe, grajcarzy ma dość.

Władek dumiał, coraz bardziej rozdrażniony. Wszystko prawda. Cóż ma? Nagi, bosy, głodny. Uga-niaczka koło matki, sprzątanie może obmierznąć na zawsze.

Malinowska z niepokojem śledziła syna i usprawiedliwiała go matczynem sercem, że naugania się,

napracuje przez dzień, to nie dziwota, że zły. Mocnemu chłopu zabrakłoby siły i cierpliwości, a nie dziecku. Chcąc odwrócić uwagę od Władka, krzyknęła na hałasujących chłopców, aby zmówili pacierz i szli spać.

Staszek posłusznie klęknął z oczami utkwionymi w zamazanych obrazach. Alojz burknął buntowniczo, że ma jeszcze czas.

— Powiem dziadkowi — pogroziła matka.

— Dziadka się nie boję. Co mi zrobią — krnąbrnym głosem pokrywał lęk, bo odrazu osunął się na kolana, opierając łokcie o krawędź łóżka.

— Złóż ręce.

— Co złożę, to same się rozpletą, o widzicie, nijak nie chcą się trzymać.

— Trza cię kijem pacierza uczyć. Jak klęczysz? Mów głośno. Ojciec nasz, który jesteś w niebie... chleba naszego powszedniego... — mówiła wyraźnie, z przejęciem, duszą i nędznym ciałem ścieląc się w pokorze, w prochu przed świętem imieniem.

Staszek powtarzał wyrazy, jakby spożywał kęsy chleba, patrząc w Chrystusika, przybitego do ściany. Alojz trzepał prędko, aby zbyć, bo już powieki coraz niżej opadały, psoty gasły, zostawało znużenie i senność.

Układali się na barłogu, trwożnie się żegnając, bo myśleli, że dom w trzaski się rozleci, walony podmuchami. W mrokach łoskot za łoskotem, jakby ktoś tyśiące bram zatrząskiwał raz za razem. Przestwórz między niebem a ziemią fruwał wraz z zadymką. W kotłowisku wichura zbiegała z góry, po zmarzłych obszarach, wśród skomleń i gwizdów.

Chłopcy po chwilowym lęku, leżąc obok siebie, roz-

poczęli codzienną wojnę. Władek ciągnął ku sobie, Alojz ku sobie i stary kozuch chodził jakby żywy stwór wśród spychań i poszturkiwań. Malinowska upominała zgraję, na Boga zaklinała. Nic nie pomogło. Ucichli, aby zaraz wszczać awanturę. Niedługo. Alojz skulił się nagle i usnął, kolanami niemal dotykając brody, zapewne jeszcze raz przeżywał wspomnienie dziennych zdarzeń. Władek zamknął oczy, ale wzburzony nie spał.

Reszta ognia przez otwarte drzwiczki pieca rozświećlała mrok poto, aby można było widzieć zarysy dzieci, spoczywających pod szmatami, ich nędzę i twarze zmizerowane, a tak uśmiechnięte do snów, jedyne go ich na ziemi szczęścia.

Malinowska nie mogła zasnąć, wpatrzona w ciemności pełne grozy. Mocując się tylu myślami, usiłowała zmówić pacierz, który coś roztręcało.

Przejmujące głosy przeciągały przestworzami i nie można było poznać, czy to wiatr śpiewa pieśń bolejącej nocy, nigdy nie kończącą się, czy opuszczony dom płacze tą pieśnią. Rozwścieczone żywioły brały się za bary z drzewami, ze skałami. Po wielu napadach burza wyczerpana pełzała, skomląc, i legła pod przyciesią. Kiedy nabrała sił, wstrząsała wiązaniami świata, wspinała się po niewidzialnych schodach w niedościgłe wyżyny, zostawiając na zmarzniętej ziemi drzewa, chłostane rozmiotanemi konarami.

Malinowska wzlatywała razem z podmuchami pomiędzy pędzące chmury i spadała w ciemności, wymawiając struchlałemi wargami wyrazy pacierza. Zapomniała o sobie, o życiu, a kiedy się ocknęła z omamienia, przypominała sobie udrękę, czuła ból.

— Władziu!

Barłóg zachrząścił gwałtownie.

— Władziu — wymówiła nieco głośniejsze.

Chłopak głębiej się wsunął w fałdy szmat, w resztki kudłów kozucha, aby nie utracić zdobytego ciepła. Udawał, że nie słyszy. Wreszcie, zniecierpliwiony, podniósł rozczochrany łeb.

— Czego chcecie?

— Podłóż mi zagłówek pod krzyż, tak mnie ciało boli na ubitej słomie, że każde ździebełko mnie gniecie.

— Jestem taki zły.

— Czegoś, synu, taki zły?

— Już wam nieraz mówiłem, że jak legnę, to mnie nie wołajcie, nie będę się zrywał w taką zimnicę.

— Żebyś wiedział, jak mnie boli...

— Ani zjem, ani się ubierę, ino rób, rób.

— Co ja winna? powiedz, dziecko. Chciałabym, żeby było inaczej. Takie zrządzenie Boże.

— Babka też mówi, że nie muszę wam poprawiać po nocy, dziadek kazuje co innego. Oni was, oni was... z chałpy... wicie... boście taka...

— Babka ci tak mówi? a nie powiedzieli ci, niech matka nie płacze na dziecko?

— Od nowego roku strzelę wszyćkiem i pójdę w świat, wszędzie se znajdę robotę.

— Co ty... co ty mówisz, synu?

Władek wstał, zniecierpliwionymi rzutami poprawił barłóg, wepchnął szmatę pod obolały grzbiet i krzyknął brutalnie, jakby siekierą rąbnął w oczy, wpatrzone z miłością.

— Jużbyście raz umarli...

— Władziu! — zawołała z przerażeniem, aby nie

padło synowskie, najokrutniejsze przekleństwo. — Ino dlatego chcę żyć, żeby na was patrzeć.

— Zawdy się paprać w waszych gównach. Wy-
noś, sprzątaj, pierz, jużem cały zaśmierdział. Psia-
krew, jak chycę...

— Co mam robić? — patrząc na ramię syna, podniesione do uderzenia, zapytała bez złości. — Śmierć sobie zadać? Jak? rąc nie mam, nóg nie mam, ino wieczystą boleść. Panu Jezusowi chcę służyć, nie djabłowi. Nie dawałam sobie życia, nie mam prawa brać. Pan Jezus kazuje czekać, aż czas przyjdzie. Czekam woli Bożej. Mierzi cię? Weź siekierę, zarąb matkę, co umrzeć nie może, zarąb swojemi rączkami, com je urodziła i wychowała. Synu mój kochany — wypęczniały słowa, jedyne w tej chwili na całym świecie. Usłyszała, jak się odwrócił, zagrzebał w posłaniu, ściągnął z Alojza okrycie i chrząścił, rzucany gniewem po barłogu. — O Jezu miłosierny, dla nich chcę żyć, na nich chcę patrzeć, a one takie. Pragnę umrzeć, ino mi żal, bo zawdy dzieciom lżej przy matce. Matka z każdym dzieckiem choruje, z każdym umiera, ale dziecko tego nie widzi i nie czuje. Poco ma widzieć? poco ma czuć? — coraz bardziej rozżalona, płakała nad sobą, nad swoją nędzą, nad bezwładnym szkieletem, chcąc łzami zwilżyć i zmyć synowskie wyrazy, aby śladu z nich nie zostało na duszy. — Za com ja taka nieszczęśliwa, za co tak cierpię?

I wtedy zrodziło się przebaczenie, osuszające łzy, ciszące skargi. Serce matczyne, tak skrzywdzone, nie potępiło, ale wyszukiwało najtkliwsze słowa, aby wziąć w obronę syna.

— Nadźwiga się, namorduje w smrodzie, nie zje, to z czego ma mieć siły. Co się dziwić? Jezu! co się ze mną umęczy, co się nabidzi. Ludzie go nabuntują i mówi co bądź. Co ono winne, że ludzie takie złe. Ono dobre, ino czasem z żalu. Nie dziwota, nie dziwota.

Rodził się w niej bunt i bił ciosami pytań, wołań w pustkę nocy, dlaczego inni mogą pracować? za co ją Bóg tak srogo ukarał? dlaczego ona bez pociechy, Łazarz i nędzarz nad nędzarami? — Niepocieszona żadną odpowiedzią, opuszczona, płakała na barłogu tak cicho, żeby dzieci nie obudzić, żeby dzieci nie ujrzały matczynych łez.

XX.

Jeszcze od czasu do czasu wiatr zahuczał, strącał oberwane bryły mroku i roztrzaskiwał je. Między jednym napadem a drugim przeciągały głosy, jakby skargi i przekleństwa, pozbierane po świecie. Po takim wybuchu nastawała cisza. Wtedy podarte obłoki przemykały po sklepieniu w błyskach księżyca, pogrążanego w przepaściach, niby kry płynące po przezroczystej, srebrnej wodzie.

Malinowska, wewnątrz zbudowana, już się nie modliła, zasłuchana w podmuchy wichury, odlatującej w głębie nocy, i wpatrzona w czeluść nieba.

Coś trzasnęło poza ścianą. Ktoś chodził, stopami rozgniatał resztki pozostałej zadymki i utknął niedaleko. Z ciemności, z burzy wypełził człowiek, jakby z czarnego głazu wyrąbany. Przywarł do szyby. Malinowska najwyraźniej odróżniła kształt głowy, bar-

ki szeroko zasłaniające okno. Usta do krzyku się składały a ledwo wydyszały.

— Władziu, ktoś łązi kole domu.

Chłopak głośniejsz zachrapał w odpowiedzi. Bartłóg zachrząsał.

— Poco go budzić? Znowu mnie zeklnie i sprzeżywa. Ino w spaniu dziecko matki nie skrzywdzi. Niech śpi. Jaka to pomana łązi? Może za złodziejstwem? Nic nie ukradnie, bo co? Może to Biel — zachłysnęła się niespodziewanem pytaniem. — Na źle chce zrobić. Od niego same nieszczęścia. Pewnie on...

Wiatr narastał, przepływał i cichł za węglem. Noc ułożyła się na ziemi, drząc gałęziami drzew, wspomnieniem podmuchów.

Malinowska usiłowała zawołać, czego chce ów zabłąkany cień. Niech ją w dzień nawiedzi, to wtedy zobaczy jej mękę, poczętą z jego przekleństwa. Tajemnicza postać oderwała się od okna i cofnęła w mrok. Kroki odchodzące zaskrzypiały i zgłuchły w śniegu.

— Już poszedł — szepnęła z ulgą — sumienie go gryzie i tu go przywodzi. Nie może sobie miejsca znaleźć. Żebyś ty jeden dzień tak przeżył, jak ja, tobyś nigdy nie krzywdził ludzi.

Biel nie mógł stąd odejść, wrastał stopami, ukryty wśród drzew, to błędził wokoło, czasem zrobił ruch, aby się cofnąć, iść ku zamkniętym drzwiom, obudzić ludzi i wyznać postanowiony grzech. Jednakże nie wrócił ku domowi Malinowskiej, przeciął podwórze, skręcił wbok, wydostał się z ogrodu, ruszył naprzecią przez kępy, skłębione na miedzach, przez sterty kamieni, wyoranych pługiem. Przez tę

drogę potykał się, upadał, wtedy nieruchomiał, niejako wrastał obu rękami w zamarzłą ziemię i coś niewyraźnie mamrotał. Niewidzialne przeszkody podnosił i odrzucał, jakby zawadzające skiby i brózdy. Wzmoczony napływem sił, wstał i już bez wahań, bezwzględnie podążył ku celowi. Wstąpił na najkrótszą ścieżkę, tak że wkrótce dom wyszedł naprzeciw. Wślizgnął się na obejście przez otwartą furtkę. Zaczął żwawo się krzątać. Założył skobel, wepchnął go głęboko i kołkiem zacisnął, aby nikt drzwi nie otworzył. Przemknął ku oknu. Z pod kapoty wydobył siekierę, ostrożnie oparł o przycieś. Żelazo stopiło się z ciemnością, tylko toporzysko ledwo zabielało, zdradzając swoją obecność. Biel zmierzył odległość.

— Wypieką się cholery, tu stanę, a będą wyskakiwać, to — oczy zamigotały, jakby ostrze zaśniło w ogniu — obuchem przez łeb.

Po dokonaniu tego następne ruchy miał opanowane, wymierzone, niejako już oddawna przygotowane i urzeczywistnione. Gdy ręce na chwilę zmartwiały, zaraz się budziły i spełniały rozkazy pod przymusem woli, nie znoszącej sprzeciwów. Kiedy klęczał pochylony, niemoc nagle wyrosła, rozprzegła członki, wszystko wymknęło się ze zwiotczonych dłoni i znów Biel zaszcząkał zębami bez wydania głosu, czołem oparł się o zrąb, rozpostarł ramiona, jakby własny dom chciał przygarnąć w uścisku; sprawiał wrażenie ukrzyżowanego, przybitego do ściany. Targnięty wstrząsem, oddzierał się od belek i z wysiłkiem czynił, co należało. Dygocącymi paluchami wyciągnął z kieszeni kłęb suchego mchu, trochę patyków i wetknął między węgły, owiane bielą. Kapotą zakrył rozjarzoną zapałkę, aby podmuch jej nie zgasił.

Chwiejny płomyk swobodnie trysnął z garści, wbiegł w przygotowaną podpałkę i owinał się dymem, trzaskając rażąco. Coś go stłumiło. Można było sądzić, że zgasł i że człowiek już nie będzie miał tyle siły, aby rozpałić drugi raz. Jednakże wątyl języczek roz błysnął, wystrzelił i zaczął lizać drzewo. Kilka płomyków zerwało się swawolnie, wracało, wskakiwało w głąb, jakby rozweselone duchy ognia igrały, bawiły się, przeskakując w szumie złotym i różowym. Śnieg topniał, ściekał kroplami, jakby dom nagle zaczął płakać rzęsimi łzami.

— Za moją krzywdę — w tym szepcie Biel wydał ostatnie ludzkie technienie.

Zar oświecił pochyloną twarz, która nabiegła krwią. Wargi buchały czerwonym śmiechem, wyrwanym z rozdętych piersi.

— Widzita... ojca wyganiać... na ojca rękę podnosić... mota zapłatę za wszystko...

Oczy sypały spojrzenia, mogące palić i zabijać.

Wiatr rozmiatał pierzechliwe języki, podsycił je.

Biel, stanąwszy pod oknem, ujął siekiere, która przylegała do dłoni, stopiła się z nią, tworząc nierozdzielalną całość. Kiedy ją uniósł do ciosu, ostrze złowrogo zabłysło w świetle, jakby się oblało ludzką krwią. Z głębi izby dochodziły odgłosy spokojnego snu, chrapanie odpoczywających pod opieką obrazów i pasyjek, chrzęst barłogu od ciał, przewracających się z boku na bok.

— Zdechnieta pod płotem. Torby wam pożyczę, coście mi dali. Masz dziada. Razem pójdziemy teraz.

Ściana już się zajmowała, dymiąc, skwiercząc w zawiei luny. Coś w głębi zatrzeszczało, jakby złamana kość żyjącej istoty.

— Jezu! Jezu! to ja — skowyt rozszarpał pier-
 si — budowałem — palce rozkurczyły się i wypu-
 ściły toporzysko. Ramię opadło, jakby je ktoś od-
 rąbał. Ogromny, tyloletni ciężar runął na barki. Ka-
 mienie na podwaliny wyłamywał z tamtego urwiska,
 drzewo na budowę tam ścinał. Każde bierwiono prze-
 żyło razem z nim dzieje wysiłków i zmagañ. Na je-
 go, tych oto rękach, tak niezmordowanych, zacie-
 kłych, upartych rósł dom. Trzecia belka, naznaczona
 nacięciem siekiery, przygniotła go w czasie budo-
 wania przed samym wieczorem. Nie wołał o pomoc,
 ale zaciskając zęby, wygrzebał się z pod niej. Wspo-
 mnienie owego zdarzenia teraz narwało złamane
 wówczas żebro. Rozpostarty spoczywa w zrębie, zmie-
 niony w pnie, związane na węgiel, a ścięгна, mięśnie,
 kości trzeszczą, wiją się w drgawkach. To nie dom.
 to on się pali, to nie ogień, to z bierwion smreko-
 wych wytryska krew, jego krew. Za chwilę runi
 powała, dach i przygniotą go, aby zdechł pogrze-
 bany w popiele i żarze. Wrzask wydarł się z pod
 rozmiotanych płomieni, z pod sterty zwęglonych be-
 lek. To nie człowiek, to podpalony dom zawył ludz-
 kim głosem.

— Ratunku! ratunku! Ludzie! Ludzie!

Wygniecione pięścią szyby rozprysły się i dźwię-
 kły okruchami. Syn wyskoczył przez okno i stęzał
 porażony. Biel nie widział go, runął na ogień, gasił
 rozczapierzonemi paluchami, ubraniem, ciałem, nie
 czując bólu, nie słysząc skwierczącej skóry. Oszałały
 jęczał niezrozumiałemi wyrazami.

Odblask łuny powiał po szybach domu Malinow-
 skiej i zaróżowił izbę. Chora zaczęła wołać na dzieci.

Głosu brak. Imię wykrzyczane zmieniał się w dygot warg.

— Władziu, nie do siebie cię wołam, ino do nie-szczęścia.

Chłopak poderwał się, siadł na posłaniu, kułakami tarł zaspane oczy i mamrotał.

— Co chcecie? Czego wołacie? Ale mnie trapiło śnisko.

— Wyźryj na dwór, chyba się pali Bielka, patrz, widno w izbie.

Wyprysł z barłogu, cisnął na plecy kapotę i wyskoczył przed dom. W obudzonych oknach zjawiały się lampy. Ludzie wybiegali boso, w koszulach, to nawpół ubrani, w rozbłyskach światła zmieniali się w wydłużone, czarne cienie, z zaciekłością rzucające się po ziemi, na przestrzeni od studni do domu. Strugi z konewek, chlustające na ściany, sprawiały wrażenie, że to połyskliwe srebro wytryskuje z pękającej ciemności. Władek widział czerwone miejsca zgorzeli, jakby rany, krwawiące wśród nocy, w szaleńczym pośpiechu zalewane. Zawrócił do izby i ciemniejszą pustką wykrzyknął ku matce.

— Ten cholera Biel podpalił swoje budy. Wnetki już ugaszą.

— Jezu! zawdy przez niego wszyćko złe.

Władek gorączkowo nazuł kierpce, wciągnął spodnie, chwycił wiadro i przepadł między zabudowaniami.

Z mroku wynikały coraz inne postacie, śpieszące z ratunkiem, krzyki i przekleństwa lamentujących bab.

— Ażeby... ażeby... ręce i nogi...

— Mógł wszyćkich wypalić. Żeby nie doczekał tej godziny.

— Kara Boża!

Władek mijał pomsty i płacze, biegł do studni, czerpał wodę, niósł pomoc, aż wkońcu wiadro wyslizgiwało się z garści. Zupełnie wyczerpany, stanął pod płotem wśród milczącej gromady. Ściana opalona czerniła się na wielkiej połaci, jeszcze pryskając, jakby się łuszczyła żarem i węglem. Czasem zadrżał utajony płomyk, przemknął tchnieniem i zniknął zwiany.

Biel dopiero teraz się dźwignął; obszarpany, okopcony spojrział wokoło nieprzytomnie i zobaczył nie ludzi żyjących, nie drzewa, nie domy, ale ich majaki. Zwisł, zsunął się pod przycieś i zapłakał w zwęglone bierwiona.

— Wydarli mi wszyćko, ja kalika jeden na świecie, już nigdy nie przyjdę do nieczego.

Oderwał się od ściany, wyprostowany wyrósł do olbrzymich rozmiarów, zrobił w powietrzu krzyż obrzękłymi palcami, jakby przerąbywał mrok.

— Ino ciebie błogosławię, domu mi szkoda, boś ty najbliższy.

Powoli się odwrócił i podobny do dymiącego widma, patrzył oczami bez dna na synów, żonę, na sąsiadów, zmartwiałych, zaciskających kołki, wyłamane z płotu. Obcy mu byli wobec ziemi, z której go wyrzucono, wobec domu, który budował poto, aby zostać bez dachu. Obudził go zgrzyt zębów i stukot kulików, dygocących w garściach. Stanął naprzeciw wrogów. Piersi, szeroko rozdymane naporem krwi i niewyjawionego głosu, chwytaly oddechy, wydierane powietrzu. Dzikimi spojrzeniami bódł każ-

dego pokolei i czekał. Nagle rozdarł tlejące łachy zaciekłym ruchem, obnażył poparzone ciało.

— Ja haw stoję. Słyszycie! Czego się patrzyta? Cholery!

Uragliwy tłukł ślepiami po kulakach, po pyskach, z chichotem przymykając powieki. Ujrzał to, czego pragnął. Ktoś wyskoczył z gromady, wziął rozmach, podniósł pałę. Grzmotnął. Biel ugodzony padł na kolana, twarzą uderzył w ziemię i dyszał, a może w owem dyszeniu oddychał chłopską boleścią.

— Zatluczta. Tylem wart. Zakatujta.

Oderwał łeb, dźwignął go, spojrzał po zebranych i wyszeptał spękanemi wargami cicho, a tak przejmująco:

— Zabijta!

Ta prośba, niespodziana w tej chwili, tak tragiczna, wstrząsnęła gromadą. Rozprężyły się garście, już gotowe chwycić za gardziel, z zeszywniałych palców wysunęły się grudy, spadające z łoskotem niby skamieniały pot.

Biel nie głosem, ale skureczami ciała, każdą drgającą żyłą błagał, aby chwycili zpowrotem bryły, kołki i pogruchotali jego czerep.

— Niech umrę na swojej gospodarce.

Zdawało się, że ciemność, odepchnięta jego oszałamym wzrokiem, poruszyła się razem z ludźmi, którzy drgnęli, cofnęli się zwartym szeregiem i znów znieruchomieli przed widmem, przed bryłą sterczącą w mroku, skarżącą się, błagającą ochrypłym głosem.

— Nie bójta się. Zabijta.

Biel usiłował wstać, mocował się z ziemią, w której tkwił wkorzeniony kolanami. Wkońcu wykarcz-

wał siebie, niejako wydarł z gleby. Kiedy się poruszył, przestały bić serca, piersi oddychać.

Zadrzała potrącona gałąź. Rozprysło zmarznęte powietrze. Zachręściła rozdarta noc. W ciszy wyraźnie chrobotaty odchodzące kroki, wygniatające ślady w śniegu. Z mijanych okien wypływały smugi światła, skakały po zgarbionej postaci, okazując poparzone, obrzmiałe ręce, opuchłą, skrzepłą i umarłą twarz, podarte łachy, jeszcze dymiące.

— Tato!

Najmłodszy syn roztrącił obecnych, zabiegł drogę i wisł na ojcowskich piersiach, łkając jedno imię.

— Tato!

Ręka ojca spoczęła na głowie dziecka, zadrgała kurczowo i zaraz pozostała obojętna. Biel bez słowa z wysiłkiem oddzierał go od siebie i odtrącał. Syn odepchnięty padł wpoprzek drogi, którą ojciec przekroczył i podeptał.

— I tyś mi nie niewart.

Gdzieś jeszcze wyblęzło światło po raz ostatni i wyjawilo dwie postacie, jedną odrzuconą, wstrząsaną szlochem, drugą idącą samotnie w szeroki, pusty świat. Biel bezbronny minął nieme groźby wrogiej gromady i ciężko stąpając, deptał kępy, rosnące na czyichś miedzach, sterty kamieni, wyszarpane z gleby. Mijał brózdy, skiby, zagony. Nie zdawał sobie sprawy, dokąd pójdzie, gdzie spocznie, wiedział tylko to, że tu jego ziemia przez tyle lat obrabiana, którą opuszcza wygnany. Poprzez śnieg stopami ją widział, wyczuwał i poznawał.

— Tato! tato! — zawołała synowskim głosem noc. Ten synowski głos poszedł za ojcem jak wierny

pies, doganiał go i choć odpędzany, powielekroć przypadał.

Biel chwycił się za gardziel, potem za pierś, coś chciał w sobie zadusić, a może tylko przytulić ostatnie wołanie, kiedy odchodził, przeklęty przez wszystkich. Nie zawrócił, nie przystanął. Przepadł, zginął bezdomny nędzarz, tylko w śniegu pozostawił ślady chodaków, po których powędrował ponury wzrok ludzi, stężałych z przerażenia.

Czyjeś palce zadygotały na czole i zastygły.

— Od powietrza, głodu, ognia i wojny...

Porzucona w ciemności siekiera, niepotrzebna teraz, wyblyskiwała, ilekroć padało przechodzące światło, i wyjawiała prawdę tego, co się miało stać. Bielowa porwała ją za toporzysko i potrząsnęła w powietrzu.

— Widzieliście, ludzie! chciał nas wypalić i wyzabijać. Babry na nas też zakładał, kiej się krowa celiła. Trza było zabić jancykrysta.

Ludzie cofali się do zimnych sieni przed majakiem tamtego człowieka i jej głosu. Z pośpiechem zatrzaskiwali drzwi, gasili lampy.

Biel wszedł w mroczną nieskończoność. Nikt nie widział, że usunął się na stertę napotkanych kamieni, złamany, pognębiony, wrósł w nie z głową, wspartą na opuchłych rękach. Samotny głos targnął nocą. Nikt nie słyszał tego głosu, nikt nie zbliżył się ku niemu. Został sam jeden na świecie ze swoją zemstą i z ludzkim przekleństwem.

XXI.

Na okręgowych zawodach narciarskich zapowiedziane biegi dzieci szkolnych wzbudziły powszechne zaniepokojenie. Prace przygotowawcze trwały od dość dawna. Oczywiście, że Alojz brał w nich udział, wciągnięty przez trenera, zachwyconego wynikami jego ćwiczeń. Nieraz stawał przed oknem, w którym wystawione były puchary, nagrody dla zwycięzców i w zachwycie szeptał.

— Muszę zdobyć. Cobym nie zdobył.

Długo przed rozpoczęciem widzowie zalali równinę, przylegającą do skoczni. Wiatr wydymał rozpostartą płachtę z napisem „Start“, aż wypreżone sznury skrzypiały, nie mogąc wstrzymać naporu. Na bramie z pni smrekowych trzepotały proporcezki klubów, biorących udział. Za każdym podmuchem zwiły się niebieskie, żółte, zielone płatki i rozwijały, okazując różnokolorowe znaki.

Nikt nie umiał uporządkować i ująć w ręce bieganiny i zamętu. W nawoływaniach, w zgiełku miotał się kierownik zawodów, roznosząc znaczenie swej osoby i krzykiem zwracając uwagę na doniosłość ciążących na nim zadań.

— Wszystkiemu nie podołam. Trudno. Za dużo na jednego. Za du-żo!! Brak zmysłu or-ga-ni-za-cyj-ne-go i dys-cy-pli-ny. Przerost ambicji, każdy chce przeprowadzić. Umywam ręce — wykonał ruch, jakby świat był miednicą pełną wody, która możeby mu wystarczyła do uskutecznienia tej niezmiernie ważnej czynności. — Nikt, formalnie nikt, nikt nie chce pomóc. Zaszczyty, bankiety, to tak, ale do żmudnej pracy niema nikogo.

— Sami robicie bałagan.

— Wypraszam sobie. Zrzucam z siebie... Krytykować to każdy umie, ale...

O mało nie przyszło do kłótni, jednakże napływający tłum rozerwał powaśnionych i zgłuszył zachrypnięte głosy.

Alojz z nartami przepychał się ku budzie, zbitej z desek, przy której rozdawano numery porządkowe, rano wylosowane. Ktoś wskazał mu miejsce, gdzie ma czekać na rozpoczęcie. Podnieceni zawodnicy, oparci na kijkach, czując spojrzenia widzów, podziwiających budowę i przepowiadających prawdopodobieństwo zwycięstwa, puszyli się, głowy zadzierali, jak koguty.

— Jakby na nartach się urodzili, co za ruch, co za rzut.

— Świetny narybek. Z nich będzie pociecha, bo ci starsi, ech — pogardliwe machnięcie ręką kończyło zdanie. — Bez znaczenia.

— No, do niczego. Ci, to nasza przyszłość i duma. Musimy wychować nowe zastępy, aby za-im-po-nować Europie — dwa ostatnie wyrazy wzdęły się, jak balony pomykające w przestrzeń.

— Europie i światu!! — ktoś dodał.

— Na nas patrzą. Oto gwiazdy. Nasza przyszłość w sporcie.

Niektórzy wyróżnili rośłego, barczystego Alojza.

— No ten chyba da bobu innym.

Istotnie, pośród błękitnych spodni, wiatrówek, pullowerów zwracał uwagę wełnianem, góralskiem ubraniem, kryjącem mięśnie, napięte na najwyższy wysiłek.

— Muszę być pierwszy.

Inni z lekceważeniem oceniali go.

— Chuderlawy, sił mu nie starczy, no i sprzęt pozostawia wiele do życzenia. Złe odżywianie zawodników zabija nasz sport!! Zawsze napominam, ale mój głos jest wołaniem na puszczy.

— Dobrze dać jeść.

— O! właśnie! o właśnie! — dumnie zagdakali.—
W przeciwnym razie nie ręczymy.

Nauczycielka, choć bardzo złośliwie wyrażała się o rekordach, o t. zw. wychowaniu sportowem, wykoszlawiającem duszę i ciało, to jednak dzisiaj uległa ogólnemu nastrojowi dlatego tylko, że w nartach pokładała wielkie nadzieje, gdyż one wyrzuciły skarłałe dzieci z cuchnących izb na śnieg. Ożywiona, zapalona, żwawo przemierzała przestrzeń, wszędzie była, głównie zaś krążyła wśród swoich uczniów. Dłużej rozmawiała z Alojzem. Położyła rękę na jego ramieniu i patrząc w oczy, wyrzekła z mocą.

— Wierzę w ciebie.

Kierownik szkoły, obnoszący godność swego stanowiska, dostojnie, a skąpo przemówił, jakby arcykapłan rozdzielający skarby, do Alojza rozgrzanego pochwałami.

— Malinowski, pamiętaj, honor szkoły spoczywa na tobie.

Pokazywano trasę, wyznaczoną chorągiewkami, biegnącą zboczem, ginącą za krzakami. Wymieniano ilość zjazdów, podbiegów. Objasnienie kończono groźnym okrzykiem.

— Tam sakramencka góra, trzeba wylazić z ozorem na piętach.

Poszczególni zawodnicy opatrywali narty, nacierali łożem, świeczkami, łyskając wyślizganym spodem, jak zwierciadłem.

— Fajn pójdą po śniegu.

Wszyscy zerwali się, kiedy wypadł rozkaz roznieśiony przez tubę: „na start“. Stanęli w długim szeregu.

Kierownik zawodów, spocony, wlepiając oczy w tarczę zegarka, zdartym głosem liczył — „sześć, pięć, cztery — uwaga — dwa, hop!“ — równocześnie klapnął w ramię, jakby trzasnął batem.

Chłopak gotowy do biegu, pchnięty rozkazem, strzelił naprzód a na jego miejsce podjeżdżał następny.

...sześć... trzy... dwa... jazda — jakby tykanie mijanych sekund zmieniało się w głos ludzki.

Alojz jeden z ostatnich wybiegł ze startu, wziął ostry zakręt, zatoczył łuk świetnie i na pożegnanie błysnął czarną liczbą 30, wiszącą na plecach.

Różnokolorowe koszulki, wspinające się po zboczy, tworzyły łańcuch z postaci, równo rozstawionych. Ten łańcuch wkrótce zaczął się wyginać, kruszyć, rozpadać i odrzucać pojedyncze ogniwa.

Trasa kilkukilometrowa biegła pod górę, dosięgała szczytu, opadała w kotlinę wzdłuż potoku, stąd wspinała się na następny szczyt, aby po urwistej ścianie runąć wdół, okrążyć sfalowane pola, przeskoczyć niezbyt wysokie wzniesienia i wjechać po dość znacznej spadzistości w metę. Co kilkanaście kroków trzepotały chorągiewki. Wiatr, tnący od spodu, wyrywał je, ciskał w śnieg ich czerwień, jakby skrzwione ptaki, poruszające skrzydłami. Zawodników pchała wściekła moc.

— Nie ustąpię, muszę zwyciężyć.

Raz — dwa, raz — dwa, mechaniczne ruchy nóg.

Alojz stawiał z rozmachem kroki, drapiąc się wytrwale, bez zmęczenia pod górę. Oddychał szeroko, jakby zagarniał w płuca mroźny poranek, przestrzeń z błękitów i złota. Zdrowa krew przelewała się przez ciało, jak ogień. Gdzie spojrzał, wszędzie widział narty, mające przypaść w nagrodzie zwycięzcy, i szeptał do nich.

— Muszą być moje.

Niosła go niezachwiana świadomość, że zwycięży. W kościach, w mięśniach miał rozkaz: jeszcze pod ten pagórek, pod tamten, na szczyt, a potem hura, wdół. Podrzucany sprężeniem, przeskakiwał kępy, chlustał popod gałęzie, zgięte okiścią. Drzewa wybiegały naprzeciw, pędził ku nim, mijał. Ktoś go wyprzedził. Oczami, zalewanymi kroplistym potem, zobaczył przed sobą czarną liczbę.

— Rany Boskie, przepadną narty.

Pragnienie podżegające: dotrzeć, zrównać się, minąć i walić naprzód! Siły w nim skrzepty i wybuchały energją i wolą. Alojz rozgrzany przeorywał zasy; gdzie było potrzeba, przeginał się, przechylał, bezwiednie naśladował ruchy ptaka w locie. Las z nim gnał w pościgu, pniak za pniakiem.

Zaczynał się ciężki teren. Trasa zakreślała szeroką linię urwistem zboczem między krzakami, omijała skalne występy i stąd darła się po stromej ścianie. Alojz niemal pazurami orał, wbijał się w przestrzeń, przełamywał zapory, z zaciekłością zdobywał wyjście, jakby chciał w litym kamieniu wyrąbać ścieżkę, wiodącą do zwycięstwa. Na kontrolnych

miejscach, bardzo rzadko rozstawionych, ktoś go podniecał.

— Świetny masz czas, bąku. Nie zmyl drogi. Przed tobą jeszcze trzech. Wal.

— To ja? to ja nie wygram? — nie miał czasu zapytać, bo znów zatrzepotały czerwone chorągiewki, bo znów rozpościerała się pustka, oślepiająca światłem. — Tędy! — nie zboczyć!

Minął zawodnika, inny opodał kuśtykał na nartach, trzymając drugą złamaną pod pachą. Ktoś przed nim padł. Obłok sypkiego śniegu wzleciał w powietrze.

— Huha!

Alojz stanął na szczycie. Twarz, wysmaganą pędem, zwrócił ku ogromowi górskiego świata. Oddychał, wsparty na kijach. Kiedy odpoczął, oczami zatoczył krąg po bezmiarach piękna i bezwiednie wyrzucił krzyk, a w nim uszczęśliwioną duszę. Odbić się i runąć w przestrzeń. Powietrze, błękit nieba, biel śniegu, góry, mroźne podmuchy stopiły się w jedno: w radość pędu.

Stąd rozciągał się niezwykle widok. Pieniny, zamarte w zimowym pięknie, budziły podziw i uwielbienie. Ściany Sokolicy, Trzech Koron, spadzisto zrąbane, błyszcząły oksydowanem srebrem, a na wystęпах kamiennych gdzie niegdzie tkwiły smrekki niby słupy zielonych płomieni, wybuchających z osierdzia skał. Na Dunajcu zapalały się złote połyski, to znów powiewy pokruszonego światła. Przez przejrzyste powietrze rysowały się poszarpane Tatry, poszczerbione brózdami niby ogromna rzeźba z kryształów zastygłych w niebie.

Alojz spojrział na Tatry, nie widząc ich. Narty

ślizgały się i poniosły go dalej do spodziewanego zwycięstwa. Gile spłoszone zatrzepotały, zakwitły jak błędne ogniki i przepadły w gęstwinie. Zając chlusnął z pod kępy, sadził olbrzymiemi skokami, pyląc obłóczkami kurzawy, zostawiając na puszystej powłoce wyciśniętą koronkę śladów. Dopiero na odległym groniku zastygł, tworząc śliczną rzeźbę. Obrazy przemijały bez wrażenia. Alojz gdzieby miał ochotę i czas patrzeć i podziwiać, oślepiony, ogłuszony, opanowany myślą: narty. Przeskakiwał przełęcz, rowy, wbiegał na pagórki. Raz las gnał za nim, drugi raz przed nim. Górą wiatr huczał i świstał, dołem śnieg chrzęścił i szumiał. Po gładkiej gołoledzi, jakby po zamarzłej strudze słońca mignął błysk jego cienia, lot jego nart. Po minięciu niebezpiecznego miejsca powoli się posuwał po śniegu, spiętrzonej zaspami. Ciało jego było jak sam płomień, wystrzelający z ziemi i rozmiotany na wietrze. Ruchy, co chciały, to czyniły. Raz tylko szpetnie zaklął, kiedy odbił się od podłoża, aby dosięgnąć naznaczonego miejsca, i runął w pościel, aż wzbiła się kurzawa, jakby wytrysk białej wody, kiedy kamień padnie w toń.

— Psiakrew, alem wyrnął — parsknął i wystrze-
lił obielony.

Przeorał jeszcze niejedną zaspę, stawał w niejednej zadymce z bieli i tęczy. Zatrzymał się, aby zbadać, kto za nim pędzi. Na śniegu znać było dwie brózdki błękitniejącego cienia, zasypane migocącymi okruciami. Chorągiewki zatraciły się, może wiatr wyrwał, może zadymka wczorajsza zasypała. Przeraziło go przypuszczenie, że pewnie pobłądził. Znał te lasy i zbocza, przecież tutaj pasł krowy z Tonia-

lanką. Przypomniął sobie chwile z nią spędzone. Kępy i drzewa przemówiły nie ogołoconemi w zimie gałęziami, lecz szmerem wiosennych liści.

— Hanuś!

Podjejrzliwie, a bacznie się obejrzał, czy ktoś nie śledzi go, i chrast, rznął wdół naprzelaj, klucząc pomiędzy krzakami. Gałęzie chlastały boleśnie. Nie czuł i nie widział. Wiedział, że należy zrobić długi łuk, on jednak skrócił bieg, ucinając kawał odległości. Zrazu ogarniał go lęk, że może ktoś spostrzegł zbrodnię, wkrótce nabrał otuchy i bez zatrzymania gnał. Brał pod narty zasy, kępy, sterty, wzgórze, doliny; pędem rozrywał mroźne powietrze, ścianę lasu, szum wiatru. W czasie jazdy śnieżny pył, rozprysnięte grudki, osiadały na nogawicach, na plecach, wnikały w fałdy, tworząc powłokę szronu, natomiast topniały na rozgorączkowanej twarzy, spływając rzęsiestemi strugami. Alojz co chwila ocierał łapą ten piekący deszcz, zalewający oczy. Pod koniec biegu musiał odpocząć. Krew waliła potężnymi łoskotami, mało tętnic nie rozsadziła. Ciało zlewał nie pot, ale ogień. Miał ostatni, najuciążliwszy odcinek. Po nabraniu sił mijał zbocze, pokryte szklivem. Poślizgnął się na smudze lodu, połyskującego słońcem. Przekoziółkował się i spoczął w zaspie. Oderwane narty odprysły od chodaków, odrzucone na boki. Alojz z trudem wyciągał najpierw rękę, potem nogę, pozbierał potłuczone kości. Stęknął przy pierwszym kroku.

— Uf, boli ścierwo — przeraziła go myśl, że nie weźmie udziału w dalszych rozgrywkach. — Rany Boskie! — jęknął. Stał obezwładniony i pogruchotany. Zaciskając zęby z bólu, odepchnął się kijkami. Po kilkakrotnych nadludzkich wysiłkach wpadł w dawny

rytm — raz dwa, — raz dwa. Zdobywał urwiste zbocze pazurami, rozdzierał wyczerpanem ciałem zgęstniałe powietrze, które na dalszych kilometrach zawadzało, kamieniało, stwarzając z cieni i ze złota blasku przeszkody, spiętrzone wały.

Ani razu nie spojrzał wdół, gdzie publiczność z napiętą uwagą śledziła początek i rozwój biegu. Setki oczu widziały łańcuch zawodników z wysiłkiem wspinających się, później pojedynczo przepadających w lesie i znów wybiegających na otwartą przestrzeń. Czarne kreski mknących cieni przecinały oświetlone arkusze bieli.

— Widać! świetnie widać — o tam — głośno witano zjawienie się zawodników.

— Ciężka trasa, — gorszył się fachowiec — takimi chodrygami jechać, to Jezus Marja. Rzadko który nie wypompuje. Też był pomysł taką wytyczać dla smarkaczy.

— Zaprawa, panie, zaprawa. Moc ducha wyrabiać. Dość niedołęstwa. Pokonywać przeszkody, w życie iść z pazurami — zasapany, dychawiczny, nie mogąc chwycić tchu, patetycznie głosił hasła żarliwy zwolennik trudów, kuśtykający na jednej nodze od gromadki do gromadki. — Precz ze ślamazarstwem.

Rozgorączkowany tłum przerzucił się na wzgórze, skąd rozpościerał się szerszy widok. Kilkunastu chłopaków wlaźło na drzewo i obległo gałęzie. W powietrzu migały liczby, zmienione w okrzyki.

— Siódemka!

— Jedynka!

— Czwórka! No, ale bije jeden za drugim!!!

— Gdzie trzydziestka — szczerze zatroskana nau-

czycielka daremnie szukała znaku swego ucznia. — Czyżby?...

— To patałach. Nie warto o nim wspominać. Zaraz mówiłem, do niczego, hohoho, ja mam oczko.

Pręciki zawodników przepadały w lotnych obłokach, pędziły po połyskliwym szkliwie i ginęły, stopione z niebem. Długi czas nie było widać nikogo, bo trasa kryła się wśród sfalowanych wzgórz, aż niespodziewanie z drugiej strony wykwitły koszulki na bieli śniegu i z zieleni lasu wyskoczyły pojedynczo.

I wtedy, to nie zebrani ludzie, ale góra dźwignęła się na palcach, aby z zapartym tchem tysiącem oczu śledzić końcowy bieg. Na ostatnim odcinku trasy szli dwaj zawodnicy, narta przy narcie, kij przy kiju. Tak na długiej przestrzeni ze sobą związani. Ich ruchy były jednakie. Wreszcie któryś z rozmachem chlusnął naprzód, strzelił susami i grzał jak na skrzydłach.

— Nawalił go.

— Który numer?

— Trzy — trzy — nie można poznać — wyężano wzrok. — Ależ to niemożliwe, przecież trzydziestka była między ostatnimi.

Z wielu miejsc zerwał się krzyk: Wal!!! prędzej!! Wsadź w zad 10 HP, to dojedziesz!

Alojz z góry zobaczył metę, związaną z kilku kresek i nieprzeliczone kropki, jakby to nie wrzeszczący tłum, ale mrowisko ruchliwych much grzebało się w bieli. Widniejąca brama rosła, przybierała swój właściwy kształt i rozmiar. Napis na płachcie wyraźnie trzepotał w powietrzu i ginął we wgłębieniu. Alojza zrywał pęd. Rozdzierane powietrze chlastało po twarzy zmarzniętymi batami. Pędził na przodzie zwycięski, a dopiero daleko za nim pełzała reszta, jakby

wleczone szmata. Ostatni wysiłek, ostatni rzut i wpadł w środek oklasków, zmienionych w huczący żywioł. Zdawało się, że huragan okrzyków na chwałę zwycięzcy zdmuchnął go z powierzchni i uniósł dogóry.

— Triumfator!!

— Rekord! Rekord! To nasz przyszły mistrz! Chwała polskiego sportu!

Wisząc na rękach, okrzykach i oklaskach, spojrzął na przebytą trasę, zobaczył brózdy, wyciśnięte w śniegu, którymi przepasał dal, związał początek biegu z ogólną radością i ze zwycięstwem.

Obliczenia były niepotrzebne. Bez żadnych wątpliwości zdobył pierwsze miejsce.

— Patrz, gdzie są tamci, hohoho, ani nie widać.

Alojz odrywał szron z włosów, ocierał rękawem twarz, zlaną gorącymi kroplami, zerkając na nagrody, a szczególnie na stojące narty, śliczne, połyskliwe, jakby zrobione z samych błyskawic, na wiązania ze skóry, z niklowych spięć i okuć.

— Które będą moje?

Znacznie później wyskakiwali z lasu i wyrw inni zawodnicy, przekreślali ubocz i spadali wdół. Zdyszani, wyczerpani, wywierali przygnębiające wrażenie, jakby męczennicy nowoczesnego szaleństwa zwanego: rekord. Po śladach, wygniecionych w śniegu, ciągnęli przywiązaną do nóg górę, przebytą przestrzeń, a na zgarbionych barkach dźwigali świat i śliczny dzisiejszy dzień. Przyjazd każdego witano wybuchami śmiechu.

— No, ale cię wypompowało? Przylazłeś, żeby cię chyba do trumny położyć.

— Myśleliśmy, że mamusia pójdzie cię szukać. Toś ty wrzeszczał: mamusiu! mamusiu! ja tu.

— Nie mówiłem! aha! Dziesiątka wzięła dwudziestkę, dogoniła i wlała dwie sekundy. Pomyśl, co za wstyd. Dwie sekundy! Horrendum!

Po zakończeniu zawodów przez tubę rozgłoszono wieść, powtórzoną setką ech po najdalszych zakątkach gór, że pierwszy przybył Alojz Malinowski w fenomenalnym czasie i we wspaniałej formie. Kilka ważnych osobistości gruchotało zwycięzcy kości w serdecznym uścisku.

— Polska na ciebie patrzy. Z dumą noś odznakę, którą ci przypinamy.

Wkońcu dźwiękło w powietrzu dawno upragnione, najpiękniejsze słowo „narty“. Alojz, nie słuchając pochwał napuszonego przemówienia, przycisnął do piersi wręczoną nagrodę. Z wrażenia zamknął oczy. Od zebranych tłumów przypłynął szum podziwu, jak morze, a w tem morzu usłyszał nagle trzask serca mocno strwożonego.

— Uciekać. Żeby ino nie odebrali — po ślizgu nart spełżył palce w pieszczotliwym dotknięciu, jakby po strudze blasku. — Tyle czasu czekałem.

Ktoś uroczyście pasował go na zawodnika.

— Trenuj, chłopcze. Przed tobą przyszłość!! będziesz gwiazdą.

Alojz bezwiednie zadarł łeb i zobaczył siebie na niebie fikającego nogami. Pohamował się, aby nie parsknąć śmiechem. Pomyślał.

— Stamtąd widziałbym, jak wstaje słońeczko i odchodzi.

Przy końcu przemówienia trzasnął piętami na baczność, i sprężony dumą, potoczył wzrokiem po zebranych. Na widok Szczepka Packulinego, wlepiającego ślepią z szyderstwem, djabli wzięli radość

zwycięstwa. Coś go przetrąciło. Był pewny, że odwieczny wróg widział oszustwo i lada chwila zdradzi tajemnicę. Nie mógł otrząsnąć z siebie natrętnych jego spojrzeń. Poczuł wyrzuty sumienia i wstyd.

— Zeby ino kaj pani nie było albo Hani — szeptał, wiedząc, że przed niemi nie ukryłby winy. Z drugiej strony miał niezachwiane przeświadczenie, że największy gwałt nie zdołałby mu wydrzeć upragnionej nagrody. — Szczepek, nę, weź sobie moje dechy — pojednawczo cisnął mu stare i nie czekając na wrażenie, zarzucił na ramię nowe narty.

Zmiał stąd wielkimi krokami.

— No, cóż takiego? trochę sobie skróciłem drogę, każdy tak samo zrobiłby, ino nie umie, ja wiedziałem, którędy trza jechać.

Kiedy dotarł do zabudowań, wychylił głowę z poza węgła szopy i badał, czy ktoś go nie ściga. Mało nie podskoczył, taką w sobie czuł lekkość.

— Jak tam było, to ino ja wiem, ale mam narty — gładził płożę, wiązanie, ślizg, wymawiając najpieszczotliwsze wyrazy. — Nikt takich na świecie nie ma, ino ja! ino ja! — Resztki skroplonego śniegu ściekały po rozgorączkowanej twarzy, niby łyżyczka.

XXI.

Nie śmiała Malinowska spojrzeć na dzieci, kiedy na wieczrę wyławiały z wody garść krup. Wiedziała, że leniwie wstają od garnka, że patrzą na nią bez skargi, choć najboleśniejszym wzrokiem głodnych. Czowała, że nie zniosłaby niemej prośby ich oczu.

Bez kłótni, bez szarpaniny kładli się na legowisko. Raz tylko Alojz wychylił głowę z pod kożucha.

— Mamo? — E — już nie — przewrócił się na drugi bok, zawarł powieki, aby nie widzieć tego, o czem myśli. To, co było pragnieniem na jawie, stało się prawdą we śnie.

Codzienne sprawy ucichły. Malinowska nadśluchiwała, na coś czekała, wewnętrznie stargana i spalona. Nagle skądś, z dalekich stron nocy piosenka, dawno śpiewana, spadła na barłóg, jakby płomień wiatrem przyniesiony. Ktoś szedł polem, lasem i jej śpiewał, zapomnianymi nutami odgradzał ją od teraźniejszego życia. Obojętna na to, co ją otaczało, wymawiała zatraczone imię.

— Józiu! Józiu!

Wzburzona krew kipiała w nędznem ciele. — O Jezu! co się ze mną wyprawia. O Jezu! Zdrowaś Marja, łaskiś pełna — mówiła żarliwie, z przejęciem, zaraz jednak zapominała, a przed oczami przesuwały się przeminione, tak żywe obrazy z hal, z pastwisk, z wieczorów, wspomnienia o chłopakach, dziewczuchach i o wszystkich grzechach. Kiedy się ocknęła, chciała wołać na dzieci, aby ją któreś pokropiło i odeгнаło pokusy święconą wodą. Zaszepotała z wyrzutem. — Przychodzą myślonki głupie z młodszych lat i nie dają zmówić paciorków. — Nie ręką, ale duszą, jej mocą i postanowieniem zrobiła znak krzyża i zaczęła od początku, nie wiedzieć po raz który, odmawiać koronkę i ani się nie spodziała, kiedy wyrazy zaczęły jaśnieć słodkim światłem, a spieczone wargi pustoszeć z modlitw i znów wytrysnęło tanto imię.

...wieczór letni, przepojony zapachem, aż duszą-

cym. W niepokoju miłosnym, spragniona, czekała na tego, za którego miała wyjść, ale nie wyszła. Noc szemrała tysiącem głosów. Z poza nich jego śpiew się wynurzył, przeciął ciemność ognistym znakiem i spadł na nią wyrazami jednako spłonionemi. To śpiewający wiatr szedł ku niej przez las, przez wzgórze i doliny... i znalazł ją rzuconą na pokosach, pograżoną w drażniącym, łaskotliwym szmerze przesychającego siana. Jędrne, nabrzmiałe piersi rozsadzały przemocą koszulę, kaftanik. Usłyszała jego kroki, szelest łamanych ździebeł. Widziała, jak wymknął się z poza drzew jego cień... Sprężyła się w gotowości oddania. Poczuła tamte młode ramiona, obejmujące jej dawne, dziewczęce ciało i wyłkała słowo w tamte usta, nad nią pochylone. Pamiętała szamotanie, walkę poto, aby zdana na łaskę i niełaskę, w uniesieniu rozkoszy, w pokorze upadku i uległości stać się posłuszną nieprzemóżonej woli. Serce jej biło pod rozmiotanemi ciosami jego krwi, w burzliwym ogniu jego pragnień. Zapomniała o kalectwie, nie pomyślała, że jest kłębkim pokręconych piśzczeli, że nogi już nigdy nie podążą ku tamtej polanie, że ręce już nigdy nikogo nie obejmą. Rozpierało ją życie, czekające na miłość. Głowę przytulała do kogoś, nie wiedząc, że to przepocona poduszka. Słyszała szelest barłogu, jak wówczas szelest siana. Rodziły się pieszczotliwe nazwy, miłujące spojrzenia. I w czasie najwyższego uniesienia ktoś jakby siekierą rąbnął w stęsknione oczy, w spragnione usta. Pojęła, że jest nieużytecznym łachmanem, ze wzgardą porzuconym. Zajęła.

— To już nigdy nie pójdę tam, to już nikt do mnie nie przyjdzie.

Spalona pożądaniem, skowyczała, aby ktoś zdeptał jej pałające serce, połamał kości, rozerwał kalekie ręce, nogi, aby mogła jeszcze raz opleść się... Wszystko było niczem wobec tego. Krzywdę Bielowi dawno zapomniała, teraz jednak głosem, wezbranym do wrzasku, przeklinała sprawcę nieszczęścia, każdy jego krok, każde jego słowo, każdą myśl i uczucie.

— Żebyś tak samo gnił i pragnął, żeby cię tak samo pokręciło.

Nie mogła wykrzyczeć zgromadzonej w sercu nienawiści.

Niebo gwiazdami świeciło tym oczom, które ani nieba, ani gwiazd nie widziały.

W zawierusze otaczającej ją usłyszała wołanie. Słaby głos powoli się przedzierał przez grubą warstwę i docierał do jej uszu, jakby z głębi przepaści-stej studni.

— Alojz płacze. Chory. Władek, wstań — rozpaczą ciała pragnęła po tysiąc razy zbiec ku dzieciom, ręce unieść. Usnęła, wstrząsana suchym szlochem.

— Mamo, mamo, co wam jest! — Staszek, stojąc przy łóżku, trącał matkę, głaskał i wołał, chcąc ją zbudzić. — Czego tak płaczecie?

Czuła dotknięcie małej dłoni na twarzy, na włosach, zdawało się jej, że to sen. Coś ciszyło jej mękę, coś gasiło ogień i ze wzburzonej piersi wypłynął szept, zmieniony w słowo miłości i szczęścia.

— Stasiu! — usiłowała się uśmiechnąć. — Nic mi, synku, nic.

— Nie płaczcie.

— Idź już spać, bo się zaziąbisz.

Ucichła izba. Malinowska, wsłuchana w równe

oddechy dzieci, zapadła w kojący sen. Ciemność rozwiała się. Stopniały gwiazdy. Szary świt nabierał ognistego żaru. Na wschodzie zorza rodziła się uśmiechem na niebie dla ludzi, patrzących z ziemi, pogrążonej jeszcze w cieniach i zmierzchach. Obłoki, porzucone na sklepieniu, zaskrzepły w purpurze. Niedługo trwała czerwień. Niewidzialne ręce wyjęły słońce ze spowić, dźwignęły je z wnętrza i wsparły na ciemnej krawędzi gór, aby chwilę odpoczęło. Pogodny dzień rozpiął nad światem złoto przemijających godzin i błękit zimowego poranku.

Malinowska utopiła wzrok w nowonarodzonym świecie, a duszę skąpała w objawieniu barw i obłoków, przybierających kształt najpiękniejszych wspomnień. Słońce, pozostawione na niebie, weszło do jej izby i rzuciło kwadrat światła na krawędź łóżka. Dwa żywe palce chorej zadrgały. Pragnęła dotknąć, pogłaskać smugę.

— Słoneczko! słoneczko! o Jezu! o Jezu! jak ci dziękować, żeś mi oczy zostawił.

Skrawek błękitu, widziany z barłogu, był źródłem wzruszeń i zachwyceń, jej oczy nabiegały światłem wszystkich światel, radością wszystkich radości.

XXII.

Malinowska nigdy nie przypuszczała, że po poranku, szczęśliwie spędzonym, taki dzień nastanie. Właściwie złość do niej narastała oddawna, czyniąc życie nieraz nie do zniesienia. Starzy Malinowscy przed ślubem oddali synowi pół domu i kawał pola,

w sam raz przylegający do gruntu przyszłej synowej. Pewnie więcej szło o parę zagonów jałowych, ledwo nadających się pod owies, niż o nią. Po śmierci syna chcieli „niewiastę“ pozbawić zapisu. Zrazu namawiali łagodnie, bo nikogo nie ukrzywdziliby, nawet marnej muchy. Chcą załatwić po Bożemu i obiecywali, że otoczą ją opieką, niczego jej nie szczędząc.

— Sprzedaj nam ten fałatek, to przecie nie pole, ino kamieniec i młaczysko. Co się urodzi? trochę owsa i trochę mocarnego siana.

— Krewniakom będzie sprzedawać? Wstyd i obraza Boska, ludzie mieliby śmichu a śmichu — córka, niedawno wydana, przerwała ojcu. — Nieładnie kupczyć między swojami.

— To się tak mówi, przecie najlepiej wie, że nie ma grosza w chałpie. Skąd brać w taki czas? Z pola nikt nie ma nijakiego pożytku. Władek paćka i paćka, aż żal patrzeć i grzech. Żeby nie ludzie, tobyś zginęła z głodu.

— Bogu dziękować, ino ludzie poratują — westchnęła chora.

— Zapisz nam, a dochowamy cię do śmierci, pogrzeb ci sprawimy, jak się patrzy, z księżmi, z chorągwiami, no, po gazdowsku. Nie wyganiem cię na smentarz, sama wiesz, że długo nie pożyjesz, dość się, bidoku, namęczyłaś — stary tarł kułakiem oczy, zasze wilgocią. — Tobie będzie lepiej, dzieciom lepiej i nam lżej, kiej cię Pan Jezus zabierze do swojej chwały. Ludzie są litościwe, to porozbierają do służby Alojza, Stasia, ja sam wezmę Władka.

— Wiem, wiem, wszystkim będzie lepiej beze mnie.

— Sama widzisz.

— Sama widzę — wargi drgnęły słowami tej oczywistej prawdy.

— Poco odkładać zapis? Zwołam sąsiadów na świadków, okowity przyniesę na litkup, żeby cię uradować, bo myby ci przychylili nieba. Jak nie zapiszesz, to ci powiem grzecznie, bez nijakiej złości, wynoś się do swoich ojców, aniś nam brat, ani swat. Wydałaś się za Józka, nie będziemy ci wypominali, jak tam było, wszyscy wiemy, coś wyprawiała przed weselą — hohoho! — stary wykręcił ręką w powietrzu. — Józek umarł, niech z Bogiem spoczywa, a tyś nam cudza, to przecież nie będziesz się rozwałała po naszej pracy.

— Ja cudza? — z trudem tchnęła. — Wnuki wasza krew.

— Wnuki to niby nasza krew, choć ta Bóg wie, boś ty hohoho! ślepkami na wszystkie strony i lepiły się do cię chłopcy. Dość nagrzeszyłaś, to cię Pan Jezus pokarał sprawiedliwie, o sprawiedliwie.

— Czego wy tak?

— Tato, deście pokój, poco wymawiać, kiej Józek był ślepy, głupi i nic nie widział — córka łagodziła ojca.

— Chcę choć dzieciom zostawić tę odróbkę pola. Jak będą miały co, to ludzie ich uszanują. Inaczej pójdą w świat na poniewierkę — zajęła. — Długo żyła już nie będę. Sama czuję. Z radościabym poszła, ino...

— Podrą między siebie po skibce i żadne z nich nie będzie miało nic, a przy nas caluśki zostanie. Targać ziemię grzech. I na cię będą przeklinać, żeby cię święta ziemia wyrzuciła, i jedno na drugie

siekirę chwyci. Wiesz, jakie to dzisiejsze dzieci. Przy działach różnie się trefi. Wiesz, co z Bielem było? Mało ich nie wyzabijał. Wszędzie grzech i obraza Boska. Ludzie chciwe na majątki. Boga nie mają, to dlatego. Nic mu ojciec, nic brat, ino żeby w pazdurach majątki, a majątki. Boże, Boże, nie wiedzą, że to wszystko marnota, że wszystko trza opuścić, kiej czas nadejdzie, i pódziesz nagi, bosi, po sprawiedliwość... ej Boże! Boże! — wzdychał i ucierał nos żałośliwie. — Dzieciom chcesz zostawiać? Ludzie łatwiej biednego wspomogą. A co będą mieli przy tej skibce? Haruj, nie dośpisz, nie dojisz. Dzieci — zaśmiał się — z garła ci wydrą — szarpnął garścią, nabrzmiała żyłami. — Będziesz miała taką wywdziękę. Walek chce postawić budy i wymiarkowaliśmy sobie, że twój kawaluś w sam raz się nada, bo przy drodze, woda niedaleko.

— O dzieci muszę dbać. — Malinowska wyrzekła z mocą. — Umrę, to niech po sobie zostawię taką pamiątkę. Będą czuły, że miały matkę.

— Żebyś nie żałowała — złowrogie blaski mignęły po ślepiach starego. — Miej zastanowienie, córko. Przystań. My wszystko do twojego dobra.

— Nie dam, nie dam. — Malinowska skamieniała w uporze powtarzała suchemi wargami. — Nakładać do cudzej miski, a sama o głodzie zostać?

— Takaś ty? To my z tobą jak z rodzoną, ej, moja córko, ino nie za dużo — stary wykonał ruch, jakby siekierą przecinał swoją dobroć. — My do cie tak, a ty na nas tak? To chyba Boga nie masz w sercu. Widzisz ją, ona z rogami na nas. Krowina głupie zwierzę, a inaczej się człowiekowi wywdzięczy.

Nie chcesz przystać? Popamiętasz. Będziesz nas jeszcze po nogach całowała — trzasnął drzwiami.

Starzy Malinowscy chcieli przełamać jej upór i w inny sposób zmusić ją do wyrzeczenia się ostatniego stajania. Wpadali, tupali, wrzeszcząc: wynoś się, izba nam potrzebna. Nie pozwolili chłopakom przejść przez sień, wypędzali z podwórza, odganiaли od studni. Kłótnie trwały bez przerwy, złość wzrastała z dnia na dzień.

Malinowska pragnęła dzieci osłonić sobą, zniweczyć przekleństwa i z barłogu pytała: za co cierpią?

Dzisiaj, skoro Władek odszedł do lasu po drwa, starzy wdarli się do izby.

— Wynoś się! Tu nic nie masz. Dokąd będziesz nam śmierdziała?

— Poszłabym, ale jak? Kiej nie mam nijakiej władzy w nogach i rękach.

— Uduślbym cię, psiakrew. — Malinowski stanął nad chorą z palcami wyprężonemi, pragnącemi chwycić za gardziel.

— Uduście! uduście! — zająkła.

— Nie chcę rąc paskudzić. Co z ciebie? Ino smród.

— Przecięć nie bydlę, ale Boskie stworzenie.

— Tyś nam bardziej obmierzła jak bydlę. Czego nie zdechniesz? Że nas Pan Jezus pokoroł takim nieszczęściem. Za życia gnijesz. Matka, bier, godka nie nie pomoże — krzyknął władczo na żonę. — Do pola.

— Do pola! Panie Jezu, dopomóż — stara przeżegnała się nabożnie, bo właśnie kończyła swój ranny paciorek. — Za dużo, dziadówko, wyprawiasz. Do cudzego miodu wlazłaś i srosz.

Obydwoje zgodnie chwycili łóżko i stękając na starość nieszczęsną, na złych ludzi, wynieśli na dwór.

Wzrok chorej spotykał zaciekołość, nie znającą litości. Kiedy mieli odejść stąd, w rozpacz wy-rzekła.

— Boga się bójcie!

Mały Staszek patrzył zastygłymi z przerażenia oczami na zajście. Alojz, wracający ze stodoły, porwycho skoczył do dziadka, chwycił go kureczowo za nogę i skomląc jak kopnięty psiak, odpadł w zaspę. Uśnieszony, spłakany, przywarł do chorej, zasłonił ją sobą, bił chodakami każdego, kto się zbliżał, krzycząc.

— Nie dam was skrzywdzić. Mamo! mamó!

Po grzbiecie dziecka, po twarzy matki, wpatrzonej w niebo pełne zimnego błękitu, przemknęły spłoszone ptaki, zatrzepotały cieniami i zniknęły w słonecznej pogodzie. Powietrze drgało dźwiękami, których nikt nie słyszał.

Starzy wpadali do izby, zdzierali łachy, garnki i ciskali z sieni, tak że nie było widać postaci, tylko słyszeć było głos, jakby pusta przestrzeń, same ściany go wypluwały.

— Takie twoje majątki, takie twoje bogactwa. Gałgany i dziadostwo. Zabierz sobie. Twojego nie chcemy, boby nas Pan Jezus ciężko skarał, jakbyśmy co wzięli.

Córka Malinowskiego, niedawno wydana, zafurczała spodnicami i nad bratową pięściami potrzęsęła.

— Cholero! Żeby cię... żeby cię... zła krew zalała... za naszą krzywdę...

Stara wypominała jej wszystko, co wyprawiała za panieńskich czasów; dość błota znalazła po ludz-

kich drogach, to też rzucała pełnemi garściami na bezbronną.

— Panieństwo swoje w gnoju uszargałaś. Stargałaś swój wioneczek po wszystkich barłogach, od chłopca do chłopca. Cała wieś wie, jakaś ty, cała wieś. Ciągnęłaś do łóżka niejednego, Józka też i przez te grzechy — takóś. Złakomilimy się na kawałek gruntu przy naszym i za to nas Pan Jezus pokarał.

— Za moje grzechy też — szeptała chora. — Cierpię, żeby moje dzieci nie cierpiały.

Stary, oparty o framugę, mówił ochryplym głosem.

— Niema na świecie takiego prawa, żebyśmy cię trzymali w naszym domu. Zabrudziłaś nam famielję. Mogłaś żyć z nami jak ptaszek, a ty coś zrobiła? Idź do swoich, niech cię żywią.

Alojz pognął za dom i krzyczał wniebogłoso.

— Mamę zabijają.

Tu i tam obudzone zawiasy zaskrzypiały. Rozbłyskujące południem okna zaludniły się ciekawemi twarzami.

— Co tam?

Alojz dojrzał babę, grzebiącą się przez zaspy, i już był przy niej, pociągnął za spódnicę przez pole na dziadkowe obejście.

— Chrzestna matko... chrzestna matko, pódźcie...

Wołanie chłopca wzburzyło ludzi. Rozsierdzone kobiety wybiegały z domów, po drodze spuszczały podkasane spódnice i w dyrdy ku Malinowskim. Co spojrzały na chorą, to ocierały oczy zapaskami i groziły ścianom, oknom. Narobiło się gwałtu. Co miały na wątrobie, to teraz wypominały. Niejedna pła-

czem wybuchnęła i z litości pyskowała, żeby święte sakramenta poraziły krzywdzicieli.

— Wyganiać w taką zimę marnego biedoka. Pon Jezus widzi kalictwo.

— Trza gwałtem ją zanieść do izby.

Zatrzaśnięte drzwi odskoczyły, córka wychyliła łeb i wrzała.

— Co wam do tego? Spróbuj!

— Jabym ci ożogiem wybiła wszystkie zęby za taką krzywdę.

— Ona cudza.

— Jakby miała majątki, dawała żyć i pić, toby była swoja.

— Jakżeś taka litościwa, to ją sobie zabierz, dość nam nagniła w izbie.

Po tych słowach ucichło, jakby ktoś chlusnął wodą na ogień. Najbardziej pyskatą babę zatkało. Co mogła powiedzieć? Jedna, druga zakręciła się, wzięła spódnice w garść i chyłkiem pogalopowała ku swojej chałupie.

— Co się będę mieszała w cudze sprawy? Szkoda gęby. Dość mam strapień.

Jeszcze dużo wrzasku zostało na obejściu. Stary na złość zebranym wypiął pośladek i palcem wskazał na łaty i dziury.

— Tu mi pogadaj, tu was mam.

— Ażeby ci, zarazo, odpadła od grzysnego ciała.

— Was tak samo za kudły wyciągną i pod płot cisną. Wasze dzieci wam zapłacą, rzetelnie, takuśką miarką odmierzą. Złupią z was skórę. Inoście na tyle zaśleżyli.

Udając, że sobie nic nie robi z krzyków, podrepotał do stodoły, a potem z naręczem siana zginął

w stajni. Cholera go roznosiła. Krzątał się kole gospodarki, dając poznać, że więcej go obchodzą krówki, niż sąsiedzkie wrzaski. Kiedy wlaźł do chlewika, prosię podniosło różowy pysk i zachrząkało przyjaźnie.

— Co i ty? pyskować na gospodarza, że ci daje żryć? — kopnął je.

Choć tyle se ulżył. Wieprzek kwiknął, z przerażeniem chlusnął na niego, obalił na ziemię, aż biedak zafikał nogami. Długo się gramolił z nawozu i ze śniegu. Dopiero córka pośpieszyła ojcu z pomocą, podniosła go, potem obydwójce zapędzili niesforne zwierzę, okładając je patykiem po tłustych pośladkach.

— Ścierwo zatracone.

Zatrzasnął drzwi chlewa i wziął się do łupania drwa, przerosłego sękami. Walił siekierą z sakramenką pasją. Już nie bukowe polana, ale psiekrwskie ludzkie łby, pyski i krzyki rąbał z rozmachem. Nie mógł ścierpieć i musiał odszczekiwać, ilekroć ktoś ugryzł go do kości, ilekroć gniew zatargał bebeciami.

— Przyuczonyś, boś już wygnał swojego ojca. Po proszonemu poszedł.

— Ty se pilnuj swojego ojca.

— Pilnuję, nie skrzywdzę i nie dam nikomu skrzywdzić.

— Toś ty z niego zdarła przyodziwę? he? Niedawno.

— Nie za wasze pieniądze kupiłam, ino za moje, to mam prawo.

— Nie za moje, bobym tą siekirką w ślipka kochanej córusi ciachnął.

Ucichła i Walkoszowa. Istna burza zamiotła gniewem przestrzeń stąd aż po jej dom. Po drodze jeszcze od czasu do czasu odszczekiwała, choć bez zapachu, bez zajadłości, tyle tylko, byle wyjść z honorem z awantury i postawić na swoim. Po jej odejściu jeszcze raz zawrzało, kiedy przechodząca żebraczka wylazła z za węgła, zabrzęczała paciorkami, zatrzęsała płaczem, boleścią, łachmanami, niedołężną starością i gniewem nad biedną Malinowską, runęła na kolana i wrzasła krzywdą żywota ku niebu i ludziom.

— Mnie tak samo. Żeby was Pan Jezus tak samo! Na taką zimę wyrzucać, żebyście pod płotem zdechli, co dej, Panie Boże, amen. O Jezu Miłosierny, o Jezu Sprawiedliwy...

Nie wiedzieć, kiedy biała wieża, widniejąca w dole, wydzwoniła południe stronom świata.

— O Jezu, to już na Anioł Pański, ale ten czas leci, leci, ani się człowiek nie spodzieje, a tu już.

Dość się nalitowali nad chorą, teraz musieli odbiec ku własnym sprawom i potrzebom, roznosząc resztki wykrzyczanej złości po stodołach, po stajniach. Wnet zaczęła się rozlegać inna mowa, gospodarska w skrzętnej bieganinie po podwórzu. Dzieci krzyczały jeść, łaząc za matką. Kury roztrzepały gdakania i furgot skrzydeł, zabiegając drogę gospodynii. Cieleta pobekiwały, wyciągając głowy. Świnie pochrząkiwały, domagając się zarcia.

— Zaraz! Zaraz! wszystkiemu nie wydołę, trza wpirw krowiny wydoić.

Strugi mleka zadźwiękły na dnie pustego skopka i jednostajnie strzykały w pienistą biel. Na dobitkę chłopskie głosy zaburzały w mrocznych chlewach.

— Ani nie ugotowane, ani nie posprzątane, psiakrew, dziecko głodne do szkoły poszło, bo ciebie djabli na bajdy poniesły. Poco? Żeby uciechę mieć przy cudzych nieszczęściach.

— Bo każda kobita ma czucie, nie pazury, jak chłop. Mnie wszyćko z rąk leci, a on na mnie z pyskiem. Co za dużo, to za dużo. Cicho, bo — porwała w garść stołek, na którym siedziała przy dojeniu. — Łeb ci rozbiję, to będziesz cicho. — Chłopina śmignął przez próg, zanim wzięła rozmach. Rozsierzdana baba znów zaczęła ciągnąć wymię, użalając się nad nieszczęsnym losem. — Lepiej płakać za panieństwa, niż się śmiać za małżeństwa, oj lepiej.

Dziarski małżonek buchnął w zakamarki dziedzińca i dobrze ukryty, zaczął się burzyć, a sierzdzić, a zęby pokazywać wszystkim babom, wszystkim żywiołom, ino nieco w cichości, żeby kogo licho nie przyniosło ku jego utrapieniu.

— Nie boję się, jabym się miał bać? hehe! ja! Kogo? Śmichy! Tknę ją i zaraz kości połamię, kuruj potem, wydziraj pieniądze na dochtorów. Skąd brać? Kij najlepszy dochtór. Ino niema takiego kija na świecie, coby pomógł babie. Każdy za letki, prawda, za letki. Lepiej zejść jej z oczu. Poco grzyszyć i na pokuszenie wodzić? poco z djabłem zaczynać? Nie kładź palców między dźwirze, nie kładź ręki na pniaku pod siekirkę, kiej drwa rąbią. Ja nie głupi, rozum na swoim miejscu mam.

Koń zadzwieczętał łańcuchem, jakby przyświadczał gospodarzowi każdem ogniwnem.

— Racyja! racyja! wyście chłop, to chłopski rozum macie.

— Mądre źwirze, choć ono jedno rozumi, ulituje się i pocieszy — pogłaskał czule — sypnę ci obroku,

omaszczę owsem, ino żeby gospodyni nie widziała, mielibyśmy za swoje, edy, edy, poco piekło na się sprowadzać.

Na obejściu Malinowskich, przy płocie, przy węglach siepały się ostatki gniewu. Coraz mniej. Na zdeptanym śniegu wygniecione ślady przeróżnego kształtu mówiły, że tylu ludzi pośpieszyło z pomocą i pomstą, że przeminęli, odbiegli do swoich trosk i zajęć, a na pustem podwórzu został Staszek i Alojz, zaciskając w wątlých dłoniach bryły, wyrwane ze zmarzniętej ziemi.

Władek już dawno, bo kiedy wychodził z lasu, usłyszał odgłosy awantury. Zbyttnio się nie przejmował. Zwyczajna rzecz na wsi. Przystanął chwilę, oparłszy brzemię o pień, i z uśmiechem patrzył na widniejące domy, usiłując rozeznąć, gdzie to.

— Hohoho! mają wesele. Trza iść — ruszył na-przód po ścieżce, grzęznącej w śniegu. Podrzucał ciężar gałęzi, bo sęki gniotły barki, rozluźniony powrót ścieśniał i wiązał w pętlę, czując piekącą pręgę na ciele. Z niepokojem spojrział na domostwo dziadka i zrozumiał. Przyśpieszył kroku, o ile mu pozwalało zmęczenie. Na widok matki, porzuconej na podwórzu, cisnął drwa, pognął przez zaspę, przeskoczył płot i wpadł na obejście, nie mogąc złapać tchu.

— Co?

— Dziadek nas wygnali. — Alojz pchnął oczami starych, aż ugięli się pod dziecięcą groźbą.

— Dałeś?

— Co miałem robić? Sprali mnie, do śniega ciśli.

Władek porywco wyciągnął zgrabną siekierkę, którą niósł za pasem.

— Odstąpcie, bo jak jeszcze raz tkniecie mamę, to... to...

— No zabij, no bij!

Ramię chłopca, gotowe do rąbnienia, przetrącone spojrzaniem starca, zwisło, toporzyisko, mocno zaciśnięte, wyślizgnęło się ze ścierpłych palców. Władek przypadł zpowrotem, usiłował chwycić.

— Matka, to już chyba chodźmy, co ze zbójem zaczynać. Mogą skrzywdzić ciebie albo mnie. Niech wyzdychają — stary pociągnął spodnie, spiął pasem i poczłapał ku domowi.

Żona posłusznie dreptała po jego śladach. Co krok podnosiła oczy zgorszone, jakby widziała tylko same grzechy na padole doczesnego świata, i wzdychała ku niebu.

— Co z takich drabów wyrośnie, Jezusie Nazareński! Na rodzonego dziadka z siekirką skokać, że też taka ręka nie odpadnie. Zbójce od szubienicy odkupione — uniesiona gniewem i wspomnieniem krzywdy, zastąpiła drogę mężowi i zawołała groźnie — Ojciec! mówię ci po dobroci, nie puść ich do izby, niech wyzdychają, niech wygniją.

— Nie puść, nie puść, to cię cholery zjedzą — odsunął ją nabok — takie ludzie, aby ino na źle drugiemu — dźwignął pięść ku wszystkim domom. — Przemożesz ludzką zemstę i złość? Ty na nich paciorkami, a one na cię pazdurami. Póđz do izby. Co my, bidne sieroty, przeciw chmarze? tyle ich, patrz — wskazał na wrony, które porwały się z drzew i kołowały w powietrzu z wrzaskiem.

Słuchając ślubnego męża i krakań, załkała bogobojnie, a użalając się, brała na pomoc Pana Jezusa i Matkę Najświętszą.

— Co my, sirotecki, przeciw chmarze. Trza cirpić. O Panie Jezu. O Matko...

W swej ludzkiej boleści, tak srogo utrapieni, już nie spojrzeli na chłopców, którzy wspólnym wysiłkiem chcieli dźwignąć łóżko i przenieść do izby. Władek podjął linkę, na której niósł brzemię drew z lasu, zgrabnie przywiązał, zarzucił na plecy i krzyknął na Staszka i Alojza, aby nabrali mocy i razem pociągnęli. Zginając grzbiety, prężąc mięśnie, wpierając nogi w zmarznięty śnieg, powlekli matkę w stronę izby, z której ojcowie wygnali. Mozoląc się, nawet nie spojrzeli na starych, chyłkiem patrzących przez okno i wzdychających ze zgorszeniem.

— Tośmy się doczekali czasów. Dej chlib, odziej, nakarm, a zedrą z ciebie koszulę i tak ci zapłacą.

— Sodoma i Gomora. Ej Boże! Boże! Taką masz wywdziękę za tyle dobra.

Chłopcy bezradnie stanęli przy wysokim progu, nie wiedząc, jak przenieść. Długo dumali, jeden radził to, drugi co innego, a tu potrzeba było sił, więc mozolili się daremnie, aż nadbiegły Bielowa, Faronowa, Sitkowska. Pomogły. Łóżko stanęło w zapajęczonym kącie.

— Już was stąd nie ruszą, księdku damy znać, na kazaniu wypomni, jakie to są ludzie kamiennego serca.

Sąsiady otoczyły chorą współczującymi słowami.

— Tyś wielka pokutnica, napokutowałaś się dość na świecie, o dość — i wiesz, co marnota, i wiesz, co boleść. Ino ci tyle mówię, choćby cię siekali, to zapisu nie daj, trzymaj odróbkę pola, to cię będą szanowali i spyrką maścili.

— Tyle mam majątku, tyle bogactwa, to nie puszczę, dzieciom zostawię.

— Za Boskie stworzenie cię nie mają. Własną synową. Mój mocny Boże, już nad grobem stoją, a takie są paskudy. Może ich własne dzieci jutro wygonią i do ciebie rękę wyciągną, żebyś ich wsparła, i ty dasz łyżkę strawy, i ty będziesz najlepsza.

— Nie mam do nich złości. Podzielę się. Sama nie zjem...

Sąsiady nie miały czasu i śpiesznie wyszły. Chciały iść ku swoim domom, ale przystały, bo jeszcze niejedno zebrało się w gębie i w sercu. Jakże tak odchodzić?

— Ej Boże! Boże! — Grzyszyła, grzyszyła, choć się już dość za to nacirpiała. Wicie, co o niej mówią.

— Cobym nie wiedziała. Samam niejedno widziała, nie będę mówiła, bo ja nie taka, jak inne. Katy, nie ludzie. Co się będę w czyjem błocie babrała, co?

— Prawda, kumo, prawda. Ja też tak samo.

— Choć sprawiedliwie cierpi, powiem wam, ten, co jej tak porobił, to nigdy nie będzie oglądał Boskiej jasności.

— Biel!

— Biel — ze zgrozą powtórzyły. — W przekleństwie żyje i w przekleństwie zginie.

— Co się ucierpiała, co się ujęczała, a nigdy nie wołała na niego pomsty. Żebyś pod nią podpaliła posłanie, to się nie ruszy, inny toby wyzabił ludzi, w niej niema złości.

— A niema. Taka ona. W cierpieniu, to człowiek świętość widzi. Lepiej, żeby umarła.

— Lepiej, nie lepiej, kiepsko z nią, ale zawdy dzieciom weseli z matką.

— A pamiętacie, jak na nas poźirała? nie po ludzku, nie, inaczej, ino tak jakby zdaleka, od samego słonka na grzyśników...

Istotnie tak. Malinowska nie płakała, ani nie przeklinała, kiedy ją wyrzucano na śnieg, nie okazywała też radości, kiedy zpowrotem wnoszono ją do izby. W ogromnem nieszczęściu tyle przeżyła, tyle przecierpiała, że powszednie złości, troski, zmartwienia wydały się tak mało znaczące, tak znikome, jakby nie z barłogu, lecz z wysokiego nieba patrzyła na pył ziemski, na marność. Pogodzona z losem i z życiem, widziała wszędzie nienawiść do chorych rąk, okradających z łyżki strawy żywych, zdrowych, pracujących.

— Niepotrzebne takie ludzie, jak ja. Nigdzie nie ma za dużo chleba. Wszędzie bójka o tę skibkę. Co z pracy, co ze świętej ziemi rośnie, to jest krwią pomazane, to jest ogniem podpalone. Czego tak?

Kiedy odeszły sąsiady, kiedy Władek był zaprzątnięty porządkowaniem izby, Alojz ułożył na poduszce bezwładną głowę matki, przytulił spłoniony policzek do jej twarzy. I wtedy coś się z nim stało. Skądś od serca wytrysnął głos. Do ucha wyszeptał tajemnicę, tak długo ukrywaną.

— Mamo! powiem wam, to ja wtedy wyrnąłem śniegiem Jadwisię. Cygańłem, że to nie ja, teraz mówię prawdę. Już was nigdy nie umartwię, ino się na mnie nie gniewajcie. Mamo! nie płaczcie. Czego płaczecie? Bałem się i dlatego wam nie mówiłem. Dałbym wam moje ręce, moje nogi, bo u mnie wszyćko na źle. Chcę dobrze, a zawdy robi się inaczej. Cichoście, już nie płaczcie. Może skróś dziadka? Nie bójcie się nic, obronimy was i przed dziadkiem. Widzieliście, jak przed nami uciekali.

W martwym ciele chorej drgnęła każda zosobna kość. Malinowska całą istotą bezbrzeżnej, macierzyńskiej miłości pragnęła go pogłaskać i wyjawzić treść wzruszeń. Od tylu lat dziecko nie poczuło pieszczoty rąk matczynych. Uniosła powieki i patrząc w synowskie oczy, w największe swe szczęście, spłonęła od niewypowiedzianych słów.

— Ja wiem, że mnie obronicie, wiem. Wszyscy odeszli, inoście wy zostali przy mnie.

Z pod łez wyłonił się i trwał uśmiech, którego rzęsyście łzy nie mogły zgasić i zatłumić.

XXIII.

Wczas ugaszony pożar domostwa Bielowej szeroko omawiano przez kilka dni. Nic też dziwnego, że w szkole wrzało od szczegółów. Imię Biela wypowiadano ze zgrozą.

Wiadomość o podpaleniu i przebiegu zdarzenia nauczycielka przyjęła z pewną ulgą, jak się przyjmuje wieść o nieszczęściu długo oczekiwaniem, trzymającym w naprężeniu, które zostało nareszcie rozwikłane.

— Wiedziałam, że tak będzie. Wszystko tak samo, a więc ogień, siekiera. To prawdziwy Biel. Tak go sobie wyobrażałam.

Byłaby może zdumiona, zaskoczona i zawiedziona, gdyby postąpił inaczej. Tylekroć patrzyła w oczy, kryjące mściwość, tylekroć słyszała jego słowa, dźwięczące groźbą, że dokonany czyn był niejako koniecznem dopełnieniem i uzupełnieniem prawdziwego wizerunku, jaki sobie wytworzyła. Ale nawet w rozbły-

skach ludzkich przekleństw widziała nieszczęśliwego człowieka. Słuchając oskarżeń, uważała, że ona jedna zna prawdę, wejrzała w jego duszę, odczuła tragedję życia. Cierpienie, niepohamowana namiętność czy miłość ziemi i pracy dla niej popchnęła go do zbrodni. To nie ręce szaleńca krzesaały ogień, ale chłopska rozpacz, gotowa podpalić świat, aby zniweczyć swoją krzywdę, poza którą nie widzi. Z mroków owej nocy wynurzała się obszarpana postać. Oczy i siekiera miały ten sam wyraz, twardość i ostrość. I wtedy przypomniła sobie uścisk ręki przy pożegnaniu, twardej, chropawej, a przytem tak wzruszonej. Może tak samo dotykał ziemi przy oraniu... Zastanawiając się głębiej nad wypadkami, była przekonana, że mimo wszystko nie mogłaby go potępić. Widziała grozną wzniosłość jego czynu.

— Wypełnił to, co musiał, a nienawiść i zemsta poczęta jest z wielkiej miłości i z większej jeszcze miłości. To mocny i tragiczny człowiek.

Pragnęła porozmawiać z Bielem, zapytać o wiele spraw prześladowających ją. Wybiegała na ścieżki, gdzie go spotykała dawniej. Myślą i współczującą duszą towarzyszyła mu jako bezdomnemu wędrownikowi na nieznanych drogach. Widziała zamkniętego, w zaciśniętych wargach kryjącego przekleństwo, wkraczającego do izb i groźnie wyciągającego nie rękę, ale kułak po chleb, to znów kiedy indziej widziała go powieszzonego na drzewie z łbem skręconym ku kapliczce i wyszczerzającego urągliwie zęby ku chłopskiemu Chrystusowi, wyrąbanemu z bukowej bryły. I taka śmierć też byłaby spodziewanem zakończeniem ostatniego rozdziału z życia Biela.

— Tak umiera zrozpaczony chłop, gdy go wszyst-

ko zawiedzie, z pięściami pójdzie na dno piekła po swoją prawdę.

Często wieczorem, po powrocie ze szkoły, nauczycielka nadśluchiwała, w oczekiwaniu, że może zachroboczą znajome kroki, schody zaskrzypią pod zwalistym ciężarem Biela. Sądziła, że jeżeli on żyje, to przyjdzie jeszcze raz, aby rzucić na podłogę słowa drgające od bólu, choćby przepalone nienawiścią. Daremnie czekała. Dzisiaj, siedząc przy stercie zadań, znów usłyszała stukot na schodach.

— Może to Biel? — z radością wyrzekła „proszę“ i z pewnem rozczarowaniem zobaczyła wchodzącego Tomalę. — Ach to wy... Siadajcie — podsunęła stołek.

— E, postoję.

— Rzadki z was gość.

— Lepiej prosić, jak kijem wynosić. Jak to mówią na wsi: gdzie cię radzi widzą, tam nieczęsto chodź, gdzie nieradzi, tam nigdy.

— Zawsze rada was widzę — zaśmiała się przyjaźnie. — Napijemy się herbaty? Gotuję właśnie.

Czajnik, postawiony na szumiącym ogniu prymusa, zastukał pokrywką i technął parą.

— Przecieżem nie zarobił, żebyście mnie gościli. Nie trapie się o mnie.

— Wodybym żałowała? Dość w studni — postawiła szklanki na stole zaścielonym naprędce obrusem.

— Przyniosłem książki — położył paczkę. — Dziękuję. Nie wiem, coym robił bez nich. Jak się oderwę od roboty, to przy nich innym światem oddycham.

Inwalida rozprawiał z godnością, równy z równym, podkreślając pewne zdania to łagodnym, to dosadnym gestem. Od czasu do czasu zjawiał się

uśmiech, wtedy oczy dziwnie się rozszerzały, stawały się przezroczyście, szczere, otwarcie patrzące mające w sobie coś z wyrazu dziecka. Ani razu nie wypowiedział czegoś niestosownego. Gdy wymawiał „nawóz“, dodawał „uczciwszy uszy“: wprawdzie gnój to omasta dla ziemi, święta rzecz, ale mógłby ją urazić. Nauczycielka, słuchając sądów o ludziach, o życiu, poczuła zapach rędziny, pełnej sił rozrodczych, z wiosną przeoranej. Zdania jędrne, mocne układały się w zagon z równych skib, czekających już nie na siew, ale na dojrzewanie plonu.

— Wszyscy wypatrujemy przedwiośnia i odmiany. Kiedy to nastąpi? My starsi nie doczekamy się innego życia. Żeby choć naszym dzieciom było lżej. Trzeba robić, co do każdego przynależy. Gdyby chłop powiedział sobie: nie trzeba orać i siać, bo będzie susza, bo będzie burza, to coby się stało? Pewnie, że będzie burza, będzie susza, ale chłop o tem nie myśli, wychodzi na wiosnę z pługiem, ziarnem, bo ma ręce do roboty i nigdy nie przeklina roboty. Dzisiaj chłop żywi chlebem, przyjdzie czas, że pożywi nie samym chlebem, bo inna ziemia całkiem się wyjałowi. Może trzeba będzie Polskę przeorać chłopskim pługiem.

Nie było w nim zwątpienia, słabości, tylko czekanie na pracę i wiara w nią. Mówił ciężkim, urobionym w sobie głosem, nie samym dźwiękiem, ale prawdą, dzwoniącą szczerością i tęgą mocą, to też jego słowa podobne były do smolnych szczap, które płoną, aby świecić i grzać. Nauczycielka, gwarząc z Tomalą, przypominała sobie rozmowy z Bielem, spotkania pod kapliczką i teraz doznawała wrażenia, że wyszła z ciemnej piwnicy na słoneczny świat. Oddychała zdrowem, krzepiącem powietrzem, karmiła się razo-

wym, ale pożywnym chlebem. Nie godziła się z jego poglądami i nieraz przerywała, aby wypowiedzieć odmienne zdanie.

— Inny świat musi się narodzić, tak różny od dzisiejszego. Nowy świat trzeba budować, jak własne życie, z godziny na godzinę. Człowiek z człowiekiem musi się zazębić w jedność sercem.

— Ładnieście, pani, powiedzieli: sercem. W garści może być nóż, siekiera, ino serce nie zaciśnie nigdy nijakiego noża. Ale i serce musi mieć rozum.

— Jednakże idąca rewolucja nie może myśleć o sercu, zemstą będzie mierzyć wielkość krzywdy. Serce więcej szkody przynosi ludzkości niż siekiera. Mało jest płakać nad czemś, częściej trzeba wycinać. Przez świat leci płonący wiatr, który oczyści i spali, co złe. Trzeba świat uporządkować, żeby każdemu było lepiej.

— Ludzie za dużo teraz modlą się o ogień. Czy nie widzą, że po ogniu tyle nieszczęść, nędzy i zgorzelisk. To tak, jakbym wołał do ludzi: źleście uprawili ziemię, to spalcie zboże na pniu. Poco? Najpierw sprzątnij to, co jest, a jutro upraw ziemię, zoraj, zasiej jak należy. Chleba nie wolno palić, domu też. Czy kto spali but na swojej nodze?

— Proletariat dąży do rewolucji, aby głodnym rozdać chleb.

— Czytam i wiem. Czy taki chleb nie spłynie krwią?

— A czy na wsi nie toczą się walki o ziemię, o miedzę, o skibę?

— Chłop ma ino tyle i nie widzi świata poza swoją skibą. Ludzie chcą wojny, bo myślą, że łatwiej wyjdą z dzisiejszej biedy. Już nie nie pamiętają.

W czasie wojny człowiek nie czuje i nie wie, co się dzieje, tak samo jak ranny: przyniosą nieprzytomnego z frontu do szpitala, położą na stole i uśpią; po operacji obudzi się i zobaczy, że brak mu nogi, że wyjęli żebra i ma kalectwo do końca życia. Tak bywało zawsze. Po wojnie jeszcze większa złość i bieda. Żeby to można zaorać granice między narodem a narodem, między krajem a krajem. Na taką wojnę tobym poszedł z ochotą. Chciałbym dożyć takiego postępu, żebym zgasił kaganek a zaświeceł elektryczne światło w moim domu, żeby — zatoczył szeroki krąg — świat był jedną wsią, gdzieby każdy pracował w zgodzie, toby nie miał czasu bić się o miedzę. Wszędzie i zawsze bitka o chleb. Chłop z chłopem, naród z narodem. Natury ludzkiej nikt nie zmieni.

— Ech, nie można tak mówić, po wojnie nastąpiły zmiany, ludzie poszli naprzód. Widać postęp na każdym kroku.

— Rozmaicie, jedni poszli, inni stoją. Prawda, we mnie dużo się odmieniło. Wtedy w szkole powiedzieliście mi, że Polska zapłaciła mi protezę. Nietylko protezę. Wiecie jeszcze, czym? W wojnę ciemny chłop przejrzał i Polskę zobaczył. Zgubiłem nogę na froncie, kiedym szedł do Polski, a moje dziecko może też straci nogę, kiedy pójdzie zobaczyć pojednany świat... Teraźniejsi ludzie jeszcze niegodni tego. Pazurami nie można zaprowadzić jedności i miłości. Trzeba w sobie taki ogień zapalić, żeby drugim nie przynosił nieszczęścia, ale świecił.

— To daleko do tego!

— Hohoho! bardzo daleko. Kto wie, kiedy się dokamy tego, bo teraz jeszcze każdy kłonicą przykazania głosi, bo teraz jeszcze taka chłopska sprawie-

dliwość: od miedzy do miedzy to moje, ale tamto teżby mi się przydało. Jakby miedzy nie było, toby ją chłop zębami wydarł, bo on chce mieć odtąd po-tąd. Biedny nie miał co do garnka włożyć, nie ma też i dziś. Ludziom inne trzeba dać majątki: chleba w garść, rozumu do głowy, światła w oczy, miłości do serca, to może wtedy będzie inaczej.

— Nie dziwota, że dzisiejszy chłop jest taki, to wina pańszczyzny.

— Pańszczyzna — Tomala zerwał się poryw-
czo. — Wiecznie to samo: pańszczyzna, niewola, jarz-
mo, bat ekonomski, straszenie tem, co było.

— Wspomnienia o niej są zbyt żywe i tak do-
tkliwe.

— Poco przypominać? Nic nie robić, wciąż pa-
trzeć za siebie, zgrzytać zębami, tupać nogami w gno-
jówce i kląć: „Wisz, chłopie, co cię czeka? pań-szczy-
zna!!! Trzymaj kłonicę, trzymaj ogień“. Kogo chcesz
bić? — brata? kogo chcesz podpalić? — dom sąsiada,
żebyś się też spalił? Ano to bij, ano to podpal. Praw-
da, była pańszczyzna, prawda, ojców zamykali w dę-
bowe kłody i bili harapami, to my mamy też siebie
zamykać i krzycheć: nie damy się zamknąć, nie bę-
dziemy nadstawiać pleców? Śmiech stać w miejscu,
wygrażać i bać się pańszczyzny. Łatwo narzekać
i przeklinać. Wołają: tyś, chłopie, zawsze popy-
chałem. Psiakrew, a to nie bądź, huknij takiego
w pysk i honor swój miej. Bat ekonomski już nie ma
mocy. Panowie? to też dziadowiny. Jak będzie potrze-
ba, to z proletarjatem pójdą krzycheć o swojej krzyw-
dzie. Im łatwo, kiedy bida ich przyskrzyni. W kiesze-
ni noszą serce. Pańszczyzna, to noc. Od nocy trzeba
odejść w nowy dzień. Chłop nie wspomina, jak prze-

spał noc, jak przepracował wczorajszy dzień, bo chłop nie żyje wczorajszym dniem, jego cieszy dzisiejsza praca, jego cieszy jutro. Musimy naprzód iść, bośmy stali za długo w miejscu. Zaczniemy dopiero iść. Daleka nasza droga. Od pługą w świat — słowa krótkie, zwarte rozlegały się w izbie, jak odgłosy mocnych kroków, idących w daleką przyszłość.

— Byleby w tej drodze człowieka znaleźć i człowiekiem zostać.

— Wiecie, pani, że najtrudniej w sobie człowieka spotkać. Kiedy patrzę na dzisiejsze dzieci, to myślę, że z nich wyrosną inni ludzie, z nich będzie pociecha.

— Dla chłopą wczorajszego Polska to wciąż jeszcze jego zagon, jego izba, jego wieś. Patrzy przez brudne szyby na zgnojone podwórze. My uczymy tego, aby ze swojej wsi świat zobaczył. Idziemy ze szkół budować taką Polskę, któraby była radością dla wszystkich. Gdyby wyrosła na krzywdzie, na nędzy, na ciemnocie i taką miała pozostać, to nadchodzące pokolenia musiałyby ją zniweczyć rękami nędzarzy i wydziedziczonych.

— Może nasze dzieci zobaczą inną Polskę, inny świat nie będą go niszczyły — Tomala wstał, skrzypiąc ścięgna i mięśniami sprężyn. — Już późno, zasiedzialem się, pani czas zabieram. Dzisiaj wielkie zgromadzenie. Chcę wstąpić, posłuchać, popatrzeć. Młodzi wykrzykują, że rządy starych się kończą. Będzie dzisiaj gorąco. Do bitki przyjdzie, — spojrzał na półki, pełne tomów. — Zawsze wstydzę się przyjść po książki. Bo jakże to bez niczego pożyczać, jakbym przychodził do cudzej stodoły po snopki.

— Ależ moja biblioteka — niech będzie stodołą

waszą — stoi otworem dla chętnych, tylko rzadko kto chce korzystać.

— Ludzie wciąż uważają, że czytanie to próżniactwo. Po robocie sięść pod piecem, kurzyć fajkę, kłaść na strapienie, na biedę, na panów, po ulicy hałasować, za dziewczuchami latać, albo po pijanemu do bitki skakać, to co innego, to dopiero uciecha. Młodzi już inaczej zaczynają myśleć. Już się biorą do innej roboty, wiedzą, że trzeba rozwijać ducha, podnosić godność. Mnie byłoby trudno wyżyć bez książki. To najlepszy chleb. Zawsze od małości ciągnęło mnie do niej. Kiedym czytał, to ojciec chwycił buka, złożył skórę: do roboty szuruj, albo idź spać, kanfiny nie marnuj. Wygarbowaną, twardą miałem skórę. Nie pomogło. Przy tej lampce tom sobie oświecił życie. Żałowali mi płomyka za parę centów, a ja bym za największe pieniądze nie oddał tego skarbu. Kiedym się żenił, co ludzie nie wygadywali, żeby moja nie szła za mnie, bo zmarnię majątek na próżniactwie. Nie zmarniłem, jakoś gospodarzę, dokupiłem trochę pola, zaprowadziłem porządek.

— Widziałam, wzorowe macie gospodarstwo.

— Podoba się pani? — uradowany pochwalał, dodał skromnie. — To nie ja, to książki tak gospodarzą. Wszystko z książek. Codziennie czy piątek, czy świętek, zima czy lato, wieczorem po robocie choć godzinę muszę przeczytać. Myślę sobie tak: jeżeli pracuję dziesięć godzin dla brzucha, to trzeba choć przez godzinę pożywić duszę. Przy czytaniu dopiero nabieram sił — mówił z dziecinnym uśmiechem uszczęśliwienia, jakby o najbliższej istocie. — Książka dla mnie, to tak, jak ziarno dla ziemi.

— Oddajecie „Ludzi bezdomnych“ — nauczyciel-

ka otworzyła paczkę, troskliwie owiniętą. — Nie chciałam wam pożyczyć. Wątpię, czyście zrozumieli.

— Nie jest mi dziwna ta książka. Czytałem ją na wojnie w szpitalu. O, naczytałem się wtedy różności. Teraz tom chciał sobie przypomnieć.

— Podobają się wam?

— Dawniej bardziej, teraz inaczej. Dawniej dużo więcej było we mnie ognia i książka też się paliła. Czytałem nie samemi oczami, ale sercem, całym sobą.

— Hoho, aż tak.

— Im człowiek starszy, to bardziej się przygląda każdemu słowu. Słowa jak i ludzie są rozmaite. Wydaje się słodki, a tu trucizna, wydaje się święty, a tu błoto. Na kropielnicy może się też wychować wilk i świnia. Teraz ostygły słowa.

— Tak, tak, rany, które buchały krwią, czas zasklepił, już nie bołą. To samo odczuwam. Ogień, który kipiał w czasie niewoli, zgasł zasypyany popiołem powszednich dni. A jak Judym?

— Chłop z wiary i myślisz, narobi mątu, narobi, ale za dużo w nim płaczu. Niby twardy, a tu wosk, ino przyłożysz zapalkę, kapie. Nie z ognia, nie z żelaza, — z masła. Chciał rządzić światem, a z babą nie mógł sobie dać rady.

— Chciał sercem zdobywać świat, serce kipiące oddawał człowiekowi. Dawny ofiarnik, obcy dzisiejszym czasom — nauczycielka zawołała z patosem.

— Na świecie ino pracą można czegoś dokonać. Pługiem. Zakłąć, a robić. U niego labidowanie. Bał się, żeby mu kobieta rąk nie związała. Jak to bez kobiety w gospodarce? Albo się z chłopą zrobi świnia, albo na nic zejdzie. Dobra żona, to ogień w domu, co mężowi świat oświeci. Z żoną lżej żyć i w największym

strapieniu. Masz mąkę, masz piec, masz drzewo, a głodnyś, bo nie masz chleba. A Judym nie umiał upiec tego chleba dla ludzi. Żonaby mu doradziła. Wadził się ze światem, ino na to miał czas. Chciałbym czytać o człowieku, który buduje dla drugich i dla siebie, a przytem ma radość w sobie. Jakże człowiek drugiego ucieszy, kiedy nosi w sobie złość albo boleść.

— Tak, istotnie, za długo gloryfikowaliśmy nędzę. Świętym był ten, kto żył w upokorzeniu i upodleniu. Kiedyż dźwigniemy wolnego człowieka z chwały nędzy? — bezwiednie pytała chłop.

— Mnie też to mierzi, bo chciałbym czytać o tem, jak się buduje życie lepsze, gdzieby wszyscy jednak pracowali i jednakowo się weselili, gdzieby żadna ręka nikogo nie krzywdziła, ale robiła dobrze sobie i innym. Ja dla wszystkich, wszyscy dla mnie. My już chyba nie doczekamy takich czasów. Nie chcemy czytać o samych sosnach rozdartych.

— Sosna rozdarta, jakież to piękny symbol, — westchnęła z zachwytem — w walce o nowego człowieka.

— Chciałbym, żeby się narodził Judym, ale inny, taki, coby zrąbał tę sosnę na wydmuchu, bo ona już do niczego i nikomu niepotrzebna, i rzucił ją na ogień, ludzie mieliby przy czem ugotować, biedny mógłby się ogrzać. Za dużo się nad chłopem litowali.

— Widzę, że Żeromski wam się nie podoba?

— Podoba, tylko nie będę się wadził o każde jego słowo. Wolę skibę owsa, jak morgę na cmentarzu z kwiatkami. Żeromski to szlachcic, zbankrutowany dziedzic, co mu zostały pańskie łachy trochę podarte, piękne słowa, no i...

...chore, rozplakane serce — dokończyła w myśl Tomali. — A teraz idą czasy inne.

— Bo i prawda. Nikt nie będzie płakał nad chlebem. Chleb trzeba wywojować. Sprawiedliwość tak samo. Nikt tego nie wypłacie.

— „Chłopów“ czytaliście?

— I nieraz. Ładna książka. Reymontowi wciąż się wydaje, że chłop w kościele mieszka, ręce macza w święconej-wodzie i nigdy nie ubaźnie ich w gnoju. Jego chłopów na ołtarzu zostawić i żeby stąd nie wyszli, bohy sobie zabrudzili paradną sukmanę. Chłop nie skowronek, co pod niebo wylatuje, trzeba go widzieć i z kłonicą i przy gnoju, bo z gnoju chleb. Nikt się nie naje pawiem piórkami.

W czasie rozmowy nauczycielka bezwiednie porównywała Tomalę z Bielem. Dwa światy, tak bardzo odrębne. Siekiera podniesiona do ciosu i duch. — Pragnęłabym, aby taki był chłop, takiego jutro widzę w Tomali.

— Zabieram czas, a pani Bóg wie co sobie o mnie pomyśli — usprawiedliwiał się, zauważywszy roz-targnienie nauczycielki. — Nie gniewajcie się na mnie. Czasem spać nie mogę, myślę o różnościach, nazbiera się we mnie, że sobie sam z sobą nie mogę dać rady, to dlatego tyle mówię.

— Przychodźcie jak najczęściej. Rada was widzę i chętnie pogawędzę.

Tomala ostrożnie wyjmował książki z półek, pytał o zdanie, wybierał i tłumaczył z onieśmieleniem.

— Nie mam dużo czasu do czytania, to chciałbym wziąć najlepszą. Poco jeść plewy, kiedy mogę mieć pszeniczny chleb.

— Często przychodził też Biel, on całkiem inaczej patrzył na książki, mówił, że spaliłby je, bo to zgorzenie świata i przez nie powstaje próżniactwo — nauczycielka wypowiedziała jednym tchem.

— Hohoho, jego niktby nie nagnał do czytania — Tomala z nad kart podniósł oczy, pełne pociemniałego ognia.

— Nie wiecie, gdzie się podziewa?

— Od tamtej nocy gdzieś się zapodział, nikt go we wsi nie widział. Już się i żandarmi pytali o niego. Tyle wywojował: kryminał. Nie trzeba się o niego bać. Pokłęczy przed obrazami, poleży krzyżem w kościele albo w kryminale, a potem nazbiera kamieni na ludzi i znów zacznie wojować za swoją sprawiedliwość. Niebardzo mu włożyłem pod ślepia, bo między nami nie było nigdy zgody. To mój brat.

— Wasz brat? — zawołała zdumiona — jakim sposobem?

— Nie rodzony. Jednej matki, ale innego ojca. Musiał na mnie wygadywać — zaśmiał się Tomala.

— No... — urwała.

— Wiem, wiem, co mówi. Zemści na mnie, bom jego żonie radził w różnych sprawach. Chciał ją zniszczyć, z dziećmi wygnać, aby wyzdychały pod płótem — e — machnął ręką — dużo możnaby opowiadać. Niewart tego. Narobił nieszczęść, narobił i sam przy nich nieszczęśliwy.

— Czy to zły człowiek?

— Nie. Twardy. Nosi duszę za pazurami i nie ma nijakiego czucia dla ludzi. Zły? e, chyba nie, więcej ciemny i nieszczęśliwy. Wojna mu zepsuła rozum i serce. Nie jemu jednemu. Odmieniła ludzi i świat, poustawiała inaczej, raz na dobrze, raz na źle, że

trudno teraz poznać i uporządkować, trudno trafić do prawdy.

— Niejednokrotnie zastanawiałam się nad postępowaniem Biela, nad dziwną mieszaniną nienawiści i pobożności. Dusza jego to zwichrzone kłębowisko, raz błysk dobra, raz błysk zła.

— Tak, tak. Rękami Chrystusa chce podusić ludzi. Będzie mówił paciorki i chwyci siekierę. Myśli, że on jeden pobożny na świecie. Na mnie zawsze krzyczy, że krzywdziciel, że bez Boga żyję. Nie on jeden tak krzyczy.

— Słyszałam, żeście największy heretyk — zażartowała.

— Jaki ja heretyk? Wolę mieć nad sobą niebo, niż murowane sklepienie. Za ciasno mi w kościele, o, za ciasno. Jak się chce człowiek modlić, to się wszędzie pomodli, jak nie chce, to choćbyś go postawił na ołtarzu, to i tak nic nie pomoże. I przy świętościach też można się zabrudzić. I brudzą się. Kiedy wyjdę w niedzielę w pole, kiedy popatrzę na ziemię, na niebo, to sobie myślę, że niema ludzi biednych, bo każdy ma takie bogactwa przed sobą.

— Ksiądz tak często grzmi z ambony przeciw takiemu, co do kościoła nie chodzi, ani do spowiedzi. To wyście?

— Jegomość palcem nie pokaże, ale ludzie wiedzą, że to ja. Już się nie nawrócę tam.

— Łatwo wam chyba przyszło — powiedziała ot tak, bez zastanowienia i zaraz pożałowała lekceważącego tonu.

Tomala odrzekł bez oburzenia, jednak z wyrzutem.

— Nie, pani, nie. Chłopu nie tak łatwo zrobić z tem porządek, bo to nie zdarte kierpce, żeby zdjąć

z nóg i cisnąć w przykopę, to nie piasek, żeby wziąć w garść i wysypać. Trzeba się nawojować ze samym sobą i z wszystkim, co w człowieku żyje oddawna, i dużo z siebie z korzeniami wykorezyć — zadumał się, coś rozważał, zanim wypowie to, co przeżył. — I znowu mnie wojna oświeciła. Kiedym służył w wojsku, to przed Wielkanocą prowadzili nas kompanjami do kościoła, a feldfeble pilnowali, żeby każdy się spowiadał. Kapelan, jak w młynie, prędko się pyta: czy przełożonych słuchasz? czy wojska nie przeklinasz? czy rozkazy wypełniasz sumiennie? Takie były główne grzechy. Byłem pobożny z cywila, bom prosto ze wsi przyszedł, i mówię: do dziewczuchy chodziłem i krzywdę jej zrobiłem. Kapelan nie nie słucha, mów „Zdrowaś Marjo“ trzy razy, puka i dalej i dalej. W wojnę inne były grzechy. Ledwośmy z okopów przyszli na odpoczynek, zaraz do spowiedzi. Znowu: czy wojny nie przeklinasz? czy się nie buntujesz? czy czujesz nienawiść do nieprzyjaciela? czy dobrze walczysz? czy sprawiedliwie służysz ojczyźnie? Tak, to była twoja ojczyzna gdzieś w Serbji albo jak cię pognali do Włoch w te pierońskie góry. Raz mówię: bratam zabił. Nie mogę znaleźć spokoju, bom zbrodnię popełnił. — Jaktó brata? — Bo po tamtej stronie w armji nieprzyjacielskiej moi bracia służą. Może sieroty zostały i płaczą na mnie. Co mam zrobić w rozpacz? — A ksiądz na mnie ostro: to się nie liczy, bo to wojna. Mów trzy razy „Zdrowaś Marjo“ i puka i dalej, dalej. — To tak? Wtędym przy konfesjonale przejrzał, wtędym trzasnął wszystkim. — Mówił z rozważą, szukając słów. — A teraz? Przeklinasz — grzech, w piątek z omastą zjesz — grzech, na dziewczuchę popatrzysz — grzech, domagasz się

o prawdę i sprawiedliwość — grzech. Wszystko, co dla biednego dobre — to grzech. Ino nie grzech, kiedy z dziećmi nie ma co jeść, chodzi bez obucia i bez okrycia. Łatwiej do nieba dojść boso i nago. Inny Bóg w wojnę, inny w czasie spokoju. Teraz nie chodzę już do spowiedzi, nie słucham kazań, chcę żyć wedle sumienia, żeby drugiego nie skrzywdzić i siebie nie pobrudzić. Musiałem daleką drogę przejść, żeby do tego dojść. Nie tak łatwo, pani, oj niełatwo. I niebo i piekło odrzucić. A to nie piach, oj nie — głos Tomali brzmiał mocno i dźwięcznie, zwiastując prawdę zbuntowanej, niepodległej duszy.

Nauczycielka patrzyła nie na Tomalę, nie na jego skupioną twarz. Nie spuszczała oczu z kształtujących się słów. Zobaczyła prostego chłopca maszerującego na nowych drogach i to, co przeżył w ciągu mozolnej wędrówki od progu swej chaty, aby urobić w sobie nakaz: drugiego nie skrzywdzić, siebie nie splamić, godności człowieka. Pojęła ogrom wysiłku, wielkość postanowienia. Życiem pokoleń był wrośnięty w skałę, z której musiał się wyszarpać własną wolą. I Biel, kiedy opowiadał o wydzieraniu kamieni, osadzonych w glebie, i Tomala, kiedy mówił o karczowaniu tego, co było w duszy zakorzenione od wieków, mieli ten sam wyraz, tę samą zaciekłość. Dzikie ugór i zagon zboża. Pierwotny Biel i nowy chłop — Tomala. Nikt nie pomógł, nikt nie wsparł, nie ulżył. Sami się borykali. Tamten z ziemią, ten z duszą.

Tomala przerwał milczenie, zawijając wybrane książki. Ucisnął rękę nauczycielki na pożegnanie.

— Dziękuję za pogwarke, przepraszam, jeżeli w czem uraził. Przyjdziecie, pani, na zgromadzenie?

Z miasta przyjechali młodziaki, sami akademicy. Trzeba posłuchać, jak będą burzyć świąty, jak im się będą paliły wiechcie w gębie.

— Powiedzą później, że uczestniczę w zebraniach politycznych, no i wiecie, co potem?... Już i tak, ech. Moje dni...

— Wiem... wiem... Ano takie czasy, chcą twardym kijem obetrzeć zapłakane oczy. A tu wystarczyłyby kawałek chleba. Czasem wstyd... no... Zresztą... — zrobił niezgrabnie sztywny zwrot i zaskrzypiał protezą, zmierzając do drzwi.

Nauczycielka rozłożyła zeszyty na stole, ujęła pióro. Nie mogła pracować. Wciąż słyszała chłopskie prawdy, wypowiedane z takim przekonaniem, wciąż widziała twarz tak szczerą, wciąż czuła uścisk dłoni, twardy, chropowaty, a tak serdeczny i przyjacielski.

— W jego uśmiechu i w spojrzeniu mieści się duża, sama prawda, nie w nich niema podstępnego i nieufnego. Może z takich rąk wyrośnie lepsza przyszłość? Może idące pokolenie będzie właśnie takie: radosne w pracy, prawe w poczynaniach. — Pomyślała, że gdy Tomala z wiosną kuśtyka za pługiem, gdy sieje ziarna, to na pewno czyni to z dumą, z nabożnem skupieniem, a oczy jego, uradowane życiem, śmieją się do nieba, do słońca i do żywiołów, rozmnażających plon.

— Z takich Tomalów, z ich mocy i wiary urodzi się chłopski, nowoczesny Judym, nie poto, aby zstać na piaszczystych wydmach rozdarte sosny, pod któremiby płakał zawiedziony człowiek. Sosna rozdarta nie obejmie ludzkości skarłatemi konarami. Krzepkie garście chcą zrywać ów śliczny ornament powieściowy, aby żywych ogrzać i żywym świecić.

XXIV.

Jeszcze gwiazdy migotały na zmarzniętem niebie, kiedy wieś się ocknęła. W zaspanych oknach zapłonęły kaganki, aby przy ich skąpem świetle człowiek zaczął powszednią krętaninę. Po wszystkich ścieżkach dzwoniły kroki, aby biec przez dzień, aż do wigilijnego wieczoru, aż do radości Bożego Narodzenia. Praca wrzała naokoło domów, po obejściu, po mrocznym poranku.

W izbie Malinowskich Władek pierwszy się obudził i szarpnął Alojza.

— Zaraz wstawaj!

Zwyczajnie nie chciało się smykowi zwlekać z barłogu, kwękał, labidził, gotów pięściami grozić i odpędzać. Dzisiaj wiedział, że trzeba zerwać się ze śmiechem, aby cały rok był wesół. Pamiętał też, że „wilja rada dzieci bije“, to też rzucił na siebie ubranie, zatusował ochoczo kierpcami i podskoczył do gospodarskich spraw. Przelatywał od roboty do roboty z piosenką, gubiąc po drodze nuty.

„Owiecki becały — kiej się rozejść miały,
Owciarycek płakoł, — nóżki go bolały.
Bolały go nóżki — kiej chodził do Zośki,
A skoro do Marysie — zagoiły mu się“.

— Alojz, co ty wydziwiasz? — krzyknęła z oburzeniem Malinowska.

— Co takiego? — zapytał zdziwiony.

— Zberezeństwa śpiewasz w taki dzień. Grzych.

— Kiej mi wesóło — zaśmiał się echem piosenki

i zaczął nucić nową, tak samo radosną, do Hanusi Tomalanki.

A z drogi wleciała inna w odpowiedzi:

Siedziała przy sośnie, płakała żałośnie,
Że jej do matuli drozecka zarośnie.

Władek upomniał Alojza, co ma zrobić, i wybiegł na codzienny wyrobek. Nie było widać ludzi, słyszeć tylko głosy i stąpania, jakby zwarta ciemność dokądaś szła w chrzęście, skrzypieniu przez mroźną dal. Koguty, zamknięte w chlewikach, biły skrzydłami i piały przeraźliwie, że już czas, że słońce wnet wszędzie. Obudzone kury gderały zrzędlawie, że daleko do rana, poco się drze, kiedy gospodyni jeszcze ziarna nie wyniesie.

Świt zrózowił niebo, jakby ogień rozżarzał szary papier. Nie na długo starczyło rannego ognia, bo zaraz zgasł i już powszednie słońce ozłociło przemijający czas. Ludzi popędzał zwyczajowy nakaz, aby nie stać w miejscu, być w ciągłym ruchu. Wśród zapobiegliwej, skrętniej bieżaniny i krętaniny nie było słyszeć swarów, kłótni. Jakże to w taki dzień? Cały rok byłby w pomście. Ale czy to można wytrzymać, jak się nazbiera za dużo? to też niejednego złość porywała i przekleństwa wbrew woli wyskakiwały z gęby. Wkrótce przychodziło opamiętanie.

— Przez takiego obraza Boska? ażeby ci ozór odpadł, ażebyś nie doczekał drugiej wilji. Żebyś przez ciebie grzyszyła dzisiaj, o Jezu Miłosierny. O Jezu, łaski pełny. Poczekoj, ścierwo, dam ci. Dostanę cię pojutrze w łapy. Pana Boga nie byłoby na niebie, jakbym ci darowała.

Co prędsza i gwałtowniejsza swemu chłopinie niejedno wypomniała, że biedakowi bokiem wyłaziło szczęście małżeńskie.

— Ja cię nie mam ani za tego trepa, com wczoraj wyciepała na gnój.

Od babskich krzyków, jak od obucha siekiery trzaski, sypały się chłopskie stękania.

— Dobrze człowiekowi, dobrze, jak myszy, kiej ją kot dopadnie... Lepiej do ognia skoczyć, jak z taką babą jeść z jednej miski. Żebyś miał dwadzieścia rąk, tobyś prał w tę jedną słodką gębusię. E... Wszystkie ręce połamiesz i nic nie poradzisz. Zawdy takiej gęba chodzi, jak toruniowi kłapacka. I co masz z tego? Za ślinębyś sprzedał takie uciechy.

Władek, mijając zabudowania, śmigał ucieszonymi oczami po dziedzińcach: a kto to? a u kogo?

Wypuszczone kury już łąziły po obejściach, rozgrzebując pod stodołą zgoniny, to sterty świeżo wyrzuconego nawozu. Stada przepłaszanych wron rzucały po śniegu potargane cienie. Wróble czyniły gwar, spadały chmarą, to przemykały bokiem, wiedząc, gdzie ich poczęstują kamieniem, a gdzie ziarnem.

Pogodny poranek wstąpił do izby Malinowskiej. Nikt z mieszkańców nie widział pustych ścian, nikt nie pomyślał o nędzy, bo wewnątrz ustrojone było najpiękniejszym wyrazem: wilja. Alojz tajemniczo wspiał się po drabinie na strych, zaraz zbiegł po szczeblach, niosąc pękaty woreczek. Zamrugnął oczami porozumiewawczo.

— Mamo! patrzcie!

— Groch? Skądęś wziął? może, broń Boże... — nie śmiała dokończyć przypuszczenia.

— Nie, nie — parsknął radośnie. — Myślicie, żem

ukradł? W jesieni zbierałem po ścierniach strączki. Mieli zorać? Chciałem wam na wilję.

— Teloś zebrał — szepnęła z podziwem.

— Telo — wyrzekł z dumą. — Palce miałem spuchnięte i podrapane od cierni. Raz Hurkała mnie złapił i zerznął dudy. No, kwiczałem, rety! Piekło mnie, wolałbym, żeby ogniem sypał po skórze. Ciężką ma łapę — wciąż się śmiał, jakby opowiadał najweselejszą przygodę.

Właściwie niewiele było do roboty, mimo to aż za dużo, nie tylko dla słabych, przemarzniętych rąk Alojza, ale i dla zdrowych, mocnych. Sam siebie poganiał, aby to, aby tamto zrobić, bo jutro za żadne skarby nie wolno pracować, nawet wody naczepać ze studni. Nie czuł mokołu, największy nawet wysiłek był dla niego radością, aby tylko niczego w domu nie zabrakło. Staszek, stojąc przy oknie na ławie, ścigał wzrokiem przeloty ptaków. Sikorki roztrzepywały w powietrzu zielone i czarne ubarwienie, roniąc drobne dźwięki. Małe kłębki woli oczek, niby ożywione klejnoty, owijały gałęzie. Kowaliki stukały, jakby kruszyły rozproszone gwiazdy. Szczygły gorzały strzępkami zorzy w obłokach śniegu. Różnolita obecność ptaków była prawie bezcielesna, jakby śliczne, barwne sny zjawiały się, trwały przelotnie i przemijały bez śladu. Staszek głośno opowiadał, tak że Malinowska widziała to, co on widział, słyszała to, co on słyszał, i wędrowała razem z synem po przestworzach. Przed jej oczami ściany zniknęły, izba zmieniała się w nieograniczoną przestrzeń, zagubioną w niebie wśród błękitów i obłoków. Drzewa podobne były do zwiewnych rysunków, stworzonych tylko na dzisiejszą uroczystość. W ich oszronionych koronach brzmiały ćwier-

kliwe głosy, jakby ptaki przyniosły drobiny słońca, aby rozweselić ludzi smutnych. Radość poślacała głosy ptaków.

Staszek zbiegał z ławki i znów się wspinał, aby matce dalej opowiadać. Zamilkł i patrzył wdał, wreszcie krzyknął:

— Alojz, pójdź, pożryj!

Wezwany, porzucił sprzątanie i z miotłą stanął przy oknie.

— Niesą jedliczkę.

— Niech niesą.

Gromadka znajomych dzieci wyłoniła się z wąwozu i zwartym szeregiem zmierzała ku domowi Malinowskiej. Nad ich głowami kołysały się gałęzie smreka, rozwiany zielony sztandar.

— Kajże idą? Już ku nam skręcają.

— Czego chcą? — pytał gorączkowo starszy.

— Ale ładną niesą jedliczkę — mały nie zważał na niepokój brata. — Ej, żeby to nam. Chciałbym choć raz w życiu mieć — wykrzykiwał, urzeczony widokiem.

— Będziesz miał kijem — Alojz burknął. — Poco idą? Pani z nimi też! — poznając twarze, szeptał struchlały. — Znowu coś będzie. Skrzeszą skórę? Za co? — podejrzliwie zmierzył oddalenie. Chciał chlusnąć przez podwórze, przez płot i w pole. Wziął rozmach do skoku. Za późno. Już docierali do furtki. Zawsze miał dość na sumieniu. Myśli śmigwały jak błyskawice — może za to, może za tamto. Żył życiem ściganego zwierzęcia. Westchnął z poddaniem. — Niech co chce będzie. Nie pierwszyczna mi...

Tupot tyłu kroków nappełnił sień, zmieniony w gwar, szmer i ciszę. Z pośród zebranych wystrzeliła

kolęda. Chyba tak samo śpiewają anieli. Otworły się drzwi i weszli do izby, ...to nie żywi ludzie w kożuchach, kapotach, kierpcach, chodakach, ale Boscy wysłannicy, którzy przynieśli długo wyczekiwaną nowinę razem z mrozem, razem ze świeżością powietrza.

Staszek zeskoczył z ławki, przybiegł do łóżka matki i razem patrzyli jednako zachwyconemi oczami. Był to cud pierwszy raz widziany. Z kolęd wyrosła choinka, stanęła w kącie, sięgnąwszy powały, zapachniała lasem. Wśród ciszy zaszeleściły konary, których zieleń rozkwitała kolorami, rozbłyskiwała srebrem i złotem. Z wierzchołka zlatywał anioł z gwiazdą, rozjaśniającą wnętrze izby. Pomiedzy rozplatanemi świecidełkami drgały dziecięce głosy niby najpiękniejsze ozdoby.

— Maryś, haw powieś.

— Poczka, hań będzie zdatniej.

— O to, jeszcze to.

Staszek myślał, że to nie rzeczywiste drzewko, ale senne widziadło, objawione ścianom i ludziom, które może zniknąć. Objął chorą ramieniem i wyjawił nowinę.

— Pożryjcie. Jeszczem nigdy... jeszczem nigdy...

— Synu mój, synu, dobrych ludzi więcej jak złych.

Czyśmy godni?

Nauczycielka, stojąc naboku, patrzyła na barkóg, na огоłocone ściany, na nędzę, na ludzki szkielet, na Staszka, który nie czuł, że sznurek, podtrzymujący porciętą, wgryza się w nagie ciało, nie widział kapoty, uszytej z worka, nóg bosych, zsiniałych, bo oczarowane oczy witały ziszczony cud. Przejął ją piekący wstyd. Wolałaby, aby ją kopnęła ta nędzarka za łaźwą gwiazdkę, ohydą w swej rzewności, za plunięcie

miłosiernego serca. Zrywający się wrzask mogłaby wypowiedzieć tylko pięściami.

— Siebie chcemy oszukiwać jarmarczną, tandetną litością, im chcemy ślepią zatykać, aby nie zobaczyli swej krzywdy... Trzask czaszek po bruku — wspomnienie z wiecu — mieszał się z dziecięcym śpiewem. — Inne kolędy należy śpiewać dzisiejszemu światu. Z głowni!

Malinowska nie widziała rąk nauczycielki, zaciśniętych w kułak, nie słyszała jej myśli, patrzyła na Staszka i jego szczęściem uszczęśliwiona, powtarzała z zachwytem i z wdzięcznością.

— Boże! Boże! czemżeśmy sobie na to zasłużyli? Tyle dobra jeszcze nigdy... Dzieci, powiedzcie pani i wszytkim Bóg zapłać... — przy tych słowach kikut, spoczywający na piersiach, drgnął nieznacznie, powoli, ledwo widocznie sunął, aż wkońcu dwa żyjące palce dosięgły oczu i zgmiotły je. Nie zdołały wstrzymać naporu napływających łez. Dwa palce, jakby popieczoné, czy odepchnięte, osunęły się i już bez przeszkód zbiegały po policzkach czyste, niczem nie zatamowane łzy. — Tyle mi z ręki zostało, tyle z życia. Już moje ręce niczych łez nie obetrą, ani cudzym ludziom, ani moim dzieciom, ani nikomu...

Nauczycielka, nie mogąc znieść widoku nędzarki, łkającej z wdzięczności za jałmużnę, wyszła stąd, aby jak najdalej od tego domu. Coś mówiła wielkim płaczem czy przekleństwem. Nie wiedziała. Czuła, że jest zmieniona w bryłę zimną i twardą, w której osierdziu rozżarza się myśl: — chyba w godzinie śmierci będę widziała zniekształcony, pokręcony kikut, zgniatający dwoma żyjącymi palcami oczy, pełne łez i uszczęśliwienia...

Wzruszone dzieci wypadały z domu Malinowskiej i opowiadały o tem, co dzisiaj przeżyły i widziały. W ogólnym zgiełku przewijał się obraz chorej i imię Alojza i Staszka. Wkrótce zapomnieli pod wpływem nowych wrażeń i wyjawiali uradowanemi głosami, co ich dzisiaj czeka. Po przebyciu połowy drogi kilka dziewczyn wskazało na krępego, zwartego chłopca, niosącego pod pachą małe zawiniątko.

— Proszę pani, o hańten, chodok, to Władek.

— To ty się opiekujesz matką? — nauczycielka zagadnęła go, kiedy się zrównali.

— Jo, bo niema nikogo w chałpie — odpowiedział ze złością, że ktoś go zaczepia, kiedy wraca do domu, gdzie go czeka tyle roboty. — Nie mam czasu. Ostańcie...

— Matka nie skarży się na ciebie?

— No... — zaskoczony zamilkł. — Czasem się skarżę, bom prędko i co nie trzeba, powiem. Co zrobię, kiedym już taki? Trza sprzątać, wynosić, dźwigać, wszystko zrobić, jak kole chorego, nieraz krzyże mnie bolą, nieraz rąc nie czuję, to wicie... wicie..., sprzykrzy się mi żyć i zwyzywam ich. Potem serce mnie boli, bo co oni winni? Ja też niewinien. Złym, kiedy wrócę po robocie, i to dlatego. No i bida, niema, czego potrzeba.

— Ileż masz lat?

— Na trzynasty mi idzie.

— Na trzy-na-sty? — powtórzyła powoli.

Władek nie czekał dłużej, podążył ku domowi, patrzącemu na świat rozjaśnionemi oknami. Nauczycielka chciała na niego jeszcze raz zawołać, popatrzeć na twarz, zapamiętać jej wyraz i bezwiednie wyrzekła do ogołoconych drzew wbrew temu, co myślała przed chwilą.

— Trzeba wierzyć w serce ludzkie.

Dzieci rozbiegły się ku zabudowaniom, rozrzuconym po zboczy. Topniała gromadka. Nauczycielka żegnając odchodzących jednak przyjaznym uśmiechem, życząc wesółych, szczęśliwych świąt. Nie wiedziała, kiedy została sama, porzucona na opustoszałej ścieżce. Zrozumiała, że w ogólnem weselu była zbyteczna i obca. Nikt nie zapytał, dokąd pójdzie, z kim wymieni uścisk ręki. Wieś była dzisiaj biesiadnym stołem, uroczyście zastawionym, przy którym zabrakło miejsca dla niej. Nie chciała zobaczyć swego smutku przez szczęście innych.

— Nie mam nawet takiego domu, jak Malinowska.

Pozdrawiali ją przechodnie. Nikt dłużej nie stanął, bo nikt nie miał czasu. Przelatywały furgotające spódnice, otrzepujące zapach potraw, gotowanych na wigilijną wieczerzę. Z drzwi wyskakiwały splonione twarze i krzyk.

— Tyle roboty, ani nadążyć. Kiedy się obrobię. A pomóż, ścierwo, bo Pon Jezus przyjdzie i jakże go powitać, w takim chlewie, w takim gno... — kobieta urwała na widok przechodzącej, uśmiechała się przyjaźnie i przepraszała zawstydzona. — Nie gniewajcie się, bo ta rozmaicie bywa przy gospodarce.

Nauczycielka nie mogła wrócić teraz do siebie, bo i pociąg? Daleko do wieczora, daleko przez noc do rana. Skrzyła na napotkaną ścieżkę i pędziła się ku Chrystusowi, stojącemu z zaciśniętymi pięściami w samotnej kapliczce. Zdaleka zobaczyła omszały dach, wysterczający z kręgu drzew, i pozdrowiła go obcym głosem.

— Nie sentymentalny Chrystusik, urodzony w żłobie, jest wyrazem dzisiejszych dni, ale Ty zbuntowany...

Rozległ się chrzęst w zaroślach. Ktoś deptał, łamał gałęzie, czyniąc wrzawę jakby dzikie zwierzę, pędzone nagonką. Z gęstwiny wyszarpał się Biel, znędzniały, obdarty. Wracał z lasu, czy z pod kapliczki i coś do siebie mówił, jakby stąd dźwigał słowa ciężkie, ponad miarę jego sił i czucia. Szedł ku swojemu celowi, ku swoim zamiarom, obcy światu, wrogi mu i nie zwracający uwagi na nikogo w przekłętej wędrownicy. Nauczycielka, uradowana jego zjawieniem, przyśpieszyła kroku, po wielokroć zawołała — Bielu! Bielu! — Chciała go zaprosić do siebie, aby razem spożyli wieczerzę.

— To mój jedyny towarzysz, tak samo samotny, jak ja, tylko odmiennie udręczony. — Przeraziła ją myśl, że i ten ostatni towarzysz ją minie. Ze wszystkich sił krzyknęła — Bielu, nie uciekajcie przede mną!

Nagle jego stopy się poplątały, skróciły odmierzony krok, opadły na ziemię i chyba przymarzły. Odwrócił głowę i stojąc w miejscu, pchnął nauczycielkę przekrwionemi oczami. — Co chcecie?

— Cóż wy tak do mnie przemawiacie?

— Boście taka sama, jak inne ludzie?

— Jakto? Chciałam z wami pomówić. Zniknęliście wówczas i nie widziałam was od tamtej nocy. Dlaczegoście nie przyszli do mnie? Gdzieście byli? Pytałam ludzi o was. Nikt was nie widział.

— Myśleliście, żem w kryminale zgniał?

— Dlaczego miałam tak myśleć?

— Boście się z braciszkiem pojednali na mnie. Wiem wszystko. I wy z nim. Niech każdy mnie krzywdzi. Byliście inna dawniej. Braciszek was odmienił i nóż na mnie naostrzył.

— Co wam przychodzi do głowy?

— Nie uciekacie przede mną? Wszyscy uciekają. Dzieci wrzeszczą: Biel idzie, djabeł idzie! Patrzenie — odwinął rękawy, pokazał sińce. — Kamieniami cięskają.

— To wyście winni. Przebaczajcie ludziom, to i ludzie... — powierzchnią warg wyrzekła błahe, nie znaczące upomnienie.

— Ja? Nie daruję. Wicie, dlaczego ja taki? wicie? — zatoczył szeroki krąg. — Na całym świecie nikogo. Jakże tak można żyć?

— Samiście do tego doprowadzili. Chcąc w szczęściu i w weselu żyć, trzeba szczęście i wesele rodzić i rozdawać. Macie na wszystkich siekiere. Chcielibyście wszystkich wypalić, wyzabijać i dlatego wszyscy was nienawidzą.

— I wy też, ino inaczej, chcecie wypalić i wyzabijać.

— Co? ja? — doznała wrażenia, że ten cham brutalnie zdarł z niej ciało, aby wyszarpać utajoną myśl.

— Wy — grzmotnął ją w twarz jednym wyrazem.

— Nigdy nie widzę własnej krzywdy. Ja za krzywdy wszystkich — słowa te rozogniły jej wargi.

— Powiem wam, ino tyle wartają. Trza wypalić, trza wyzabijać, żeby sprawiedliwość nową zaprowadzić, Bożą. Czego mnie tak krzywdzą? Już nie mam tyle ognia, już nie mam tyle siły. Wicie, w tamtą noc wszyko się we mnie odmieniło. Już temi rękami nie podpalę. Te ręce mnie zdradziły. Tyle wiem. Domu mi było żal i dlatego ratowałam. Nie ich, nie. Na klęczkach prosiłam, niech mnie zatłuką, niech zakatują. Miałbym spokój. Oni też. Wydarłbym sobie śli-

pia, żebym więcej nie patrzył na swoją krzywdę, o tak — wbijał zakrzywione palce, jakby chciał wyrwać przekłete oczy — żebym nie widział swego pola.

— Innym ludziom gorzej, o wiele gorzej. Jeżeli chcecie doznać ulgi nawet w najcięższem położeniu, to pomyślcie o Malinowskiej. To dopiero Łazarz.

— I ona mnie przeklina.

— Wierzy, że wyście sprawcą jej choroby. Czyżby sama wasza myśl była przekleństwem? Powinniście iść i wytłumaczyć, aby nie żyła w tem przeświadczeniu.

— Mnie najgorzej ...Jej lepiej, jej nikt nie przeklina.

— ...tak, nad nią się litują, was nienawidzą.

— ...nigdzie, nikogo — powtórzył prawdę ostatnią, najokrutniejszą, której żadna moc nie może zmienić. Charkot wydarł się z gardzieli. — Nie mam przed sobą nic, do niczego nie dojdę, bo jak? — wykonał ruch, jakby szaleńczym wysiłkiem rzucał siebie w przepaść, w mrok, gdzie niema ratunku. — Skapię, skapię — to słowo, po wielekroć wypowiedziane szepem, stygło, jak krople, skapujące ze świecy, którą stawiał w kapliczce z zemsty na brata. Rozpaczliwie się targnął, chcąc oderwać się od tego miejsca i od ostatniego człowieka, pozostałego na jego drodze. — Gospodarzem byłem, a terazem dziadem. Temi rękami robiłem, a teraz? Jezu! po chlib wyciągam. I poto moje ręce? Czego już nie mam sił? Wiedzą oni, że ja już kalika — rozłożył dłonie bezradnie. — Tak nie zejść z tego świata. Zostawię po sobie pamiątkę. Zapłacę im za wszystko — pochylił się nad nauczycielką i dyszał. — Powiem wam. Za życia mnie odganiają,

po śmierci do nich przyjdę. Będę orał, będę siał, będę gospodarzył — wskazał na pola — to moje. Nie dam spokoju — zachichotał. — Nie dam im spokoju. Nie będą mieli władzy nade mną, kamieniami mnie nie odgonią.

— Co wy? — z przerażeniem spojrzała na Biela. Zrazu nie zrozumiała mowy, ani tragicznego ruchu rąk. Pojęła jedno: ogrom bólu, nicość jego życia.

— Mój duch przyjdzie. Wicie? Po śmierci przychodzi. Mojego ojca widzielimy. Chodził po gospodarce, co go dzieci wygnały. Płakał. Ja nie będę płakał. Będę robił to, com za życia chciał. Już nigdy spokoju nie zaznaję.

Nauczycielka przypomniała sobie ponurą legendę, stworzoną przez mściwość chłopską, że duch wychodzi z grobu i wędruje po drogach swego życia. Zobaczyła marę, błądzącą po podwórzcu, kroczącą bródzą za pługiem, marę, poganiającą cienie przeklętych koni, wypełniających zajęcia gospodarskie.

— Chcecie ich w ten sposób prześladować?

— Tak.

— Chybaście oszaleli, żeby tak nienawidzić nawet po śmierci... Niczem dla was człowiek. Dla chciwości gotowicie mordować.

— Nie daruję. Pokażę, co znaczę. Swoje zrobię, co mam zrobić i co chcę.

— Co chcecie robić? — kurczowo chwyciła go za ramię, chcąc wstrzymać. — Dokąd idziecie? — oczy w złotym obwodzie zapęłniły się niebieskim żarem.

— Hihhi!!! Gdzie mi się chce. Co wam do tego? — wyszarpał się z jej uścisku i odepchnął nabok. — Odyńdźcie, co macie do mnie? — To wam jeszcze powiem. Trzeba z pazdurami na ludzi. I moje je-

szcze za miętkie i dlatego jestem w poniewierce — ciął ostro jak siekierą. Skamieniałymi oczami uderzył w dom swój, widniejący opodal, w okna, we drzwi, przez które synowie wychodzili, i pięścią komuś groził. — Będą wiedzieć, kogo skrzywdzili. — Nabrał sił i zwałisty, zgarbiony, ruszył naprzód, miażdżąc śnieg, zeschłe badyle, gałęzie, wyciskając głębokie ślady, wiążące się w łańcuch, wiodący w stronę kapliczki.

Chciała jeszcze raz zawołać. Pożałowała głosu. Z pogardą odepchnęła myśl o nim.

— Niepotrzebny człowiek — tem krótkiem zdaniem pożegnała go. — Już go nikt nie zatrzyma na drodze, wiodącej do przekłętego celu. Głuchy i ślepy dojdzie... Niech idzie...

Wśród świątecznego hałasu wsi rozlegał się stukot siekier, których ostrza wyblyskiwały w mroźnym dniu i gaśły wciosane w drzewo. Widać było postacie robotników odwalających smolne szczapy. Na podmurowaniu wyraźnie rysowały się belki przyciesi, związane na węgiel. W takt toporów słyszać było:

„Nuty moje, nuty, skond się mi bierecie?
Na mojim serdecku same się siejecie!“

— Jeszcze pracują? Nic dziwnego, dzisiaj dla nich święto, kładą podwaliny pod zrąb domu gromadzkiego, który powinien mieć nazwę: „Z naszej pracy wasz dom“. Wpatrzona w budowlę, marzyła o wielkiej wsi.

— Odrodzenie jej nastąpi przez tych, którzy idą. Trzeba, aby przestąpili próg szkoły, jakby próg nowego życia. My jesteśmy popiołem, zgorzeliskiem, kryjącem ogień dla pokoleń, mających nadejść. — W stukocie siekier, piszących pracowity manifest,

szeptać do cieśłów. — Tylko entuzjazm zdobywa triumf. Najstraszliwsza choroba to brak entuzjazmu. Lud z siebie wydobędzie wiarę w przyszłość, ale wpierv musi stworzyć warunki do wydobywania twórczych sił, potrzebnych do odrodzenia. Przed nami prosty cel, przebudowa dusz ludzkich do nowego życia i zwycięstwo jutra. Chłop dopiero wychodzi, aby zacząć walkę o swoje prawo. Walcząca wieś budzi się... — Zobaczyła dzieci, które uczyła i które ma uczyć. Tysiące, tysiące ławek, nieprzeliczone szeregi, wypełnione postaciami. Życie jej aż po najdalsze krańce zmienione w szkołę. Ugięła się pod ciężarem tego obrazu. Już stąd nigdzie nie odejdzie, wpleciona w węzeł zawiłych ścieżek. I tak z roku na rok. Wiecznie się będzie krzątała w kieracie możliwych godzin, powszednich czynności. Zamknięta w czterech ścianach wiejskiej szkółki, może być płomieniem, który świat podpala, ale musi wypełnić swoje szare obowiązki, poczęte z miłości, podyktowane powołaniem. Uświadomienie tego obudziło w niej wiarę w siebie i spokój, graniczący z pełnią szczęścia. Jej cel jednak, a wciąż żywy i twórczy: oddawać duszę w codziennych czynach dla drugich. Na tem poczuciu oparła się jak na opoce. Jakby w natchnieniu pomyślała, że słońce jednakiem światłem obdarza i bogacza i nędzarza, i wody niezmiernych mórz i rzeki, i uliczne kałuże i czyste źródła. Zaśmiała się głośno.

— Słońce, wiecznie świecące, a zawsze tak samotne... Kto kocha, ten musi wiele przetrwać, wiele przecierpieć... Swoje troski rzucić jak smolną szczapę na ognisko, niech dadzą światło drugim. Dzisiaj, choć jestem w smutku i osamotnieniu, to przecież taką

radość sprawiłam. Jałmużna? Dla nich osłoda. To była moja najpiękniejsza wigilja. Gdy zginie wiara w swoje szczęście, narodzi się szczęście w pracy dla drugich. — Ujmując wzburzoną duszę w ten nakaz, coś żegnała i coś witała. Odwróciła się i poszła w przeciwną stronę niż Biel, w życie, pełne walki i mozołów.

Wśród skłębionych chmur spoczywało niebo, jakby błękitna, niedosięgła, cicha rzeka. Przemijające obłoki, zaćmiewające i odsłaniające słońce, wyjawiały samotnie idącej nauczycielce prawdę czegoś, może znikomości, może nicości, czy zmienności piękna, objawiającego się wciąż w nowym kształcie, zawsze nęcącym, zawsze urzekającym tajemniczością, bogactwem, urokiem, jak samo życie.

Nauczycielkę ogarnęła tęsknota za przestrzenią. Pulsowało w niej pragnienie pędu. Wiedziała, że dzisiaj nie będzie mogła siedzieć w pustej izbie. Postanowiła po powrocie przypiąć narty i pognać w noc, w kurzawę gwiazd.

— Tak spędzę wigilję. Stołem będzie śnieżny świat.

Chciała na kogoś zawołać, podzielić się nowiną.

Idąc ku wsi, odchodziła od słońca. Kiedy znalazła się między zabudowaniami, kończył się dzień. Przejrzyste, mroźne powietrze napełniło się lotnym różem. Czerwień, rozlana po sklepieniu, podobna była do pożogi nad uśpioną ziemią, czekającą na rozbłysk gwiazdy. Z wyżyn chlusnął ogień czy krew. Z okien zapalonych buchnęły płomienie, jakby z wnętrza płonących domów. Kiedy spojrzała w dal, doznała wrażenia, że to nie purpurowe, zbroczone, obrzmiałe chmury kłębią się na niebie, ale pożar, wiszący nad

dachami. I wtedy w rozognionej duszy zrodziły się myśli, które chciała wypowiedzieć ludziom. Czuła w sobie rytm bojowych kroków.

— Nadchodzą dni, które nakazują, że nie wystarcza zbieranie samych smutków. Rodzi się w nas powszechne wołanie o mocnego człowieka, o przebudowę... — przez wargi przepływał szept, jak szum sztandaru, czy płomień, który gorejąc, obejmował twarz. Buchała prawda jak zwycięska pieśń. Odblask czerwieni bił od postaci, wpatrzonej w zachód.

Nauczycielka nie czekała już na gwiazdę betlejemską, na jej nikły błysk, zagubiony w obszarach nocy.

— Kiedy pani nie było, przynieśli list — krzyknęła przebiegająca dziewczyna.

— Kto?

— Z poczty.

— Od kogoż? kto pamiętał o mnie? — przyśpieszyła kroku. Czem prędzej otworzyła drzwi.

W smudze ulicznej lampy, wpływającej przez okno, spoczywał na stole prostokąt, kryjący nadzieję, czy radość. Poznała po kształcie i napisie. Głowa zwisała nad widniejącą kartą, jak nad przepaścią. Oczy przywarły do czarnych szeregów, które przerąbywała, darła na poszczególne zgłoski, wkońcu zebrała w okrzyk.

— Ze względu na... Tak, to ostatnie dni. Dosięgli mnie.

Obezwładnione wiadomością ręce opadły na bielejącą éwiartkę, zrosły z nią, jak ręce galernika z wiosłami. Palce pojedynczo kurczyły się, zaciskały, coś gniotły.

— Orać ugór...

Wiedziała to, że zawsze zbuntowana, upadająca

i odnosząca zwycięstwo nad sobą, pójdzie w czekające ją jutro, aby kłaść życie pod przycieś zawsze tej samej budowli.

XXV.

...ciężkie stąpanie butów, stuk gwałtownie szarpniętej klamki, skrzyp drzwi wskazywały, że to żyjący człowiek, a nie zjawa, budząca grozę.

— Biel — szepnął Alojz, który właśnie poprawiał pościel matce, i zastygł z odchyloną płachtą. W tej postawie niemem skinieniem pokazywał kalectwo, patrząc synowskim wzrokiem na przybyłego.

Biel zrobił dwa kroki i stanął, porażony widokiem. Tak był zmieniony, że ledwo go było można poznać. Jedynie tylko twarz, mimo szram i blizn, rozognionych po oparzeniźnie, pozostała kanciasta, ostra, brutalnie obciosana kilkoma rąbnięciami. Ten sam buntowniczy biedak. Dopiero dzisiaj pierwszy raz zobaczył chorą, szkielet swego wroga, rzucony na barłóg, piszczele wyschłych nóg, ręce bezwładnie leżące na piersiach i zniekształcony kikut, drżący dwoma żywymi palcami. Coś poderwało ziemię z pod stóp. Biel zawisł, a upaść nie może, bo wciąż musi pa-trzeć, aby na zawsze zapamiętać kształt pokręconego ciała, mękę pogwałconego przez siebie człowieka.

— To ja, to moja pomsta...

Zadygotał już nie tylko każdym żywym mięśniem, ścięgnem, ale każdym włóknem ubrania. Kilkakrotnie poruszył wargami. Gruda grdyki gwałtownie się podnosiła i opadała. Coś chciał czynić, coś wyrzec, a dła-

wił się. Wstrząs z piersi wydarł jakby szloch, jeżeli kamienie płaczą.

— Wszystko prawda, co ludzie mówili.

— Alojz! zaraz mnie przykryj — krzyknęła Malinowska. — Co ty wydziwiasz? Alojz!

Chłopak, niewzruszony wołaniem matki, chwilę trwał w bezruchu, dopiero pomału opuszczał zgrzebną płachtę jakby całun.

— Przyszedłem — w izbie jedno słowo dźwiękło i nieruchome trwało w zmartwiałej pustce.

— Dobrze, żeście przyszli.

— To wy tak? Nie wiedziałem.

— Tak — westchnęła. — Dopiero teraz pierwszy raz widzicie? — Malinowska witała wroga bez zdziwienia. W jej słowach i zachowaniu się był spokój, uciśnienie i pogodzenie się z losem, które osiąga się po latach męki, kiedy całe życie rzeką łez przelało się w morze wieczności, a na ziemi już nie zostało, tylko łachman człowieka z objawioną prawdą: nienawiść, pomsta i krzywdy to nicość, a wszystkim przebaczenie, zrodzone z cierpienia, i modlitwa spojrzeniem sięgająca Boga.

— Dopiero teraz — stał z ramionami zwisającymi, choć nogi zrywały się, aby podejść do łóżka. Pod ubraniem znać było mięśnie, nabrzmiałe od wysiłku. Nie śmiał. — Nieraz tutaj byłem. Ścigało mnie przez tyle lat, aż dzisiaj w taki dzień. Nigdy nie móc było wejść.

— Trza było przyjść, wołałam was.

— Żebyście się cieszyli z mojego nieszczęścia? Wiem, ludzie ino dlatego chcą oglądać człowieka w upadku. Nigdzie nie mam miejsca na ziemi — siły

wyczerpał w wyznaniu, które wybłysło, jak ogień z pod młota, padającego na kamień. — Nie wyganiajcie mnie...

— Czembym mogła was wygnać? Rąc nie mam. Kiejbym mogła zwlec się z mojego posłania, tobym się pod wasze nogi rzuciła, każdy wasz krokczek łzami-bym obmywała: odeczyńcie babry, coście na mnie założyli.

— Nie zakładałem na was — powiedział uroczyście, z mocą, jakby w tych słowach chciał stracić głos, zrośnięty z sumieniem.

— Nie wy? W Kieczny mi mówił.

— Mówił? — głos się zawahał, osłabł, ścichł. — Powiedzcie, gdzie wam się to przytrafiło.

— Wy wiecie sami najlepiej. Nikogo nie winuję, ino proszę, zlitujcie się.

— Na bratam zakładał i na żonę — krótko powiedział.

— Na ślubną żonę i rodzonego brata?

— Na nich.

— Powiedziane jest w piśmie świętem: nie będziesz przeciw bratu i przeciw żonie.

— Przeciw takiemu bratu i przeciw takiej żonie — trza. Mówię, jak jest. Na bratam zakładał, na tego krzywoprzysięcę, co mi życie zmarnił. Brata winuję, bo on prawotnik, proceśnik, bo on zakwardziały w sumieniu swoim, bo on moje małżeństwo rozdarł. Nie miałem urazy do was. Krzyżem się świadczę. Wyście babry przešli i was spotkała krzywda za nich, bo od nich wszyćko złe. Dopust Boży. Co my? Tak musiało być. Nie wolno się sprzeciwić.

— Grzech!

— Nie grzech, bo to ze serca złość i z pomocą Bożą. Nie o nich mi chodzi. O was. Nie będę miał spokoju, pokła was nie przeproszę.

— Jeżeli skrony was cierpię, to Pan Jezus widzi i rozsądzi, ja nie, ja nie.

— Żebym świętej komunji nie doczekał: ja wam nie winien, ja wam nie winien. Nie skrony mnie cierpiecie. Nie poto przyszedłem, żebyście mi odpuszcili, ino żebyście razem z moją ślubną żoną, razem z braciżkiem przeklinali mnie, bom tyle wart. Niech każdy mnie bije, niech każdy ciska kamieniami.

— Zrazu tom was przeklinała, kiedym widziała, jak ludzie idą do roboty, i wszyćkim zazdrościłam, że mogą chodzić, że mogą pracować. Teraz niema we mnie nijakiej złości, ino samo uciszenie. Dziękuję Bogu, żem przestała pomstować...

— Czegoście nie przeklęli, żebym zdechł? Żebym zgnął.

— Nie mówilibyście tak, gdybyście dzień i noc leżeli tak, jak ja, na pościeli. Bo wiem, co to jest takie przekleństwo. Już tysiąc razy chciałam umrzeć, a żal mi było odchodzić z tego świata. W zimie chciałam doczekać do wiosny, na wiosnę doczekać do lata. Popatrzeć, jak trawka rośnie, zboże się zieleni, słońce świeci, ptaszki śpiwają. Wicie, cały świat widzę — szeptała z zachwytem do wspomnień, do cudów, utraconych na zawsze. — Ino ludzie nie szanują, przemarnią życie w błocie, we łzach, albo w przekleństwie, a mogliby w radości. Nie mogłam iść na pole, kiej somsiady zboże sprząтали. Kiedym samiuśka leżała, z płaczem prosiłam Matki Przenajświętszej, żebym ozdrowiała, żeby mi dała tyle sił,

żebym wzięła sierp jeszcze raz i wam pomogła przy żniwie, przy zbiorce ziarna na chleb.

— Nie mam nijakiego pola — jęknął. — Wygnali mnie z gospodarki.

— Wiem. Nieraz potem dzień i noc prosiłam Pana Jezusa, żebyście wrócili na gospodarkę. I mówię wam, że tak się stanie.

— Już się niczego nie dorobię.

— Co wy mówicie? Dlaczego nie mielibyście się dorobić? Trzeba mieć wiarę w siebie, to ludzkie życie jest lżejsze.

— Wy o toście prosili? o Jezu! Za to wszystko złe? Pomstujcie na mnie!

— Czy byłoby mi lżej, jakbym was zemściła? czyby mi przybyło kasek zdrowia, jakbym widziała, że wam tak samo ręce i nogi odjęło? byłoby mi lżej, jakbyście na mnie płakali? Co się nacierpię, tego nikomu nie życzę.

— Lżej byłoby mi żyć pod waszem przekleństwem. Mam w sobie tyle kamieni, jak cisnę choć jeden, to mi lżej.

— Lżej wam? — spojrzeniem przełamała najtwardszy kamień, spoczywający w jego piersiach.

— Rosną nowe — tchnął ciężko.

— Jakbyś, człowieku, wszystkie krzywdy pamiętał, tobyś żył samą złością. Nie narzekam, nie przeklinam, — kiedy to mówiła, jej oczy jaśniały, można rzec, świętością — ino się modłę: Panie Jezu, jeżeliś niepotrzebna, zabierz mnie z tego świata.

— Skrony mnie, dej Boże, żeby się zmiłował i zabrał was z tego świata, boście pokutnica, boście męczennica i nijakiej nie macie nadziei. Ja z kamienia i z żelaza, to muszę inaczej.

— I coście zrobili? do czegoście doszli?

— Chciałem na dobre, a wszystko się obróciło przeciw mnie. Każdą bryłkę ziemi, com z tych pazdów wykrwawił, teraz na mnie ciskają. Rodzone dziecko ma prawo ojca bić, a ojciec nie ma prawa? Wygnali. Idź po żebraniu, co my będziemy obcego człowieka trzymać. Tak mówią — wyliczał powoli a tak, jakby kulę za kulą wyjmował z zestarzałych ran. — Ani mi kto uprać, ani ugotować. Jaki mój żywot? Wyciskam łyzy krwawe. Mam ginąć bez kawałka chleba, com się tyle na chleb narobił? Tyle się muszę namarznąć, tyle naponiewierać. Klęska Boża musi spotkać świat i ludzi za mnie. Żeby ich święte sakramenta poraziły i żonkę i brata i dzieci, że mojej krzywdy nie wynadgrodziły. Na ich sumieniu będzie siedziała. Pan Bóg sprawiedliwy za wszystko zapłaci. Co mam zrobić? — ujął głowę w garście, rozczapierzone paluchami, potem chwycił się za gardziel, coś zdzierał, jakby rozluźniał duszącą pętlę i znów ją zacieśniał. — Dzisiaj chciałem się powiesić, wicie, temi rękami, o temi, własnemi.

— Wy? dzisiaj? we wilję?

— Dzisiaj. Nie na ich uciechę, nie. Wicie, czego? żebym z cmentarza przychodził do nich i straszył, żeby po mojej śmierci nie miały spokoju od ojca. Gałąź się złamała. Gorszy ja niż Judasz. Nad Judaszem Pan Jezus się zlitował i ukrócił jego męki. Stamtąd idę. Patrzcie, o — zacharczał — tu — pokazał pręgę, przecinającą szyję. -- Wszyćkom tam przeżył, wszyćkom zobaczył — kiwając głową, mówił. — Narzekacie, że nie macie sił w rękach i w nogach.

— Nie narzekam, ino mi żal. Chciałabym dzieciom usłużyć, nie mogę, chciałabym iść do ludzi pomóc, nie mogę. Oczy mi jedne zostały, żeby widzieć, że są dobre ludzie na świecie. I tem się raduję.

— Choć was choroba dopadła, to i tak wam lepiej niż mnie.

— Mnie lepiej? Możecie się chycić każdej roboty. Co ja, pokrecony stwór Boży?

— Żebyście wiedzieli, jaki ja nieszczęśliwy człowiek. Gdzie pódę, zawdy bez swego chleba, bez dobrego słowa, bez swego dachu, zawdy po cudzych progach się plątać, nijakiej drogi nie mieć przed sobą.

— I cudze kąty są dobre, ino nie trzeba ognia pod siebie podkładać.

— Mnie cudze kąty są cierniami.

— Za dużo w was złości i dlatego nie macie miejsca na świecie.

— Niech mi ręce o, potąd, utną, niech mi nogi potąd utną — chlasnął krawędzią dłoni, jakby chciał odrąbać nogi po kolana, ręce po łokcie — żebym w sobie miał spokój, o tu, o tu, Jezu — tłukł kuliakiem w pierś charczącą. — Ręce mam, nogi mam, ale we mnie wszystko zabite. Ja dopiero nieszczęśnik i przeklętnik. Choroście, a i tak wam lepiej, bo choć ładne słówko mówicie jedno do drugiego. Jak słyszę, to mi żal, aże mi świrczki z oczu lecą, że tak szczęśliwie żyjecie. Com robił, to z zazdrości. Dziecko wam boleść odejmie. A mnie kto? Ludzie was wspomożą. A mnie kto z miłosierdzia poda kapkę wody? Dla was każdy ma dobre słowo. A dla mnie? Żyjecie z ludźmi nie jak pies. A i pies idzie do ludzi. A ja? Za co tak?

— Z pazduramiście szli do ludzi, to pazdurami wam płacą.

— To samo mi mówiła pani. Z pazdurami na ludzi, ale z sercem do ziemi, a ona nie ma dla mnie uczucia. Dla każdego jednaka.

— Bo chleb jednaki.

— Dlaczego dla nich dobra? dlaczego im zboże rodzi? Mogła w sobie ich ziarno wysuszyć, mogła ich wytruć za mnie, za mnie!

— Co wy, Bielu, mówicie? Opamiętajcie się. Chcecie, żeby ziemia chlebem wytruła? Matka swoje dzieci?

— Wszyscy dzisiaj w radości. A ja? Dzisiaj pojednanie, ino nie ze mną. Do każdego Pan Jezus idzie, ino mnie nie widzi.

— Zostańcie, ludzie naprzynosili coś, to się pożywicie z nami.

— Wy mnie? ja z wami? do stołu? na pośnik — rwał się głos w krótkich pytaniach.

— Czegożby nie? Wystarczy dla wszystkich.

— Kiej nie mogę być na swoim, to niech zgniję pod płotem. W taki wieczór przy cudzym, uproszonym stole? Wstyd. Gospodarzem jestem. — Znów dumnie rzucił łbem. — Co ja mówię? Wciąż za dużo we mnie złości i nie mogę z ludźmi się przy świętej wieczerzy — już nic nie mówił, a tylko garście coś chwyciły, zaciskały, podnosiły i wypuszczały.

Malinowska z przerażeniem patrzyła na okrutne jego ręce, będące wyrazicielami myśli i uczuć, zawsze takich samych, zawsze jednako mściwych. Wiedziała, co przeżywają. Wyszepiała do rąk i do oczu, jakby do błysków siekiery, podniesionej do ciosu.

— Nie róbcie tego. Dzisiaj Pan Jezus się narodzi. Że też Boga się nie boicie.

— A oni się Boga boją? To ino ja jeden mam się bać i iść na zmarnienie? Nie doczekają pastyrki! Nie przyjdzie odmiana ani na mnie, ani na nich. Brat i oni w jednym rzedzie.

— Przyjdzie, Bielu, odmiana, przyjdzie. Coby nie miała przyjść? Tyle dobra na świecie, dla wszystkich będzie dość i dla was też. I powiem wam, wszystko proch i marność, wszystko przejdzie i przeminie, ino tyle zostanie, co drugiemu dobrego zrobicie.

— Na sercu mam samo uciemiężenie. Tyłem na-przeklinał, że w przekleństwie zmarnię. Nic nikomu dobrego nie zrobię. Ja grzyśnik nad grzyśniki, jak sobie zasłużyłem, tak będę miał. Noc przede mną. — Strudzony, przywłókł się ostatkiem sił do łóżka. Głowa bezsilnie zwiśla. Patrzył na chorą, która przez jedną chwilę przejrzała go i poznała, że w jego oczach tępi się ostrze, kruszeje kamień, gaśnie ogień. Biel zamknął powieki, aby ukryć tajemnicę zmiany. Malał, garbił się, jakby zapadał w klepisko, wgnieciony ciężarem swego grzechu, wszystkich udręk. — I do was trza było przyjść po dobre słowo? w nie-szczęściu do was, żebyście pomogli i wsparli... Prze-baczcie i nie miejcie do mnie nijakiej urazy — położył dłoń na jej kikucie, pogłaskał czule, jakby chciał zetrzeć z niej wszelki ból, wszelką mękę — bo ja... bo ja... — Odwrócił się. Targnął całym sobą. Nie mógł wydzwignąć ciała i nóg. Pierwszy łoskot jego kroku zahuczał w zamilkłej izbie. Potem drugi, potem trzeci. Potknął się w połowie. Chyba nigdy nie dojdzie do progu? Runie twarzą na klepisko.

Dotarł do drzwi i pchnął narozcież. Wpadł kwadrat światła, a na ten kwadrat cień odchodzącego.

— Wróćcie, zostańcie z nami! Dość miejsca na ławie, dość jadła, ino łyżki nam braknie, z pomocą Bożą podzielimy się — zawołała Malinowska.

Barki Biela zatrzęsły się, ręce zadygotały. Nawet nie spojrzał poza siebie, choć słyszał jej prośbę. Żadna siła nie mogła go wstrzymać i zawrócić. Odchodził stąd w pustkę nadciągającego wieczoru, jeszcze bardziej opuszczony i nędzny. Przy nim pozostał tylko cień, idący po puszystym śniegu, po krzewach, po kamieniach, leżących na ścieżce. Ptaki, przyczepione do zeschniętych badyli ostów i głógów, zrywały się niemal z pod stóp i zawisały wgórze, jakby odpoczywały w przelocie do nieba. Biel szedł coraz śpieszniej, coraz wyżej.

Przez otwarte drzwi patrzyła chora z barłogu na ścieżkę, którą się wspinał, na świat i na niebo, jawiące się w przepychu barw zachodu. I wtedy z mroźnej dali, jakby po smudze światła, spłynął szczygieł do izby i w przerażeniu latał dookoła, aż zmordowany zastygł, aby odpocząć, skręcał głowę we wszystkie strony. Rozpostarte skrzydła zwisły i drgały, jakby każde piórko było przybijane do drzewa różnokolorowymi ćwiekami. I tak trwał śliczny, barwny, jedyna tutaj ozdoba i pociecha.

— Nie wyganiajcie, może przed mrozem ucieka. Trzeba przytulić biedne stworzenie — upominała matka. — Nie zawierajcie jeszcze drzwi, niech choć teraz pożrę na niebo.

Dzień już dogasał. Przyczajony cień wypełzał z zakamarków i leżał porzucony na dnie doliny, gęstniejąc w oszroniony, posiwiał fiolet. Wierzchoł-

ki, otaczające wieś, stały w blasku, jakby snop spływający z nieba omiótł je złotymi żdźbłami. Słońce zsuwało się coraz niżej, dotknęło krawędzi wzniesienia i spoczęło w koronie drzew, jakby we wgłębieniu rozgałęzionej dłoni, jednak stopiło ją żarem, skruszyło napotkane podpory, wyslizgnęło się z konarów, z rozczapierzonych paluchów, na chwilę zawisło w pustce, aby gwałtownie zaryć się w głąb ziemi, z której wybuchnął pożar, zawierucha krwi i ognia.

W tym czasie nauczycielka też patrzyła na zachód z innego miejsca, jakże inaczej.

Ongiś na początku powieści jesienny poranek rozdził się, przepleciony deszczem i pogodą, dzisiejszy dzień kończył się przepychem zachodu, w czasie którego chmury na niebie układały się jakby w melodję płomienistej pieśni na wysokościach.

Biel wspinał się po uboczy, biegł, zwalniał kroku, przedzierał się przez gęstwinę zjeżoną kolcami, ginął w zadrzewionych miejscach i znów się wyłaniał, deptał śnieg zrózowiony, zaścielony drzazgami światła. Parł naprzód ku szkarłatnej zorzy rozpostartej nad światem.

— Mamo, poźryjcie na Biela — wołał Alojz — do słoneczka idzie, a słoneczko ucieka od niego.

— Dojdzie, dojdzie, każdy dojdzie do swojego słoneczka — mówiła Malinowska do dzieci i do samotnego człowieka, podążającego na spotkanie słońca.

Jeszcze raz z poza góry wystrzelił ognisty słup i na jego tle stanął Biel, jakby w gorejącym krzewie, rozstrzelającym promienie.

Rozkwit kolorów gasł. Okna, przed chwilą zrózowione, szarzały. Odlatywało wspomnienie słoneczne-

go nawiedzenia. Niebo pomieszało się z popiołem i razem z ziemią stawało się zmierzchem, w którym ginął malutki, zabłąkany cień człowieka. Nad szczytami w stronie zachodniej trwała ostatnia ciemna chmurka, obwiedziona złotym zygzakiem.

— Jak pierwsza gwiazda zaświeci, to Pan Jezus się narodzi? Prawda, mamó? — wołał Alojz.

— Prawda, synu.

Obecni zanurzyli stęskniony wzrok w głębię zmierzchu, szukając rozbłysku owej gwiazdy.

Szczygieł zatrzepotał naokoło ścian, przeszył izbę, spoczął na krawędzi otwartych drzwi i znieruchomiał, jakby przerażony ogromem nadchodzącego wieczoru. Ludzie nie śmieli drzwi zamknąć, aby go nie płoszyć. Ptak wydał jeden dźwięk, jakby się nim uśmiechnął, rozpostarł skrzydła i sfrunął...

Ustała wszelka praca. Przeminał zgiełk dzisiejszych spraw. Opustoszały ścieżki. Świąteczna cisza spoczęła wśród zabudowań wsi. Mieszkańcy trwali w oczekiwaniu. Okna rozjaśniały się kolędami.

Gdzieś daleko w przepaściach nieba zaczęła nieśmiało rozbłyskiwać pierwsza gwiazda, zwiastująca wiecznie odradzający się sen o miłości, słabo zamigotała we mgle niby zwodniczy sygnał, poczęty w nie-dościgłych wyżynach, nabierała światła i drgała w pustce, samotnie gorejąc.

Potem coraz więcej, jednak roziskrzonych.

Cóż ciemne niebo może rodzić? Gwiazdy, które jutro roztopią się w różowym świetle. Jakże daleko przez mroki, gwiazdami usiane, do świtu.

7-Szczawnica 1925

P. ks. inw.

BIBLIOTEKA

Instytut Pedagogicznego Związku

w SIEDLACH

10. 11. 1925

